PISMO STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH

FORUM DZIENNIKARZY

Nr 97/98/99 – 2010



KATYŃ 10 kwietnia 2010

NBP
Narodowy Bank Polski

NAGRODA IM. WŁADYSŁAWA GRABSKIEGO

Konkurs dla dziennikarzy ekonomicznych VIII edycja - 2010



Narodowy Bank Polski, Polska Agencja Prasowa oraz **Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich**, serdecznie zapraszają do udziału w konkursie o **Nagrodę im. Władysława Grabskiego.**

Nagrody przyznawane są za najlepsze publikacje o tematyce ekonomicznej, które ukazały się w 2009 r. w prasie ogólnopolskiej i lokalnej (zarówno te, które opublikowano w druku, jak też internecie) oraz audycje radiowe i programy telewizyjne.

Laureat Nagrody im. Władysława Grabskiego otrzyma nagrodę pieniężną w wysokości **40 000** złotych, a wyróżnieni w konkursie **10 000** złotych.
Dodatkowo Kapituła może przyznać **nagrodę honorową Prezesa NBP** dla **redakcji**, która w szczególny sposób przyczyniła się do szerzenia wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie.

Zgłoszenia do Nagrody mogą wysyłać dziennikarze lub redakcje
do 14 maja 2010 roku na adres:
Departament Edukacji i Wydawnictw NBP,
ul. Świętokrzyska 11/21, 00-919 Warszawa,
z dopiskiem Nagroda im. Władysława Grabskiego.
Szczegółowe informacje i regulamin konkursu: **www.nbp.pl/edukacja**

SDP
Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich

NBP
Narodowy Bank Polski

pap
POLSKA AGENCJA PRASOWA SA

SZYDZONO ZE WSZYSTKIEGO, CO BYŁO DLA NIEGO WAŻNE I ŚWIĘTE. DRWIONO Z PATRIOTYZMU, Z MIŁOŚCI DO MATKI, ŻONY I BRATA. NIE SZANOWANO GO NIE TYLKO Z TYTUŁU URZĘDU, KTÓRY SPRAWOWAŁ, ALE NAWET Z FAKTU TEGO, ŻE BYŁ CZŁOWIEKIEM. GŁÓWNY CEL JEGO PREZYDENTURY – PRZYWRACANIE PAMIĘCI – PRZEDSTAWIONO JAKO PRZEJAW MAŁOSTKOWOŚCI I ZAŚCIANKOWOŚCI. ODLICZANO MINUTY DO CHWILI KIEDY, JAK PRZYPUSZCZANO, ZAKOŃCZY SWOJĄ MISJĘ.

PRZEMÓWIENIE, KTÓRE PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ PROF. LECH KACZYŃSKI MIAŁ WYGŁOSIĆ 10 KWIETNIA 2010 ROKU NA POLSKIM CMENTARZU WOJENNYM W KATYNIU PODCZAS UROCZYSTOŚCI W 70. ROCZNICĘ ZBRODNI KATYŃSKIEJ

Szanowni Przedstawiciele Rodzin Katyńskich! Szanowni Państwo!

W kwietniu 1940 roku ponad 21 tysięcy polskich jeńców z obozów i więzień NKWD zostało zamordowanych. Tej zbrodni ludobójstwa dokonano z woli Stalina, na rozkaz najwyższych władz Związku Sowieckiego. Sojusz III Rzeszy i ZSRR, pakt Ribbentrop-Mołotow i agresja na Polskę 17 września 1939 roku znalazły swoją wstrząsającą kulminację w zbrodni katyńskiej. Nie tylko w lasach Katynia, także w Twerze, Charkowie i w innych, znanych i jeszcze nieznanych miejscach straceń wymordowano obywateli II Rzeczypospolitej, ludzi tworzących podstawę naszej państwowości, nieugiętych w służbie ojczyzny. W tym samym czasie rodziny pomordowanych i tysiące mieszkańców przedwojennych Kresów były zsyłane w głąb Związku Sowieckiego, gdzie ich niewypowiedziane cierpienia znaczyły drogę polskiej Golgoty Wschodu.

Najbardziej tragiczną stacją tej drogi był Katyń. Polskich oficerów, duchownych, urzędników, policjantów, funkcjonariuszy straży granicznej i służby więziennej zgładzono bez procesów i wyroków. Byli ofiarami niewypowiedzianej wojny. Zostali zamordowani z pogwałceniem praw i konwencji cywilizowanego świata. Zdeptano ich godność jako żołnierzy, Polaków i ludzi. Doły śmierci na zawsze miały ukryć ciała pomordowanych i prawdę o zbrodni. Świat miał się nigdy nie dowiedzieć. Rodzinom ofiar odebrano prawo do publicznej żałoby, do opłakania i godnego upamiętnienia najbliższych. Ziemia przykryła ślady zbrodni, a kłamstwo miało wymazać ją z ludzkiej pamięci.

Ukrywanie prawdy o Katyniu – efekt decyzji tych, którzy do zbrodni doprowadzili – stało się jednym z fundamentów polityki komunistów w powojennej Polsce: założycielskim kłamstwem PRL. Był to czas, kiedy za pamięć i prawdę o Katyniu płaciło się wysoką cenę. Jednak bliscy pomordowanych i inni, odważni ludzie trwali wiernie przy tej pamięci, bronili jej i przekazywali kolejnym pokoleniom Polaków. Przenieśli ją przez czas komunistycznych rządów i powierzyli rodakom, wolnej niepodległej Polsce. Dlatego im wszystkim, a zwłaszcza Rodzinom Katyńskim, jesteśmy winni szacunek i wdzięczność. W imieniu Rzeczypospolitej składam najgłębsze podziękowanie za to, że broniąc pamięci o swoich bliskich, ocaliliście Państwo jakże ważny wymiar naszej polskiej świadomości i tożsamości.

Katyń stał się bolesną raną polskiej historii, ale także na długie dziesięciolecia zatruł relacje między Polakami i Rosjanami. Sprawmy, by katyńska rana mogła się wreszcie w pełni zagoić i zabliźnić. Jesteśmy już na tej drodze. My, Polacy, doceniamy działania Rosjan z ostatnich lat. Tą drogą, która zbliża nasze narody, powinniśmy iść dalej, nie zatrzymując się na niej ani nie cofając.

Wszystkie okoliczności zbrodni katyńskiej muszą zostać do końca zbadane i wyjaśnione. Ważne jest, by została potwierdzona prawnie niewinność ofiar, by ujawnione zostały wszystkie dokumenty dotyczące tej zbrodni. Aby kłamstwo katyńskie zniknęło na zawsze z przestrzeni publicznej. Domagamy się tych działań przede wszystkim ze względu na pamięć ofiar i szacunek dla cierpienia ich rodzin. Ale domagamy się ich także w imię wspólnych wartości, które muszą tworzyć fundament zaufania i partnerstwa pomiędzy sąsiednimi narodami w całej Europie.

Oddajmy wspólnie hołd pomordowanym i pomódlmy się nad ich głowami. Chwała bohaterom! Cześć Ich pamięci!

Oświadczenie ZARZĄDU GŁÓWNEGO STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH

Składamy hołd Prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu i jego Małżonce oraz wszystkim poległym w katastrofie pod Smoleńskiem. Ponieśli śmierć w służbie Rzeczypospolitej i należy im się wieczna pamięć. Łączymy się w bólu z ich rodzinami i najbliższymi.

Równoczesna śmierć Prezydenta i wielu wybitnych postaci życia publicznego jest tragedią narodową. Polskie społeczeństwo zostało wstrząśnięte do głębi tą katastrofą i daje wyraz solidarności w obliczu wspólnego nieszczęścia. Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zwraca się do wszystkich kolegów w mediach z apelem o rzetelne, wnikliwe i obiektywne przedstawianie tych tragicznych wydarzeń niezależnie od własnych sympatii politycznych.

Oświadczenie RADY ETYKI MEDIÓW

Tragiczna katastrofa pod Smoleńskiem, śmierć Prezydenta RP, jego Małżonki oraz wybitnych przedstawicieli życia publicznego, stała się próbą dla mediów. Dziennikarze i komentatorzy przeszli ją godnie, informując Polaków o przebiegu zdarzeń, przewidując ich przełomowe znaczenie w budowaniu jedności wokół spraw najważniejszych dla państwa i narodu – mimo różnic ideowych i politycznych.

Rada Etyki Mediów apeluje o wytrwanie w poczuciu odpowiedzialności za dobro wspólne. Poniechajmy eksponowania politycznych swarów, szerzenia sensacyjnych pogłosek, pochopnych podejrzeń i oskarżeń.

Niech ta tragedia narodowa umocni w nas dobre odruchy i postawy, jakie ujawniły się tak powszechnie w dniach żałoby.

Warszawa, 12 kwietnia 2010 r.

ODESZLI NAGLE

ŚP. Janusz KOCHANOWSKI, Rzecznik Praw Obywatelskich – nigdy nie odmówił interwencji w sprawach dziennikarzy, współpracowaliśmy przy organizowanych przez Niego dziennikarskich konkursach: „Jak wyjść z biedy" i „Partnerstwo wschodnie – co nas łączy, co dzieli?"

ŚP. Sławomir SKRZYPEK, Prezes NBP – 14 kwietnia miał inaugurować na konferencji w SDP działalność Centrum Promocji i Edukacji Ekonomicznej NBP

ŚP. Janusz KURTYKA, Prezes IPN – wspierał nasze działania w sprawie ujawnienia prawdy o weryfikacji dziennikarzy w stanie wojennym

ŚP. Władysław STASIAK, Szef Kancelarii Prezydenta RP – 3 maja w Pałacu Prezydenckim miał ogłosić wyniki konkursu dziennikarskiego dla dziennikarzy prasy lokalnej, w organizacji którego współpracowaliśmy z Kancelarią Prezydenta RP – „Blaski i cienie budowy demokracji lokalnych"

ŚP. Ksiądz Prałat Józef JONIEC – twórca i organizator „Parafiady", z którą współpracujemy od wielu lat, w tym roku tematem przewodnim był KATYŃ

ŚP. Senator Krystyna BOCHENEK – zamieniła zawód dziennikarki na zawód polityka, ale do końca pozostała wierna dziennikarstwu i wspierała nas w ważnych dla naszego środowiska działaniach

ŚP. Ksiądz Prałat Roman INDRZEJCZYK, Kapelan Prezydenta RP – 15 lutego br. był gościem SDP jako jeden z bohaterów książki Mateusza Wyrwicha „Kapelani Solidarności"

ŚP. Maciej PŁAŻYŃSKI – Marszałek Sejmu III kadencji – dzięki jego pomocy tak ważna dla dziennikarzy ustawa o dostępie do informacji publicznej została uchwalona przez Sejm RP w 2000 r.

Trudno pogodzić się z tym, że odeszliście.

Wpisaliśmy w księdze kondolencyjnej w Sejmie:
„Niech ofiara przeklętej ziemi zaowocuje pojednaniem między dwoma narodami i pokojem w naszej Ojczyźnie"
Krystyna Mokrosińska, prezes SDP

Od Redaktora



Piszę te słowa 4 marca, ukażą się w druku 14 kwietnia. Ale już wiem, że w ciągu miesiąca nic się nie zmieni. Ba, nie zmieni się o wiele dłużej. Zapiekłość i głupota tryumfować będą nadal. Sprawa ustawy medialnej nie ruszy na krok. Brak pieniędzy dla mediów publicznych po karygodnych manipulacjach, ośmieszaniu, nawoływaniu do niepłacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego pogłębi ruinę Telewizji Polskiej i Polskiego Radia. PiS i SLD nadal będą strugać głupka i udawać, że nie zawarły sojuszu medialnego. Zdaje się, że pat, który zapanował, jest na rękę wszystkim. Teraz liczą się tylko wybory – jedne, drugie. Najpierw: Komorowski czy Sikorski? A gdy się już wzajemnie ośmieszą, pan Tusk poleci „Wałęsą" i powie: „no, widzisz kochany narodzie – nie chciałem, ale muszę!".

Czy dziennikarze potrafią wybić się na... niepodległość albo nazwijmy to – niezależność? Czy przestaną iść na łatwiznę i zapraszać, przedstawiać – pisać o tych choćby najgłupszych, najbezczelniejszych, ale najbardziej krzykliwych? Czy przestaną lansować nieuczciwych, skompromitowanych, wreszcie nudnych i już kompletnie zgranych, kłamiących po wielekroć, niewywiązujących się z obietnic i powierzonych obowiązków, ale za to nadal od lat rujnujących kraj i ośmieszających nas na świecie? Przecież „ci" nie muszą już być w polityce, a tym bardziej nie powinni być wszędzie. Niech pseudozawodowi gracze polityczni wrócą do swych zawodów – jeśli w ogóle jeszcze je wykonywać potrafią. To przecież nie dziedzice tytułów – królowie, książęta, ordynaci. Sami starają się być uprzywilejowaną kastą.

Koleżanki, Koledzy, czytający i... oglądający „Forum" popatrzcie na zdjęcia aż 21 fotoreporterów prasowych spotykających się w klubie zawodowym przy SDP. Dużo tu treści.

Zastanówcie się nad artykułami publicystów, którzy piszą w tym numerze „Forum". Napiszcie wreszcie sami – nasze łamy stoją otworem.

A jest o czym!

Telewizje regionalne na pewno można jeszcze uratować. Abonament jako pewne jednak źródło zasilania mediów publicznych – można uratować. Wymyśleć, jaka ma być koncepcja telewizji publicznej – też można. I od tego trzeba zacząć. Dać rządzić nią tym – temu, kto przedstawi najlepszy, konkretny projekt, klarowny pomysł na TVP. Choćby np. taki:

- „jedynka" – to wszystko co najlepsze, różnorodne, ale na wysokim poziomie, bez kiczu i sztucznie wyrabianej oglądalności; misja, ale bez patosu (z jednym tylko „kawałkiem" informacji – tym tradycyjnym, o 19.30 – Wiadomościami);
- „dwójka" to tylko informacja, publicystyka, reportaż, film dokumentalny i wszystkie inne obowiązki sejmowe, senatowe, partyjne, rocznicowe; czyli rozbudowane INFO i wszystko co gorące z Polski i ze świata, przy wykorzystaniu tych dziesiątków reporterów ciągle jeszcze będących pod parą w kraju i za granicą;
- wreszcie „trójka" powinna być zwrócona tym, którym – zgodnie z ustawą – była przydzielona, czyli społecznościom lokalnym; będzie podległa kierownictwu w Warszawie, ale tylko formalnie; postawić trzeba na czele ośrodków ludzi z tamtejszych środowisk, takich, którzy będą „chcieć" i „potrafią", mając – oczywiście – cały czas antenowy, a nie dwie – trzy godziny na dobę za przyzwoleniem centrali w Warszawie, szafującej tymi „łaskami" i mającej za nic zobowiązania w terenie (bywa, że bezceremonialnie zabiera się czas antenowy ośrodkom – bo tak decyduje Warszawa, nie bacząc na konsekwencje, umowy finansowe w Katowicach, Gdańsku czy Krakowie).

Dlatego nie zgadzamy się, by politycy najpierw powoływali prezesów, a dopiero potem z układu sił politycznych w radach nadzorczych i zarządach wynikały nominacje i programy działania. To od pomysłu – programu odbudowy, przebudowy, stworzenia publicznych mediów powinno zależeć kto to ma robić. Powtarzamy do znudzenia: to nie fabryka śrubek, działająca według kodeksu prawa handlowego. To potężny decydent o naszej wspólnej rzeczywistości. Wybierać trzeba przy otwartej kurtynie. Niech kandydaci publicznie się przedstawią – niech pokażą swoje buzie i ujawnią poglądy! Wszyscy ich poznamy – a politycy, decydując przy otwartej kurtynie, będą to robić, czując na sobie miliony spojrzeń. Nie będzie więc „kapturowo" i bez ryzyka utraty mandatu społecznego zaufania.

* * *

Dajemy w tym „Forum" miejsce na bardzo różne głosy. Przede wszystkim o tym, jak jest. Albo – dokładniej – jak autorowi wydaje się, że jest. Ale także o przeszłości. Jak było, bywało.

Wiele jest goryczy w wypowiedziach naszych kolegów. Ale są oni pod artykułami podpisani. To nie anonimowa pseudowolność w sieci.

Przeczytajcie.

Stefan Truszczyński

Wydawca:
Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich
00-366 Warszawa, Foksal 3/5
tel./faks, 22 827 87 20
e-mail: sdp@sdp.pl; www.sdp.pl

Redakcja:
Stefan Truszczyński – redaktor naczelny,
Bożenna Dobrzyńska – sekretarz redakcji,
Katarzyna Biernacka – asystentka redaktora naczelnego,
Bogdan Krawczyk, Adam Nurkiewicz, Michał Puchalski

Zdjęcia: z archiwum SDP, zbiorów prywatnych.

Za treść reklam, ogłoszeń i artykułów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

Konto ZG SD: PKO BP IX O/Centrum, nr 03 1020 1097 0000 7602 0118 6535

ISSN 1428-5088

Realizacja wydawnicza:

BARTGRAF – 00-549 Warszawa, ul. Piękna 24-26, tel. 22 625 55 48, e-mail: bartgraf@nzg.pl

Nakład 1500 egz.

KLUB FOTOGRAFII PRASOWEJ
przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich

W styczniu 2003 roku odbyło się założycielskie zebranie Klubu Fotografii Prasowej, nawiązującego do dawnego klubu przy SDP, który funkcjonował do czasu rozwiązania stowarzyszenia przez władze stanu wojennego. W maju 2003 członkowie-założyciele powołali zarząd, który stworzył regulamin klubu oraz określił zasadnicze cele działalności KFP. Jedną z pierwszych inicjatyw było przystąpienie do tzw. Porozumienia Łazienki Królewskie, które wystąpiło przeciwko próbom odebrania twórcom 50% kosztów uzyskania.



Galeria KFP „Na płocie”





Zarząd KFP na otwarciu nowej siedziby SIGMA Pro Centrum

Główna idea klubu to integracja środowiska fotoreporterów, realizowana poprzez organizowanie plenerów, konkursów i wystaw klubowych, a także szkoleń i paneli dyskusyjnych. Za konieczne uznaliśmy podjęcie działań mających na celu prawną ochronę zawodu fotoreportera, a także prac związanych z tzw. licencją fotoreportera.

A co się nam udało?

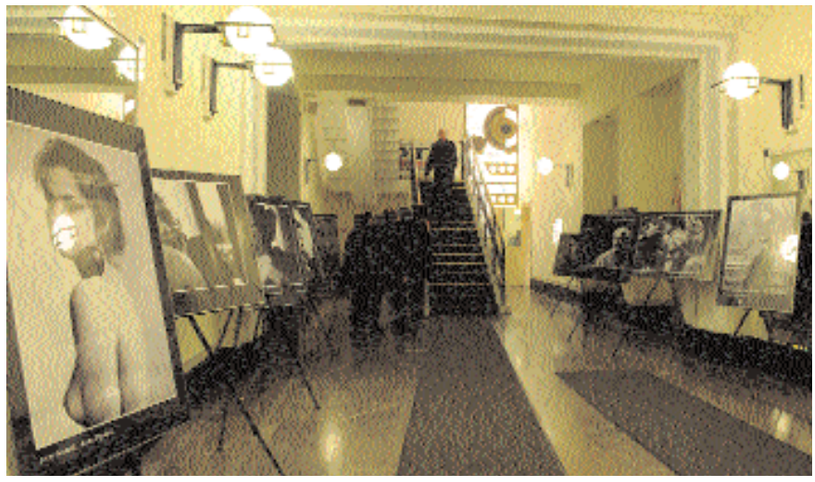
Czterokrotnie zorganizowaliśmy panele dyskusyjne na tematy: prawo autorskie, prawo prasowe, odbyło się spotkanie – dyskusja z przedstawicielami MSWiA i KG Policji (efektem był zakup dla członków KFP kamizelek odblaskowych z kolejnymi numerami – zgodnymi z listą członków KFP zamieszczoną na stronie www.klubfotografiiprasowej.pl) oraz połączona z dyskusją prelekcja mecenasa Wojciecha Orżewskiego, autora książki „Fotograf, fotografia, prawo” na temat prawa prasowego i autorskiego w odniesieniu do fotografii.

Zarząd KFP wystąpił do ZG SDP o wprowadzenie dyscypliny „fotografia prasowa” do prestiżowego konkursu „Nagrody SDP” (jest to polski odpowiednik nagród Pulitzera). ZG SDP kategorię tę wprowadził, ale pod warunkiem zdobycia dla niej sponsora.



Stefan Zubczewski, prezes KFP, przekazuje swoją kamizelkę Erazmowi Ciołkowi przy okazji odznaczenia go laurem SDP 2007

W roku 2004 to się udało, pozyskaliśmy sponsora PKO BP, a nagrodę w wysokości 10 000 PLN otrzymał Krzysztof Miller. Niestety, w późniejszych latach nagroda nie została przyznana z powodu małego zainteresowania kolegów, a także... bo nie udało



II Wystawa Klubowa „Portrety”



Targi Press Photo Info



Losowanie nagród wśród gości targów



Wystawa w Łodzi, 2009

nam się znaleźć sponsora. Kategoria ta pozostaje do dzisiaj „w uśpieniu" (nadal poszukujemy sponsora). Warunkiem najważniejszym jednak jest zainteresowanie środowiska.

Klub od kilku lat organizuje targi „Press Photo Info" – spotkania w siedzibie SDP, gdzie prezentują się czołowe firmy z branży foto-audio (Canon, Nikon, Olympus, KonicaMinolta, Milso, Pentax, Sony, Nokia, Lowepro, Epson, HP, Microsoft, Adobe, Sigma, Samsung i wiele innych). Odbyło się już 6 edycji targów. Znaleźliśmy sponsorów umilających nam te imprezy, a mianowicie Browar Jabłonowo, Elite Cafe, Blikle oraz ostatnio Kamanda Lwowska.

Za środki pozyskane dzięki targom klub nabył projektor cyfrowy oraz komputer, co umożliwiło zorganizowanie cyklicznej imprezy, spotkań – diaporam ze znanymi fotografami polskimi w każdy trzeci poniedziałek miesiąca. Jest to bardzo udane przedsięwzięcie, a połączone z dyskusją spotkania cieszą się dużą popularnością w środowisku. Oto fotografowie, których gościliśmy: Erazm Ciołek, Wojciech Grzędziński, Jerzy Gumowski, Sławomir Kamiński, Maciej Kosycarz, Jerzy Kośnik, Witold Krassowski, Bogdan Łopieński, Krzysztof Miller, Hanna Musiałówna, Jan Morek, Chris Niedenthal, Adam Nurkiewicz, Jacek Piotrowski, Piotr Sawicki, Przemek Wierzchowski. Imprezie towarzyszą niekiedy prezentacje firm z branży foto.

Organizowaliśmy spotkania towarzysko-integracyjne dla członków klubu – przedświąteczne „Fotośledzie" i „Fotojajeczka", dwukrotnie spotkaliśmy się na Cyplu Czerniakowskim na przedwakacyjnym zamknięciu sezonu, a jedno z nich połączone było z prezentacją firmy Nikon.



Warsztaty fotograficzne – Akt

W 2004 roku odbyła się I Klubowa Wystawa Fotografii, na której zaprezentowało się 50 członków klubu. Wystawa miała swój wernisaż w „Galerii 77", a później prezentowana była w Galerii KFP w siedzibie SDP na Foksal 3/5. Wystawy czterech członków KFP (Bogdan Łopieński, Tadeusz Późniak, Adam Nurkiewicz i Piotr Hawałej) pokazaliśmy na XXII Targach Sprzętu Fotograficznego, Filmowego i Video w Łodzi w 2009 roku. Jesienią 2009 roku odbyła się II Wystawa Klubowa „Portrety", również prezentowana na Foksal 3/5.

Pozyskaliśmy sponsora klubu w postaci firmy SIGMA Pro Centrum. Pozwoliło to na zbudowanie strony internetowej www.klubfotografiiprasowej.pl.

Udanym zamierzeniem był zakończony właśnie Konkurs na Prasowe Zdjęcie Roku, otwarty dla wszystkich zawodowych fotoreporterów. Fundatorami nagród byli sponsorzy SIGMA Pro Centrum oraz Lexar Professional. Pokonkursowa wystawa zawisła na ogrodzeniu siedziby SDP, czym zainaugurowaliśmy działalność galerii KFP „Na płocie".

Zarząd KFP w obecnej kadencji pracuje w składzie: Borys Skrzyński – prezes, Stefan Zubczewski – wiceprezes, Karina Łopieńska – sekretarz, Adam Nurkiewicz – skarbnik, oraz Wojciech Druszcz, Jerzy Kośnik i Tadeusz Późniak.

Klub Fotografii Prasowej SDP jest otwarty dla wszystkich fotoreporterów, niekoniecznie zrzeszonych w jakimkolwiek stowarzyszeniu dziennikarzy. Jedynym warunkiem przystąpienia do nas jest spełnienie wymogów regulaminu.

Deklaracja i regulamin do KFP dostępne są na stronie www klubu.

Jesteśmy za PEŁNĄ INTEGRACJĄ ŚRODOWISKA, niezależnie od przekonań politycznych, sympatii i antypatii.

S. Z., K. Ł.



VI Targi Press Photo Info, 2009

SIGMA



Prof. Jacek Kochanty

Pierwszy odjazd: SIGMA 50-500mm f/4.5-6.3 APO DG OS HSM + EOS 1Ds Mark III

NASZ
ŚWIAT

Sigma 18-250 F3.5-6.3 DC OS HSM to pierwszy obiektyw matki Sigma z krotnością ogniskowej wynoszącą aż 13.8x. Super uniwersalny zoom, wzbogacony o nowoczesny system stabilizacji optycznej OS, pozwala na wykonanie nieporuszonych zdjęć zarówno w trudnych warunkach oświetleniowych, jak i w sytuacjach, w których wykorzystywany jest pełnej "długości" obiektyw. Cztery niskodyspersyjne szkła SLD oraz trzy elementy asferyczne zapewniają najwyższą ostrość jakość obrazu, niezależnie od ogniskowej. Ponadto minimalny dystans ogniskowania wynosi 45 cm w całym zakresie pracy obiektywu. Całość dopełnia lekka, poręczna i kompaktowa obudowa z wysokiej jakości materiałów.



2009 AWARDS TIPA

Pierwszy obiektyw o takiej rozpiętości ogniskowej z OS i wbudowanym silnikiem HSM

SIGMA 18-250MM F3.5-6.3 DC OS HSM For DIGITAL

www.sigma-foto.pl

Konkurs „Prasowe Zdjęcie Roku”

Prezentujemy zdjęcia nagrodzone w zakończonym niedawno Konkursie „Prasowe Zdjęcie Roku 2009”, zorganizowanym przez Klub Fotografii Prasowej przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Przez cały rok fotoreporterzy przysyłali swoje aktualnie wykonywane zdjęcia, pojedyncze lub fotoreportaże, i co miesiąc jury wybierało 3 najlepsze prace – nominacje do nagrody głównej. Wszystkie konkursowe prace oraz comiesięczne nominacje zamieszczane były na stronie www.klubfotografiiprasowej.pl. Jury dokonało niełatwego wyboru najlepszego spośród 36 wyróżnionych zdjęć. Zwycięzcę i jego „Prasowe Zdjęcie Roku” poznaliśmy 17 lutego podczas uroczystości w siedzibie SDP przy ul. Foksal 3/5 w Warszawie. Imprezie towarzyszyła wystawa nominowanych prac, które zawisły na ogrodzeniu siedziby SDP.

Zwycięzcą konkursu został **Tomasz Gzell**, fotoreporter PAP, a jego Prasowe Zdjęcie Roku przedstawia byłego prezydenta Lecha Wałęsę po odsłonięciu pomnika Wrota Wolności.

Konkurs skierowany był do fotoreporterów zarówno etatowych, jak i współpracujących z redakcjami czy agencjami fotograficznymi, a także wolnych strzelców. Powstał ciekawy przegląd zdjęć wykonanych przez polskich fotoreporterów w całym roku, co jest okazją do interesującej analizy kondycji fotografii prasowej i dyskusji na ten temat. Było to jedną z intencji pomysłodawców konkursu, którzy na stronie internetowej KFP zapraszają do debaty o przyszłości zawodu fotoreportera. Innym motywem konkursu była chęć spowodowania, by zagonieni na co dzień koledzy fotoreporterzy zatrzymali się na chwilę i znaleźli czas na zastanowienie się nad swoimi zdjęciami, powodem, dla którego fotografują, i celem, jaki mają spełniać ich zdjęcia.



fot. Tomasz Gzell

Jury konkursu pracowało w składzie: Jacek Barcz, Zbigniew Furman, Wojciech M. Druszcz, Karina Łopieńska, Michał Mikulski jako przedstawiciel sponsora, Adam Nurkiewicz, Tadeusz Późniak, Borys Skrzyński i Stefan Zubczewski.

Na konkurs wpłynęło ok. 1500 prac, zdjęć pojedynczych i reportaży. Warto zwrócić uwagę na znaczącą obecność fotoreporterów współpracujących z PAP – zdobyli 13 z 36 nominacji! Jury miało naprawdę trudne zadanie, w dodatku rozpisane na cały rok – że po tym czasie jeszcze chce na siebie wzajemnie patrzeć, jest godne odnotowania. Jak mówi jeden z członków jury – „kłóciliśmy się, wymawialiśmy sobie wieloletnią przyjaźń, używaliśmy inwektyw względem siebie, ale co miesiąc dochodziliśmy do jakiego takiego konsensusu...”. Do przelewu krwi faktycznie nie doszło, ale było blisko, zwłaszcza podczas finałowego wyboru laureata konkursu.

Zapraszamy do obejrzenia na następnych stronach wszystkich wyróżnionych prac, zaopatrzonych w komentarze jury, które tłumaczy się ze swoich decyzji.

K.Ł.

Sponsorami konkursu były firmy Sigma ProCentrum i Lexar Professional, które ufundowały nagrody dla autorów nominowanych prac oraz nagrodę główną.

SIGMA PRO CENTRUM
wypróbuj • wypożycz • wybierz

Lexar
When Memory Matters™

Patronat medialny

FOTOGRAFIA CYFROWA

fotopolis.pl

Sponsorzy gastronomiczni

Kamienica Lwowska

Styczeń

1 Magdalena Ubysz
Gdańskie morsy podczas styczniowej kąpieli w zimnym Bałtyku.

- To zdecydowanie udane fotoreporterskie zdjęcie, z przyjemną dozą poczucia humoru. Można się zastanawiać, czy autorka również zanurzyła się w lodowatej wodzie czy raczej bezpiecznie pływała na łódeczce – przy okazji ją zapytamy.

2 Maciej Kiełbowicz
Zima w mieście, Warszawa Ursynów.

- Fotografia zachwyciła jurorów swoim delikatnym rysunkiem, wszystkie szczegóły są perfekcyjnie odrobione, jakby namalowane piórkiem.

1



2



3



3 Jacek Świerczyński
Choroba. Sześcioletnia chora na nowotwór dziewczynka z matką.

- Jest to zdjęcie przejmujące. Temat niełatwy – autor uzyskał mocny efekt za pomocą oszczędnych środków.

Luty

1



1 Łukasz Głowala
Dogaszanie zgliszczy sopockiego klubu Copacabana.

- Jury trochę się o to zdjęcie spierało, ostatecznie zwyciężyła duża uroda plastyczna fotografii.

2



2 Bartłomiej Kudowicz
Świdnica, Lubuskie. Działacze lokalnego PSL siedzący w pierwszym rzędzie koniecznie chcieli uwiecznić wizytę swojego szefa, wicepremiera i ministra gospodarki, Waldemara Pawlaka.

- Była pełna zgoda jurorów, że jest to świetna fotografia przedstawiająca kapitalną sytuację – pięciu siedzących

3











facetów beznamiętnie wpatrzonych w ekrany aparacików – powtarzalność tego gestu fajnie podbiła efekt końcowy.

3 Lech Muszyński

Józef Kowalski, mieszkaniec Domu Pomocy Społecznej w Tursku, obchodzi 109. urodziny. Prawdopodobnie jest najstarszym człowiekiem w Polsce.

- Ten 5-zdjęciowy zestaw jest dobrze zbudowanym fotoreportażem, pokazującym nieco urzędową fasadowość uroczystości, której bohater wprawdzie wydaje się szczęśliwy, ale lekko już nieobecny duchem.

MARZEC

1 Jacek Prondzyński

Kraksa. Pruszków, BGŻ Arena, 29 marca 2009 r., Mistrzostwa Świata w Kolarstwie Torowym. Bratobójczy półfinałowy pojedynek Francuzów w sprincie mężczyzn na 2000 m. Leży Kevin Sireau, upadku uniknął Gregory Bauge, jak się później okazało, zwycięzca zawodów.

- To rasowe sportowe zdjęcie było faworytem, chociaż wywołało dyskusję nad wkładem szybkostrzelnego aparatu oraz szczęścia w ostateczny efekt. Ale cóż, mieć fart zawsze warto, również w fotografii.

2 Paweł Roman

Chasydzi. W marcu do Leżajska na Podkarpaciu przybywa kilka tysięcy Żydów z całego świata, by uczcić 223. w tym roku rocznicę śmierci cadyka Elimelecha. Dla chasydów Leżajsk wraz z grobem cadyka jest jednym z najświętszych miejsc na świecie. Niektórzy przyjadą tylko na kilka godzin po to, aby modlić się na jego grobie. Jest to okazja, by prosić go o zdrowie i rozwiązanie problemów życiowych.

1



- Parę zdjęć jest naprawdę znakomitych, chociaż ten 9-zdjęciowy cykl bardzo by zyskał, gdyby inaczej go zredagować, może odrzucając to i owo.

2



















3



3 Jacek Świerczyński
Pasażerowie lubelskiego busa.

● Od czasu podobnego w duchu zwycięskiego zdjęcia z World Press Photo ten motyw twarzy za szybą odjeżdżającego autobusu jest często wykorzystywany. Ale trzeba przyznać, że tu mamy do czynienia z naprawdę ładnym obrazem, pełnym zadumy i nostalgii.

KWIECIEŃ

1 Piotr Bednarek
Wypalanie traw. Akcja gaśnicza na łąkach w Konopiskach pod Częstochową z udziałem helikoptera zrzucającego wodę.

● Jury było wyjątkowo zgodne, przyznając nominację tej fotografii, która łączy w sobie walory informacyjne, tak ważne w fotografii prasowej, ze znakomitą kompozycją kadru.

1





2 Kacper Kowalski

„Feniks”. Składowisko odpadów stałych (poprodukcyjnych) po spalaniu węgla brunatnego w Zespole Elektrowni Pątnów – Adamów – Konin SA.

- Zdjęcie wszystkim się nadzwyczaj podobało, ale wywołało burzliwą dyskusję pt. „czy to jest zdjęcie prasowe?” Bo niby tak: informacja jest, autor sfotografował istniejący fragment rzeczywistości, która w dodatku jest społecznie nieobojętna, ale stopień odrealnienia tej rzeczywistości, ujętej z lotu ptaka powoduje, że patrzymy na fotografię raczej jak na obraz w galerii malarstwa współczesnego.

3 Piotr Korzeniowski

„Skacz lub patrz”. Chłopcy w Choszcznie uprawiają free run – szaleńczy bieg przez miasto z elementami akrobacji. To jest ich styl, luz – swobodny bieg, ale i pewien cel, dążenie do perfekcji.



- Ciekawy fotoreportaż, ale jego ocena nie może być jednoznaczna i jury miało z tym spory dylemat. Z jednej strony, jest tam kilka naprawdę dobrych zdjęć. Ale dołączenie do nich pozostałych, które nic nie wnoszą, a są gorsze, znacznie osłabiło finalny efekt i omal nie utopiło całości. Ostatecznie jury zdecydowało o nominacji, by docenić tę lepszą część fotoreportażu.



MAJ

1 Marcin Grabowski

Po wiosennej burzy w centrum Warszawy pozostała wielka kałuża, którą odważni forsują na przełaj.

● Fotografowanie odbicia w wodzie jest już opatrzone i nieco zbanalizowane. Czasem jednak bywają naprawdę ciekawe plastycznie efekty, i wówczas fotograf wręcz musi chwycić za obiektyw...

1



2



2 Maciej Kiełbowicz

„Krajobraz polski". W majowe wieczory kobiety ze wsi Złota pod Rawą Mazowiecką, ubrane w tradycyjne stroje, zbierają się wokół przydrożnej kapliczki na modlitwę.

● Fotografia jest zabawna dzięki wielkoformatowej reklamie widocznej za plecami kobiet. Powstaje ironiczno-gorzka myśl, że to jest nowy rodzaj ołtarza, do którego się modlimy...

3 Andrzej Mitura

„Klinika weterynarii". Klinika Małych Zwierząt Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

● Trochę przegadany jest ten materiał, ale przejmujący. Ładnie pokazane jest oddanie personelu kliniki, z jakim troszczą się o zdrowie czworonogich pacjentów.

3

















Czerwiec

1 Łukasz Kuś

Procesja Bożego Ciała w Świętochłowicach-Lipinach na Śląsku. Jak co roku, mieszkańcy Lipin w sposób tradycyjny obchodzą święto Bożego Ciała: dekorują okna swoich mieszkań, budują ołtarze i w tradycyjnych strojach biorą udział w procesji ulicami miasta.

- Fotoreportaż trochę nierówny, jak zresztą większość nadsyłanych zestawów. Jury spierało się, ostatecznie o nominacji zdecydowała wielka uroda jednego zdjęcia, które podobało się wszystkim. Zastosowanie czerni-bieli miało w tym reportażu głęboki sens – podkreśliło ponurość śląskiej zabudowy i wydobyło z niej ramy okien, które wyglądają jak białe krzyże, ciekawie zwielokrotnione dzięki odbiciu w kałuży na najbardziej udanej fotografii.

2 Radek Pietruszka

„Dyrygent w krawacie". Krzysztof Penderecki dyryguje orkiestrą Sinfonia Varsovia podczas koncertu w przyszłej siedzibie orkiestry przy ul. Grochowskiej 272 w Warszawie.

2



1



















● Krzysztof Penderecki, zawsze nieskazitelnie wytworny i pod muchą, tym razem w krawacie – z widocznym rezultatem. Rzadki widok.

3 Adam Warżawa

Aniołowo (woj. warmińsko-mazurskie). Chłopcy są uczestnikami V Zlotu Miłośników Aniołów.

● Typowy popegeerowski kawałek wsi z rozjeżdżoną błotnistą drogą, a na niej maluchy, powracające z zabawy w anioły do szarej codzienności. Fajny klimat!

3



LIPIEC

1 Tomasz Kmiecik

„Mateusz". Niewidomy 9-letni chłopiec dotknięty porażeniem mózgowym i dysplazją stawów biodrowych. Mateusz właśnie wrócił do domu po operacji i czeka go sześciotygodniowy okres uwięzienia w gipsie. Mimo tak wielkiego cierpienia i dzięki niespotykanie oddanej mamie Mateusz jest wspaniałym, wrażliwym chłopcem, który uwielbia żarty, słuchać muzyki, a jedną z jego ulubionych zabaw jest rozpoznawanie zapachów z pachnących stron katalogów kosmetycznych.

● Bardzo przyzwoicie i kulturalnie sfotografowany temat, mocno zresztą przejmujący. Warto pochwalić autora za walory plastyczne zdjęć. Rezygnacja z koloru wydaje się

1



słuszna, dzięki czerni-bieli zdjęcia nabrały pewnej intymności.

2 Jowita Flankowska

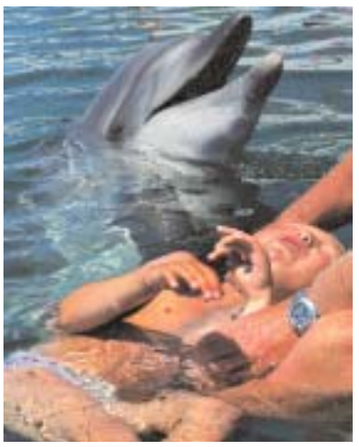
„Delfin ci bajkę opowie". Zajęcia terapeutyczne z delfinami w Sewastopolu na Ukrainie.

- Jest to porządny materiał fotograficzny, może lekko przegadany. Szkoda, że ujęcia są do siebie tak podobne, a plany mało zróżnicowane. Ale całość się podobała.

2





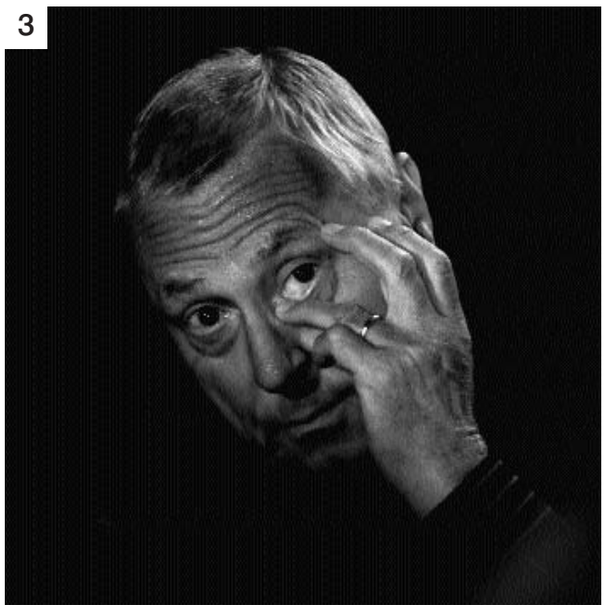








3



3 Bartłomiej Kudowicz

Peter Greenaway podczas wykładu na IX Międzynarodowym Festiwalu Filmowym Era Nowe Horyzonty 2009 we Wrocławiu.

- Bardzo wyrazisty portret, z ładnie rysującym światłem. Trochę przeszkadza ten paluch w oku, choć, z drugiej strony, gest jest zawsze cenny w portrecie.

SIERPIEŃ

LAUREAT KONKURSU

1 Tomasz Gzell

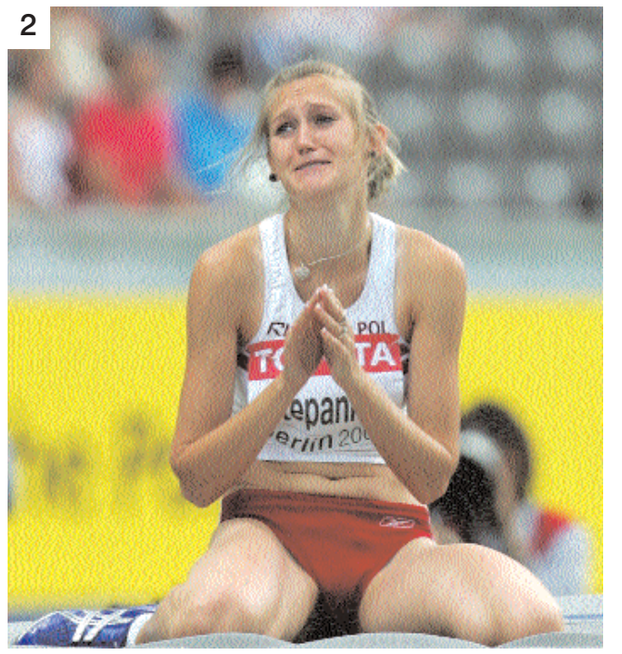
Lech Wałęsa uroczyście odsłonił 23 sierpnia pomnik Wrota Wolności w Kobylanach, przy międzynarodowej trasie prowadzącej do przejścia granicznego z Białorusią w Terespolu. Monument składa się z trzymetrowego fragmentu muru berlińskiego, symbolu przezwyciężonego podziału Europy, oraz cegieł ze Stoczni Gdańskiej, kolebki Solidarności.

- Dynamicznie uchwycona sytuacja. Odważne kadrowanie. Przechylony Wałęsa i ręce wyciągnięte do niego zza kadru – to zdjęcie wychodzi poza prosty przekaz.

1



2



2 Adam Ciereszko

Kamila Stepaniuk po nieudanym skoku wzwyż w eliminacjach lekkoatletycznych mistrzostw świata w Berlinie.

- Prosta fotografia, ale świetnie pokazująca dramat polskiej sportsmenki.

3 Waldemar Sosnowski

Kalwaria Pacławska k. Przemyśla, procesja przez rzekę Wiar.

- Zgrabnie skomponowany reportaż, zrobiony z dystansem i dowcipnie. Powaga miesza się tu z zabawą. A do tego ładnie sfotografowane.

3











Wrzesień

1 Bartłomiej Zborowski

Siatkarki. Mecz Bułgaria – Białoruś podczas mistrzostw Europy kobiet w Bydgoszczy.

- Jury spodobała się kompozycja złożona z wyciągniętych i rozcapierzonych dłoni, z zabawnymi paluszkami w ochraniaczach i z lakierem na paznokciach – gdyby nie piłka, można by pomyśleć, że to kadr z nowoczesnego baletu.


1

2 Adam Warżawa

Zderzenie. Koszykarz reprezentacji Rosji, Sergey Bykov, po zderzeniu z Davorem Kusem z reprezentacji Chorwacji podczas meczu grupy E mistrzostw Europy koszykarzy w Bydgoszczy.

- Na zdjęciu cenny jest jednakowy gest obu koszykarzy, i taki sam układ ciał – odczucie bolesnej bliskości tym silniejsze.


2

3 Dariusz Delmanowicz

Prezydent Ukrainy, Wiktor Juszczenko, rozdaje autografy na dachu swojej limuzyny.

- Nietypowy portret ukraińskiego prezydenta, którego twarz, odbita w dachu samochodu, jest tylko dodatkiem do dłoni, kształtnych i zadbanych, ze złotymi – a jakże – sygnetami...


3

Październik

1 Andrzej Grygiel

Dyrygent Jacek Kaspszyk, dyrektor muzyczny Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach podczas konferencji prasowej.

- Dobry portret, ciekawa kompozycja, ładne światło. Twarz dyrygenta jak wyrzeźbiona.


1


2

2 Adam Warżawa

Władysławowo, sztorm na Bałtyku.

- Zdjęcie interesujące, ma klimat. Dzięki spłaszczeniu planów fale jakby wlewały się na falochron, a betonowe bloki mają wygląd upiornego pejzażu miejskiego.

W październiku jury przyznało tylko dwa wyróżnienia...

LISTOPAD

1 Paweł Kozioł
Stawy Milickie pod Rudą Sułowską. Rybacy podczas odławiania ryb w okresie przedświątecznym.

1







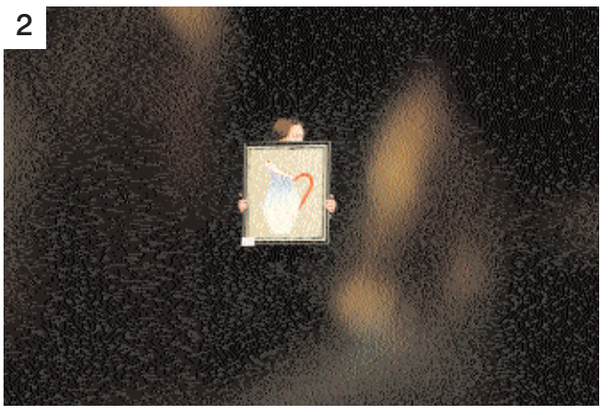









- Świetny fotoreportaż, dobrze oddaje trud i wysiłek rybaków, ciekawie pokazuje ich mało wdzięczną pracę. Widać rękę zawodowca. Poza tym fotografie są bardzo malarskie, mają piękne światło, może tylko wyrzucilibyśmy zdjęcie ryby na dźwigu...

2


2 Jacek Bednarczyk
„Dziewczyna z obrazem". Olejny obraz Bettiny Beraś prezentowany podczas aukcji w Krakowie.

- To zdjęcie z aukcji byłoby zwykłe, ale stało się bardzo interesujące plastycznie dzięki nieostrości i rozmyciu wszystkich elementów z wyjątkiem tytułowej dziewczyny, która wydaje się zawieszona w przestrzeni. Zdjęcie z tajemnicą.

3 Artur Radecki
Leonard Marquez Carballo – mistrz świata w kulturystyce, kategoria 40–49 lat, do 80 kg, podczas Mistrzostw Świata Juniorów i Weteranów w Kulturystyce i Fitness oraz Osób Niepełnosprawnych na Wózkach w Kulturystyce w Białymstoku.

- Klasyczne ujęcie kulturysty podczas pokazu. Chyba rzadko widzi się na scenie seniorów; tutaj wyraźnie widoczny wiek zawodnika jest dodatkowym elementem spektaklu: te nabrzmiałe żyły, te przerzedzone włosy przylepione do mokrego czoła... Robi wrażenie.

3


GRUDZIEŃ

1 Tomasz Lendo
Mecz bokserski Ostrołęka – Wilno.

- Wrażenie robi przegrana, zmęczona twarz zawodnika, przypominająca befsztyk tatarski. Pozostałe osoby również nie wyglądają na specjalnie szczęśliwe. Tak, mecz bokserski to nie jest zabawa dla grzecznych chłopców...

1



2



2 Darek Delmanowicz
Kwiczoł zajadający się jarzębiną rosnącą na nadsańskim deptaku w Przemyślu.

- Piękna fotografia, wspaniała technicznie, o nadzwyczajnej kolorystyce. Jury, po krótkich sporach, uznało, że w szeroko rozumianej fotografii prasowej zdjęcie się mieści.

3 Radek Pietruszka
Iriba, Czad. Mała pacjentka szpitala, dla którego pomoc humanitarną przekazał Bogdan Klich, minister obrony narodowej RP, podczas swojej wizyty w położonej niedaleko bazie wojskowej. Dobiega końca zaangażowanie Polski w operacji wojskowej w Czadzie. Przez kilkanaście miesięcy – początkowo w misji UE, a potem ONZ – polscy żołnierze zajmowali się tam m.in. monitorowaniem sytuacji w regionie oraz zabezpieczaniem konwojów z międzynarodową pomocą humanitarną. Teraz ich obowiązki przejmą wojskowi z Mongolii.

- Pokazana tu jest naturalna uroda i wdzięk małej dziewczynki, pacjentki szpitala w Czadzie, ale i coś więcej. Uderzający jest kontrast między finezyjnie splecionymi kosmykami włosów z muszelkowymi ozdobami, i muchami oblepiającymi oczy. Wstrząsająca jest rezygnacja na twarzy dziecka, pogodzenie się z losem, jakby przykre owady były najmniej ważną ze wszystkich dolegliwości...

3



Fotorelacja z gali zamykającej konkurs

Parę słów o gali: nieobecni mogą żałować, że nie byli! A zaproszenie obejmowało wszystkich członków SDP, jak zresztą wszystkie otwarte imprezy klubu. Była to okazja do porozmawiania z autorami nominowanych prac, którzy tłumaczyli, dlaczego dokonali takich, a nie innych wyborów artystycznych podczas fotografowania i opowiadali o swojej pracy. Przysłuchiwał się temu zaproszony gość imprezy, Andrzej Zygmuntowicz, który w cywilu jest przewodniczącym Rady Artystycznej ZPAF, a na naszej imprezie wygłosił *speech* o kondycji fotografii prasowej. W tle tego miłego życia towarzyskiego były stoły apetycznie zastawione przekąskami z Kamandy Lwowskiej (współpracująca z KFP restauracja z sąsiedztwa przy Foksal) oraz piwo z Browaru Jabłonowo, obecne od wielu lat na klubowych imprezach.

K. Ł.



Tomasz Gzell odbiera symboliczny czek – nagrodę z rąk Michała Mikulskiego, przedstawiciela sponsora

fot. K. Wojciewski



fot. M. Puchalski



fot. M. Puchalski



Tomasz Gzell, Jacek Barcz i Anna Brzezińska (PAP)

fot. M. Puchalski



Jurorzy Michał Mikulski, Adam Nurkiewicz, Jacek Barcz

fot. K. Wojciewski



fot. M. Puchalski



Jurorzy odsłaniają Prasowe Zdjęcie Roku

fot. J. Sheveloff

Fotozwiązek – w jedności siła!

Od półtora roku istnieje Związek Zawodowy Twórców Kultury www.zztk.pl. Powołano go w celu ochrony interesów wszystkich polskich twórców w ramach formuły związku zawodowego. Bardzo szybko zawiązała się Sekcja Branżowa Fotografów fotozwiazek.pl, by dbać o prestiż zawodu fotografa i chronić osoby, które w drapieżnym systemie rynkowym spotykają się z agresywnym działaniem pracodawców. Grupa założycieli w imię starych, ale nadal aktualnych zasad solidarności zawodowej, postanowiła powołać sekcję do przygotowania prawnej, logistycznej i ekonomicznej pomocy osobom zagrożonym.

Na ankietę Sekcji Branżowej Fotografów Związku Zawodowego Twórców Kultury, zamieszczoną na stronie internetowej, odpowiedziało ponad 200 osób. Ankieta w swojej wymowie jest bardzo smutna. Połowa fotoreporterów prasowych zarabia poniżej średniej krajowej, ponad 80% z nich pracuje na własnym sprzęcie. 75% ankietowanych musi pracować na prywatnym przenośnym komputerze, 70% posługuje się w pracy własnym telefonem komórkowym bez jakiegokolwiek zwrotu kosztów. Ponad 50% ankietowanych potwierdziło, że pracodawcy wymagają posiadania własnego środka transportu. Jeżeli dołączymy do tego świeżą informację fotoreportera Wojciecha Druszcza, zamieszczoną na stronach miesięcznika „Press", mówiącą o dramatycznie niskich wypłatach za wykorzystanie fotografii (otrzymał 4 zł za publikację w internecie), to można dojść do wniosku, że grupa zawodowa fotoreporterów prasowych pomału przestaje istnieć. Zawód fotoreportera prasowego to bardzo ciężka praca, wymagająca poświęceń, sporych umiejętności dziennikarskich, zaangażowania 24 godziny na dobę. Tylko zapaleńcy mogą tworzyć tę elitarną grupę specjalistów (jest nas ponad trzystu w całym kraju). Dzięki tej grupie powstają dzienniki, tygodniki i miesięczniki, w których zdjęcia zajmują znaczną, a niekiedy większą część powierzchni. Fotografie tej grupy zawodowej drukowane są także w albumach, encyklopediach, książkach, wykorzystywane są w filmie dokumentalnym. Nie sposób dziś wyobrazić sobie świata bez fotografii wykonywanej przez fotoreporterów.

Związek zawodowy może prowadzić negocjacje z pracodawcą, ustalać warunki umowy o wykonywanie pracy, jest partnerem w konsultacjach przy ustanawianiu prawa przez Sejm. Ma też możliwości zademonstrowania swojej siły. Taka siłą byłaby jedność ponad 300-osobowej grupy zawodowej, ale wymaga to zrozumienia przez fotoreporterów wspólnego interesu i solidarnego przeciwstawiania się narzuconym przez wydawców warunkom. Przykładem takiej solidarności był protest skierowany w stronę organizatorów premiery filmu „Randka w ciemno". Ochroniarze na polecenie organizatora (kino Świat) wyprowadzili jak chuligana fotoreportera Agencji „Forum". Wówczas wszyscy fotoreporterzy na znak solidarności z kolegą wyszli, a ich agencje nie zamieściły na swoich stronach zdjęć z imprezy. Fotoreporter domagał się tylko zapewnienia przyzwoitych warunków pracy – możliwości wykonywania zdjęć. Protest pokazał, że solidarność zawodowa jest możliwa. Jeżeli zawodowi fotografowie prasowi (fotoreporterzy) przestaną fotografować – a ku temu właśnie zmierza obecna sytuacja – to jesteśmy pewni, że amatorzy, często przypadkowi, wynajęci do wykonania dokumentacji, nie będą w stanie dać produktu o wysokim standardzie. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby w codziennych serwisach agencyjnych i w działach foto poszczególnych wydawnictw zabrakło profesjonalnych fotografii z aktualnych wydarzeń. Może w niedługim czasie bazy zdjęć w wydawnictwach będą składały się z produktu pod hasłem – drogi czytelniku, jeżeli jesteś świadkiem jakiegoś wydarzenia, zrób zdjęcie „komórką". Tylko dlaczego później „drogi czytelnik" miałby za tak powstającą gazetę płacić?...

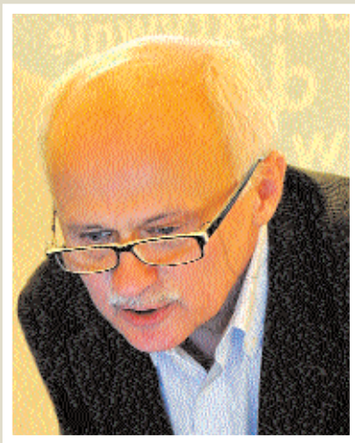
Zapraszamy wszystkich czynnie działających fotoreporterów do wstępowania w szeregi Sekcji Fotografów ZZTK. Nie pozwólmy, by sprzedawano nasze zdjęcia po 4 zł. Oprotestujmy samozatrudnienie. Mamy takie same prawa, jak każda grupa zawodowa. Jeżeli gazety, dla których pracujemy, piętnują patologie naszego życia społecznego, wytykają innym ich niegodziwości, to dlaczego same postępują podobnie, naginając, a być może, często łamiąc obowiązujące prawo? Narzucanie przez wydawnictwa cenników, nigdy niepłacone nadgodziny, publikowanie bez żadnych zasad i umów darmowych zdjęć, niepodpisywanie umów z pracownikami, zmuszanie do samozatrudnienia, pozbawianie niekiedy w podstępny sposób praw majątkowych (np. pod płaszczykiem konkursów), to tylko niektóre grzechy wydawców. Walczmy z tym, bo w prasie o tym nie napiszą... choć prasa walczy podobno z patologiami...

Donat Brykczyński,
Zarząd Sekcji Branżowej Fotografów ZZTK

reklama



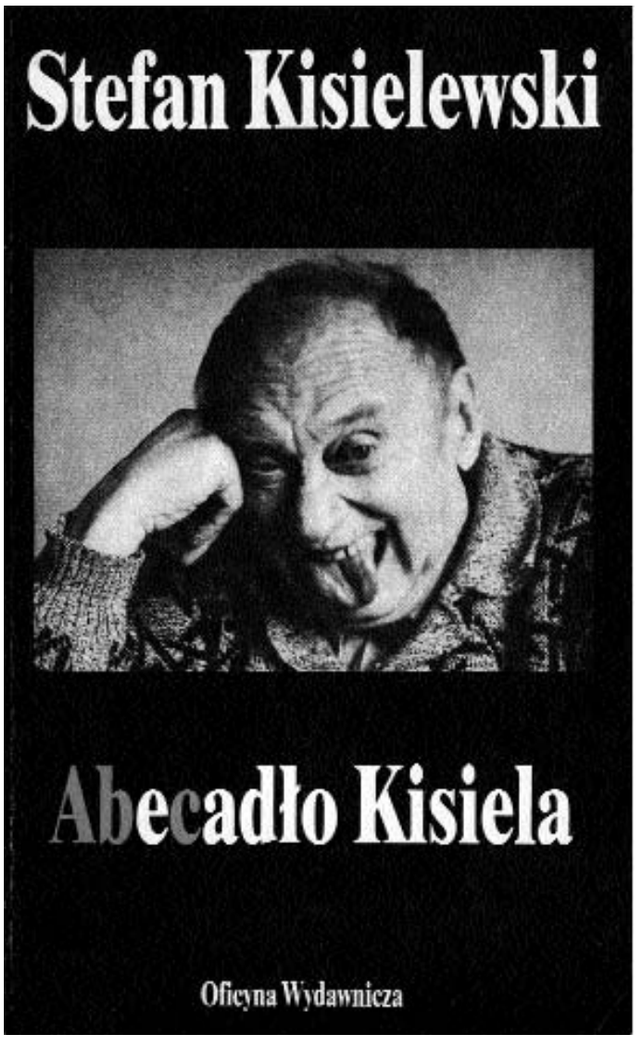
Klub Fotografii Prasowej – prezentacje autorskie



Jacek BARCZ

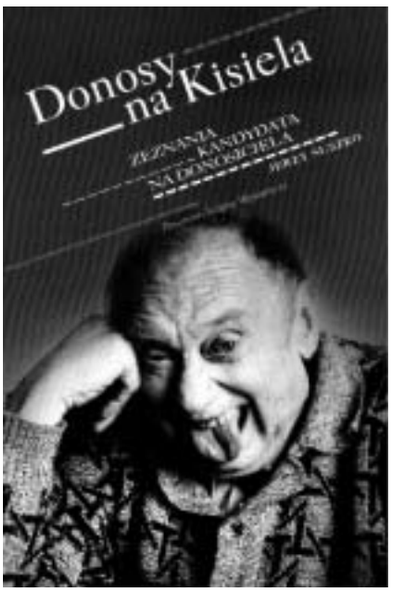
Fotograf gazetowy.

Moje pierwsze zdjęcia jako „sprawność" z magii powstały w harcerstwie. Magia zadziałała i był Pałac Młodzieży. Później to tylko jeden krok i laboratorium Centralnej Agencji Fotograficznej. Miliony zdjęć do oglądania, kopiowanie w wielkich formatach, pierwsze próby wepchnięcia własnej produkcji do serwisu agencyjnego... i czekanie na pierwszą publikację. Jest – cóż za radość, jaka duma! Po 3 latach „donoszenia" to tu, to tam, czyli do różnych redakcji – udało się! Dostałem etat w „Sztandarze Młodych". Były to najciekawsze i najbarwniejsze zawodowo lata. Mówili, że to kuźnia dziennikarstwa – to prawda, tak było, nauczyłem się tam najwięcej i to we wspaniałym towarzystwie. Po 15 latach zmiana, bo powstawał pierwszy angielskojęzyczny tygodnik w Polsce i Europie Wschodniej – „The Warsaw Voice". Tak minęło kolejne 15 lat. W tym czasie zmienił się ustrój, zniknęła cenzura, fotografia stała się cyfrowa.








Donosy na Kisiela
ZEZNANIA KANDYDATA NA DONOSICIELA




RZETELNA PRACA
WIĘCEJ WARTA
NIŻ PIENIĄDZE





Donat BRYKCZYŃSKI



fot. Wojciech Barczyński

26.07.2005, Warszawa – Demonstracja górników pod Sejmem – „zostałem zgazowany" przez policję

Niedawno usłyszałem od kolegi Funia (Stefan Zubczewski), że fotografuje już 40 lat. Czyli dokładnie tyle lat, ile ja sobie liczę. Grzebnąłem w pamięci i dokopałem się do moich początków. Wszystko zaczęło się od aparatu dziadka, była to stara małoobrazkowa Praktica, bez pryzmatu. W wieku lat 13 zakupiłem powiększalnik Krokus, „na rurze" i zacząłem fotografować na całego. Zdjęcia powstawały „na oko", bez światłomierza (mogłem tylko pomarzyć), zegara, maskownicy. Mokry papier na dechę i wio. Pierwszy „profesjonalny" materiał pod hasłem „Moje podwórko" powstał w ramach warsztatów dla młodzieży w Osiedlowym Kole Fotograficznym. Później dokumentowałem życie obozowe (byłem harcerzem): rajdy, zbiórki itp. Miałem również przygodę ze smutnymi panami w czarnych okularach. Przy okazji jednej z licznych demonstracji solidarnościowych zostałem namierzony i pozbawiony filmu. A wydawało mi się, że jestem taki sprytny i nikt nie widzi, że ja tu sobie zdjęcia robię, jak panowie w niebieskich mundurkach z pałkami po Starówce biegają:) Ten okres przygody z fotografią zakończył przykry wypadek na rajdzie harcerskim w okolicach Krakowa. Utopiłem aparat. Na drugi nie miałem i z twórcy na długie lata zamieniłem się w odbiorcę.

Zamiłowanie do rejestrowania otaczającego świata wróciło wraz z możliwościami finansowymi. Kupiłem pierwszy aparat, później drugi i trzeci i.... I na moje nieszczęście pewien dobry kolega namówił mnie, żebym poszedł i pokazał gdzieś swoje zdjęcia. Trafiłem do „Życia Warszawy". Nie do końca rozumiem, co w zdjęciach, które zaniosłem, było takiego, że zacząłem dostawać zlecenia. Na początku fotografowałem dla tygodnika „Kulisy", który wtedy był magazynem „Życia Warszawy".

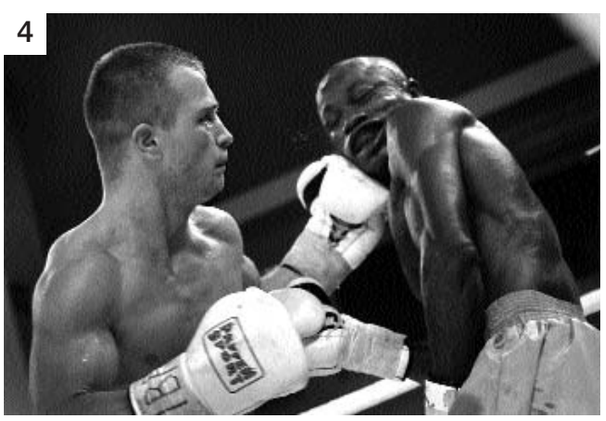
Pomimo niedostatków ostatnich lat muszę przyznać, że zawód fotoreportera to całkiem miła przygoda. Robimy to co lubimy i jeszcze nam za to płacą. Szkoda tylko, że coraz mniej. Ale wracając do przygody. Praca dla gazety codziennej to często fotografowanie dziur w jezdni, jak mawiają złośliwcy. Jednak nawet w banalnych tematach są chwile śmieszne i groźne. Bo jak z panicznym lękiem wysokości zrobić zdjęcie skoku na bungee (zdj. 1) z 90-metrowego dźwigu w gondolce metr na metr!? Brr, jakoś się udało! Albo przeżyć na Przystanku Woodstock, śpiąc w namiocie i nie zostać obsikanym przez imprezowiczów (zdj. 2) – uff, też się udało. Lub przy okazji dokumentowania pracy rybaków, przeżyć fale przy 6 w skali Beauforta, w kuterku o wyporności dopuszczającej najwyżej 5. I tu też się udało (zdj. 3.)

Można też robić zdjęcia bokserom i samemu zacząć boksować. Ach, jeszcze nie wiem, czy się udało. Zbita szczęka, obolałe żebra, a materiał niegotowy (aparat cały). Może się uda! (zdj. 4,5).

Nawet wakacje z rodziną nie są pozbawione elementów pracy (zdj. 6, 7). Bezpieczeństwo fotografa może w tym wypadku zależeć od temperamentu żony – bywają zazdrosne o aparat. I tego nie rozumiem, nijak:)

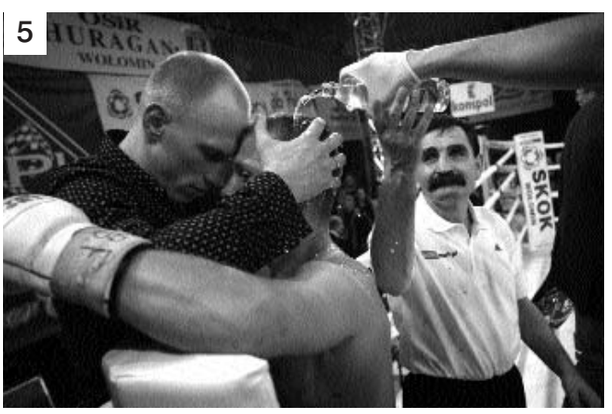
Podobno nuda zabija. Wniosek narzuca się sam. Zawód fotoreportera jest superbezpieczny i nieszkodliwy. Na nudę nie możemy narzekać. Ja nie narzekam!

4



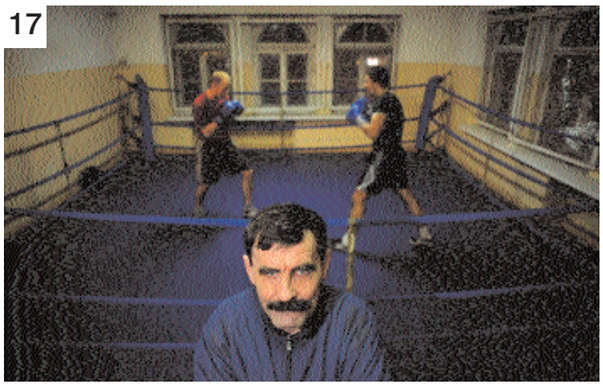
Gala boksu zawodowego. Walka o Młodzieżowy Pas Mistrza Świata Federacji IBF. Krzysztof Cieślak – Polska vs Samwel Kamu Wanjiru – Kenia. Wołomin, 2009

5



Gala boksu. Krzysztof Włodarczyk, Krzysztof Cieślak, trener Zbigniew Raubo

17



Zbigniew Raubo, Klub Bokserski WKS Gwardia, Warszawa 2009

1



Skok na bungee z wysokości 90 m, Warszawa, 2006

2

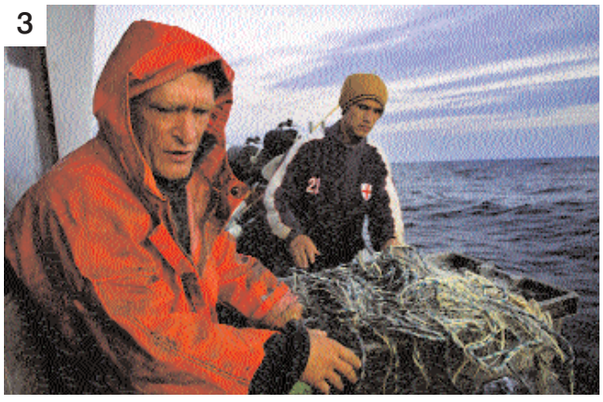


Kostrzyn nad Odrą, Przystanek Woodstock 2006

7



3



Połów ryb, Chłopy k. Mielna, 2006.



Korrida w Torremolinos, Andaluzja 2008

6



Polacy na wakacjach. Chłopiec skaczący do hotelowego basenu, Alanya, Turcja 2007



Anatol CHOMICZ

Od 1974 r. – pierwsze akceptacje zdjęć na ogólnopolskich konkursach i pierwsze nagrody na ogólnopolskich konkursach.

1976 – udział w polskim zestawie narodowym na konkurs „Młodzi Fotografowie przedstawiają Europę" i początek studiów na Wydziale Pedagogiki i Psychologii.

Od 1984 – pierwszy etat dziennikarski i fotoreporterski w „Gazecie Współczesnej''.

1991 – Grand Prix na Ogólnopolskim Konkursie Fotografii Sportowej dla zawodowych fotoreporterów.

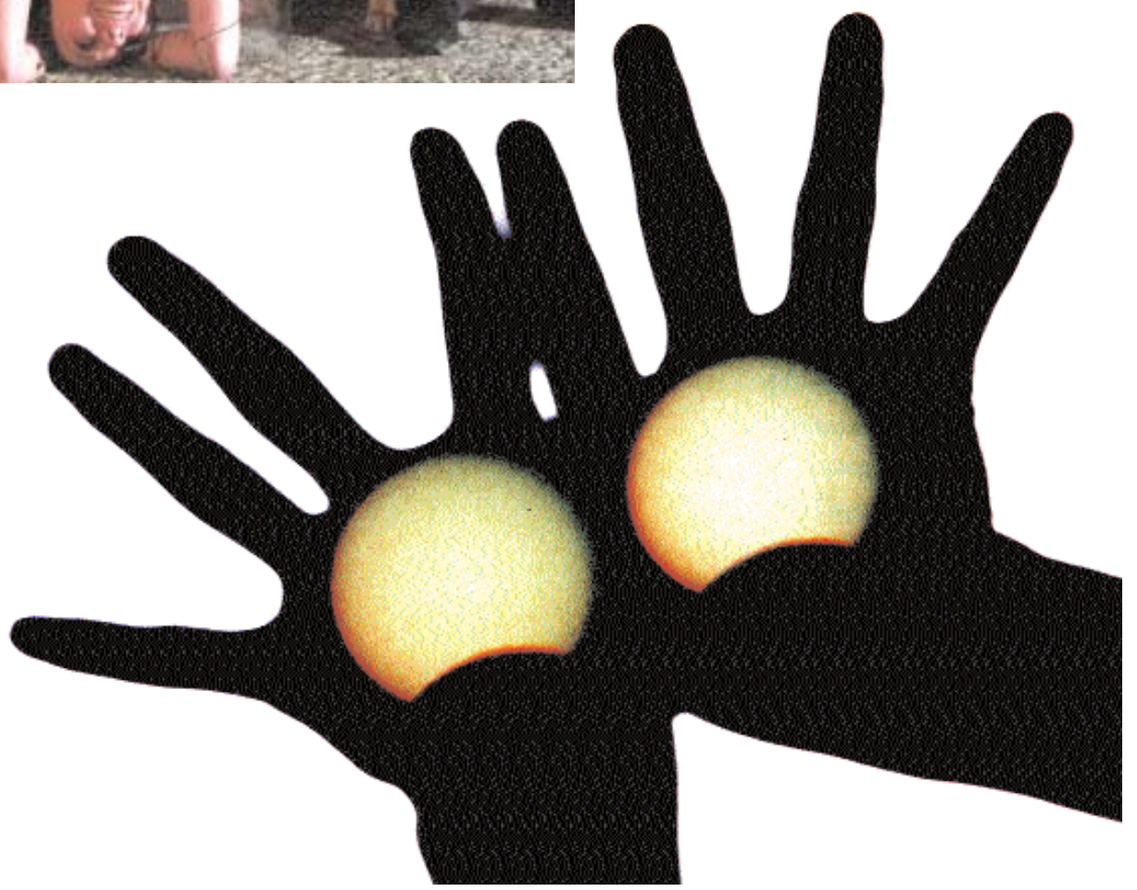
2009 – wyróżnienie w konkursie fotograficznym firmy Bayer „Ekologia w obiektywie".

2009 r. – w gronie finalistów Grand Press Photo 2009.

Od 2005 – fotoreporter „Kuriera Porannego".

Dziesiątki wystaw, konkursów, nagród, publikacji w różnych gazetach, książkach, folderach, plakatach.






POLICJI









Borys CZONKOW

Urodzony w Warnie, Bułgaria. Absolwent Politechniki Praskiej, w akademiku mieszkał nad ciemnią fotograficzną, w której spędzał większość wolnego czasu. Jako mechanik okrętowy pływał wiele lat na statkach oceanicznych po świecie. W 1988 r. miał swoją pierwszą wystawę „Galapagos – wyspy zaczarowane” najpierw na statku pasażerskim „Galapagos explorer”, potem w mieście Cuenca (Ekwador), w Bułgarii i w Polsce, gdzie zdjęcia opublikował w „Poznaj Świat” i „Kontynentach”. Od tego czasu uprawia fotografię profesjonalnie. Z powodu braku egzotycznych zwierząt i magicznej natury – jak mówi – poszukuje pięknych kobiet i malowniczych miast. Miał wystawy indywidualne w Bułgarii, Polsce, Budapeszcie i Berlinie; brał udział w wystawach zbiorowych pod patronatem FIAP w Chorwacji, Serbii, Rumunii, Belgii, Holandii, Danii, Hiszpanii, Brazylii, Korei Południowej, Japonii, Chinach, Macau i Taipei (Tajwan). Jego ulubione tematy to kobieta – portret i akt artystyczny, zabytki, krajobraz, stare miasta i klasztory. Ma na koncie setki zdjęć ilustracyjnych i okładkowych w pismach polskich i bułgarskich.

Jest członkiem Związku Twórczego Fotoklubu RP, Dolnośląskiego Stowarzyszenia Artystów Fotografików, Fotoklubu w Warnie, Związku Dziennikarzy RP oraz Klubu Fotoreporterów przy SDP w Warszawie. Od roku 2009 akredytowany przez MSZ RP jako korespondent zagraniczny agencji prasowej Bulfoto w Sofii. Od 1983 r. mieszka w Polsce, najpierw w Gdańsku, a od 2003 r. w Warszawie. Ma dwa obywatelstwa – polskie i bułgarskie. Wielokrotnie nagradzany w konkursach fotograficznych dyplomami i wyróżnieniami. Działa aktywnie na polu współpracy pomiędzy fotografikami z Polski i Bułgarii (m.in. Warny, Częstochowy, Warszawy, Koszalina i Torunia), organizując wzajemną wymianę wystaw i uczestnictwo kolegów w konkursach w obu krajach.

Uhonorowany odznaczeniem „Zasłużony działacz kultury” nadane przez Ministra Kultury i Sztuki RP.






Moja Ciota
ma Plaste!







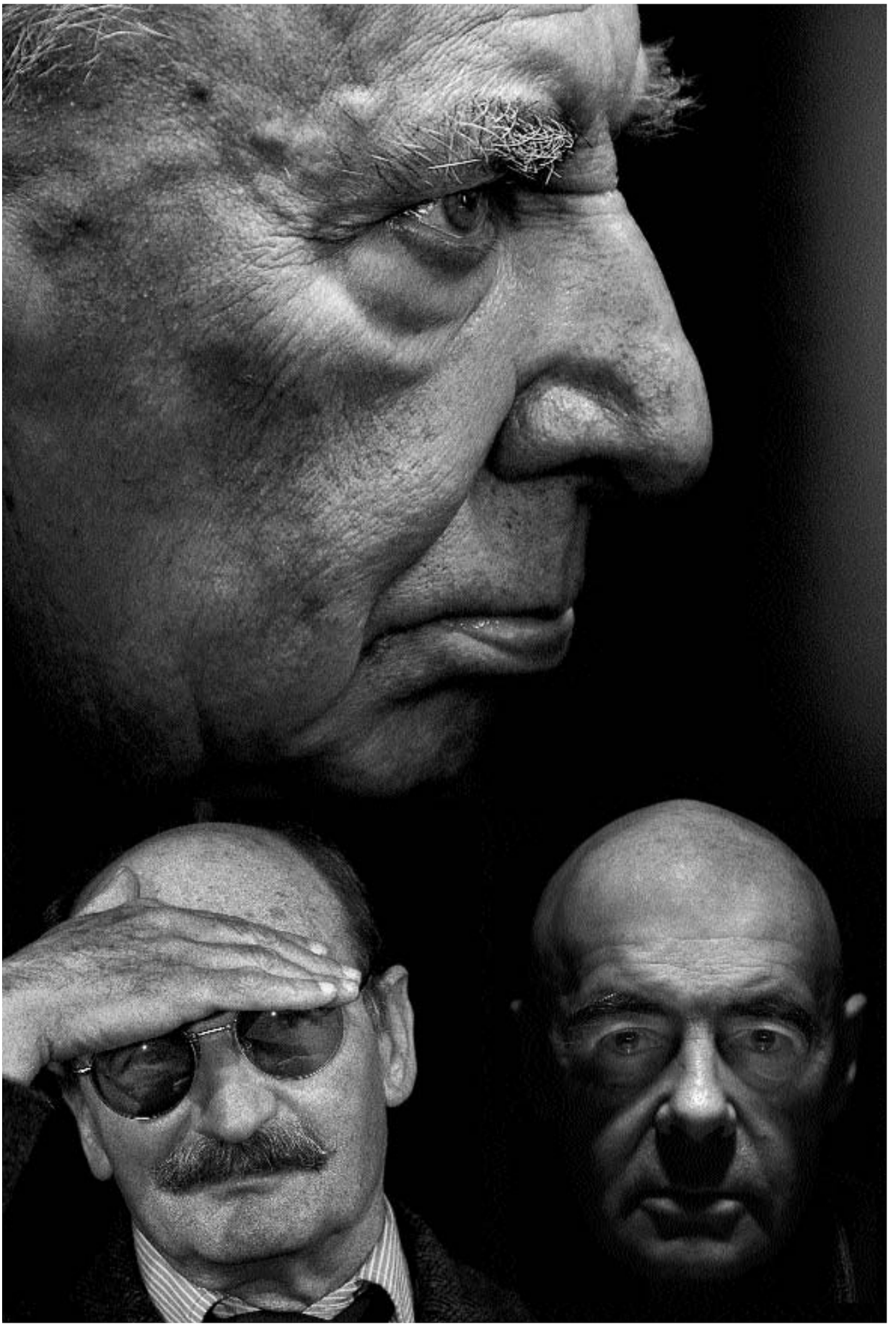


Marek Wojciech DRUSZCZ

Marek Wojciech Druszcz jest fotografikiem i fotoreporterem. Fotografią zawodowo zajmuje się od 1966 roku. Wtedy to podjął pracę w Centralnej Agencji Fotograficznej jako asystent fotoreportera. W latach 70. ub.w. pracował jako fotoreporter w dzienniku „Głos Pracy", potem w tygodnikach „Sportowiec", „Literatura i Kultura" oraz miesięczniku „Magazyn Rodzinny", gdzie był również kierownikiem działu. Od połowy lat 90. ub.w. pracował jako fotokorespondent w Agence France Presse (AFP) w kraju i na terenach republik dawnego ZSRR. W 1992 roku został zastępcą kierownika działu foto i fotoedytorem „Magazynu Gazety Wyborczej". W 1997 roku przeszedł do pracy w dzienniku „Rzeczpospolita", a potem do tygodnika „Polityka", w którym przez wiele lat był kierownikiem działu foto. Swoje zdjęcia publikował również w prasie, m.in. w „Life Magasin", „Time", „Newsweek", „Buisiness Week", „Photo Magasin", „International Herald Tribune", „New York Times", „Washington Post", „Figaro" oraz w albumach: „New Photography in Europe", „Le Monde in Alert", „J. Paul II, Księga X-lecia", a ostatnio autorskim albumie „Portrety", w którym zaprezentował fotografie znanych postaci kultury. Laureat wielu prestiżowych nagród i wyróżnień. Juror konkursów fotograficznych. Członek władz Klubu Fotografii Prasowej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Artysta fotografik należący do Związku Artystów Fotografików. Autor wielu wystaw indywidualnych i uczestnik wielu ekspozycji zbiorowych w kraju i za granicą.



Nobliści. Wisława Szymborska i Czesław Miłosz



Gustaw Holoubek, Sławomir Mrożek, Stanisław Tym



Jacek HEROK

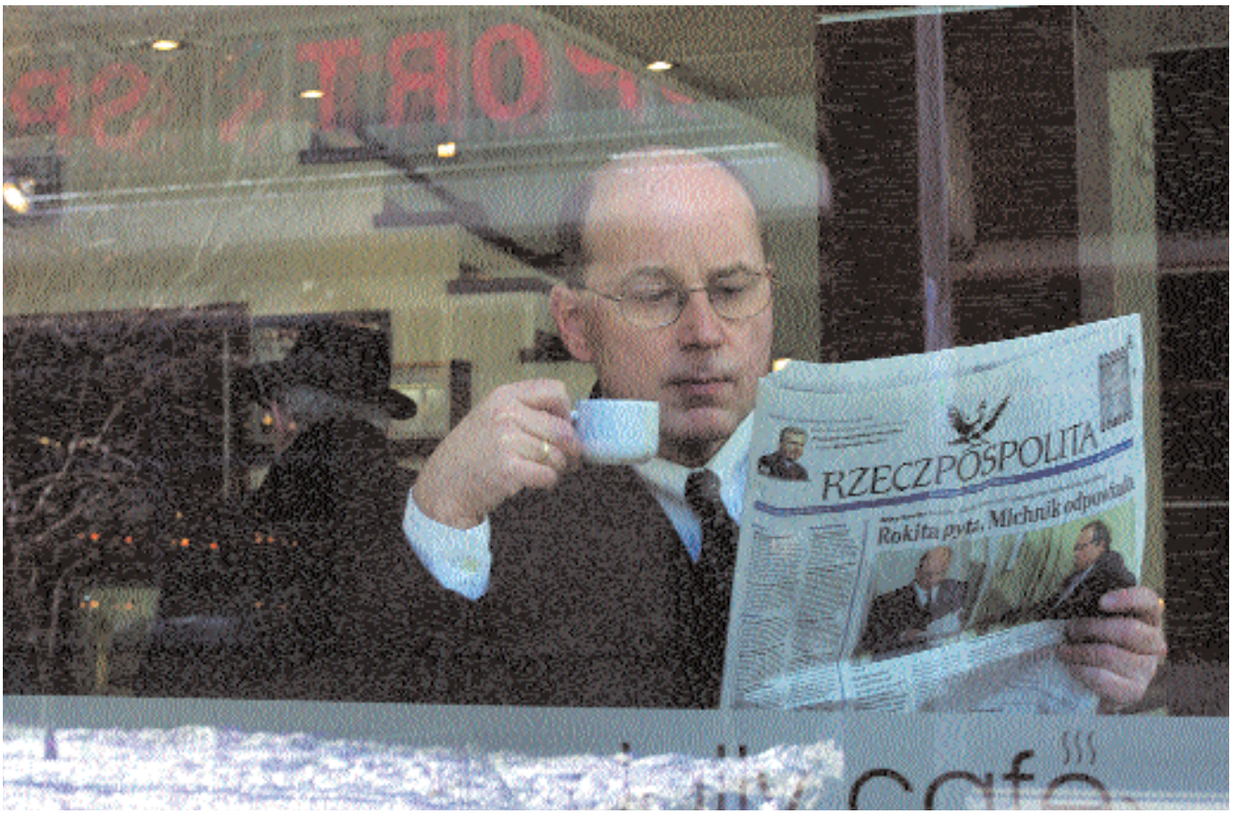
Urodzony 15.10.1964 r. w Warszawie. Zawodowo zajmuje się fotografią prasową od 1996 roku. Zaczynał w „Słowie Dzienniku Katolickim'', następnie pracował w „Expressie Wieczornym'' i „Kulisach''. Od 2001 roku fotografuje dla tygodnika „Newsweek Polska''. W 2006 zajął drugie miejsce w Konkursie Fotografii Prasowej za fotoreportaż „Barwy kampanii".



Jerzy Buzek



Bronisław Wildstein, dziennikarz



Jan Maria Rokita



Lech Kaczyński



Agnieszka Rylik, bokserka



Jerzy KOŚNIK

Kiedy tak zastanawiałem się, jaki temat fotografii prasowej wybrać na strony gościnnego „Forum” najpierw poszukiwałem wśród wydarzeń politycznych ostatnich dwóch lat, gdzie strajków, protestów i głodówek nam nie brakowało, ale byłem pewien, że koledzy fotoreporterzy na pewno pokażą nam ich wystarczająco dużo, więc spokojnie mogłem skupić się na szukaniu fotek z przestrzeni obyczajowej.

Na początek anegdotka: około 1983 roku, jeszcze w mrokach stanu wojennego, francuska agencja Gamma poprosiła mnie, żebym do tematu „akty w stolicach świata” wykonał fotkę w Warszawie.

Z żarliwością godną lepszej sprawy rozebrałem i sfotografowałem dziewczynę w tramwaju linii 25. Jakiś czas potem dostałem wycinki prasowe z rzeczonego tematu. Opublikowanemu na pół kolumny zdjęciu w prasie szwedzkiej towarzyszył tekst, z którego dowiedziałem się, że owa niewiasta w tym tramwaju rozebrała się w proteście przeciwko polityce Jaruzelskiego!!! W ten sposób dowiedziałem się, że na Jaruzelskiego jest dobra metoda i postanowiłem kontynuować temat, aż do obalenia, co – jak wiadomo – nastąpiło.

Ale degradacja socjalizmu postępowała tak szybko, że gdy bezcześciłem symbol niewzruszonej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim – Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina – podszedł do mnie strażnik i zapytał cicho, czy ja mam zezwolenie na fotografowanie pałacu? Odpowiedziałem, że mam, a on uspokojony stanął karnie obok i do końca sesji już nie przeszkadzał. Anegdotek koniec.

A i tak nic w tym temacie nie dorówna Festiwalowi w Cannes w latach rzeczonych. Specjalnie wydzielony kawałek plaży ekskluzywnego hotelu Carlton był przeznaczony na ekstrawagancje obyczajowe z nagimi kobietami. Kiedy zmęczyło mnie fotografowanie Catherine Denevue czy Jean-Claude Van Damma, szedłem na wydzielony obszar, a tam zawsze jakaś nowa starletka pokazywała wszystko, co miała pięknego, w sposób jakiego brakowało mi u polskich modelek dopiero co uwalniających się od więzów tradycji narodowych. Niestety, nie ma już po co jeździć do Cannes! Ten kawałek plaży zastawiono płatnymi leżakami, przez co pozbawiono festiwal tej nostalgicznej frywolności.

Więc tych kilka fotek niech przypomni co stracili ci, którzy jeżdżą tam dzisiaj. Nie warto. Nie warto, powiadam.

















Witold KRASSOWSKI

Rocznik 1956.

Ukończył Uniwersytet Warszawski: Wydział Romanistyki i Instytut Lingwistyki Stosowanej oraz Instytut de Linguistique Generale, Université de Paris III, Sorbonne Nouvelle.

Pracował jako fotograf w tygodniku „Ład" (1981–1984), w tygodniku „Przegląd Katolicki" (1984–1986), współpracownik „The Independent Magazine" – Londyn (1988–1993), związany z agencją „Network Photographers", Londyn (reportaże w Polsce, Wielkiej Brytanii, Austrii, Szwajcarii, Egipcie, Rosji, Afganistanie, Bułgarii, Kazachstanie, Tanzanii, Włoszech, Mongolii).

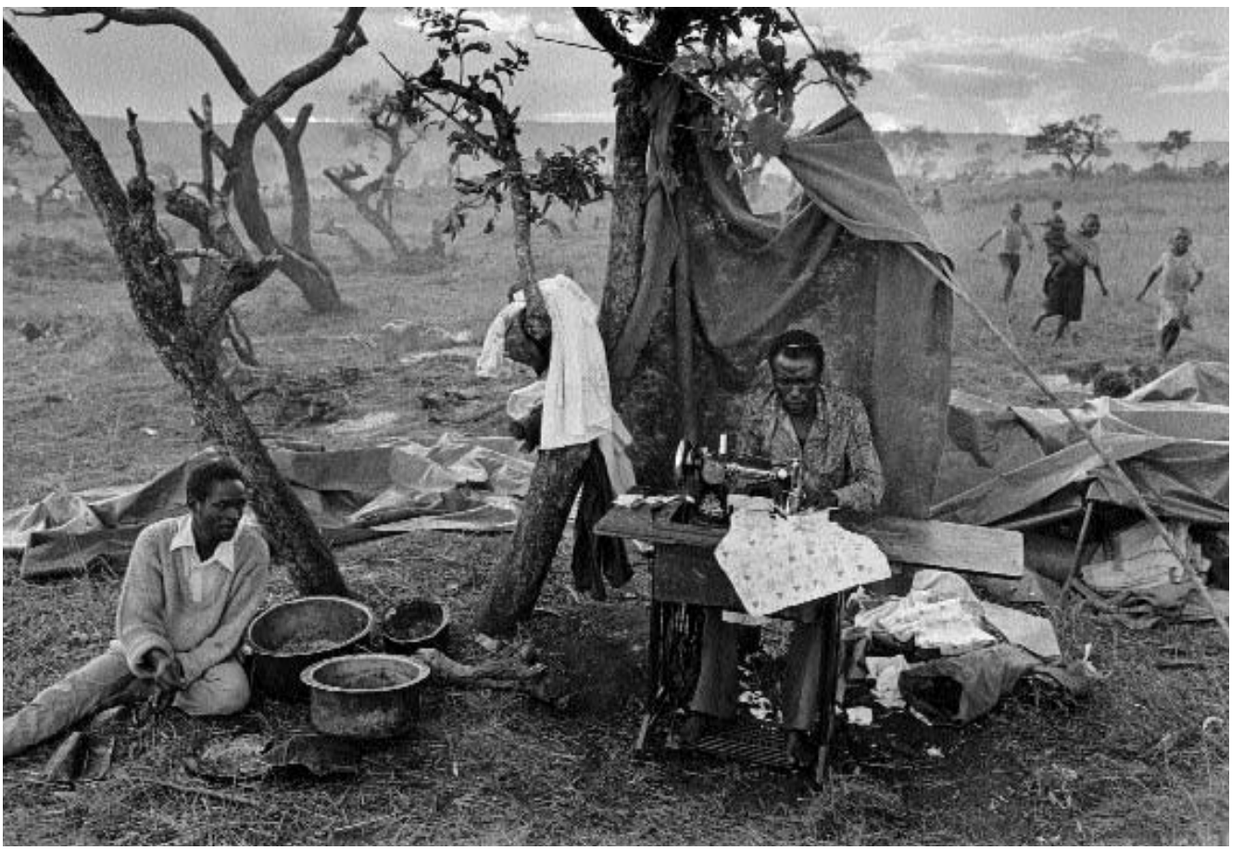
Członek jury Word Press Photo – 1999. Członek KFP, ZPAF (wiceprezes ZPAF 2005–2008).

Autor indywidualnych wystaw – m.in. Warszawa 1983, 1984, 1986, Freightdoors Galery, Santa Clara, Kalifornia (USA) 1988, Photographers Gallery, Londyn (Wielka Brytania) 1989 (objazdowa do 1992), Kabul, Caracas 1991, Perpignan (wystawa zbiorowa fotografów Network) 1992, Poznań, Gdańsk, Wrocław 1997, Łódź 1999, Rzeszów (wystawa „Pastimes") 1999, „Powidoki z Polski" – Poznań, Gorzów Wielkopolski 1999, udział w „Magic Moments II" – Warszawa, Berlin 2000, Monachium, Kolonia 2001, Bielsko-Biała 2002, Lizbona 2006, Budapeszt 2007.

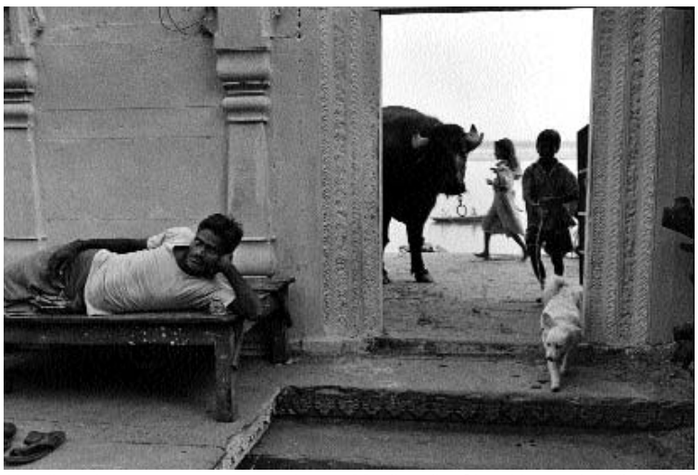
Publikacje: amerykańskie i europejskie magazyny i dzienniki, „The Independent Magazine" – 18 fotoreportaży, 75 Years of Leica, the Hope Project, the Inferno-Paradiso Project, Magic Moments II – contribution, książka „Visages de l'Est" – wydana przez NATHAN IMAGE, Paryż 1991.

Nagrody:

1992 – World Press Photo – III nagroda (życie codzienne – fotoreportaż)
1994, 95 – Konkurs Fotografii Prasowej – I nagroda (życie codzienne – fotoreportaż)
1996 – Konkurs Fotografii Prasowej – II nagroda (życie codzienne – fotoreportaż)
1997 – Konkurs Fotografii Prasowej – I i II nagroda (życie codzienne – fotoreportaż)
2000 – Konkurs Fotografii Prasowej – I nagroda (sztuka i kultura – fotoreportaż)
2001 – The British Design & Art Direction „Yellow Pencil" – srebrny medal
2003 – World Press Photo – III nagroda (nauka i technika – fotoreportaż)
2003 – Konkurs Fotografii Prasowej – II nagroda (życie codzienne – fotoreportaż)
2005 – Art & Worship Award, I nagroda, Teheran
2007 – nagroda ICRC



Uchodźcy rwandyjscy w Tanzanii. Obóz Rosumo 18 km od rzeki Kagera, który z czasem stał się drugim co do wielkości miastem Tanzanii, 1994



Handlarz drewna na stosy pogrzebowe, Manikarnika Ghat, Varanasi, Indie. 1997



Bilardzista w pubie w Ladock, Kornwalia, 1999



Kalwaria Zebrzydowska, 1990



Kaleka zatrudniony jako strach na wróble strzela z bata, by wypłoszyć małe ptaki z pola ryżowego. Zniszczony sowiecki czołg to jego stanowisko pracy. Przy drodze z Kabulu do Kunduz. Afganistan, 2006

Karina ŁOPIEŃSKA



Urodziłam się w Białymstoku w rodzinie lekarzy i uciekając od medycyny, trafiłam na Politechnikę Warszawską i zostałam inżynierem elektrykiem (dyplom na Wydziale Elektrycznym w Instytucie Wysokich Napięć). Przedtem jeszcze uczyłam się muzyki w średniej szkole muzycznej. Ostatecznie stałam się fotografem i dziennikarzem...

Początkowo zajmowałam się wspólnie z mężem, Bogdanem Łopieńskim, fotografią reklamową i dokumentalną.

Teatralne pasje zaprowadziły mnie do warszawskich teatrów, z którymi przez wiele lat współpracowałam. Z prasą związana byłam zawsze jako wolny strzelec.

Moje wystawy indywidualne:

1981 „Bez fraka" Lublin 1980, Filharmonia Narodowa w Warszawie

1985 „Fotografia teatralna", Teatr na Targówku, Warszawa

1997 „Pałace i dwory Dolnego Śląska", Reszel – Zamek

1989 „Auschwitz-Birkenau" Cathedral of St. John the Divine, Nowy Jork (wspólnie z mężem, Bogdanem Łopieńskim)

Inna działalność: współpraca realizatorska przy filmach dokumentalnych:

„Poles – Forgotten Victims of Nazi Terror" – reż. B. Herbich (prod. USA),

„Świadomość"– reż. Michał Bukojemski

Moje zainteresowania: muzyka klasyczna, sztuki piękne, historia.

Uprawiane sporty: narciarstwo, rower.

Moje miejsce na Ziemi: Suwalszczyzna.

Jestem członkiem SDP, a także Związku Polskich Artystów Fotografików. Lubię pisać o sztukach pięknych i muzyce. W fotografii interesuje mnie szeroko rozumiany dokument, dający możliwość mniejszej lub większej kreacji. Chciałabym pokazać kilka zdjęć z Dolnego Śląska, który fotografowałam 15 lat temu. Niszczejące po upadku PGR-ów dwory i pałace, dziedzictwo wspaniałej kultury europejskiej, poraziły mnie wówczas swoim beznadziejnym losem. To było jedno wielkie krzyczące oskarżenie tych, którzy potraktowali te dobra jako zdobycz na wrogu, teraz wspólną, a więc niczyją. Dziś, po 15 latach wracam w te same miejsca, by sfotografować to, co z nich zostało...



Dankowice, dwór z XVIII w.



Będkowice, dwór z XVI w.











Niszczejące pałace i dwory na Dolnym Śląsku



fot. Harry Weinberg

Bogdan ŁOPIEŃSKI

Urodziłem się w 1934 roku w Warszawie. Mój ojciec, Tadeusz Łopieński, był znanym brązownikiem i odlewnikiem.

Ukończyłem Akademię Wychowania Fizycznego. Przez rok studiowałem w Szkole Filmowej na wydziale operatorskim.

Fotografowałem od czasów szkolnych. Pod koniec lat 50. ub.w., po latach fotografowania amatorskiego postanowiłem zostać zawodowym fotoreporterem. Poszedłem do sklepu fotograficznego i poprosiłem o aparat reporterski. Ekspedientka miała w sklepie jeden aparat i mi go podała, a ja go kupiłem. Był to Certo-Six, mieszkowy aparat produkcji NRD, i tym aparatem fotografowałem 8 lat. Światłomierza nie znałem. Powiększalnik zrobiłem sam z dykty.

Zadebiutowałem w 1961 r. wielostronicowym reportażem w tygodniku „Świat" oraz wystawą fotograficzną w klubie prasy w Warszawie. W 1964 r. pokazałem wystawę fotograficzną w klubie „Pod Siódemkami" w Łodzi, w 1966 r. miałem wystawę w Zakopanem w galerii „Pegaz", prowadzonej przez Władysława Hasiora. W 1967 r. uzyskałem wyróżnienie na World Press Photo w Hadze.

W latach 60. ub.w. byłem współpracownikiem miesięcznika „Fotografia" prowadzonego przez Zbigniewa Dłubaka. Co miesiąc publikowałem wywiady z fotografikami i zamieszczałem recenzje z wystaw fotograficznych. W latach 1965–1973 pracowałem jako fotoreporter kolejno w miesięczniku „Polska", tygodniku „Perspektywy" i w Polskiej Agencji „Interpress". Od 1969 roku jestem członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików, a także Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

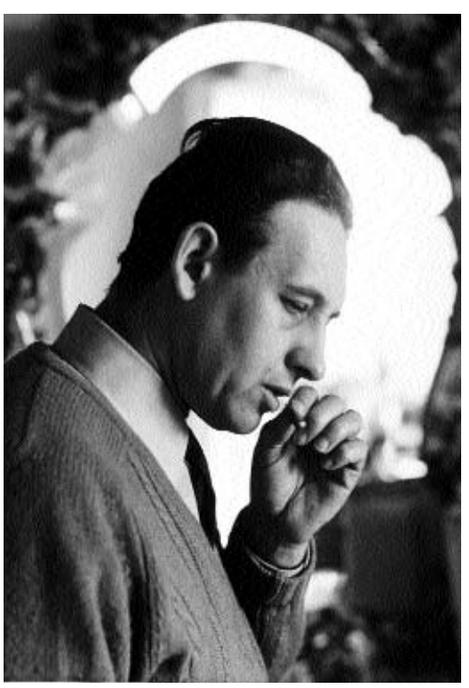
Moje najważniejsze wystawy indywidualne:

1961 Warszawa (klub prasy)
1964 Łódź (klub „Pod Siódemkami")
1966 Zakopane (galeria „Pegaz'')
1974 „Tytuł do uzgodnienia" Warszawa (Stara Galeria ZPAF)
1976 „Za kołem polarnym" Warszawa (SDP)
1981 „Szybkość bezpieczna" Warszawa (Stara Galeria ZPAF)
1989 „Auschwitz-Birkenau" Nowy Jork (Cathedral of St. John the Divine) – wraz z żoną Kariną
2006 „Czas przeszły dokonany" Warszawa (Stara Galeria ZPAF)
2009 „Warszawiacy" Warszawa (Galeria Asymetria)

Moje prace znajdują się w zbiorach w Muzeum Narodowym we Wrocławiu i w Warszawie, w Bibliotece Narodowej w Warszawie, w zbiorach ZPAF oraz prywatnych.



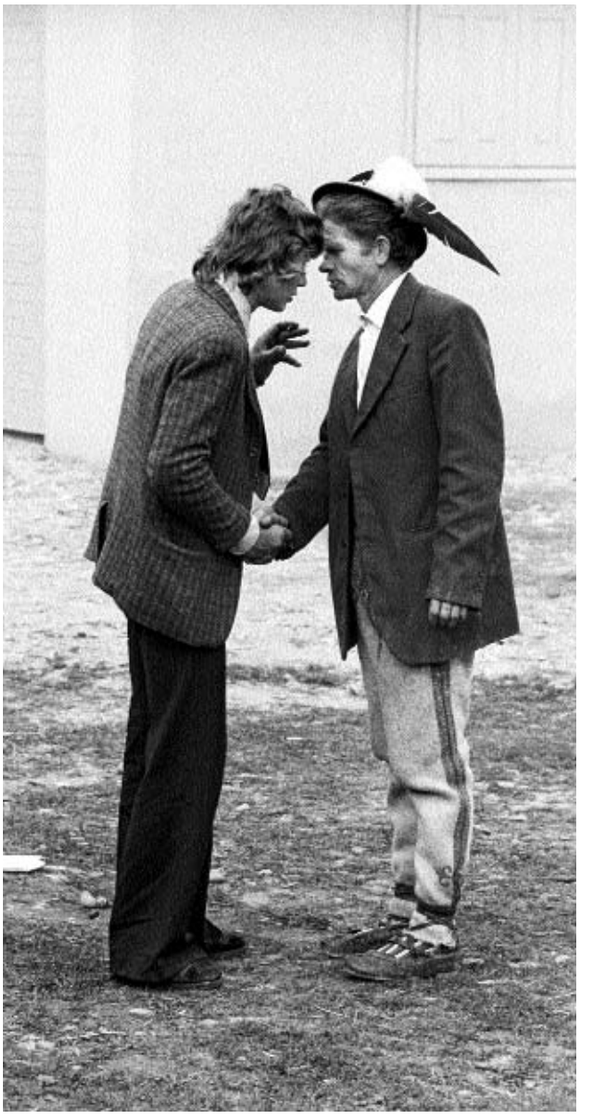
Przyspieszajmy obywatele – Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz 1971



Andrzej Wajda 1968



Zamość, Rynek 1967



Święto Kwitnącej Jabłoni II, Sądeckie 1975



Warszawa 1965



Zabawa pod Terespolem 1967



Mleczarnia państwowa 1969

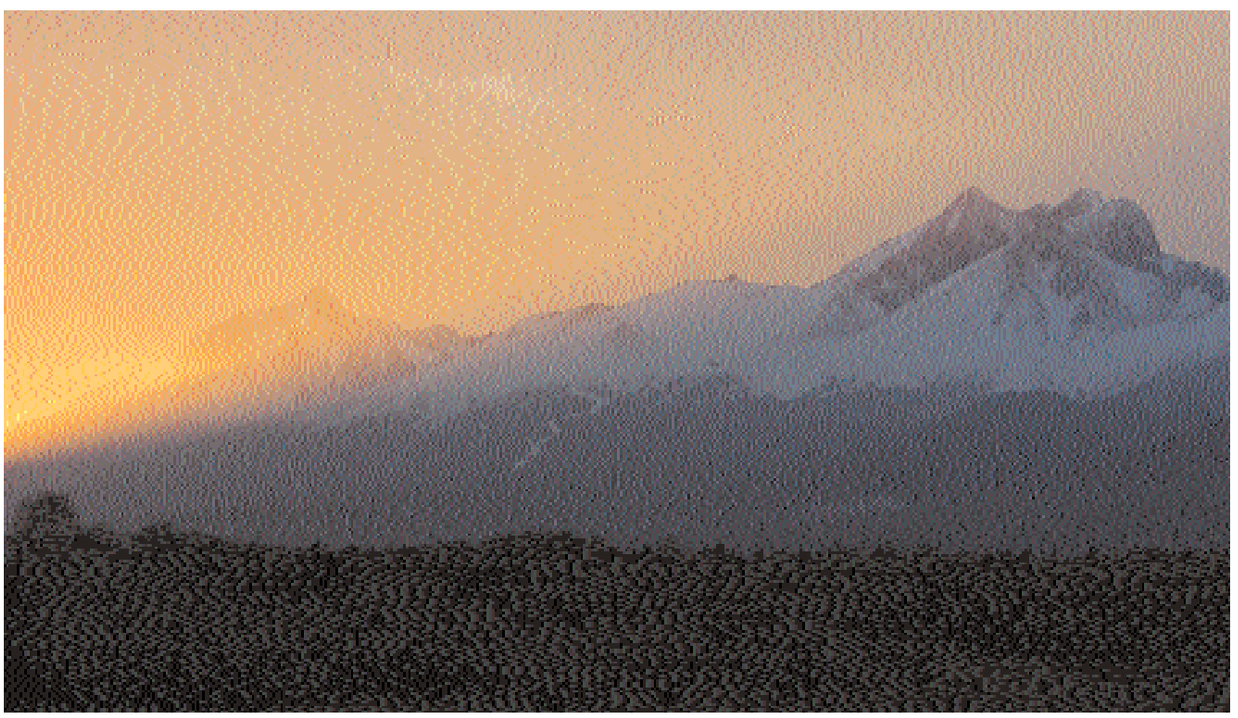
Stanisław MOMOT



Urodzony 12.11.1939 r. w Pielakach, pow. Hrubieszów na Lubelszczyźnie. Ukończył Państwowe Liceum Pedagogiczne w Chełmie Lubelskim oraz Studium Nauczycielskie, a następnie Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie, uzyskując tytuł magistra geografii. Od roku 1962 mieszka w Zakopanem i początkowo pracował jako wychowawca, a następnie nauczyciel w szkole sanatoryjnej na Bystrem i w Kuźnicach. W latach 70. ub.w. podjął współpracę z „Gazetą Krakowską" jako fotoreporter. Po kilku latach został etatowym fotoreporterem Centralnej Agencji Fotograficznej w Warszawie.

Fotografie ludzi, wydarzeń kulturalnych, społecznych itp. Nowosądeckiego i częściowo Bielskiego były zamieszczane w prasie krajowej i zagranicznej. Szczególne miejsce w pracy fotoreporterskiej zajmowały zdjęcia związane z folklorem góralskim, ratownictwem GOPR, sportem oraz wydarzeniami w regionie. Fotoreportaże o tematyce górskiej były zamieszczane w wielu wydawanych w owym czasie kolorowych tygodnikach. Jako fotoreporter pracował na igrzyskach olimpijskich w Moskwie, fotografował w Chinach, Indiach, Nepalu, Kanadzie i USA oraz wielu krajach europejskich. Fotografował ważniejsze wydarzenia krajowe i międzynarodowe w regionie, w tym wizytę papieża Jana Pawła II na Podhalu, w Krakowie, Tarnowie i Oświęcimiu. Aktywnie uczestniczył w wydawaniu regionalnego pisma społeczno-kulturalnego „Podtatrze", będąc członkiem kolegium redakcyjnego. Właściciel Wydawnictwa „Krokus" w Zakopanem i autor albumów tatrzańskich. Autor i wydawca kilkudziesięciu kalendarzy tatrzańskich oraz około 400 wzorów pocztówek tatrzańskich, pienińskich oraz z Tarnowa i okolic. Archiwum fotograficzne czarno-białe i kolorowe obejmuje lata od 1967 r. do czasów współczesnych. Jest członkiem ZPAF. Uczestniczył w wystawach zbiorowych oraz indywidualnych w kraju i za granicą. Od kilku lat na emeryturze, ale nadal aktywny zawodowo i społecznie w działalności fotograficznej. Pasją życiową i fotograficzną był, i jest, fotoreportaż. W ostatnich latach poświęca się przeważnie fotografii tatrzańskiej.

Syn, Grzegorz Momot, jest fotoreporterem Polskiej Agencji Prasowej w Warszawie.









Jan MOREK



fot. Janusz Sobolewski

Urodziłem się w 1940 r., z wykształcenia jestem socjologiem. Fotografem zostałem dlatego, że skończywszy studia nagle zorientowałem się, że aby coś sensownie robić w moim kierunku, musiałbym się zapisać do kierowniczej partii albo przynajmniej do jakieś jej „przybudówki". Fotoreporterów PZPR lekceważyła, i tak udało mi się jakoś przeżyć do wyzwolenia bez stosunku typu „full contact" z tą i innymi organizacjami.

W latach 1966–1993 byłem więc fotoreporterem: najpierw w Wydawnictwie Polonia, później w Polskiej Agencji Interpress. Od 1993 r. do dziś współpracuję samodzielnie z rozmaitymi wydawnictwami, czego plonem jest 10 autorskich albumów fotograficznych. Najważniejsze z nich to „Polska na co dzień", dwie różne edycje albumu „Polska", „Warszawa", i ostatnio „Zamek Królewski w Warszawie" oraz „Fotografie z PRL-u". Jako ciekawostkę podam, że łączny nakład moich albumów wyniósł około 300 tysięcy egzemplarzy (z czego połowa jeszcze w PRL-u.), co na dzisiejsze czasy jest absolutną abstrakcją.

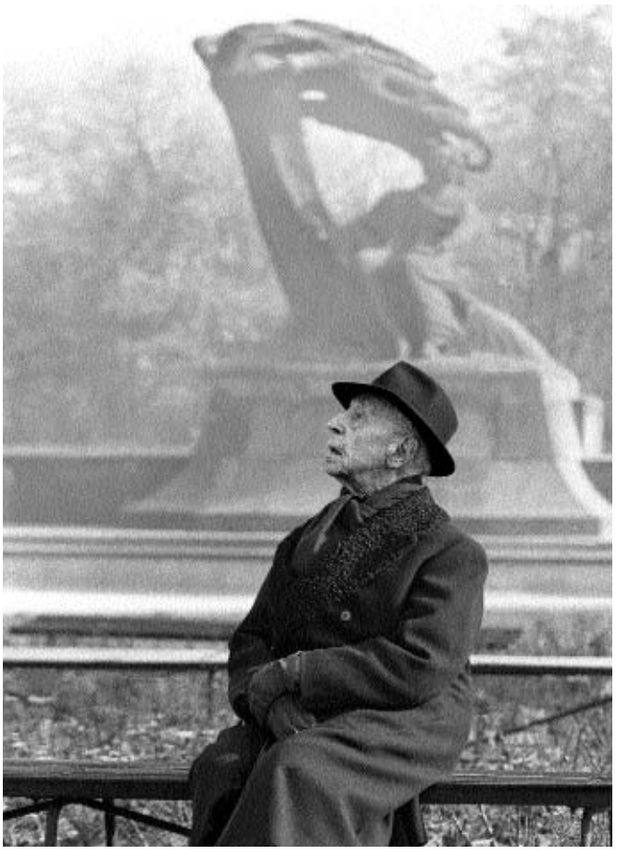
W latach 70. ub.w. za prace fotoreporterskie wielokrotnie byłem nagradzany na krajowych konkursach fotografii prasowej oraz na World Press Photo.



Papież Jan Paweł II przybywa do Krakowa, 1989



Kristian Zimerman wygrywa Konkurs Chopinowski, 1975



Ostatnia wizyta Artura Rubinsteina w Polsce, 1986



Edward Gierek i Fidel Castro, Kuba 1972



Leonid Breżniew w Polsce, 1974



Edward Gierek na polowaniu na niedźwiedzia u N. Ceausescu, 1976



Zebranie partyjne, 1980



Osiedle górnicze Nikiszowiec, 1975



Wojciech Jaruzelski na chińskim murze, 1985

Chris NIEDENTHAL



Urodziłem się w Londynie, w polskiej rodzinie, w 1950 roku. Studiowałem fotografię w London College of Printing, po czym w 1973 roku przyjechałem na kilka miesięcy do Polski, chcąc zobaczyć jak tu jest, nie będąc na wakacjach – i zostałem do dziś. Zdawałem sobie sprawę, że system polityczno-ekonomiczny w Polsce jest okropny, ale, prawdę mówiąc, zatrzymały mnie w kraju raczej względy towarzyskie. Po prostu było tu o wiele ciekawiej niż w Londynie w latach 70. ub.w. Przynajmniej dla mnie!

Na początku fotografowałem prawie wyłącznie tak zwane ciekawostki, bo tylko takie tematy o Polsce można było wtedy sprzedać za granicą. Tematy były różne: skansen uli w Swarzędzu, kopalnia soli i sanatorium w Wieliczce, straż pożarna zakonników w Niepokalanowie.

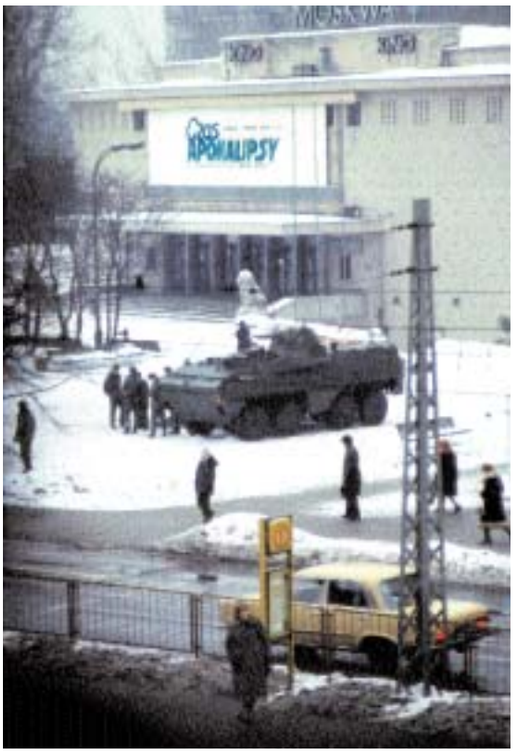
Wybór polskiego papieża w 1978 roku zapoczątkował zainteresowanie Polską na świecie. Moje tematy stały się już poważniejsze: pierwszy reportaż dla amerykańskiego „Newsweeka" to był materiał o nielegalnych kościołach w Polsce, czyli o domach na wsi przerabianych na kościoły, bez żadnych pozwoleń, lub murowanych kościołach budowanych nocami w drewnianych stodołach, które były rozbierane, jak kościół był gotowy. W 1979 roku sfotografowałem dla „Newsweeka" pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski, i właściwie od tego momentu zaczęła się moja ścisła współpraca z tym tygodnikiem. Potem był strajk w Stoczni im. Lenina w Gdańsku w 1980 roku, narodziny Solidarności i stan wojenny w roku 1981. W 1985 roku przeszedłem do tygodnika „Time", i mój rewir rozszerzył się z samej Polski do całej wschodniej Europy i trochę później również do Związku Radzieckiego. W 1986 roku zdobyłem nagrodę w konkursie World Press Photo za portret węgierskiego przywódcy, Janosa Kadara, którego sfotografowałem pod obrazem Lenina grającego w szachy.

Rewolucję 1989 roku fotografowałem prawie wszędzie, po czym było wiadomo, że moja intensywna praca dokumentująca komunizm właściwie się kończy. Przez kilka lat z Woodym Ochnio prowadziliśmy studio fotografii reklamowej w Warszawie. Od 10 lat pracuję nad długotrwałym projektem o dzieciach niepełnosprawnych intelektualnie, z czego urodziło się kilka wystaw, m.in. „Tabu. Portrety nie Portretowanych", „PracujeMY", i ostatnio „Listy do Syna". Wystawy moich fotografii zarówno z czasów PRL, jak i o rewolucji 1989 roku, były pokazywane w kraju i za granicą, m.in. w Islandii i Niemczech.

Wydane zostały dwa autorskie albumy z moimi fotografiami: „Polska Rzeczypospolita Ludowa. Rekwizyty" (BOSZ, 2004), i „13/12. Polska stanu wojennego" (Edipresse, 2006).



Premier Tadeusz Mazowiecki, Sejm 1989



Czas Apokalipsy



Wyniki wyborów czerwcowych na MDM 1989



Strajk w Stoczni Lenina, maj 1988



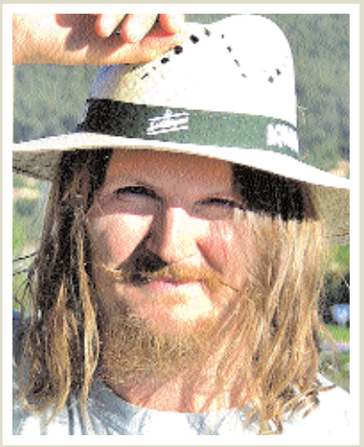
Plac Tienanmen, Pekin 1989



Berlin, Bernauer Str., otwarta w 1989



Czechosłowacja, Praga, listopad 1989



Adam NURKIEWICZ

Sport towarzyszy mi od wielu lat, jako dziecko grałem w piłkę nożną z kolegami w założonym przez siebie amatorskim klubie Reszta Świata. Zamiłowanie do sportu doprowadziło mnie do Radia Kolor, w którym relacjonowałem mecze drugiej ligi piłkarskiej. W niedługim czasie dostałem się do telewizji „Canal+ i do ekstraklasy. Kolejny transfer to gazeta „Przegląd Sportowy" i reprezentacja... W gazecie trafiłem do działu fotograficznego, w którym mogłem poznać pracę fotoreporterów.

W 2004 roku usamodzielniłem się i założyłem Agencję Fotografii Sportowej Mediasport. W tej dziedzinie zdobyłem I nagrodę w Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej w 2005 roku.

Relacjonuję zawody sportowe, takie jak igrzyska olimpijskie, mistrzostwa świata i Europy. Od wielu lat współpracuję jako wolonatriusz z Olimpiadami Sportowymi. Olimpiady Specjalne to organizacja dla osób niepełnosprawnych intelektualnie.

Jako niezależny fotograf – „wolny strzelec", współpracuję z tytułami prasowymi w kraju i za granicą.

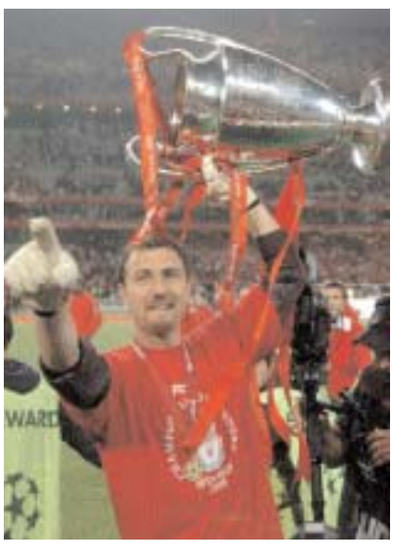
Zapraszam do odwiedzenia mojej strony autorskiej w internecie:

www.adamnurkiewicz.com oraz agencji: www.mediasport.pl







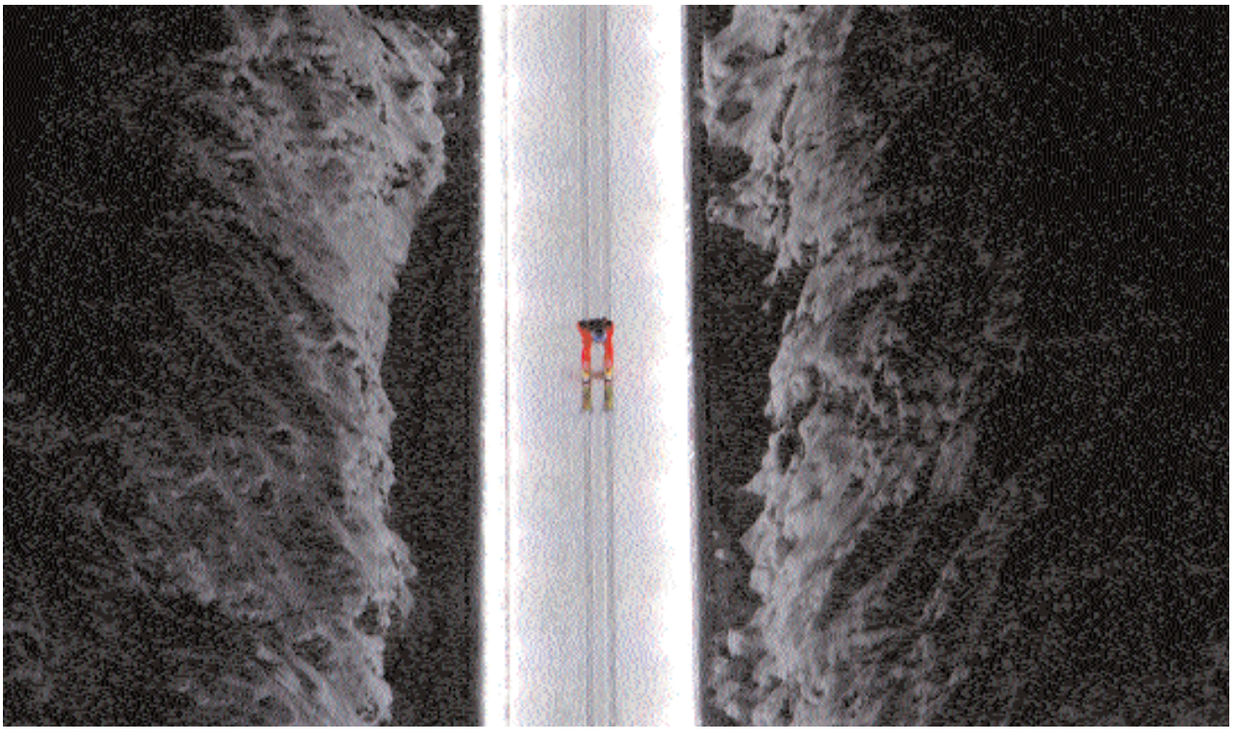












Piotr SAWICKI



fot. A. Dunda

Członek rzeczywisty ZPAF – 4.05.1981 r.

Okręg Północno-Wschodni ZPAF, staż artystyczny – 1980 r.

Piotr Sawicki urodził się 19.05.1948 r. w Białymstoku (ojciec: Piotr, założyciel Białostockiego Teatru Lalek, fotoreporter II Korpusu Wojska Polskiego gen. Andersa, uczestnik walk o Monte Cassino). Wykształcenie wyższe, podjął studia na Wydziale Elektrycznym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Białymstoku (1966–1970).

Współtwórca ogólnopolskiego miesięcznika literatury faktu „Kontrasty" (1974–1984). Współtwórca studenckiego ruchu wakacyjnego Akademia Kultury Studenckiej – Białystok, Tykocin, Drohiczyn, APA Studio i Classic Studio (1974–1980). Organizator wielu plenerów, między innymi „Czas i obraz północno-wschodniej Polski". Komisarz i juror wielu wystaw i konkursów fotograficznych. Wykładowca fotografii, prowadził zajęcia w Instytucie Architektury, pracował w Zakładzie Nowych Technik Nauczania Politechniki Białostockiej, fotoreporter terenowy Centralnej Agencji Fotograficznej w Warszawie (1968–1974). Fotoreporter miesięcznika „Kontrasty" (1974–1984).

Uprawia fotografię socjologiczną, teatralną, fotografuje niebo, od 1978 r. zajmuje się fotografią lotniczą, w 1991 r. fotografował wizytę Ojca Świętego w Białymstoku, od 40 lat fotografuje polskie prawosławie. Autor plakatów teatralnych.

Indywidualne wystawy: jest autorem około 100 wystaw i pokazów indywidualnych w Białymstoku, Warszawie, Bielsku-Białej, Toruniu, Wilnie, Kownie, Grodnie, Hongkongu.

Zbiorowe wystawy: „Interpressphoto", „Małe formaty", „Biennale plakatu", „Biennale krajobrazu", „I Ogólnopolski Przegląd Fotografii Socjologicznej" – Bielsko-Biała 1980, „satyrykom", „Złocisty Jantar", „FotoArt Festiwal" – Bielsko-Biała 2005, „Polskie prawosławie" – Moskwa 2005.

Nagrody i odznaczenia: Prezydenta Miasta Białegostoku, Nagroda Wojewody Białostockiego, stypendium twórcze Ministra Kultury i Sztuki, Honorowy Tytuł „Białostoczanin Roku" 1987.

Fotografie w zbiorach: Zbiory Sztuki – Watykan (1993), Muzeum Historii Fotografii – Kraków 2005 (60 prac o tematyce socjologicznej), zbiory ZPAF, kolekcje prywatne w kraju i za granicą.

Albumy: jest autorem 10 albumów, m.in.: „Białystok moje miasto", „Białystok na progu XXI wieku", „Białystok" – 1995, „Białystok" – 1998, „Białystok" – 2000, „Polski Wersal", „Białystok oblicze miasta", „Białystok historia miasta", „Tykocin, „Podlasie między Niebem a Ziemią", „Prawosławie w Polsce". Współautor albumów: „Ziemia Białostocka", „Podlasie", „Wizyta, Białystok, 5 czerwca 1991 r.", „Wielka Synagoga w Tykocinie", „Grabarka".

Bibliografia: „Mistrzowie Polskiego Pejzażu" – Kielce 2000, „Prawosławie Polskie" – Moskwa 2005.



Bania staroobrzędowców, Gabowe Grądy, 1974



Kobieta z Filipowa, 1975



Naczelnik Knyszyna z rodzicami, 1974



Kanał Augustowski za śluzą Gorczyca, 2001



Grabarka, 1972



Jerzy Nowosielski, malarz, 1998



Brat Lecha Wałęsy, Zygmunt, z rodziną, Trzcianka, 1981



Pole maków pod Giżyckiem, 1987



Borys SKRZYŃSKI

Borys Skrzyński – rocznik 1969. Fotografuję od dziecka. Pierwszy aparat dostałem pod choinkę w wieku 11 lat – była to Smiena 8M. Pierwsze „zawodowe” zdjęcia opublikowałem w czasie studiów na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Zacząłem wówczas współpracę z „Dziennikiem Polskim” z Krakowa. Byłem „korespondentem” w Warszawie. W tamtym okresie w jeden dzień trzeba było zrobić zdjęcie, wywołać, wykonać odbitkę i jeszcze zdążyć wysłać materiał – najlepiej pociągiem jako przesyłkę konduktorską. Tyle pracy, a jednak udawało się – efekt w gazecie daleki był od ideału, mało co wtedy było widać na tych zdjęciach po wydrukowaniu, ale ile radości i szczęścia, że zdjęcie było w gazecie. W późniejszym okresie współpracowałem z tygodnikiem „NAJ” i innymi pismami kobiecymi. Na dłużej zahaczyłem się w tygodniku „Życie Gospodarcze”, a po jego likwidacji trafiłem do „Pulsu Biznesu”. W „Pulsie” przepracowałem ponad 10 lat. Pełniłem tam funkcję fotoreportera oraz kierownika działu foto. Moja współpraca skończyła się wraz z nastaniem obecnego kryzysu światowego i redukcjami w firmie Bonnier Biznes – wydawcy „Pulsu Biznesu”. Obecnie jestem freelancerem. Mam własną firmę fotograficzno-wydawniczą „Artzoom”, specjalizującą się zwłaszcza w fotografii korporacyjnej. Prowadzę też szkolenia i warsztaty fotograficzne – od marca 2010 roku we własnym studiu w centrum Warszawy – oraz wyjazdy w plenery pod logo www.plenerownia.pl, na które wszystkich chętnych serdecznie zapraszam. Jako fotograf realizuję się głównie w fotografii portretowej – zwłaszcza ludzi biznesu, lubię podróżować po Polsce i, oczywiście, fotografować urokliwe zakątki naszego kraju – zawsze chciałem wydawać pocztówki, ale te czasy też chyba już się skończyły – wraz z nastaniem internetu. Czy dzisiaj ktoś jeszcze kupuje pocztówki? Moją pasją są także akty, zwłaszcza klasyczne – czarno-białe, i kilka z nich znalazło się w kalendarzach.

Obecnie jestem prezesem Klubu Fotografii Prasowej przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich.

Zapraszam także na moje strony: www.artzoom.pl, www.skrzynski.pl, www.plenerownia.pl



Ludwik Sobolewski, prezes GPW Giełda Papierów Wartościowych



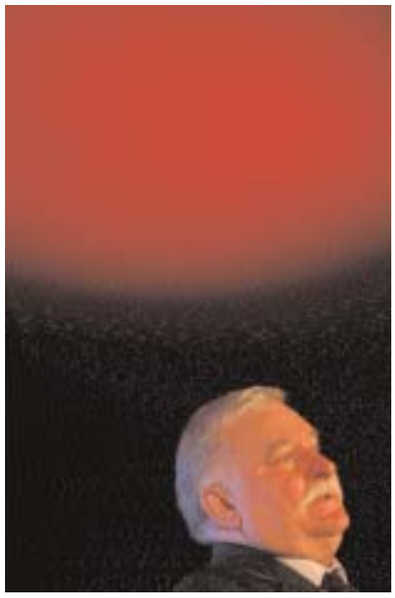
Janusz Kaniewski, designer projektant



Ksiądz Kazimierz Sowa, dyrektor kanału Religia



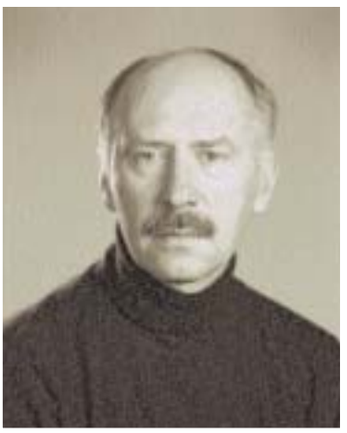
Jacek Kubik, dyrektor Da Grasso



Lech Wałęsa, Huta Warszawa – uroczystość otwarcia nowej walcowni w hucie Arcelor Mittal Polska



Donald Tusk, premier RP, przewodniczący PO, Rada Krajowa Platformy Obywatelskiej



Marek SZYMAŃSKI

Moja działalność zawodowa związana jest głównie z prasą. Przez wiele lat fotografowałem dzieci i młodzież dla gazety nastolatków „Świat Młodych”. Poza tym swoje zdjęcia publikowałem w wielu pismach ukazujących się w Polsce m.in. „Pani”, „Viva”, „Kobieta i Życie”, „Przyjaciółka”, „Olivia” i innych. Przez ostatnie 10 lat zajmowałem się fotografowaniem znanych ludzi ze świata artystycznego, przede wszystkim aktorów. Mam obszerny dorobek twórczy.

Z sukcesami brałem udział w konkursach fotograficznych – m.in. wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Fotografii Prasowej i III nagroda w Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej. Brałem udział w wystawie World Press Photo. Jestem autorem kilku fotograficznych wystaw indywidualnych i uczestnikiem wielu wystaw zbiorowych.









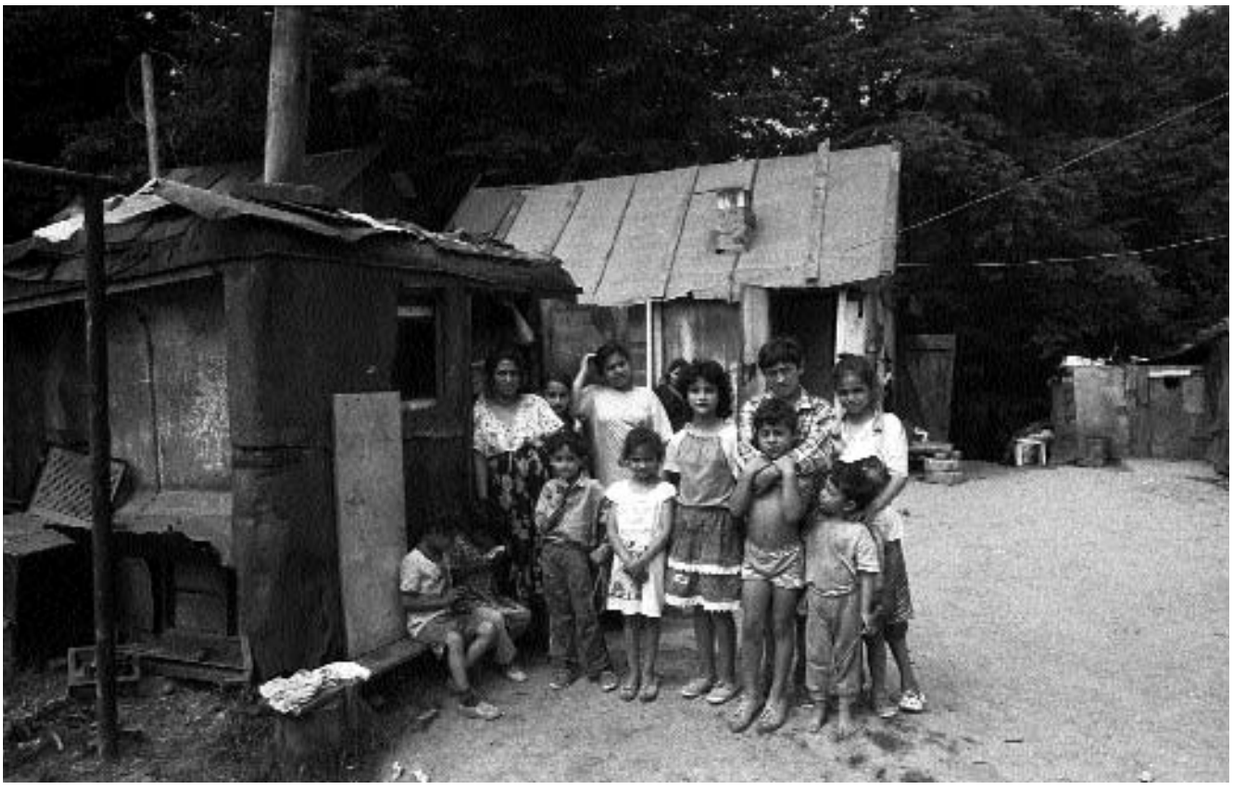



KATECHIZM









Longin WAWRYNKIEWICZ



fot. Grzegorz Roginski

Fotoreporter, dziennikarz i fotograf wydawniczy.

Fotografią zainteresowałem się w szkole podstawowej, chodząc na zajęcia kółka fotograficznego prowadzone z pasją przez nauczyciela od „robót ręcznych", Waldemara Puchałę, późniejszego wykładowcę w warszawskim Liceum Plastycznym.

Konsekwencją tego było ukończenie Technikum Fototechnicznego w Warszawie i rozpoczęcie pracy w Centralnej Agencji Fotograficznej, a następnie w nowo powstałej Krajowej Agencji Wydawniczej. Pracując w laboratorium, dostarczałem materiały prasowe do redakcji „Expressu Wieczornego", „Gościńca", „Sztandaru Młodych" i „KAW"-owskich: Kroniki Fotograficznej i Redakcji Pocztówek. W tym czasie ukończyłem studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. Już jako fotoreporter etatowy podjąłem pracę w „Dzienniku Ludowym", pisząc jednocześnie teksty do zamieszczanych fotoreportaży. Kolejną redakcją był „Zielony Sztandar" i współpraca z PA Interpress.

Przemiany, które nastąpiły w Polsce po 1989 roku, w mojej drodze dziennikarskiej zaznaczyły się pionierską pracą w dzienniku „Nowy Świat" oraz nowym zjawiskiem upadku redakcji.

Zająłem się wtedy fotografią wydawniczo-reklamową, prowadząc wspólnie z kolegą, Andrzejem Szamańskim, studio fotograficzne.

Wykonywałem zlecenia dla Wydawnictwa Naukowego PWN, „Poradnika Domowego" oraz agencji reklamowych. Powróciłem na kilka lat do pracy redakcyjnej w Wydawnictwie „Infor", obsługując m.in. „Gazetę Prawną", „Twój Biznes", „Personel" i „Managera".

Od ponad dziesięciu lat wykonuję zdjęcia przedmiotów zabytkowych i dzieł sztuki do wydawnictw katalogowych.

Ostatnie lata to również prace fotograficzne na potrzeby Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Kancelarii Senatu.



Ingres arcybiskupa Kazimierza Nycza



Jacek Kuroń



Prof. Leszek Kołakowski



Jednocześnie z przekazaniem do użytku pierwszych komnat Zamku Królewskiego przystąpiono do prac mających na celu przebudowę Placu Zamkowego. Powierzchnia jego zostanie znacznie obniżona, a całość prac ma być zakończona w połowie br.



Paulina Sokołowska



Warsaw Summit



Prof. Krzysztof Skubiszewski



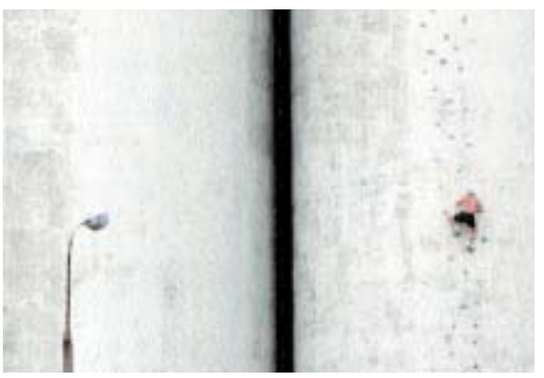
Przemek WIERZCHOWSKI

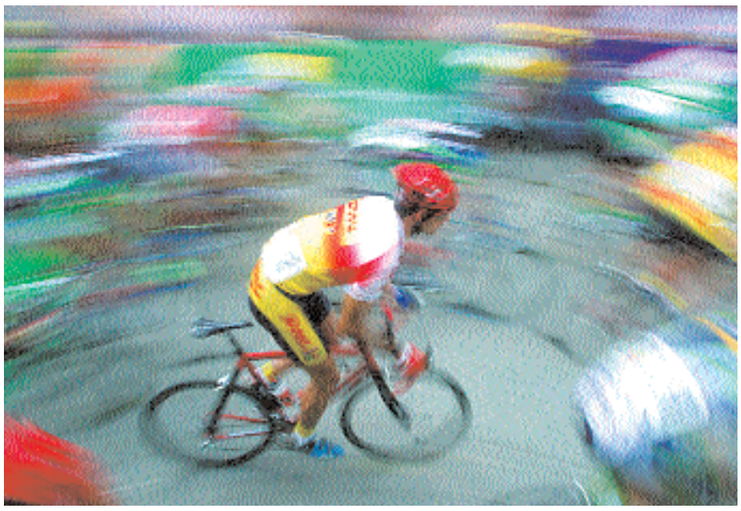
Od 1983 r. pracuję jako fotoreporter dla gazet i agencji foto. Najchętniej i najczęściej fotografuję sport. Zajmuję się również fotografią społeczną i edukacją fotograficzną. Jestem laureatem kilku nagród i wyróżnień, m.in. w Konkursie Fotografii Prasowej czy konkursie National Geographic.

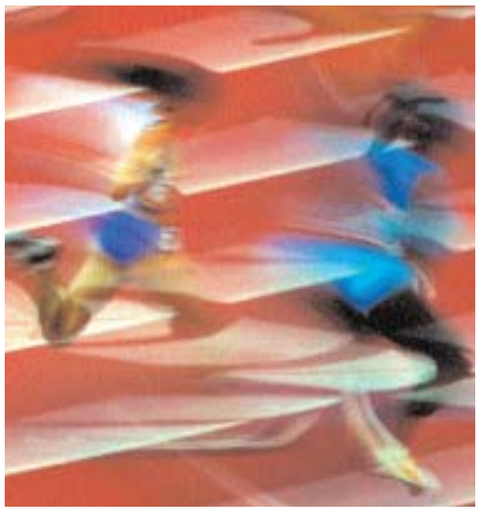
Obecnie współpracuję z Fotorzepą i Agencją Fotografii Sportowej Mediasport.














IRB



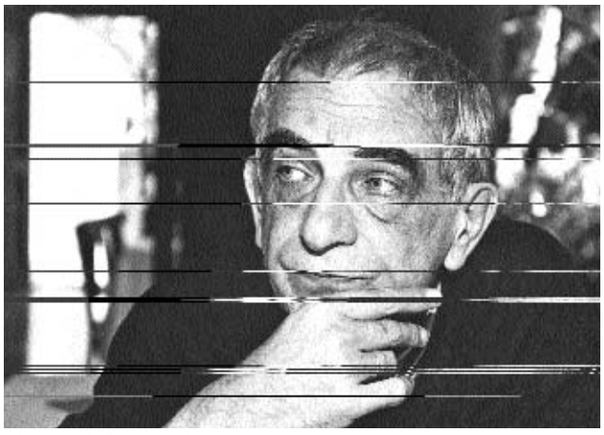


Krzysztof WOJCIEWSKI

W latach 70. i 80. ub.w. pracował w magazynie ITD. Opublikował tam wiele fotoreportaży, zdjęć ilustracyjnych i portretów znanych ludzi kultury, nauki czy polityki. Laureat nagród na ogólnopolskich konkursach fotografii prasowej; trzykrotnie zwyciężył w konkursie organizowanym przez TVP na najlepszy fotoreportaż w polskiej prasie. Jest laureatem Złotego Liścia w konkursie na najlepszy kalendarz „Vidical 97". Swoje prace wystawiał zarówno w kraju, jak i za granicą m.in. w Pradze, Rydze, Paryżu, Londynie i Moskwie. Pracował na planie filmu „Quo Vadis" – wydał album, a wystawa fotograficzna prezentowana była w galerii ZPAF, wielu miastach Polski i kilku krajach Europy. W 2009 roku pracował na planie filmu „Rewers". Jest autorem licznych zdjęć do książek o ludziach filmu, m.in. o K. Kieślowskim, A. Starskim, J. Hoffmanie, J. Kawalerowiczu. W latach 90. ub.w. pracował w tygodniku „Wprost". Podróże fotograficzne po wielu krajach świata, m.in. Chiny, Turcja, Liban, Mongolia, Japonia, Kostaryka, Panama, Kuba i niemal cała Europa. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików.



Rodzina



Krzysztof Kieślowski



Bieda



Krzysztof Piesiewicz



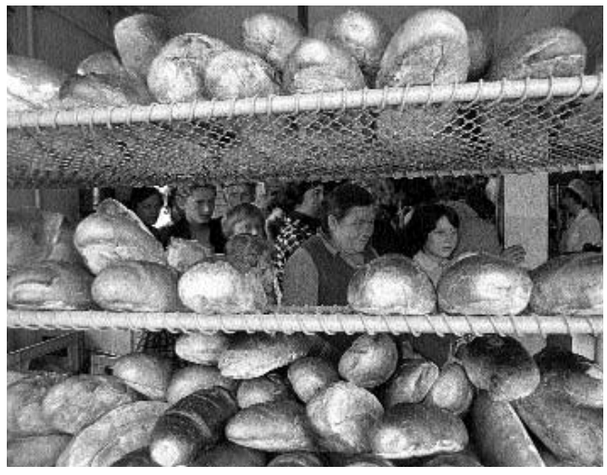
Portret



1989 rok



Rok 1989



Za chlebem



Ks. Henryk Jankowski



Spowiedź



Na wystawie



Trybuna 1977



Stefan ZUBCZEWSKI



Urodziłem się (niestety) na ziemiach „wyzyskanych” w Szczecinie, roku Pańskiego 1946 w październiku – WAGA. Po kilku fajnych, bo beztroskich dla mnie latach, spędzonych wśród gruzów Szczecina, z chłopczyka zamieniłem się w chłopca. Miałem 9 czy 10 lat, gdy zaczęła mnie fascynować fotografia. W MDK kółko fotograficzne, a w nim pierwsze odbitki, robione bez powiększalnika, na styk, w specjalnie do tego stworzonych ramkach. To, jak pojawiał się obraz na papierze zanurzonym w wywoływaczu, było fascynujące. Prawie jak czary.



Rodzice zauważyli, że naprawdę interesuję się fotografią i kupili mi pierwszy aparat. Dwuobiektywowy 6x6 – chyba Weltaflex. Zaraz potem kupiłem sobie w składnicy harcerskiej, ale już za swoje zaskórniaki, statyw. Zająłem się fotografią na poważnie (ha, ha, ha). Jedno z pierwszych zdjęć – uważam, że reporterskich – wykonałem pod budką z piwem. Potem miałem pewną przerwę w fotografowaniu, aż do roku 1964. Dwa lata wcześniej rodzice przeprowadzili się do Warszawy, ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu, ciągnąc mnie na siłę ze sobą. Pozostawiłem w Szczecinie swoją wielką pierwszą miłość – Danusię. Strasznie to przeżyłem ale (o dziwo!) szybko mi przeszło. W Warszawce było sporo urodziwych koleżanek, co spowodowało, że znowu złapałem za aparat i tak już zostało do dziś. Pierwsze moje zdjęcia za „kaskę” to reklama dla ówczesnego Przedsiębiorstwa Importu Wewnętrznego Pewex. Tak, tak, było wtedy coś takiego jak import wewnętrzny. Jeździło się po Polsce za redakcyjną kasę – nigdy tak wiele nie zwiedziłem za frajer jak wtedy, gdy pracowałem na etacie w redakcji „Życie Gospodarcze”. Trwało to aż 34 lata. Imponowało mi, jak do mnie, gówniarza w końcu, zwracali się różni towarzysze (sam towarzyszem nie byłem) PANIE REDAKTORZE, pomagali przy „…pełnieniu przeze mnie obowiązków służbowych” – kolacyjki, hotele kilkugwiazdkowe, balangi itd… Te liczne delegacje były da mnie niezłą szkołą życia. Nigdy wcześniej ani później nie widziałem tak wiele jak w latach 1970–1995. Nigdy nie spotkałem tak wielu ciekawych ludzi, jak właśnie w tamtym okresie. Czasami wymyślało się tematy w miejscach, do których chciało się pojechać i je po prostu zobaczyć, np. „Wielka Rura” w ZSRR. Zwiedziłem ten wspaniały kraj aż po Ural. W żadnym zawodzie nie można było połączyć tak fajnie przyjemnego z pożytecznym. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie moi ówcześni naczelni redaktorzy, otwarci na dzikie pomysły. Janek Główczyk, Staszek Chełstowski i Kola Szwarc. Takiej wspaniałej atmosfery jak w „Życiu Gospodarczym” nie było w żadnej chyba redakcji. Jak była praca, to praca, jak zabawa, to zabawa. Zawsze na 100%. Wóda, karty (po każdym poniedziałkowym kolegium kierki i brydże, sowicie zakrapiane – ja, jako najmłodszy, „latałem” do delikatesów po aprowizację), podróże i inne przygody, ale prócz „kolegingu” było także „trochę” pracy… Był też taki moment w moim życiu, że pracowałem nawet na 2,5 etatu. Zdawać by się mogło niemożliwe, a jednak…20 h/dobę. Się narobiło dzieci (szt. 2), to je trzeba było jakoś utrzymać… Trwało to prawie trzy lata. Pociąg, ciemnia (sami wywoływaliśmy filmy i robiliśmy odbitki), redakcje (były aż trzy), dom. I tak w kółko. Jak ja to robiłem, nie wiem, ale robiłem...







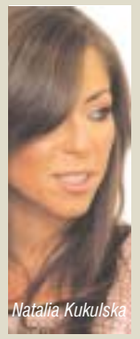
Miałem w swoim życiu także epizod muzyczny. Przez kilka lat grałem na klarnecie, a także śpiewałem (cienkim głosem – tenorem) w chórze Uniwersytetu Warszawskiego (w roku 1970 najlepszy chór amatorski na świecie – właśnie wtedy śpiewałem, i to może dlatego:) – I miejsce na festiwalu w Midllessborough w Anglii), gdzie wyśpiewałem sobie żonę, Zosię, z którą jesteśmy do dzisiaj szczęśliwi… Tam, właśnie w Anglii, powstało zdjęcie faceta w dele-



gacji. Lata 70. ub.w. były dla mnie – twórczo – najlepsze. Zaczęły się od chałtury życia – portretów W. Gomułki na płótnie fotograficznym sprowadzonym specjalnie przez KC PZPR z enerdowskiego ORWO, na masową skalę. Większość tych portretów nie zobaczyła nigdy światła dziennego. Nastał towarzysz Gierek, a portrety Gomułki zamalowano farbą emulsyjną i – naciągnięte na blejtramy – sprzedano malarzom. Kto wie, ile obrazów znanych malarzy jest namalowanych na Gomułce właśnie. Za zdobytą kasę kupiłem trochę lepszy sprzęt foto i to był mój błąd, bo zaraz potem dostałem służbowy… Mam go do dzisiaj. Rolleiflex, Canon F1 i F1 new. Kupę obiektywów i niezłe flesze marki Braun, a potem Metz. To było coś, a nie to co dzisiaj w byle telefonie komórkowym… Robiłem zdjęcia przemysłu wszelakiego, rozmaitych dyrektorów (wtedy nie było prezesów) i towarzyszy, ale jednak ciągnęło mnie do zdjęć artystycznych. Miałem kilka autorskich wystaw o tematyce marynistycznej głównie, a rybackiej zwłaszcza (to ciągoty do Szczecina). Doszedłem jednak do wniosku – po wystawie w Muzeum Techniki – że właściwie nikogo to nie obchodzi. Przyszli ludziska dość tłumnie na wernisaż, zjedli ryby, które zafundowała Centrala Rybna, wypili wódkę (wina wtedy mało się pijało), a wielu gości nawet nie poszło obejrzeć wystawy. Strasznie mnie to zniesmaczyło i definitywnie dałem sobie spokój z fotografią artystyczną. Uznałem, że robienie sztuki dla sztuki i samego siebie jest bez sensu, że o kosztach nie wspomnę. Wcześniej działałem „silnie" w Warszawskim Towarzystwie Fotograficznym, nawet byłem wiceprezesem (dzisiaj też jestem, ale Klubu Fotografii Prasowej SDP). W tak zwanym międzyczasie fotografowałem w zasadzie wszystko, nawet tragedię – wybuch w Warszawskiej Rotundzie PKO. Na 2,5 roku związałem się z tygodnikiem „Na przełaj" oraz „Przeglądem Technicznym". Praca w „Na przełaj" była wspaniałą szkołą fotoreportażu (niestety, forma ta jest dzisiaj w zaniku). Praca ze znakomitymi grafikami – Markiem Trojanowskim i Krzysiem Barańskim – to dopiero był prawdziwy uniwersytet. W „Przeglądzie Technicznym"' pracowałem ze znakomitym fotoreporterem i fotografikiem, mistrzem jednego zdjęcia – felietonu fotograficznego w tygodniku „Kultura" – Aleksandrem Jałosińskim, który, tak jak ja, miał w PT pół etatu. To była moja praca doktorska, po „Na przełajowskim" uniwersytecie. Niestety, potem się nie habilitowałem, bo nie było gdzie i u kogo. RSW Prasę bezmyślnie „rozwalono", zamiast przejąć w końcu świetnie zorganizowany aparat propagandy, który mógł dalej znosić złote jaja Polakom, a nie Niemcom i innym Szwajcarom. Zacząłem robić naprawdę wszystko, czyli nic. Po prostu sieczkę, a nawet tzw. kotleta (jeśli jest zlecenie). Prezesów, giełdę, przemysł, portret, rolnictwo, pejzaż, morze, artystów i literatów… Podjąłem nawet przez czas jakąś „kolaborację" z nowymi właścicielami „Przekroju", „Kobiety i Życia", „Pani", „Tele Tygodnia" itd. Kto by pomyślał kiedyś, że będą to gazety niemieckojęzycznych właścicieli…






Natalia Kukulska


Emilia Krakowska


Robert Graves „Ja, Klaudiusz"


Maryla Rodowicz


Bożena Dykiel


Piotr Rubik w czarnej wersji


Anna Chodakowska1967 r.

Ostatnio prawie mieszkam na Mazurach (d. Prusy Wschodnie), a tam zafascynowały mnie… koniki polskie –





tarpany, dziko żyjące i to za moją miedzą…. I tak, nie wiedzieć kiedy, trochę się postarzałem, niestety… I chyba z fotografią pożegnam się na zawsze, a zajmę poważnie ceramiką, która stała się ostatnio moim nowym hobby, że nie wspomnę – można z tego żyć lepiej niż z fotografii. Mojej fotograficznej przygody nie zapomnę jednak nigdy! Jurek Kośnik zapytał mnie kiedyś – *Jak to możliwe, aby ktoś, kto całe życie fotografował, nagle przestał to robić.* Odpowiadam – Możliwe!

Na marginesie World Press Photo 2010



Zdjęcie Roku 2009. Kobiety krzyczące z dachu w Teheranie, na znak protestu po czerwcowych wyborach prezydenckich.
fot. Pietro Masturzo

Zacznę od anegdoty, ale jak najbardziej prawdziwej.

W środku stanu wojennego francuska agencja Gamma, dla której wówczas pracowałem, zamówiła do tematu „Akty w stolicach świata" fotkę z dziewczyną z Warszawy.

Zaprosiłem do tego tematu młodą, odważną dziewczynę i ruszyliśmy szukać w Warszawie miejsca, gdzie mogłaby zaprezentować swoją urodę.

Początkowo wymyśliłem, że zrobimy tę fotkę w budce telefonicznej. Miałem w pamięci cudowne czerwone budki londyńskie, więc taka nasza, brudna, zielona, obskurna byłaby w sam raz.

Nie zamierzałem rozbierać dziewczyny całkowicie. Topless, jak na stolicę socjalistycznej ojczyzny, pod jarzmem generała Jaruzelskiego, absolutnie zadowalał zleceniodawcę.

Niestety, trafienie na wolną budkę graniczyło z cudem. Zaś podejrzane manipulacje z przepuszczaniem ludzi szybko zwróciły uwagę SB i zostaliśmy na krótko zatrzymani i zrewidowani.

W końcu zrealizowałem temat w tramwaju linii 25 na końcu trasy, gdzie nie było zbyt dużo ludzi.

Po jakimś czasie dostałem wycinki prasowe z opublikowanym zdjęciem. Jeden z nich wprawił mnie w zdumienie. Był z prasy szwedzkiej lub duńskiej z podpisem o mniej więcej takiej treści: „W Warszawie w tramwaju linii 25 w proteście przeciwko polityce Jaruzelskiego rozebrała się... i tutaj było jakieś fikcyjne nazwisko, powiedzmy... Jadzia Kowalska.

Nie mogłem nadziwić się swobodnej interpretacji zdjęcia, ale dla pewności wycinek spaliłem.

Oglądam pierwszą nagrodę World Press Photo 2010 i czytam podpis pod najlepszym zdjęciem na świecie: „fotografia... przedstawiająca kobiety krzyczące na dachu domu w czasie protestu przeciwko wynikom wyborów prezydenckich w Iranie" /wyborcza. pl/duzy_ kadr/.

Przyglądam się zdjęciu i dostrzegam tylko jedną kobietę krzyczącą.

Szukam kontekstu wyborów prezydenckich... i nie znajduję. A może ona krzyczy na zbyt późno powracającego do domu małżonka? Ale widać, tylko ja jestem człowiekiem małej wiary. Członkowie jury do takich nie należeli. To nic, że czytaliśmy o krwawo stłumionych demonstracjach antyprezydenckich w Iranie.

Pierwszą nagrodę dostał domniemany substytut protestu z rozwiniętą formą opisową.

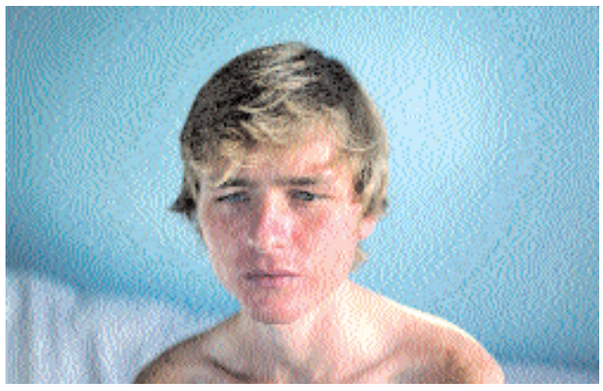
A zaraz potem oglądamy wiele wspaniałych, dynamicznych zdjęć sfotografowanych w najlepszym do tego momencie, przykładów wspaniałej roboty fotoreporterskiej.

Co się stało z jurorami na czas wyboru najlepszego zdjęcia świata?

Jerzy Kośnik

Jestem zakłopotany werdyktem jury tegorocznego World Press Photo. Wiem z doświadczenia, bo wielokrotnie brałem udział w ocenianiu zdjęć na konkursach fotografii prasowej, że wybory jurorów są zawsze kontestowane przez część środowiska. Tym razem i ja muszę dołączyć do tej grupy.

Zastanawiałem się, czym kierowali się oceniający, nagradzając główną nagrodą tak nijakie zdjęcie. Ma rację Jurek Kośnik, że bez opisu zdjęcie to jest niewiele mówiącym obrazkiem, a przecież powinno być ikoną fotografii prasowej ubiegłego roku! Po latach krytykowania jury za nagradzanie zdjęć drastycznych, jurorzy World Press Photo usiłują wybrać fotografie, które pokazują dramatyczne wydarzenia (tylko takie mają szansę na główną nagrodę) nie dosłownie, lecz poprzez metaforę. Tym razem, moim zdaniem, werdykt był chybiony. Zresztą, nie rozumiem też innych nagród. Oto zdjęcie anorektyka (?!), wyróżnione I nagrodą w kategorii portretu. Banalna fotografia, na której nie widać ani emocji, ani choroby. Takich nietrafionych werdyktów jest więcej.



I nagroda w kategorii Portret, zdjęcie pojedyncze. Graham, nastoletni anorektyk. *Fot. Laura Pannack*

A może ja nie mam racji, może coś przegapiłem, czegoś nie zrozumiałem...

Wojciech Druszcz





Walka w centrali:

Pan Romuald Orzeł
Prezes Telewizji Polskiej S.A.

Do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” TVP S.A. docierają niepokojące sygnały mówiące o tym, iż władze TVP S.A. zamierzają zmienić formułę działania ośrodków regionalnych TVP. Z informacji tych wynika, że część oddziałów ma pełnić funkcje tzw. oddziałów producenckich, pozostałe zaś oddziałów emitenckich.

W naszej ocenie propozycja ta zmierza do deprecjacji oddziałów, które zostaną zaliczone do grupy oddziałów emitenckich. Uważamy, że ustawodawca w zapisach ustawy o radiofonii i telewizji stwierdził bardzo wyraźnie, że telewizja publiczna zobowiązana jest do pełnienia misji m.in. poprzez działalność oddziałów terenowych, polegającą na informowaniu społeczeństw lokalnych o problemach „małych ojczyzn”. Do dziś TVP S.A., jako jedyna telewizja działająca w Polsce tak szeroko, informowała o sprawach lokalnych, co było naszym autem na rynku mediów elektronicznych.

Jesteśmy przekonani, że dalsze funkcjonowanie oddziałów terenowych jest nie tylko wypełnieniem zapisów ustawy o radiofonii i telewizji, ale też sposobem na zwiększenie oglądalności programów TVP S.A. Pomysły takie jak odebranie pasm wieczornych czy zblokowanie czasu emisyjnego w godzinach porannych uważamy za błąd, który w konsekwencji może doprowadzić do odwrócenia się widzów od naszej firmy, a w konsekwencji – do strat finansowych.

Zwracamy się do Pana Prezesa z prośbą o spotkanie, na którym będziemy mogli przedyskutować problemy dotyczące oddziałów terenowych, jak też TVP INFO.

Jarosław Najmoła
przewodniczący Komisji Zakładowej
NSZZ „Solidarność” TVP S.A.

23.02.2010 r.

Deklaracja Telewizji Polskiej

W piątek, 5 marca br., zarząd spółki przyjął Deklarację Telewizji Polskiej przedstawiającą najważniejsze cele i zadania programowe stacji w obliczu kryzysowej sytuacji ekonomicznej.

Zarząd Telewizji Polskiej zwrócił się do widzów z informacją o dramatycznej sytuacji ekonomicznej stacji. Podkreślił, iż TVP – choć pozbawiona praktycznie środków abonamentowych i działająca pod wzrastającą presją polityczną – dokłada wszelkich starań, by zachowywać standardy mediów publicznych i dostarczać widzom program wysokiej jakości.

Zarząd spółki wskazał, iż jego ambicją jest, by TVP stała się telewizją pluralistyczną, otwartą – także zawodowo – dla ludzi o zróżnicowanych poglądach i sympatiach politycznych. Redakcje TVP mogą korzystać z rzeczywistej niezależności, jaką gwarantuje brak cenzury. Niezależność poglądów i wypowiedzi musi iść w parze z odpowiedzialnością. Jednym z podstawowych zadań Telewizji Polskiej jest dla zarządu tworzenie przestrzeni medialnej dla prezentacji pełnej palety poglądów w prowadzonych w Polsce debatach publicznych. Nie będzie to jednak oznaczało udziału w walce politycznej oraz sporach partyjnych.

Zarząd wziął na siebie olbrzymią odpowiedzialność za los Telewizji Polskiej. Będzie starał się sprostać takim wyzwaniom jak zatrzymanie degradacji struktur, przede wszystkim oddziałów regionalnych i utrzymanie fundamentu telewizji publicznej, czyli programów lokalnych. Zarząd spółki – mimo krytycznej sytuacji finansowej – przygotowuje telewizję publiczną do procesu cyfryzacji.

W tych bezprecedensowo trudnych czasach władze TVP zwracają się z apelem o zrozumienie i wsparcie działań, których celem jest utrzymanie pozycji Telewizji Polskiej jako nie tylko największej, ale także najlepszej telewizji.

– Czynimy to, pamiętając o następnych pokoleniach widzów. Współczesnej Polsce potrzebne są media publiczne, silne i niezależne finansowo. Media publiczne kierujące się pluralizmem, propagujące uznane wartości, kreujące nowoczesność, media wolne od cenzury – podkreślono w Deklaracji Telewizji Polskiej.

Stanisław Wojtera
rzecznik prasowy TVP S.A.

05.03.2010 r.

Stanowisko

Rady Konsultacyjnej Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP w sprawie kompleksowej regulacji sektora mediów audiowizualnych

Rada na swoim posiedzeniu 25 lutego 2010 roku przyjęła przedstawione poniżej założenia, które rekomenduje do przeprowadzenia procesu legislacji w sposób możliwie szybki i efektywny.

Regulacje sektora mediów audiowizualnych, form multimedialnych i ich cyfryzacji

Zasady ogólne

1. Nowe ustawowe regulacje winny być kompleksowe, uwzględniające procesy konwergencji oraz wielość form nadawania, dystrybucji i zawartości mediów.
2. Należy przestrzegać zasad konstytucyjnych – trójpodziału władz, odrębności organów kontroli i nadzoru, wolności środków społecznego przekazu, wolności działalności gospodarczej i niedyskryminacji, przy organizacji i reglamentacji rynku medialnego oraz stanowieniu mediów publicznych.
3. Należy umożliwić, na zasadzie równego dostępu, tak państwu, jak i samorządom terytorialnym, a także organizacjom pozarządowym, uczestnictwo w realizacji misji publicznej w zakresie zadań publicznych (patrz art. 4 ust. 1 ustawy oppiw zm. z 17 grudnia 2009 roku).
4. Media publiczne powinny być w maksymalnym stopniu publiczne w rozumieniu społeczne, wyrazem społeczeństwa obywatelskiego, a nie „państwowe" w rozumieniu przynależności do władzy wykonawczej ergo politycznej, co odnosi się tak do mienia (aktywów materialnych i niematerialnych), jak i do sprawowania zarządu oraz linii programowych.
5. Regulacje powinny opierać się w miarę możliwości na instytucjach i procedurach istniejących, znanych powszechnie, stosowanych w UE, niekontrowersyjnych i przejrzystych, z obszaru przede wszystkim prawa prywatnego z wyjątkiem ograniczonych do minimum ustawą reglamentacji i kompetencji regulatora.

I Legislacja

1. Materia przyszłych regulacji powinna być rozdzielona wg zakresu podmiotowego i przedmiotowego na 3–5 regulacji (ustaw) wprowadzanych sukcesywnie przez wyłączanie kolejnych obszarów z działania aktualnie obowiązującej ustawy o radiu i telewizji.
2. Ze względu na zapewnienie spójności i kompleksowości przyszłego modelu regulacji funkcjonowania mediów konieczne jest przyjęcie planu (mapy drogowej) regulacji z określeniem ich przedmiotu i zakresu podmiotowego oraz jednolitych zasad dla tych regulacji.
3. Należy także na początku procesu zmian ustalić katalog pojęć, które w zakresie normatywnym będą przez ich zdefiniowanie wyznaczać zakresy hipotez i dyspozycji norm przyszłych regulacji, np. typu misja publiczna, środki przekazu multimedialne czy cyfrowe audiowizualne, multipleks, nadawca ergo wydawca, zarząd gospodarczy, programowy itp.
4. Proponowany harmonogram procesu i zakres regulacji:
   a) ustawa o finansowaniu misji publicznej i mediów publicznych (o abonamencie i funduszu) – pilne, w I półroczu 2010 r.,
   b) ustawa o cyfryzacji mediów i regulacji rynku mediów – II półrocze 2010 r.,
   c) ustawa o mediach publicznych – I połowa 2011 r.,
   d) ustawa o nadzorze i kontroli rynku multimedialnego, audiowizualnego i przestrzeganiu wolności słowa, prawa do informacji i interesu publicznego (o KRRiT) – II półrocze 2011 r.

II Media publiczne

1. Preferowana powinna być forma osoby prawnej typu fundacyjnego tworzonej ustawą, której mienie nie wchodziłoby w zakres własności Skarbu Państwa (uspołecznienie), a co najwyżej państwowej osoby prawnej, prawa prywatnego, zaliczanej do sektora finansów publicznych. Alternatywnie pozostawić własność mediów publicznych Skarbowi Państwa, lecz nadzór przenieść do Ministra Kultury, a finansowy przez poddanie reżimowi finansów publicznych do Ministra Finansów.
2. Najprostsza forma to jedna osoba prawna o strukturze koncernowej, z samodzielnymi oddziałami na pełnym wewnętrznym rozrachunku, samobilansującymi, będącymi odrębnymi zakładami pracy, z odrębnym zarządzaniem gospodarczym i programowym. (Tak samo, jeżeli będzie to spółka S.A.).
3. Konieczny jest rozdział zarządzania gospodarczo-finansowego od programowego, co możliwe jest przez dualizm, dyrektora naczelnego (prezesa zarządu) i redaktora naczelnego, odrębnie powoływanych w odrębnych trybach. Pierwszego przez władze publiczne (Minister Kultury i Minister Finansów przez konkurs), drugiego przez elektorów wyłonionych przez podmioty społeczeństwa obywatelskiego.
4. Konieczny jest również dualizm nadzoru, czyli państwowego i społecznego, oraz zapewnienie przejrzystości, jawności funkcjonowania i finansów. NIK i nadzór finansowy dyscypliny finansów publicznych zapewnić może to pierwsze, a organ nadzoru społecznego (np. Rada Nadzoru Programowego) lub organ nadzoru funduszu misji (jeżeli taki będzie powołany), to drugie.
5. Zasadne byłoby wprowadzenie zasady: ile misji, tyle komercji, a więc reguły, że także od strony finansowej obok czasu antenowego programy misyjne, ich emisja mogą kosztować tyle, ile komercji, nie licząc zysku na tych drugich. (Można też rozważyć coś na kształt *cahier des charge*, jak we Francji).
6. Zbędne jest wyznaczanie ustawowo, odrębnie zakresu misji, gdyż powinny być to jako możliwy zakres w całości zadania publiczne, tak jak są definiowane dla potrzeb np. działalności pożytku publicznego, co w pełni oddaje ostatnia zmiana art. 4 ustawy z 17.12.2009 roku o działalności pożytku publicznego i wolontariacie.

Mec. Jan A. Stefanowicz,
przewodniczący Rady Konsultacyjnej
Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP

Warszawa, 25.02.2010 r.

Walka w terenie:



Oświadczenie zarządu SDP O/ŁÓDŹ

Zarząd łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wyraża oburzenie decyzją dyrektor TVP S.A. w Łodzi o rozwiązaniu współpracy z redaktorami Markiem Palczewskim i Przemysławem Naze.

Obydwaj przez wiele lat pracy zyskali sobie opinię niezależnych, obiektywnych i kompetentnych dziennikarzy. Ich zwolnienia nie tłumaczą ani finansowe, ani merytoryczne względy. Przypuszczamy, że są one podyktowane napiętą atmosferą przed referendum za odwołaniem Jerzego Kropiwnickiego, prezydenta miasta, i mają polityczny charakter.

Ostatnia decyzja Dyrekcji TVP S.A. w Łodzi jest kolejną świadczącą o tym, że z telewizji zwalnia się niezależnych i bezstronnych politycznie dziennikarzy. Od lat obserwujemy procesy postępującej finansowej degradacji ośrodka, pozbywania się rzetelnych i doświadczonych dziennikarzy, a także coraz większe uzależnienie od jednej siły politycznej oraz brak jakiegokolwiek programu naprawczego.

Zarząd SDP w Łodzi uważa, że media publiczne są dobrem wszystkich obywateli i nie powinny być PR-owską ekspozyturą wyłącznie jednej partii politycznej czy jednego ośrodka władzy. Szanująca się redakcja dba o ukazywanie pełnego spektrum poglądów i respektuje prawo dziennikarzy do działania w zgodzie z własnym sumieniem.

Zarząd SDP, Oddział w Łodzi

Łódź, 14 stycznia 2010 r.

5 lutego 2010 „Dziennik Łódzki" doniósł, że Małgorzata Potocka została odwołana z funkcji dyrektora Łódzkiego Ośrodka Telewizji. Decyzję podjął Zarząd TVP poprzedniego dnia.

Stanowisko konferencji w Katowicach

Publiczne media regionalne w służbie regionu

Uczestnicy konferencji zwracają się do Sejmu RP o pilne wprowadzenie zmian legislacyjnych zapewniających stabilne finansowanie publicznych mediów regionalnych. Obowiązujący dotąd abonament radiowo-telewizyjny okazuje się obecnie instrumentem nieskutecznym w realizacji tego ważnego zadania.





Dlatego uważamy, że finansowanie mediów publicznych powinno być realizowane poprzez powszechną, społeczną składkę medialną, pobieraną i zarządzaną przez kontrolowany społecznie Fundusz Mediów Publicznych. Określona w ustawie część tej składki powinna być przeznaczona na realizację misji przez regionalne anteny publicznego radia i telewizji.

Mając na względzie należytą realizację misji przez regionalne ośrodki telewizji publicznej uznajemy za konieczne przywrócenie przez Zarząd TVP, zgodnie z przepisami ustawy o radiofonii i telewizji, możliwości nadawania przez te anteny całodobowego programu telewizyjnego.

Katowice, 25 stycznia 2010 r.

Do stanowiska konferencji w Katowicach

W obronie regionów

Jadwiga Chmielowska

Dokładnie 10 lat temu, czyli w 2000 roku, 30 stycznia, odbyła się konferencja też poświęcona mediom regionalnym. Chodziło o ratowanie ustawy o radiofonii i telewizji. Zapis o telewizjach regionalnych miał zniknąć z ustawy. Protestowaliśmy też przeciwko tworzącemu się pasmu wspólnemu. Wtedy jeszcze mieliśmy 7 godzin programu własnego.

Prowadziłam tę konferencję i ostrzegałam, że „pasmo wspólne", które wtedy było bardzo reklamowane, doprowadzi do tego, że własnego programu niedługo będzie 5 godzin, potem 4 godziny, a potem 2. Po 10 latach doszliśmy do nieco więcej niż dwóch godzin dziennie. Średnia wychodzi troszkę większa, bo weekendy podganiają. Bez względu na to, która koalicja rządzi, które ugrupowanie ma większość w Sejmie, bez względu na to, jaki jest prezes w TVP, to te „krasnale pod stołem karty rozdają". Obawiam się, a w sumie to chyba by dobrze się stało, gdyby powstała komisja śledcza do zbadania kto, gdzie i kiedy knuł w sprawie rozbicia, zniszczenia mediów publicznych w Polsce. Przecież rozbicie, zniszczenie mediów publicznych to jest zniszczenie edukacji społecznej. Do wielu środowisk, zwłaszcza na wsiach, edukacja, kultura dociera dzięki telewizji, dzięki mediom publicznym – również regionalnym. Wszelkie działania na szkodę mediów regionalnych pociągają za sobą zapaść chórów, orkiestr, muzeów, teatrów, ponieważ właśnie przez media regionalne wpływa się na gusty społeczeństwa.

Przygotowaliśmy projekt stanowiska konferencji. Jako rada programowa Telewizji Katowice wyślemy naszą uchwałę i załączymy stanowisko konferencji. Będziemy próbować wszystkimi siłami mobilizować wszystkie stowarzyszenia, wszystkie środowiska w obronie mediów regionalnych, ponieważ bez nich budowa społeczeństwa obywatelskiego jest niemożliwa. Nie chodzi przecież tylko o to, że władza ma przekazywać wiadomości do społeczeństwa. Tu chodzi o to, że społeczeństwo musi się dzięki mediom publicznym komunikować również miedzy sobą.

Nawiasem mówiąc, to w telewizji warszawskiej, w centrali, jest gdzie szukać oszczędności. Tam należy przeprowadzić głęboką restrukturyzację. Należy przestać wydawać pieniądze na produkcje zewnętrzne, na wielokrotnie przekroczone kosztorysy, na horrendalne kontrakty, a te zaoszczędzone pieniądze należy przekazać ośrodkom regionalnym. To w regionie trzy razy ogląda się każdą złotówkę, zanim się ją wyda.

Chodzi nie o to, aby likwidować Telewizję Info. Chodzi o to, żeby zacząć rozmowy, jak przetrwać do 2012 roku, czyli do czasu, kiedy telewizje regionalne będą mogły wejść na multipleks: nie będzie wydzierania czasu antenowego. W tej chwili Telewizja Info nadaje na naszych częstotliwościach. A przecież nadaje ona również przez satelitę. Chodzi w tej chwili o to, żeby sukcesywnie, co kilka miesięcy, poszerzać pasmo regionalne w programie. Oczywiście, w stopniu, w którym dane telewizje regionalne są w stanie zagospodarować swój czas antenowy.

Gdy ruszy multipleks, wszystkie kanały telewizyjne – czyli zarówno TVP Info, TVP Kultura, TVP Historia, TVP Sport, TVP 1, TVP 2 i wszystkie inne w międzyczasie utworzone, będą mogły niekolizyjnie funkcjonować i być powszechnie odbierane. Czy będzie danina publiczna, czyli finansowanie społeczne? Pieniądze muszą być dzielone rozsądnie. Nie może być tak, że we wszystkich ośrodkach telewizji (16) jest zatrudnionych nieco ponad tysiąc osób, a w samej centrali w Warszawie pracuje prawie 4 tys. osób. Jeśli ktoś się chce restrukturyzować, to my wskazujemy wprost. Niech Warszawa się zrestrukturyzuje. Niech przestaną wyprowadzać pieniądze w ten sposób, że miliony trafiają do producentów zewnętrznych, że są zawyżane kosztorysy i ciągły wyciek pieniędzy na chybione inwestycje. Gdyby telewizja zapraszała niezależnych twórców, czyli reżyserów, autorów, operatorów, muzyków do produkcji programów siłami telewizyjnymi, koszty produkcji znacznie by spadły. W tej chwili robione są gotowce i sprzedawanie TV za określoną sumę. To są duże pieniądze, które wyciekają. Gdyby centrala telewizji zamawiała produkcje w Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Katowicach, pieniądze zostawałyby na miejscu, w firmie. Byłyby to pieniądze na sprzęt, na amortyzację tego sprzętu. Apelujemy do władz telewizji – do Rady Nadzorczej, do Zarządu – o dokonanie gruntownej reorganizacji i zmiany polityki finansowej w samej centrali.



Powtarzam! W momencie, kiedy wejdzie multipleks, TVP Info może być jednym z programów tematycznych, tak jak Kultura, Historia i Sport. My chcemy dojść – a właściwie wrócić – do pełnej anteny telewizji regionalnej. Czyli ośrodki regionalne na multipleksie, nie wchodząc

z nikim w kolizję częstotliwości, obejmowałyby zasięgiem swój teren i nadawałyby swój program. Do tego czasu trzeba jakoś współżyć. Nas interesuje odebranie naszej własności, naszego czasu. Tego, co nam po prostu zabrano. W tej chwili nie ma kontroli. Telewizja regionalna nie może powiedzieć, że oni mają np. klęskę żywiołową w Częstochowie. Jedzie wóz i my pokazujemy przez 3 godziny, jak walą się słupy, jak ludziom niszczy się zakłady pracy, jak to wszystko wygląda. Bo to jest nasze. To jest nasze i my chcemy to widzieć. Tej możliwości w tej chwili nie mamy. My nie możemy tej wtyczki wyciągnąć, a my chcemy mieć możliwość wyciągania wtyczek. Telewizja Katowice emitowała już 24 godziny program, z czego 11, a w porywach do 15 godzin, było programem własnym, premierowym. To zostało zniszczone. Powstało właśnie to nieszczęsne pasmo wspólne. Mówimy, czego chcemy i czego oczekują ludzie, którzy mieszkają w różnych regionach. Natomiast, w jaki sposób dogadać się, w jaki sposób skoordynować – to są sprawy techniczne. Mamy na to dwa lata. Jeśli przez dwa lata telewizja regionalna nie padnie, to ma szansę kwitnąć przez najbliższe 50–100 lat.

Mamy nadzieję, że marszałkowie nie tylko Śląska, Małopolski, Opolszczyzny i Łodzi podejmą temat. Może starostowie, którzy byli na naszej konferencji też wpłyną na władze samorządowe. Wspólnymi siłami będziemy próbować wywierać taki nacisk i tak kształtować opinię publiczną, żeby nie udało się zlikwidować mediów regionalnych. Nie pójdą pod młotek tylko dlatego, że działania zakulisowe, nieudolność i kardynalne błędy klasy politycznej doprowadziły publiczne media do ruiny finansowej.

Szanowni Państwo Radni Rady Warszawy

W związku z dramatyczną sytuacją finansową TVP Warszawa zwracam się do Państwa z prośbą o wsparcie naszych wysiłków w próbach pozyskania środków na dalszą produkcję codziennego programu kulturalnego „Qadrans Qltury".

Jest to jedyny telewizyjny program kulturalny, który ukazuje się codziennie (o 8.45 i 18.30), skutecznie organizując widownię warszawskich teatrów, scen muzycznych, kin, galerii, muzeów. Często krytykuje się telewizję za to, że spycha problematykę kulturalną do narożnika, rezygnuje z audycji lub emituje w porach nocnych.

W TVP Warszawa udało się stworzyć **codzienne pasmo kulturalne, w porze najlepszej oglądalności,** co stanowi dla nas źródło największej satysfakcji.

Program emitujemy od trzech lat na antenie TVP Warszawa. Szybko zyskał sobie wierną widownię. **„Qadrans Qltury"** adresowany jest do młodego widza (choć pokochali go także 40- i 50-latkowie). Realizowany w nowoczesnej formule, niekoturnowy, przedstawia propozycje „na dziś", wciąga do uczestnictwa w wydarzeniach kulturalnych.

Powodzenie tego przedsięwzięcia dowodzi, że najlepszym kanałem dotarcia do publiczności i zainteresowania problematyką kulturalną jest stacja lokalna. Dostarczamy nie tylko ogólnej wiedzy o wydarzeniach, ale kreujemy popyt na kulturę i podpowiadamy, jak go zaspokoić tu i teraz. Konwencja, którą przyjęliśmy, pozwala dotrzeć do młodego pokolenia, pobudzać i kształtować jego potrzeby kulturalne.

Przedstawiamy propozycje kultury wysokiej i popularnej. **W każdym odcinku „Qadransa Qltury" rekomendujemy dwa spektakle teatralne, dwie wystawy plastyczne, dwa filmy (nie tylko premiery, ale i pokazy klubowe, festiwalowe, przeglądy), dwie płyty lub książki i dwie najciekawsze imprezy klubowe. QQ ukazuje się codziennie od poniedziałku do piątku. Wydanie sobotnie – „Qltura" przedstawia propozycje weekendowe. Jest to zarazem wydanie pogłębione, rozszerzające wątki recenzenckie.**

Pasmo pokazuje bogactwo i energię życia kulturalnego stolicy. „Qadrans Qltury" stara się tę energię podsycać i promować „konsumowanie" kultury na co dzień, pokazując, że Warszawa nie jest jedynie największym skupiskiem ludzi, instytucji, biznesu i problemów komunikacyjnych, ale także możliwości, które tworzą najlepszą stronę ludzkiego życia.

„Qadrans Qltury" ma stałą widownię, która sięga nawet 120 tys. widzów w paśmie popołudniowym i ponad 50 tysięcy w paśmie porannym. Jesteśmy liderami na całym Mazowszu.

* * *

Katastrofalny spadek wpływów z abonamentu sprawił, że w roku 2010 z tego publicznego grosza nie jesteśmy w stanie pokryć kosztów technicznych emisji i obowiązkowych składek na rzecz ZAIKS i ZASP. Otrzymaliśmy abonament o ponad 50% mniejszy niż w roku 1999. Nie ma pieniędzy na produkcję programów. Zawiesiliśmy produkcję większości audycji. Drastycznie ograniczyliśmy wydawanie programów interwencyjnych, skupiamy się na podtrzymaniu **„Telewizyjnego Kuriera Warszawskiego"** – programu z 51-letnią tradycją. Serwisy informacyjne i interwencje nie mogą być audycjami sponsorowanymi – ze względów oczywistych.

Ale możemy wspólnie ocalić pasmo kulturalne, które jest najgodniejszą formą promocji stolicy, pokazuje najlepszą stronę życia naszego miasta. Zaniechanie emisji byłoby wymierną stratą nie tylko dla telewidzów, ale także stołecznych instytucji, które potrzebują informacji i promocji własnego repertuaru.

Razem z zespołem młodych dzielnych entuzjastów, redagujących „Qadrans Qltury", zwróciliśmy się z prośbą do Pani Prezydent Warszawy o objęcie mecenatem i wsparcie finansowe naszych wysiłków (pismo z 12 stycznia 2010 r.). Sprawa jest bardzo pilna, od lutego program może spaść z anteny, jeśli nie pozyskamy środków na produkcję.

Zwracamy się do wszystkich radnych Rady Warszawy o poparcie naszych starań.

Zapraszamy stolicę Polski do koprodukcji codziennego pasma kulturalnego w TVP Warszawa.

Z wyrazami szacunku

Aleksandra Zawłocka
p.o. dyrektora TVP Warszawa

Warszawa, 26 stycznia 2010 r.

List od Rady Programowej TVP Katowice

Szanowny Pan Romuald Orzeł, Prezes TVP SA

Wyrażamy stanowczy protest przeciwko próbom faktycznej likwidacji Ośrodka TVP w Katowicach. Próba arbitralnego podziału na ośrodki emisyjne i produkcyjne niepoparta jakąkolwiek analizą zarówno techniczną, ekonomiczną, jak i socjologiczną i medioznawczą jest działaniem przeciwko społeczeństwu obywatelskiemu i może nosić wręcz znamiona działania na szkodę spółki. Tak jak utworzenie przed 10 laty, wbrew opiniom medioznawczym, pasma wspólnego doprowadziło do marginalizacji ośrodków regionalnych TVP, tak teraz planowana „reforma" doprowadzi do ich likwidacji. Ma się to odbyć tuż przed procesem cyfryzacji, który umożliwi ośrodkom regionalnym TVP nadawanie nawet całodobowego programu własnego.

Zawłaszczenie programu regionalnego odbyło się z pogwałceniem ustawy o radiofonii i telewizji. Pod koniec lat 90. ub.w. Telewizja Katowice nadawała jeszcze całodobowy program, w tym kilkanaście godzin własnego – premierowego.

Katowicki ośrodek ma własny budynek, w pełni dostosowany do funkcji produkcyjno-emisyjnej. Dysponuje trzema studiami: 42, 110 i 400 m^2. Produkcja studyjna prowadzona jest w systemie cyfrowym i może być prowadzona w dwóch formatach wymiarów obrazu – standardowym 4:3 i szerokoekranowym 16:9. Zapis wizji odbywa się w formatach Digital Betacam, Betacam SP, DVC-Pro, xDCAM. Zestawy montażowe (liniowe i nieliniowe) umożliwiają realizację montażu o różnym stopniu trudności.

TVP Katowice ma jedno z najnowocześniejszych w Polsce zapleczy transmisyjnych – duży, 9-kamerowy wóz cyfrowy oraz nowy wóz satelitarny. Profesjonalizm obsługi wozów doceniany jest nie tylko w regionie – TVP Katowice obsługuje transmisje wielu dużych wydarzeń na terenie całego kraju (zawody narciarskie w Zakopanem, koncerty w Krynicy i w Kielcach, uroczystości w Oświęcimiu, wyścigi na Służewcu etc.).

TVP Katowice istnieje od 53 lat i posiada drugie po Warszawie zasoby archiwalne, w przeważającej większości opisane i sklasyfikowane. Zbiory składowane są w nowoczesnych i przystosowanych pomieszczeniach. Od 3 lat trwa proces digitalizacji najstarszych zbiorów, od stycznia 2010 roku finansowany w ramach projektu unijnego.

Zbudowany w kilku ostatnich latach młody zespół dziennikarski odnosi niekwestionowane sukcesy: katowiccy reporterzy w latach 2008–2009 zrealizowali ponad 3000 przekazów na żywo do ogólnopolskich programów informacyjnych, co jest absolutnym rekordem na tle innych ośrodków regionalnych. Co czwarty materiał emitowany w ogólnopolskich dziennikach TVP był w tym czasie wyprodukowany w Katowicach. W latach 2007–2009 TVP Katowice zrealizowała prawie 300 dużych transmisji sportowych dla TVP Sport i innych ośrodków regionalnych, m.in. zawody Pucharu Świata w skokach narciarskich (dla porównania – w roku 2006 takich transmisji było 30).

Przed trzema laty stworzono redakcję reportażu i dokumentu. To właśnie z tej grupy młodych reporterów i dokumentalistów materiały filmowe uzyskały wiele prestiżowych nagród i wyróżnień w konkursach krajowych i międzynarodowych. Większość z nich została wyemitowana przez anteny ogólnopolskie TVP. Wszystkie dotyczyły naszego regionu. Co trzeci reportaż emitowany na antenie ogólnopolskiej powstał w OTV Katowice.

Promowane są młode talenty – zatrudniani są w ośrodku katowickim TVP studenci i absolwenci Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Ich etiudy emitowane są cyklicznie na antenie TVP Katowice.

W porozumieniu z Radą Programową zadbano o jakość i misyjność programów poprzez utworzenie grup kolaudacyjnych, składających się z wysokiej klasy dziennikarzy i redaktorów.

Reaktywowano programy w gwarze śląskiej oraz koncerty dla publiczności, cieszące się ogromną popularnością i wpisujące się w misję publicznej telewizji regionalnej.

Przyjęto za priorytet ośrodka budowanie pozytywnego wizerunku Śląska i Zagłębia – organizowano debaty wokół ważnych dla regionu tematów, z udziałem Marszałka, Wojewody i przedstawicieli samorządów („Noc dla Śląska"). TVP Katowice stale współpracuje z Urzędem Wojewódzkim i Urzędem Marszałkowskim – zrealizowała m.in. film o zabytkowym gmachu Urzędu Wojewódzkiego, film o Wojciechu Korfantym, cykl debat o funduszach unijnych. Przygotowuje się do produkcji dokumentu na 30-lecie Śląsko-Dąbrowskiej Solidarności.

Rocznie na antenach ogólnopolskich TVP (Pr. I, II, Info, Kultura, Historia, Polonia) ukazuje się kilkadziesiąt audycji wyprodukowanych bądź koprodukowanych przez TVP Katowice. Prawie wszystkie są tematycznie ściśle związane w naszym regionem.

Ośrodek wspiera inicjatywy ważne dla społeczności województwa śląskiego poprzez aktywne uczestnictwo w wydarzeniach społecznych i kulturalnych w regionie, współorganizowanych m.in. z katowickim oddziałem IPN, Filharmonią i Operą Śląską, Teatrem Śląskim i Teatrem Rozrywki, Kurią Metropolitalną w Katowicach, samorządami miast, Uniwersytetem Śląskim, Akademią Muzyczną, Politechniką Śląską, Akademią Ekonomiczną, Hospicjum w Mysłowicach, Fundacją dla dzieci z chorobami nowotworowymi „Iskierka", Fundacją Urszuli Jaworskiej, Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu, Fun-

dacją Rozwoju Kardiochirurgii, Centrum Onkologii w Gliwicach, Śląskim Bankiem Żywności, Stadionem Śląskim, Komendą Wojewódzką Policji i Straży Pożarnej, Wojewódzkim Urzędem Pracy, Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska, Zespołem Pieśni i Tańca „Śląsk", konsulatem Słowenii, konsulatem Czech, Wojewódzką Stacją Krwiodawstwa.

TVP Katowice promuje „małe ojczyzny" poprzez wprowadzenie do ramówki programów poruszających problemy mniejszych miejscowości województwa śląskiego („Tygodnik Regionalny") oraz zbudowanie zespołu redakcyjnego w Rybniku i wyposażenie wszystkich redakcji zamiejscowych (Częstochowa, Bielsko-Biała, Rybnik) w łącza światłowodowe.

Ściśle współpracuje z samorządami w regionie, m.in. przy produkcji cyklicznych „Kronik Miejskich", będących źródłem informacji o społecznościach lokalnych.

Ośrodek współpracuje z regionalnymi mediami, organizując wspólne przedsięwzięcia mające na celu promocję regionu („Noc dla Śląska", sylwester, plebiscyty na najważniejsze wydarzenia w regionie etc.)

Utrzymuje też kontakty międzynarodowe (współpraca z TV Ostrava – wymiana materiałów programowych, wspólny projekt unijny).

Pomimo pojawienia się konkurencji – pierwszej w Polsce prywatnej telewizji regionalnej TV Silesia – ośrodek utrzymał silną pozycję rynkową (oglądalność TVP Katowice w zasięgu regionalnym przewyższa o 150% zasięg TVP Silesia w zasięgu ogólnopolskim, dane OBOP styczeń 2010 r.).

TVP Katowice uzupełnia niedobory abonamentowe przychodami zewnętrznymi – między innymi przez pozyskiwanie środków unijnych (4 duże projekty o wartości 5 mln zł i kilkanaście mniejszych w latach 2006–2009) i produkcje komercyjne. Wysokość przychodów reklamowych i sponsorskich lokuje TVP Katowice w pierwszej trójce ośrodków regionalnych – razem z OTV Poznań i OTV Warszawa.

Ośrodek otrzymał wysokie oceny audytu technicznego dokonywanego przez Biuro Technologii i Inwestycji TVP SA, pozytywne wyniki okresowych kontroli wykonywanych przez audyt wewnętrzny TVP SA i pozytywną ocenę niezależnych obserwatorów OBWE w czasie ostatnich wyborów do parlamentu.

W celu zapewnienia ośrodkowi ścieżki rozwoju poprzedni dyrektor, Miłosz Stawecki, opracował projekt tzw. telewizji metropolitalnej, czyli telewizji regionalnej nadawanej całodobowo drogą satelitarną. Projekt ten umożliwiłby silną pozycję finansową i programową TVP Katowice w procesie cyfryzacji.

Na początku 2010 roku kierownictwo ośrodka podjęło wiele działań mających na celu dostosowanie budżetu do drastycznie malejących wpływów z abonamentu. Działania te miały na celu – z jednej strony – maksymalne oszczędności, a z drugiej – zachowanie możliwie niezmienionej ramówki, tak aby nie stracić widzów i reklamodawców i zachować pełną zdolność ośrodka do produkcji materiałów na anteny centralne.

Warto zwrócić też uwagę na to, że projekt faktycznej likwidacji ośrodka TVP Katowice pozbawi regionalnej oferty programowej społeczeństwo, które można porównywać ze średnim państwem europejskim (w zakresie liczebności).

Województwo śląskie zajmuje powierzchnię 12 334 km^2, co stanowi 3,9% powierzchni Polski. Mieszka tu 4,65 mln osób, co stanowi 12,18% ludności kraju.

W populacji mieszkańców województwa śląskiego udział ludności w wieku przedprodukcyjnym wynosi 17,6%, w wieku produkcyjnym 65,5%. Udział ludności w wieku produkcyjnym w porównaniu z udziałem tejże ludności na terenie całego kraju jest wyższy o 1 punkt procentowy.

Na bazę kulturalną województwa śląskiego składa się 1349 instytucji i placówek kultury, w tym teatry (jak np. Śląski i Rozrywki), Opera Śląska w Bytomiu, Teatr Muzyczny w Gliwicach, Filharmonia i NOSPR.

Województwo śląskie znajduje się wśród największych w kraju ośrodków naukowych i akademickich – działa tu 46 samodzielnych szkół wyższych i 34 filie. To właśnie w Katowicach Uniwersytet Śląski posiada jedyny w Polsce Wydział Radia i Telewizji, który jest naturalnym zapleczem kadrowym dla ośrodka.

Upowszechnianie dziedzictwa kulturowego wraz z gromadzeniem, przechowywaniem, konserwacją oraz udostępnianiem zbiorów jest wpisane w statutową działalność 6 muzeów oraz Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach. Biblioteka Śląska w Katowicach jest wojewódzką biblioteką publiczną o statusie naukowym. Jej zbiory współtworzą Narodowy Zasób Biblioteczny.

Województwo śląskie jest prawdziwą kopalnią talentów sportowych: mamy 31 tytułów mistrza Polski w piłce nożnej, medale krajowych mistrzostw wywalczone przez naszych koszykarzy, hokeistów, siatkarzy, siatkarki, piłkarzy i piłkarki ręczne, medalistów olimpijskich. W naszym województwie mamy ponad 40 klubów pierwszo- i ekstraligowych w różnych dyscyplinach sportu.

Plany faktycznej likwidacji Ośrodka TVP Katowice niepokojąco zbiegają się ze staraniami Katowic i pozostałych miast aglomeracji górnośląskiej o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Przygotowywane są również nowatorskie rozwiązania ustawowe, których celem jest utworzenie metropolii górnośląskiej jako posiadającej osobowość prawną jednostki samorządu terytorialnego. Plany Zarządu TVP oznaczają zatem pozbawienie mieszkańców tych miast możliwości komunikowania się za pośrednictwem publicznej telewizji w istotnych dla nich sprawach ich małej ojczyzny, w krzewieniu rodzimej kultury, a także podcinają na starcie te cenne oddolne inicjatywy. Nie pierwszy to raz mieszkańcy województwa śląskiego są tak lekceważąco pozbawiani podmiotowości przez „Warszawę" i traktowani w tak oburzający sposób!

WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE ZASŁUGUJE NA SILNY OŚRODEK REGIONALNY TELEWIZJI POLSKIEJ!

Rada Programowa TVP Katowice,
J. Jadwiga Chmielowska,
przewodnicząca

Katowice, 22 lutego 2010 r.

Szczyt marnotrawstwa – choć od 12 lat wszyscy o tym wiedzą – stary ośrodek TV przy ul. Sobótki zamienia się w ruinę









Przy ul. Czyżewskiego zbudowano nowy i... stoi w 50% pusty







Komentarz do wstępnych założeń do nowej ustawy medialnej[1]

Piotr Bielawski

Podstawowe pytania dotyczące Polskiego Radia i TVP, na które nie padają odpowiedzi, powinny opierać się na trosce o państwo i muszą być zadane ze świadomością, że nasza sytuacja: polityczna, gospodarcza, a zwłaszcza społeczna, zasadniczo różni się od tej w Europie Zachodniej. Uważa się powszechnie, że media mają ogromny wpływ na kształtowanie rzeczywistości, ale zakłada się – często podświadomie – że wolne media są strażnikiem demokracji i jednoznacznie pozytywnie na nią oddziałują. Czy jest to prawda? W ostatnich dwudziestu latach w Polsce obserwujemy proces degradacji etycznej środowiska dziennikarskiego i poziomu uprawiania tej profesji. Jednym z przejawów tego procesu jest utożsamianie przez dziennikarzy wolności słowa z brakiem odpowiedzialności. Drugim, nie tyle prymat biznesowy przed zasadami uprawiania profesji dziennikarskiej, co stworzenie mechanizmów, które w bliskiej perspektywie stawiają te dwa aspekty w kolizji. Rzetelność dziennikarska w takiej sytuacji jest nieopłacalna finansowo, w interesie mediów jest schlebianie najgorszym gustom i ich utrwalanie. O dłuższej perspektywie, o szczególnych zadaniach „społecznych" prasy, radia i telewizji się nie myśli. Po 1989 r. stworzono warunki do takiej prywatyzacji mediów w Polsce, która w efekcie przyniosła likwidację znacznej liczby regionalnych tytułów i marginalizację tych, które pozostały na rynku. Regulacje prawne kształtujące rynek medialny były zapewne poprawne od strony legislacyjnej, ale nie brały pod uwagę licznych głosów środowiska dziennikarskiego, którego przedstawiciele zdawali sobie sprawę z zagrożeń, jakie niosą ze sobą nowe przepisy kształtujące sposób funkcjonowania mediów. Np. dopuszczenie możliwości sieciowania regionalnych i lokalnych stacji radiowych i telewizyjnych doprowadziło do likwidacji lub zmarginalizowania lokalnego znaczenia mediów elektronicznych, które powstały w latach 90. ub.w. Zakaz rozłączania pasma przez RFM FM, wydany przez KRRiT, spowodował likwidację doskonale funkcjonujących redakcji regionalnych tego radia.

Budowania od nowa wymaga cały rynek medialny w Polsce. Próbujemy wprowadzać rozwiązania, które powstały w zachodniej Europie, ale powinniśmy mieć świadomość, że bezrefleksyjne naśladownictwo musi prowadzić do wprowadzania regulacji, które przyniosą – tak jak tam – negatywne efekty, zwielokrotnione przez inną rzeczywistość mentalną i ułomności demokracji w Polsce. Ograniczając się do jednego tylko przykładu, który powinien być dla nas inspirujący przy pracy nad nową ustawą dotyczącą radiofonii i telewizji: Wielka Brytania formalnie uznaje naziemne telewizje prywatne za komercyjnych nadawców publicznych, ustawowo nakładając na nich wiele tych samych obowiązków, co na BBC, w zamian za zwolnienie z opłaty za wykorzystywanie częstotliwości (jednak bez prawa do finansowania z abonamentu)[2]. Ustawa zawetowana skutecznie przez Prezydenta RP miała wprowadzić możliwość finansowania produkcji stacji komercyjnych z pieniędzy przeznaczonych na działalność tzw. mediów publicznych – usiłowano więc wprowadzić regulację symetrycznie odwrotną do brytyjskiej, sprawdzonej i bez najmniejszych wątpliwości sensownej. Pieniądze z budżetu państwa, w nowej formule KRRiT, miały znaleźć się w jej dyspozycji[3]. Proponowano instrument, jakim miały być licencje programowe umożliwiające – z jednej strony – przekazywanie pieniędzy stacjom komercyjnym, z drugiej – ingerowanie w programy nadawców publicznych[4]. Należy się spodziewać, że nowy projekt ustawy medialnej przygotowywany w Ministerstwie Kultury będzie zmierzał ponownie w kierunku sprowadzenia mediów publicznych do roli nadawcy programów produkowanych na zewnątrz i banku wypłacającego pieniądze. A jest oczywiste, że media publiczne, jeśli mają odgrywać szczególną rolę także w środowisku dziennikarskim, powinny wrócić do systemu redakcyjnego, a swój program oprzeć przede wszystkim na własnych materiałach.

Ale podstawowym pytaniem – zanim przejdziemy do kwestii szczegółowych – jest to: do czego media publiczne w kraju takim jak Polska są potrzebne? Niewątpliwe PR i TVP mogły i mogą być katalizatorem, który przyspieszy pozytywne zmiany w kraju. Sporo mówi się o tożsamości lokalnej i regionalnej, o małych ojczyznach, o tym, że fundament zdrowego, demokratycznego państwa powinien opierać się na dobrze funkcjonujących, świadomych swojej siły, tradycji i wartości, społecznościach regionalnych i lokalnych. Coraz rzadziej wspomina się w tym kontekście regionalne stacje Polskiego Radia i TVP S.A. przecież media publiczne mogłyby znakomicie wpływać na dojrzewanie demokracji w swoich regionach. Powinny działać na rzecz dokonywania świadomych wyborów poprzez dostarczanie informacji o osobach ubiegających się o sprawowanie funkcji publicznych. Powinny też prezentować ludzi mających niekwestionowane osiągnięcia, z których część uzyskałaby status autorytetu osiedlowego, gminnego etc. I powinny być również ważnymi, szanowanymi instytucjami – „punktem odniesienia", których prestiż musi wynikać z jakości emitowanego programu i jego znaczenia dla społeczności lokalnych i regionalnej. Anteny ogólnopolskie Polskiego Radia i TVP powinny przekazywać informacje, których coraz wyraźniej brakuje w mediach

publicznych i komercyjnych, dotyczące sfery politycznej, gospodarczej i „wysokiej" kultury. Trzeba zauważać, że media wypełnione są wiadomościami, które nie mają żadnego znaczenia dla rozwoju lokalnego, regionalnego i państwa. Ten informacyjny szum odwraca uwagę społeczeństwa od spraw istotnych, uniemożliwia tworzenie podstaw dojrzałej demokracji. Nie pozwala także na własne oceny wydarzeń i procesów mających istotny wpływ na naszą rzeczywistość. Tej sytuacji nie mogą zmienić tzw. media publiczne funkcjonujące wedle dotychczasowych zasad. Taki mechanizm „rynkowy" powoduje systematyczne upodabnianie się PR i TVP do stacji komercyjnych, media publiczne dostosowują swoje programy do obowiązujących reguł gry, a z faktu ich częściowego finansowania z publicznych pieniędzy niewiele wynika.

Misja mediów publicznych powinna uwzględniać dwa aspekty. Po pierwsze, PR i TVP muszą być mediami przekazującymi ważne informacje, które muszą być rzetelnie i profesjonalnie przygotowane, muszą je na dobrym poziomie komentować, muszą też szczególnie dbać o publiczność wykształconą, zdolną do formułowania własnych opinii. Ta część radiosłuchaczy i telewidzów może przecież swoją wiedzę i oceny przekazywać w naturalny sposób własnemu otoczeniu. Po drugie, trzeba wyraźnie określić powinności anten ogólnopolskich i regionalnych, zasady ich współpracy, a zwłaszcza kryteria dotyczące wymiany materiałów pomiędzy antenami regionalnymi[5].

Wiemy, że studia dziennikarskie mogą jedynie dać wyobrażenie o tej profesji. W mediach publicznych trzeba przywrócić system redakcyjny i radykalnie ograniczyć produkcje zewnętrzne, które niesłusznie uchodzą za tańsze. Ten „tradycyjny" system umożliwi kształcenie młodych dziennikarzy na zasadzie sprawdzonego przez pokolenia terminowania u mistrza. Wspominane już licencje programowe są rozwiązaniem, które przypieczętuje likwidację takiej możliwości zdobywania umiejętności dziennikarskich i uniemożliwią rozwój mediów publicznych w taki sposób, by stały się wzorem uprawiania profesji. Trzeba sobie uświadomić, że Polskie Radio i TVP, choć w powszechnej opinii powinny funkcjonować w sposób wyraźnie inny od pozostałych mediów, podporządkowane są regułom, które określa status spółek prawa handlowego i podstawowym kryterium ich oceny jest wynik finansowy. Tymczasem media publiczne zostały powołane po to, by spełniały w państwie szczególną rolę, a ich finansowanie z publicznych pieniędzy w sposób niezależny od doraźnych decyzji parlamentu – ma im to umożliwić. Z tego względu logika funkcjonowania PR i TVP musi być podporządkowana przygotowywaniu programów na wysokim poziomie, to właśnie poziom programu powinien być podstawowym kryterium oceny działalności publicznych radiofonii i telewizji. Licencje programowe, które zaproponowano w poprzedniej ustawie miały – wedle deklaracji jej autorów – umożliwić finansowanie mediów publicznych z budżetu, a Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji miała w tym względzie pełnić podobną rolę do NFOZ wobec placówek służby zdrowia. Najprawdopodobniej usiłowano znaleźć rozwiązanie, które – z jednej strony – zapewniłoby finansowanie mediów publicznych z budżetu w sposób zgodny z prawem UE, z drugiej – umożliwiałoby pełną kontrolę ekipy rządzącej PR i TVP[6], a więc ingerencję w ramówkę i treść emitowanych materiałów za pośrednictwem KRRiT.

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji powinna funkcjonować w profesjonalnym komforcie. Jej decyzje powinny być podejmowane przez ludzi, którzy znają profesję dziennikarską oraz logikę funkcjonowania radia i telewizji. W skład KRRiT powinny być powoływane osoby legitymujące się przynajmniej pięcioletnim doświadczeniem dziennikarskim w radiu lub telewizji (stacje regionalne lub ogólnopolskie), legitymujący się dorobkiem w swoim zawodzie[7]. Dodatkowym atutem kandydata ubiegającego się o miejsce w KRRiT byłoby doświadczenie (wykształcenie) z dziedziny zarządzania, ekonomii lub prawa). Kandydatów powinny rekomendować stowarzyszenia twórcze, które współpracują z rozgłośniami radiowymi i stacjami telewizyjnymi – głos stowarzyszeń dziennikarskich powinien, z oczywistych względów, mieć szczególną wagę. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nie powinna mieć żadnej możliwości bezpośredniego ingerowania w program. Jej interwencje powinny dotyczyć jedynie naruszania obowiązków określonych w misji mediów publicznych i zapisanych w ustawie o radiofonii i telewizji.

Rady programowe funkcjonujące w PR i TVP, jeśli miałyby funkcjonować tak jak dotychczas, powinno się zlikwidować. Ich, w znacznym stopniu przypadkowy skład personalny, nieokreślone uprawnienia powodują, że tylko w wyjątkowych okolicznościach pełnią pożyteczną rolę. Natomiast wydaje się, że głos doradczy jest szefom rozgłośni i telewizji potrzebny. Należałoby więc określić, kto w takich radach może zasiadać i rozszerzyć uprawnienia rad programowych. Proponuje się[8] żeby kandydaci legitymowali się przynajmniej pięcioletnim dorobkiem dziennikarskim (prasa, radio i/lub telewizja) lub pracą w instytucjach kultury, jednakże wskazane byłoby żeby w radach dominowali dziennikarze. Rekomendacje powinny być udzielane kandydatom przez stowarzyszenia twórcze na takich samych zasadach, jak w przypadku KRRiT. Rady programowe powinny opiniować kandydatury na członków zarządów mediów publicznych – negatywna opinia 3/4 danej rady powinna wykluczać możliwość powołania kandydata przez radę nadzorczą. Opinia rady na temat programu powinna być przedmiotem zainteresowania RN oraz KRRiT podczas oceny pracy zarządu i kondycji danej rozgłośni lub stacji TVP. Rada programowa swoją ocenę przedstawiałaby w formie „absolutorium programowego", które byłoby zatwierdzane przez KRRiT (KRRiT nie może udzielić takiego absolutorium). W przypadku negatywnej oceny rady programowej, RN byłaby zobligowana do wyciągnięcia wniosków personalnych wobec zarządu. Odrzucić należy propozycje zmniejszenia liczby członków rad orogramowych, które *de facto* funkcjonują na zasadach wolontariatu. Jeśli będą w nich zasiadały osoby z odpowiednimi kwalifikacjami, ten dość duży skład zapewni ocenę i dezyderaty dotyczące programu z różnych punktów widzenia.

Prezesi radiofonii i telewizji publicznej powinni legitymować się przynajmniej pięcioletnim doświadczeniem dziennikarskim w radiu lub telewizji regionalnej albo ogólnopolskiej oraz dorobkiem w swojej profesji, który byłby także przedmiotem oceny odpowiedniej rady programowej. Wydaje się, że jedynym rozwiązaniem, które zapewni autonomię programową OTV jest usamodzielnienie stacji regionalnych TVP (taka sytuacja jest w Polskim Radiu). Uznając dzisiejszą strukturę TVP za tymczasową, należałoby – na wskazanych wyżej zasadach – uznać opinie rad programowych OTVP za obligatoryjną dla zarządu TVP, który powołuje dyrektorów ośrodków. Szefowie stacji radiowych i telewizyjnych powinni być równocześnie redaktorami naczelnymi. Zarządy mediów regionalnych powinny składać się z trzech osób: redaktora naczelnego, zastępcy redaktora naczelnego i wiceprezesa (wicedyrektora) ds. finansowych. W przypadku zastępcy redaktora naczelnego kryteria oceny kandydata powinny być identyczne, jak w przypadku prezesa (dyrektora) = redaktora naczelnego. Kandydaci na szefa zarządzającego finansami powinni spełniać kryteria, które stawiane są przy powierzaniu tego typu stanowisk we wszystkich firmach.

System redakcyjny powinien ograniczyć liczbę produkcji zewnętrznych w mediach publicznych. Zarządy mediów publicznych powinny równocześnie podjąć starania o powrót doświadczonych dziennikarzy do PR i TVP, którzy odeszli lub zostali zmuszeni do odejścia ze stacji, w których pracowali. Wielu z nich jest w pełni sił twórczych i mogą być nauczycielami oraz mistrzami dla adeptów dziennikarstwa. Trzeba mieć na uwadze fakt, że z powodów biologicznych konieczny jest pośpiech. Media publiczne powinny reprezentować najwyższy poziom profesji, a będzie to możliwe wyłącznie w sytuacji wykorzystania kadry, której nie trzeba tłumaczyć, że w mediach publicznych najważniejszy jest program. Nie oznacza to, oczywiście, lekceważenia rachunku ekonomicznego.

Abonament radiowo-telewizyjny ma z dzisiejszego punktu widzenia jedną zaletę – pieniądze te nie mogą być przeznaczone przez rząd na inny cel. Jest jednak – wobec postępu technologii informacyjnych – anachroniczny, ponieważ opłaty te przywiązane są do posiadanego odbiornika. Niepłacenie abonamentu było formą protestu przeciwko patologii w PR i TVP. Nieodpowiedzialna zapowiedź zniesienia abonamentu spowodowała drastyczne zmniejszenie wpływów z tego tytułu. Konferencja Rad Programowych PR i TVP zaproponowała zmiany w sposobie finansowania mediów publicznych, odrzucając równocześnie propozycje rządu, który chce uzależnienia mediów publicznych także przez instrumenty ekonomiczne. Projektodawcy ustawy zamierzali uzależnić wysokość środków przeznaczanych na PR i TVP od decyzji parlamentu (a więc ekipy rządzącej) przy uchwalaniu ustawy budżetowej. I w tym przypadku należy się spodziewać próby przeforsowania takiej regulacji w ustawie przygotowywanej w Ministerstwie Kultury. Spośród rozwiązań zaproponowanych przez Konferencję RP PRiTVP na szczególną uwagę zasługują dwie: a) zastąpienie abonamentu daniną publiczną „ściąganą" przy rocznym zeznaniu podatkowym – ta danina mogłaby być niższa niż dzisiejszy abonament, ponieważ objęłaby wszystkich obywateli, b) wprowadzenie dodatkowego „celowego" podatku od reklam w rozgłośniach i telewizjach komercyjnych w zamian za usunięcie („zejście z rynku") reklamy z mediów publicznych. To drugie źródło finansowania mediów publicznych proponował kilka lat temu założyciel TVN, Mariusz Walter. Wysokość tego dodatkowego podatku powinna być negocjowana ze stacjami komercyjnymi. Te dwa rozwiązania mogą być zastosowane łącznie i zapewnić mediom publicznym realizowanie misji, która wreszcie powinna być sformułowana. Nadto, powinno się ustalić system podziału pieniędzy pomiędzy poszczególne rozgłośnie i stacje telewizyjne mediów publicznych. Dopiero taka sytuacja umożliwi powrót do pełnego spectrum form dziennikarskich w PR i TVP – np. reportaż, teatr radiowy etc.

Zmiany technologiczne stworzą mediom publicznym m.in. nowe możliwości funkcjonowania. Cyfryzacja, która dotyczy także stacji naziemnych, zlikwiduje dotychczasowy problem częstotliwości. Wydaje się, że najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby odłożenie przekształcenia oddziałów TVP w samodzielne stacje do czasu zrealizowania programu cyfryzacji. Ten czas należałoby wykorzystać do starannego przygotowania programu restrukturyzacji ośrodków – także, a może przede wszystkim – do samodzielności programowej (powrót do pełnej anteny). Konieczne jest również ustalenie zasad współpracy pomiędzy ośrodkami regionalnymi. Cyfryzacja umożliwiłaby także utrzymanie TVP Info w nowej formule – jako anteny będącej własnością 16 ośrodków regionalnych. Ustalenia wymaga też obecność ośrodków regionalnych PR i TVP na innych antenach ogólnopolskich.

I wreszcie problem archiwów PR i TVP – niestety, po części zniszczonych. Dostęp do zasobów archiwalnych powinien być bezpłatny dla wszystkich nadawców publicznych. Muszą pozostać w tych miejscach, w których są dzisiaj. Archiwalia byłyby dostępne nadawcom komercyjnym i producentom zewnętrznym odpłatnie – wyjątkiem byliby producenci realizujący zlecenie stacji publicznej.

Spółka prawa handlowego nie jest dobrą formułą dla mediów publicznych. Trzeba przygotować propozycje dobrego rozwiązania w tym względzie: to zadanie dla prawników i parlamentu.

Piotr Bielawski
dr nauk ekonomicznych

[1] Piotr Bielawski, Piotr Baron, Jadwiga Chmielowska i Katarzyna Giereło-Klimaszewska, *Założenia wstępne do nowej ustawy medialnej* – konspekt do konsultacji, Konferencja Rad Programowych PR i TVP, Wrocław–Katowice, maj 2009 r.

[2] Karol Jakubowicz, *Media publiczne – Początek końca czy nowy początek,* Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007, str. 188.

[3] Krajowa Rada, wyposażona w prawo do centralnego określania polityki programowej dla całego sektora mediów publicznych oraz do rozdzielania pieniędzy, czyli zarządzania mediami w trybie nakazowo-rozdzielczym, zyskuje w projekcie ustawy rangę Ministerstwa ds. Mediów albo – jak kto woli – Mediokomitetu. Przypisana ma być do niej Rada Programowa, która zastąpi wszystkie dotychczasowe Rady Programowe w całym kraju. Łatwo może się okazać, że PO – która jeszcze niedawno chciała KRRiT zlikwidować – przy współudziale SLD i PSL stworzyła monstrum.
Marek Cajzner, *Media usługowe*, w: „Dziennik", Warszawa 2 kwietnia 2009 r.

[4] Projekt ustawy o zadaniach publicznych w dziedzinie usług medialnych, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej – druk nr 1847, Warszawa 16 marca 2009.

[5]... współpraca i wymiana materiałów pomiędzy regionalnymi PR i OTV: ograniczenie wymiany do takiej, która ma podstawy merytoryczne (wspólny „mianownik" dla regionów, które mogą emitować materiał, np. dokument o osobie, która urodziła się w Białymstoku, a funkcjonuje we Wrocławiu).
Piotr Bielawski, Piotr Baron, Jadwiga Chmielowska i Katarzyna Giereło-Klimaszewska, *Założenia wstępne do nowej ustawy medialnej* – konspekt do konsultacji, Wrocław–Katowice, maj 2009.

[6] Projektodawcy ustawy najwidoczniej nie rozróżniają mediów publicznych od mediów państwowych. Ustawa nie zmierza ku odpolitycznieniu Polskiego Radia i TVP – jest to krok w przeciwną stronę.
Jadwiga Chmielowska (Rada Nadzorcza Polskiego Radia w Katowicach, Konferencja Rad Programowych PR i TVP), Posiedzenie sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu, Warszawa 16 kwietnia 2009.

[7] Należy podkreślić, kandydaci do KRRiT powinni legitymować się pracą jako dziennikarze. W rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu prezesem i redaktorem naczelnym przez pewien czas była osoba, która jako prezes zadebiutowała jako menedżer, zadebiutowała również jako radiowiec, pełniąc funkcję redaktora naczelnego. Podobnych, absurdalnych decyzji personalnych podjęto w mediach publicznych wiele, ale te osoby, kierujące PR i TVP, nie wykonywały zawodu dziennikarza, mimo że były zatrudnione w mediach publicznych.

[8] Piotr Bielawski, Piotr Baron, Jadwiga Chmielowska i Katarzyna Giereło-Klimaszewska, *Założenia wstępne do nowej ustawy medialnej – konspekt do konsultacji,* op. cit.

Zawracanie głowy



**Oto z Woronicza dochodzą słuchy, że mają powyrzucać z etatów dziennikarzy, operatorów i realizatorów.
Kiedy czytam o nędzy telewizji publicznej, staję się nerwowy.
Kiedy słyszę lament, że ludzie nie chcą płacić abonamentu, zgrzytam zębami. Kiedy słucham mądrali, z których każdy ma dziś receptę, jak wyciągnąć gasnącą na naszych oczach Telewizję Polską z postępującego niebytu, trafia mnie szlag.**

Waldemar Kosiński

Przepracowałem w telewizji publicznej z większymi lub mniejszymi przerwami (jak każdy prawie dziennikarz telewizyjny) dwadzieścia lat, połowę swojego dziennikarskiego żywota. Pracowałem w telewizji w początkowym okresie jej świetności, za czasów Macieja Szczepańskiego, wróciłem do niej wraz z przyjściem Andrzeja Drawicza, przeżyłem na własnej skórze kretyńskie reformy Roberta Kwiatkowskiego, a po nich proces „odzyskiwania" telewizji przez braci Kaczyńskich. I tutaj poległem, bez żalu.

Jeśli ktoś zechce mnie przekonać, że obecny sojusz telewizyjno-radiowy Sojuszu Lewicy Demokratycznej oraz Prawa i Sprawiedliwości nie jest gangreną porównywalną z próbą „zapobieżenia większemu złu" przez pewnego ponurego generała w ciemnych okularach, zacznę się zastanawiać, czy mam do czynienia z durniem, bęcwałem czy idiotą. O ile każda z tych dwóch formacji z osobna była w stanie doprowadzić Telewizję Polską do tego, czym jest obecnie, czyli wydmuszką z workiem długów, to teraz, wespół-zespół, są w stanie zrealizować wreszcie niespełniony postulat polskiej opozycji, która w niemej rozpaczy postulowała kiedyś wyrzucanie odbiorników telewizyjnych przez okno.

Nie wierzcie, że jest taka partia, że są tacy politycy, którzy „zwrócą narodowi" – jak sam słyszałem z sejmowej mównicy – media publiczne. Zwrócą, o ile się przedtem nimi zadławią, a gardła mają, niestety, przepastne. Posłużę się własną obserwacją, którą mogę nazwać obserwacją uczestniczącą.

Zanim na TVP rzuciły się dwa wygłodniałe brytany, SLD i PiS, pamiętam pierwsze kłapnięcie zębami czworonogów ze sfory Lecha Wałęsy. Jednego dnia w samo południe zjawił się w gabinecie śp. prezesa Drawicza ówczesny premier Bielecki wraz ze śp. Marianem Terleckim i jak opowiedział nam to wieczorem Drawicz, Bielecki podał mu dwa palce, poinformował, że dziękuje za służbę, a jego miejsce zajmuje z tą chwilą Terlecki. Nie musiał zresztą mu tego mówić, bo Terlecki już siedział za jego biurkiem i kręcił się w fotelu.

I już poleciało. Każde wahnięcie na szczytach politycznego Olimpu oznaczało przemeblowania w radiu i telewizji, brutalne, bezwzględne, bez oglądania się na jakiekolwiek zasady i dobro wspólne, którym miały być radio i telewizja. Każda kolejna ekipa przyprowadzała swoich, a pogarda dla coraz mniej licznych profesjonalistów, mogła być porównywana z tym, co cechowało hunwejbinów w stosunku do starej chińskiej inteligencji. To wtedy narodziło się powiedzenie, że księgowa musi coś umieć, a dziennikarką telewizyjną może zostać pierwsza lepsza panienka ściągnięta z ulicy: operator sfilmuje, montażysta zmontuje i fiu, już leci.

To wtedy zaczął się utrwalać w telewizji sojusz urzędniczo-polityczny eliminujący redaktorów i dziennikarzy. Zza biurek słychać było westchnięcia, że właściwie z dziennikarzami jest tylko kłopot, bo przecież program można kupić gdziekolwiek. Po cholerę to całe znerwicowane towarzystwo: wystarczy księgowy, kierownik produkcji, ktoś od emisji i nie ma marudzenia o niezależności dziennikarskiej, etyce i tego typu dyrdymałach, które tylko przeszkadzają robić telewizję dobrą, nowoczesną i oddaną słusznej sprawie.

Najpierw z żarem ZMP-owców wtargnęli do studiów przy Woronicza hunwejbini Walendziaka, dając przedsmak tego, co będzie za chwilę. Nie

matura, lecz chęć szczera i tak dalej. Poleciało; do dziś po różnych gazetach, rozgłośniach i stacjach telewizyjnych sieją strach hunwejbini dziennikarscy z tego zaciągu. Co nie udało się Walendziakowi, a przed nim Terleckiemu, Markiewiczowi, Zaorskiemu i Miazkowi, zrealizował wkrótce po nich Robert Kwiatkowski pod rozpostartym szeroko sztandarem Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Bądźmy jednak szczerzy: nie byłoby Roberta Kwiatkowskiego, gdyby przedtem Marek Markiewicz nie upichcił wespół z paroma innymi facetami, patrzącymi równie dalekowzrocznie, nowej ustawy o radiofonii i telewizji. Tworząc spółkę-hybrydę prawa handlowego, wydali Telewizję Polską na żer różnych obrotnych gości, a Kwiatkowski był pierwszym. Kwiatkowski wziął do pomocy Waltera Chełstowskiego, który stworzył tzw. system producencki w Telewizji Polskiej, czyli rozbił redakcje, podporządkował dziennikarzy kierownikom produkcji i zbudował podwaliny pod sieć producentów zewnętrznych, którzy opletli pajęczyną kryminogennych relacji z urzędnikami telewizyjnymi gmach przy Woronicza i ssą abonencką krew do dzisiaj. Po czym odszedł z telewizji publicznej i został szanowanym producentem zewnętrznym, pracującym głównie dla tejże telewizji i za jej pieniądze.

Właściwie nie powinienem narzekać, bo też miałem szansę; zrobiono mnie producentem, dano nawet jakieś pieniądze i przeszkolono do nowych zadań. Gorzej powiodło się moim kolegom: wpuszczono ich do zsypu, który nosił potem nazwę Zespołu Dziennikarzy w Agencji Produkcji Audycji Telewizyjnych i liczył prawie 200 osób. Nikt się nimi nie zajmował, nikomu nie byli potrzebni, zwłaszcza że bardzo szybko odstąpiono od zakazu robienia programów telewizyjnych przez redaktorów funkcyjnych w antenach, ludzi zaufania aktualnych ekip politycznych, szarogęszących się w gabinetach przy Woronicza. Od tego zaczął się upadek dziennikarstwa w Telewizji Polskiej. Wkrótce dotknął również producentów, szczególnie tych, którzy nie byli przedtem kierownikami produkcji i nie rozumieli, o co w tym mechanizmie chodzi, z kim należy podpisywać umowy produkcyjne, komu dać zarobić, a komu dać po dupie, bo nie szanuje porządku rzeczy. Jak było do przewidzenia, po jakimś czasie wróciłem więc do zawodu, czyli znów zostałem dziennikarzem telewizyjnym, czyli petentem we własnej firmie.

Zdawało się, że gorzej być nie może, chociaż z punktu widzenia spryciarzy od lewych interesów, TVP przeżywała wtedy finansowe prosperity. Ale oto jednego dnia SLD zwinął na Woronicza sztandary i po krótkiej przepychance, w której poległ Jan Dworak, do studiów telewizyjnych chorągwie Prawa i Sprawiedliwości wprowadził Bronisław Wildstein. Jak zwykle, poleciały głowy, jak zwykle, wtargnęła na telewizyjne korytarze szarańcza hunwejbinów, gotowa ściągać w ubikacjach wszystkim podejrzanym spodnie i zaglądać im między nogi. Zamiast czerwonej książeczki, mieli tzw. listę Wildsteina. Wszyscy biegaliśmy do IPN-u po dowód swojej aryjskości. Potem okazało się, że niepotrzebnie, bo żądania PiS-owskich włodarzy przy Woronicza okazały się bezprawne, ale to niczego nie zmieniało: i radio, i telewizję należało przecież oczyścić ze „złogów gierkowsko-jakichś tam", co się z grubsza udało. Radosną działalność Wildsteina kontynuował twórczo Andrzej Urbański, wywalając jednych i wprowadzając tabuny innych, którzy nie biegali może z listą Wildsteina po toaletach, za to kasowali duże pieniądze w imię „odkłamywania" i „odzyskiwania" telewizji dla tumanionego przez poprzednie reżimy narodu. Kiedy w kasie pokazało się dno, „Misję specjalną" podparto „Tańcem na lodzie", uznając, że propagowanie łyżwiarstwa jest też misją, chociaż nieco może inną.

To, co się dzieje teraz, mogą Państwo obserwować wraz ze mną na żywo, podzielając mój punkt widzenia albo nie, i wyciągnąć własne wnioski.

Jak było do przewidzenia, Telewizja Polska została rozparcelowana na dwa niezależne byty, połączone czapą wspólnego interesu, a tym interesem jest położenie łapy na czterech antenach, 16 ośrodkach regionalnych, kilku agencjach i masie innego dobra. Pod czapą kipi, bo chociaż posad do rozdysponowania jest grubo ponad cztery tysiące, to przecież nie wszystkie są jednakowo ważne. Kopiąc się wzajemnie po kostkach i wyrywając sobie co smakowitsze kąski z telewizyjnego tortu, w jednym wszakże obie formacje ideowe zdają się być zgodne; redagowanie programów w dobie zaostrzającej się walki klas (czytaj: zbliżających się wyborów) jest zadaniem zbyt odpowiedzialnym, żeby pozostawić je w rękach dziennikarzy i redaktorów.

Co nie udało się do końca Walendziakowi, Kwiatkowskiemu, Wildsteinowi i Siwkowi, kończą teraz ich następcy. W gabinetach na Woronicza tęgie polityczne głowy wymyśliły coś, co było dotąd tylko sennym marzeniem telewizyjnych urzędników, mianowicie robienie telewizji bez dziennikarzy, operatorów i realizatorów. Ktoś wpadł na szatański pomysł, żeby zwolnić wszystkich pracowników twórczych, zaproponować im współpracę poprzez firmy, które mogliby sobie sami przecież założyć i po kłopocie; nikt nie będzie pałętał się po telewizyjnych korytarzach i kombinował, jakby tu podrzucić świnię nowym dysponentom publicznych mediów. Producent zewnętrzny zje z ręki i jeszcze ją pocałuje. Będzie miło, ładnie i przyjemnie, parę ładniejszych prezenterek przecież ewentualnie pozostanie.

Nie wierzycie, Państwo? No to czeka Państwa jeszcze mnóstwo niespodzianek w nadchodzącym sezonie politycznym. Czytam wywiad z dr. Dudkiem z IPN, który na marginesie gorzkich żalów po wylaniu z TVP twórczyni „Misji specjalnej", mówi coś w tym sensie: TVP jest dla polityków zbyt cennym narzędziem, by ją sobie odpuścili. Zawsze będą w niej ludzie z politycznymi powiązaniami. Żeby tam przetrwać, musieli podczepiać się pod aktualne opcje. I rotacyjnie się wymieniają; to diabelski, zamknięty krąg. Na pytanie, jakie w takim razie jest wyjście, ten sympatyk PiS-u odpowiada językiem Tuska: sprzedać TVP zagranicznym inwestorom, zachować jeden kanał i oddać go politykom, którzy proporcjonalnie do liczby mandatów w Sejmie, brylowaliby sobie na małym ekranie przez siedem dni w tygodniu.

Co Państwo na to?

Może po prostu, nie dorośliśmy do telewizji publicznej z prawdziwego zdarzenia, bo przecież ci, którzy zasiadają w Sejmie i krają telewizję dla siebie i pod siebie, są emanacją społeczeństwa i znaleźli się tam z naszego

nieprzymuszonego wyboru. Czerpią z tego pełnymi garściami, nie myśląc o jutrze ani o „młodzieży chowaniu". To, co moje dzisiaj, to wiem, co będzie jutro, niech się martwią inni; dla nich telewizja jest tylko maszynką do kręcenia wyborczych lodów. Bez znaczenia są kolory sztandarów, pod którymi szturmują kruche mury przy Woronicza. Wszyscy wiedzą lepiej, na co wydać mój abonament. Dlatego proszę, nie walczmy o to, żeby ludzie płacili politykom oprócz pensji w Sejmie i Senacie, również za ich medialne zabawki. Niech sobie płacą sami i niech z własnych pensji utrzymują telewizyjną szarańczę, która na naszych oczach pożera ostatnich dziennikarzy, operatorów i realizatorów, jacy uchowali się po kilkakrotnych najazdach Hunów.

Telewizyjna szarańcza jest dziś wszędzie: na Woronicza i dookoła, na Wiejskiej i w okolicy. Dla higieny języka nazwałbym ją raczej stonką ziemniaczaną. Obsiadła różne ciała, które od kilkunastu lat zajmują się szukaniem recepty na chorobę, która żre coraz cieńszą tkankę mediów publicznych. Są żywotnie zainteresowani, żeby Telewizja Polska SA nie padła całkowicie, bo na moim abonamencie dorobili się fortun najpierw jako ważni ludzie w telewizji, a potem jako producenci zewnętrzni, którzy do dziś targają boleśnie za wymiona dojną krowę, jaką była i jest dla nich TVP. Kolor nie ma znaczenia, barwy partyjne są dyskretnie cieniowane, chociaż wiadomo: każda nowa ekipa na Woronicza ciągnie za sobą swoich i zaraz mamy upadek jednych seriali i cudowne narodziny innych, stare-nowe gęby na ekranie i tak dalej. Z tego powodu z dużą uwagą przyglądam się każdej nowej inicjatywie medialnej, zwłaszcza gdy jest ona oddolna i stoją za nią ludzie, którzy mają swój interes w okolicach ulicy Woronicza. Pojawił się nawet taki projekt, który z braku lepszego pomysłu zakłada losowanie jako sposób wyłonienia organu nadzorującego media publiczne. Państwo myślą, że to śmieszne? No, to nie znają Państwo poczucia humoru polityków w Polsce. Otóż czytam (a jest czwartek, 25 lutego 2010 roku), że nastąpiło ocieplenie kontaktów pomiędzy SLD i PO i Grzegorz Napieralski bywa w klubie u Grzegorza Schetyny, a premier Tusk ciepło mówi o nowym projekcie. A przecież nie powinien, bo – jak wiadomo – jest przeciwko hazardowi. Czy coś się za tym kryje? Owszem, jest projekt, o którym zawsze można powiedzieć, że spaskudził go ktoś inny, jest niedoszły koalicjant medialny, który w sojuszu PiS zdobył gmach przy Woronicza i teraz trzęsie się, że skończy jak Lepper, jest więc szansa, że w głosowaniu sejmowym opowie się za nową ustawą, w której wycyzelować trzeba jedynie zapis zamykający kadencję obecnych władz mediów elektronicznych. No, i będziemy mieć nową koalicję medialną: Platforma Obywatelska – Sojusz Lewicy Demokratycznej, zamiast SLD – PiS.

Jak z tego Państwo widzą, politycznie myślący polityk zawsze wybierze tych, którzy wiedzą, gdzie są trzymane konfitury i jak się do nich dobrać, a nie nadętych od nadmiaru poczucia swojej misji mediów publicznych dziennikarzy i redaktorów. Wystarczy szpilka i powietrze samo zejdzie. Zwolni się z telewizji dziennikarzy i nikt nie będzie obnosił się z misją, która nie jest misją politycznie pożądaną i na czasie. Przykro mi, ale nie potrafię się już wzruszyć. Ściskam Panu dłoń, doktorze Dudek. Edward Dziewoński by się uśmiał.

Waldemar Kosiński

Telewizyjnych wspomnień czar



Wiesław Stradomski

Istnieją szczytne wyjątki nieoglądających telewizji, która ponoć otumania i jest przebiegłym złodziejem czasu. Jednak wielu fascynuje, zaspokajając różne ich potrzeby: poznawania świata, uczestnictwa w odległych wydarzeniach, edukacji, domowego teatru, kina czy kabaretu. Nawyk oglądania ogranicza lub eliminuje nawyk czytania i tak kulturę druku zastępuje kultura gadającego obrazka z wszelkimi konsekwencjami dla psychiki i intelektu. Lecz postęp cywilizacyjny jest nieubłagany.

Nasza rodzima jedenasta muza – telemania – gdyż tak wypada określić patronkę elektronicznego medium wszelakich sztuk, nie doczekała się dotąd solidnego opracowania jej powstania i rozwoju w ojczyźnie Chopina i Kopernika, Maryli Rodowicz i Jana Pietrzaka. A zdążyła dorobić się wielu incydentalnych zdarzeń, speców od rozmaitych programów, idoli i audiowizualnych dziennikarzy, dla których kamera jest podstawowym narzędziem pracy.

Możemy się szczycić, że Polska należy do tych niewielu krajów, w których najwcześniej podjęto zabiegi nad zdalnie przesyłaniem dźwięczących obrazów. Inicjatywę uruchomienia przekazu telewizyjnego zawdzięczamy naszym naukowcom i inżynierom. Tymi pionierami byli dr Janusz Groszkowski, ówczesny dyrektor Państwowego Instytutu Telekomunikacyjnego (PIT) – mieszczącego się przy ulicy Ratuszowej 11 na warszawskiej Pradze, i współpracujący z nim inż. Lesław Kędzierski.

Zaczęli od badań nad mechaniczną analizą obrazu filmowego za pośrednic-

twem tarczy Nipkowa. Na świecie nie istniała jeszcze produkcja odpowiednich urządzeń dla tego celu, toteż nasi pionierzy musieli je wytwarzać we własnym zakresie. Prace te trwały w latach 1929–1935. Choć warto dodać, że badaniem nad transmisją telewizyjną zajmował się już w 1928 roku inż. Stefan Manczarski, uzyskując w roku następnym patent za „sposób telewizyjnego przesyłania obrazów za pośrednictwem drutu i radia" – patent nr 11 084. Urządzenie przez niego wykonane zakupiło Ministerstwo Poczt i Telegrafów i zademonstrowało je na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w tymże roku.

Do zaawansowanych przygotowań nad uruchomieniem telewizji włączono w 1936 roku Polskie Radio, mające rozbudowaną własną sieć nadawczą. Dążono do zbudowania telewizyjnej stacji nadawczej w Warszawie. Przed końcem roku całość przygotowań powierzono opiece inż. Władysława Cetnara, który – współpracując potem z inż. Kazimierzem Knoppe – prowadził je do wybuchu wojny w 1939 roku. Polska była jednym z nielicznych krajów uzyskujących wyniki pozytywne w tej złożonej tematyce technicznej.

Rezultatem tych działań było zainstalowanie w roku 1937 eksperymentalnej stacji nadawczej na 16. piętrze najwyższego wtedy budynku stolicy, należącym do Towarzystwa The Prudential Assurence Co. Ltd, znajdującym się na rogu ulicy Świętokrzyskiej i placu Napoleona (obecnie Powstańców Warszawy). Wynajęto 15. i 16. piętro wieżowca wraz z tarasem i częścią piwnic, w których umieszczono sześć przetwornic zasilających stację w energię elektryczną. Na 15. piętrze urządzono laboratorium telewizyjne, wyposażając je zarówno w urządzenia i przyrządy zakupione, jak i wytworzone we własnym zakresie.

W październiku 1937 roku uruchomiono nadajnik fonii, zaś w lutym 1938 roku nadajnik wizyjny. W czerwcu Polskie Radio otrzymało od PIT-u aparaturę analizującą obraz, działającą w systemie tarczowym przy 120 liniach, co umożliwiło jedynie nadawanie obrazów filmowych. 5 października przeprowadzono pierwszą próbę odbioru wizji przez sieć radiową, przy wykorzystaniu 17. metrowej anteny zamocowanej na tarasie Prudential.

Jednocześnie wykonano dwa odbiorniki telewizyjne: jeden do kontroli na stacji, zaś drugi dla odbioru pokazowego. Z początkiem roku 1939 skonstruowano następne dwa telewizory mogące odbierać obraz z większej odległości. Odbiorniki kontrolne umieszczono w budynku PIT-u na Ratuszowej, w rozgłośni Polskiego Radia przy Zielnej 25 oraz w Urzędzie Telekomunikacyjnym przy Poznańskiej. Posiadały ekraniki o średnicy 30 cm.

W tymże roku zademonstrowano próbny program TV w lokalu YMCA przy Konopnickiej, a to z okazji odbywającej się wystawy radiowej. Wyświe-



tlono wówczas film fabularny „Barbara Radziwiłłówna" z Jadwigą Smosarską w roli tytułowej. Obraz nie był dość wyraźny chociaż korzystano z telewizora firmy Philips. Zaawansowane prace nad skonstruowaniem kamery telewizyjnej do zdjęć studyjnych pozwoliłyby w 1940 roku zacząć transmisję.

Stałe emisje telewizyjne przed wojną miały już Niemcy, Związek Radziecki, Stany Zjednoczone, Francja, Japonia. Jedynie Anglia wyprzedziła je, nadając programy od listopada 1936 roku. Opóźnienie Polski byłoby zatem niewielkie, a to dzięki zaangażowaniu własnej myśli technicznej i sprzęcie nadawczo-odbiorczym własnej konstrukcji.

Po wojnie do tworzenia rodzimej telewizji powrócono w 1947 roku. Znów z inicjatywy prof. Janusza Groszkowskiego, który w czasie okupacji przyczynił się do rozpracowania konstrukcji niemieckiej rakiety V-1. Ćwiczebny egzemplarz wykradło z poligonu w Generalnej Guberni polskie podziemie, przesyłając je następnie w częściach do Londynu. To tej rakiety użyli Niemcy do niszczenia miast angielskich w ostatniej fazie działań wojennych.

Z prof. Groszkowskim współdziałał inż. L. Kędzierski, posiadający przedwojenne doświadczenia w tej dziedzinie. Przygotowano dwie aparatury studyjne o doskonałej jakości obrazu telewizyjnego. Wypróbowano ich działanie w prowizorycznym studiu, mieszczącym się w korytarzu PIT-u na Ratuszowej. Sygnał kontrolny odbierał monitor też własnej konstrukcji.

Publiczna demonstracja działania urządzeń TV odbyła się 15 grudnia 1951 roku w siedzibie Związku Nauczycielstwa Polskiego na Powiślu, z okazji wystawy „Radio w walce o pokój i postęp". Do tej demonstracji, o zasięgu lokalnym, zaangażowano aktorów i piosenkarzy – Tadeusza Olszę, Andrzeja Boguckiego, Alinę Janowską i Jerzego Michotka. Wystąpił także duet taneczny Operetki Warszawskiej oraz mistrz „czarnej magii" Ramigani. *Nolens volens* ową magią – w nieco innym znaczeniu – zaczęto się posługiwać w przyszłej telewizji państwowej dla tumanienia ideologicznego obywateli PRL.

Wspomnianą demonstrację uświetnił też popularny Stefan Wiechecki „Wiech", odczytał swe felietony zamieszczane na łamach „Ekspresu Wieczornego". Redakcja ekspresiaka była współorganizatorem imprezy.

Nie była to jednak prawdziwa telewizja, gdyż działała w obwodzie zamkniętym, na wzór stosowanej telewizji przemysłowej lub handlowej i należy ją traktować jako próbę sił i zapowiedź możliwości potężnego medium elektronicznego. O zainteresowaniu nim świadczyła stutysięczna frekwencja chętnych oglądania tego pokazu – w czasie jego trwania do 20 stycznia 1952 roku. Zmieniali się tylko wykonawcy w studiu, w sumie było ich około stu pięćdziesięciu. Zaprezentowano wówczas fragmenty „Świętoszka" Moliera, „Intrygi i miłości" Schillera oraz „Szczęścia Frania" Perzyńskiego – co było zapowiedzią przyszłego Teatru Telewizji w programach poniedziałkowych. Pokazy zamykał dwugodzinny magazyn rozmaitości, przygotowywany przez Tadeusza Pszczołowskiego, którego można uznać za pierwszego redaktora telewizyjnego. Przez wiele następnych lat był on związany z telewizją, nim ostatecznie został

pracownikiem naukowym Polskiej Akademii Nauk.

W czerwcu 1952 roku powstał w Polskim Radiu trzyosobowy zespół redakcyjny. Znaleźli się w nim: Tadeusz Pszczołowski, Eleonora Mendelson i Juliusz Petry. Mieli przygotować założenia programowe przyszłej telewizji polskiej. Tymczasem w drugiej połowie tegoż roku w Instytucie Łączności dopracowano się nadajnika własnej konstrukcji pracującego w paśmie od 88 do 95 MHz. Jednocześnie kontynuowano budowanie nadajnika fonii. Pozwalało to na prowadzenie dalszych prac nad rozwiązaniem głównych problemów technicznych przekazu telewizyjnego.

Nadajnik umieszczono na ósmej kondygnacji kamienicy sąsiadującej z instytutem na rogu Ratuszowej i Targowej. Łącząc przedwojenne i powojenne zabiegi nad powstaniem tego medium w rodzimym kształcie – można orzec, że polska telewizja narodziła się na Ratuszowej! Na studio zaadaptowano jedno z pomieszczeń instytutowych o skromnej powierzchni 70 m^2. Było to zupełne prowizorium bez niezbędnego zaplecza. Dwie kamery funkcjonowały na standardzie 625 linii. Z tej doświadczalnej stacji TV – 25 października 1952 roku wytransmitowano program trwający 30 minut. Złożyły się nań występy wokalne Marty Nowosad i Jerzego Michotka. Pani Marta zaśpiewała piosenkę „Latarnie warszawskie". Wystąpił też Jan Mroziński w scenie mimicznej. W pantomimie pokazał się Witold Gruca. Zapowiadała Marta Krzyżanowska, którą można uznać za prekursorkę orszaku przyszłych spikerek. Zapewne w tym dniu powstała nasza telewizja – jeszcze uboga, ale własna. Kolejny program nadano po trzech tygodniach.

Odbiór programu wymagał posługiwania się jednocześnie odbiornikiem wizji i dodatkowo radiowym – razem zsynchronizowanymi. Dźwięk nadawano z radiowej stacji średniofalowej, połączonej ze studiem kablem telefonicznym. Dopiero w połowie stycznia 1953 roku uruchomiono nadajnik foniczny z modulacją częstotliwości. I wtedy wystarczył już sam telewizor.

Program telewizyjny zaczął regularnie docierać do nader ograniczonej liczby odbiorców. Od 23 stycznia 1953 roku nadawany był raz w tygodniu – w piątki, od 17.00 i trwał 30–60 minut. Emitowano go z prowizorycznego studia na Ratuszowej. Pierwsi telewidzowie korzystali z 24 telewizorów marki Leningrad, z ekranikiem 12 na 18 cm, z czarno-białym obrazem – jak w starym kinie.

Niebawem sprowadzono 200 dalszych aparatów tego typu i uszczęśliwiono nimi świetlice zakładowe, wybranych aparatczyków partyjnych oraz zasłużonych dla władzy ludowej artystów.

Latem nastąpiła przerwa w nadawaniu programu, spowodowana urlopami wakacyjnymi aktorów. Gdy wznowiono emisję programów jesienią 1953 roku, na inaugurację wybrano sztukę „Okno w lecie" Rachmanowa i Rysa, w reżyserii Józefa Słotwińskiego – przez wiele lat potem współpracującego z telewizją.

Nastąpił również przełom w poglądach na rolę i znaczenie telewizji w kształtowaniu opinii publicznej i agitacji. To już nie miało być domowe kino i teatr, lecz wielotematyczna gazeta elektroniczna dla odbiorców w różnym wie-



ku i o różnych zainteresowaniach. Odkryto też jej znaczenie edukacyjne. Roman Gadomski, ówczesny szef radia, zaangażował na stanowisko pierwszego dyrektora programowego i kierownika artystycznego artystę plastyka Jana Marcina Szancera. Wychodził zapewne z założenia, że w medium z dominującą wizją najodpowiedniejszy będzie specjalista od obrazów. Szancer niebawem ustąpił dyrektury Jerzemu Pańskiemu, który dowcipnie określił telewizję jako „radio z lufcikiem" – co było o tyle uzasadnione, że słowo mówione zbyt często dominowało na szklanym ekraniku. Jedynie ludzie filmu doceniali powagę urody obrazowej nad gadulstwem. Z czasem i ludzie TV dojrzeli do tej świadomości.

Nową siedzibę TVP zlokalizowano w kamienicy na rogu ulicy Moniuszki przy placu Wareckim (obecnie Powstańców Warszawy), należącej przed wojną do Banku Związku Spółek Zarobkowych. Zapewne zdecydowało o tym miejscu sąsiedztwo wielokondygnacyjne Prudentiala, który już wcześniej służył telewizji. Oczywiście, budynek bankowy nie był predestynowany do tej nowej funkcji i było to kolejne prowizorium po Ratuszowej. Telewizja ze swej natury wielozadaniowej wymaga dużego zaplecza technicznego i magazynowego, wielu redakcji, montażowni i studiów.

W adaptowanym siedlisku halę operacyjną banku zamieniono na studio o powierzchni 240 m^2. Kostiumeria i charakteryzatornia gnieździły się w podziemiach, zajmowanych uprzednio przez skarbiec bankowy. Doceniając potrzeby licznego personelu redakcyjnego, technicznego i pomocniczego – w tychże podziemiach, urządzono niewielki bufet. A ponieważ pierwotnie jedyne wejście do przybytku XI muzy znajdowało się w narożniku gmachu – trzeba było przejść przez owe podziemia, by dostać się do studia i redakcji. Dowcipnie mawiano, że do telewizji można dostać się wyłącznie przez bufet.

Studio początkowo obsługiwały dwie kamery ikonoskopowe, wykonane chałupniczo w Państwowym Instytucie Technicznym, wyposażone w prymitywne wizjery optyczne. Zainstalowano też dwa projektory o lampach łukowych do transmisji filmów 35 mm kinowych. Telekino służyło także do wyświetlania na taśmie światłoczułej wstawek programowych, zastępujących np. sceny plenerowe do widowisk studyjnych. Z tego jedynego podówczas studia nadawano „na żywo" praktycznie wszelkiego rodzaju programy. Wymagało to dużej sprawności maszynistów, zmieniających nieustannie elementy scenograficzne.

Stosowane wtedy kamery telewizyjne wymagały sporej liczby reflektorów oświetlających plan zdjęciowy, co powodowało wysoką temperaturę w studiu, nieraz dochodzącą do 30°C. Było to poważne obciążenie dla występujących aktorów, zaproszonych rozmówców i personelu. Klimatyzacja była w projekcie przyszłości.

Nadajniki wizji i fonii umieszczono na 16. piętrze hotelu „Warszawa” czyli dawnym Prudentialu. Wszystko to razem wzięte pozwalało, mimo pionierskich iście warunków, na nadawanie stałych programów.

Inauguracyjny program z nowej siedziby nadano 22 lipca 1954 roku, co miało uświetnić dziesiątą rocznicę ogłoszenia Manifestu Lipcowego. Program wypadł dość skromnie, gdyż ograniczył się do popisów tanecznych Lucyny Paczuskiej i Leopolda Sadurskiego, uzupełnionych występem grupy Włodzimierza Bieżana. Telewidzowie mogli napawać się nowinką przez zaledwie pół godziny, a od 10 listopada przez dwie godziny.

W listopadzie następnego roku emisję rozszerzono do trzech dni w tygodniu: w poniedziałki, środy i soboty, a po dwóch miesiącach także w czwartki. Było to niewspółmierne do wielogodzinnych programów telewizji w innych krajach. Brak było konkretnej koncepcji programowej oraz doświadczonych kadr.

W 1955 roku w Warszawie znajdowało się około 10 tysięcy telewizorów, ale zasięg odbiorczy był nader skromny. Jednak zainteresowanie nowym medium przekazu wzrastało nieustannie i nawet sprowadzenie z NRD 2 tysięcy aparatów nie mogło zaspokoić zapotrzebowania. Toteż ich szczęśliwi posiadacze cieszyli się szczególną estymą i byli chętnie nawiedzani przez bliższych i dalszych znajomych. Tak rozwijało się uzależnienie od... telemanii.

Sytuacja zmusiła władze centralne do podjęcia produkcji krajowych telewizorów. Planowano wprowadzanie do 50 tysięcy odbiorników rocznie. Zbudowano Warszawskie Zakłady Telewizyjne oraz Wytwórnię Lamp Kineskopowych w Iwicznej pod Piasecznem. Druga fabryka telewizorów działała w Gdańsku od 1959 roku. W znacznym stopniu opierano się na własnych rozwiązaniach konstrukcyjnych. Wyższej klasy odbiorniki sprowadzano nadal z zagranicy.

W maju 1955 roku wycofano z eksploatacji aparaturę telekina własnej konstrukcji, zastępując ją angielską firmy EMI. Zyskała na tym jakość przekazów filmowych. Można było wówczas korzystać z formatu 35 mm oraz 16 mm. Ten ostatni format wąskotaśmowy służył do rejestracji wszelkiego rodzaju programów poza studiem – do czasu, gdy zastąpiły go kamery wideo. Był bowiem tańszy i wygodniejszy w użyciu. Do transmisji poważniejszych widowisk zewnętrznych wprowadzono wozy transmisyjne, czyli ruchome studia.

Wiesław Stradomski

Wiesław Stradomski

Autor studiował politologię na ANP i UW oraz filmoznawstwo na Studium Wiedzy o Filmie PIS. Jest edytorem, pisarzem, publicystą i realizatorem filmowym. 16 lat pracował w TVP, gdzie współtworzył bazę filmową oraz zajmował kształceniem dziennikarzy telewizyjnych. Jego podręcznik filmowania miał 4 wydania krajowe i dwa obcojęzyczne. W Instytucie Sztuki PAN był współautorem „Historii filmu polskiego” opracowań monograficznych. Wydał m.in. „Ostatnią redutę”, „Kuchnię polityczną” i „Teorię przemijania”. Prowadzi Klub Publicystki Kulturalnej przy SDP.

Telewizja cyfrowa

czyli cyfryzacja mediów elektronicznych – obraz lepszej jakości czy tylko inaczej?



Krzysztof Piskorski

Postępu technologicznego nie da się zatrzymać. Najpierw w latach 50. ub.w. powstawały pierwsze telewizory czarno-białe, później już od ponad 40 lat kolorowe w różnych systemach nadawania: PAL, SECAM czy NTSC.

Obecnie tradycyjny kineskop telewizyjny z tzw. działem elektronowym został wyparty przez płaskie monitory telewizyjne LED i plazmowe.

Podobnie było z kolejnymi generacjami telefonów komórkowych. Kto dziś pamięta pierwsze, niewygodne i ciężkie telefony z własnym zasilaczem w postaci dodatkowego ciężkiego pudełka? Emitowały one ponadto szkodliwe promieniowanie elektromagnetyczne wokół głowy rozmówcy. Dzisiejsze telefony komórkowe ważą około 100 gramów i mają tyle funkcji co niewielki laptop.

Zatem co niesie ze sobą postęp technologiczny? Dla użytkowników większą wygodę, jakość oraz komfort użytkowania. Dla producentów duże zyski i nieustanny wyścig z konkurencją.

Dla przypomnienia jeszcze raz omówimy pokrótce to, co było dotychczas znamienne w telewizji analogowej.

Podstawowe parametry tego systemu telewizyjnego to:

– liczba linii tworzących obraz, których systemy analogowe mają 525 lub 625. Ze wzrostem liczby

linii poprawia się jakość odbieranego obrazu, ale jest to okupione koniecznością przydzielenia szerszego pasma.
– kierunek przebiegu linii. W dotychczasowych systemach jest on poziomy. Częstotliwość rysowania linii zwana jest częstotliwością odchylania poziomego, zaś częstotliwość przesyłania obrazów jest to częstotliwość odchylania pionowego. Ta ostatnia częstotliwość nazywana jest popularnie częstotliwością odświeżania. Obecne systemy analogowe używają 50 lub 60 Hz, tj. tej samej częstotliwości jaka używana jest w sieciach energetycznych. Im jest ona wyższa, tym odbiorca widzi płynniejszy ruch na ekranie. Współczesne, najnowsze odbiorniki HDTV są już wykonywane w technologii 200 Hz, co nie tylko poprawia znakomicie płynność ruchu, ale również praktycznie eliminuje zakłócenia sieciowe.
– stosunek długości boków obrazu. Obecnie jest to proporcja jak 4:, a teraz używa się coraz częściej proporcji ekranu panoramicznego 16:9 co staje się już standardem.

Pozostałe, specjalistyczne pojęcia z tego zakresu to:
– wybieranie międzyliniowe (przeplot),
– szerokość pasma wizji – tu ideałem jest, by rozdzielczość w poziomie była taka sama jak w pionie. Obecne pasma wizji to ok. 6 MHz dla zachowania takich samych rozdzielczości w pionie i w poziomie,
– modulacja fonii. Fonia obecnie jest modulowana częstotliwościowo (FM), rzadziej amplitudowo (AM).

Pomijamy tutaj jeszcze bardziej techniczne pojęcia używane w systemie emisji analogowego sygnału telewizyjnego przez niewielką grupę specjalistów z branży elektroniki użytkowej.

Ogólnie, cyfryzacja sygnału polega na konwersji sygnału analogowego na sygnał do łatwiejszego przesyłania i przechowywania w sposób skompresowany, przy bardziej efektywnym wykorzystaniu częstotliwości radiowych.

Dla przeciętnego odbiorcy istotna jest informacja, że wprowadzana obecnie technologia cyfrowa do odbioru w domowych telewizorach wymusi sukcesywną wymianę odbiorników – w Polsce dotyczy to ok. 6 milionów gospodarstw domowych.

Dlaczego tak? – bo po prostu Komisja Europejska, dążąc do harmonizacji procesów transformacji telewizji w obszarze UE, zobowiązała państwa członkowskie do opracowania strategii przechodzenia od nadawania analogowego do cyfrowego i podanie daty całkowitego wyłączenia telewizji analogowej. Po upływie tego terminu nie będzie już możliwe oglądanie telewizji na dotychczasowym konwencjonalnym odbiorniku bez dodatkowej inwestycji. Trzeba będzie dokupić do niego cyfrową przystawkę przyłączaną przez eurozłącze, czyli tzw. *set – top – boks,* lub wymienić telewizor na cyfrowy z szerokim ekranem panoramicznym o proporcjach 16:9.

Komisja zaleciła, aby rok 2012 był docelowym terminem do zaprzestania telewizyjnej emisji analogowej w sieciach naziemnych.

Problem w tym, że Polska jako ostatnie państwo w Europie nie ma nadal zatwierdzonego przez rząd programu przechodzenia z telewizji analogowej do cyfrowej. Dwa rządowe projekty wdrażania naziemnej telewizji cyfrowej i radiofonii cyfrowej zanim jeszcze powstały jako dokumenty końcowe, dawno już straciły aktualność.

Kolejni prezesi TVP, którzy w ostatnich latach często się zmieniali, nie byli w stanie wypracować sensownego harmonogramu prac wdrożeniowych, a tym bardziej wprowadzić go w życie.

I tu rodzi się również kolejny problem – czy ma to być wybrana telewizja cyfrowa naziemna czy też satelitarna? A może obydwie powinny istnieć i wzajemnie się uzupełniać? O tym w dalszej części.

Panujący bałagan w tej sprawie pogłębia tylko chaos:

Trzy istniejące platformy cyfrowe, tj. Cyfrowy Polsat, Cyfra+ i platforma N działają na własną rękę. TVP ma inne plany, Polski Operator Telewizyjny (Polsat i TVN) inne. Brakuje ostatecznej decyzji co do narodowej strategii cyfryzacji, jej koordynowania przez rząd i – najważniejsze – ustawy medialnej dla wdrażania i funkcjonowania telewizji cyfrowej w Polsce.

Brakuje także podstawowej informacji ze strony rządu, jakie ostatecznie standardy cyfrowe będą obowiązywały w Polsce w ciągu najbliższych lat. Brak ostatecznych decyzji pogłębia panujący chaos, zdezorientowani odbiorcy kupują masowo odbiorniki TV według sugestywnych reklam „odbiorniki przystosowane do odbioru telewizji cyfrowej", nie wiedząc, jakie niebawem standardy będą niezbędne i zatwierdzone dla ich odbiorników.

Np. telewizory wyposażone w przestarzałe już! (a przecież niedawno weszły do produkcji) dekodery MPEG-2 powodują tylko zbędne wydatki wśród ludności w kraju na kontynuowanie zakupów sprzętu, który za chwilę może być bezużyteczny. Być może, za chwilę jedynym ratunkiem dla posiadaczy telewizorów z tego typu dekoderem będzie zakup dodatkowej przystawki dekodującej MPEG-4 do MPEG-2.

Natomiast większość państw europejskich już teraz wprowadza programy HDTV w platformach naziemnych, stosując nowszy system kodowania MPEG-4 AVC i nowy standard emisyjny DVB-T2. Ten system zapewnia prawie 10-krotnie lepszą kompresję sygnału w stosunku do MPEG-2 i jest przeznaczony do kodowania i przesyłania obrazu w wysokiej rozdzielczości HDTV, tj. 1280 x 720 p lub wyższej 1920 x 1080 i.

Cóż to takiego te symbole? Omawiamy je szerzej w dalszej części artykułu.

Cyfryzacja jest dziś głównym wyzwaniem dla większości nadawców na świecie. Ten nieuchronny proces ma wiele zalet. Umożliwia znakomitą poprawę jakości i szybkości przekazu. Sygnał cyfrowy jest efektywniejszy niż analogowy, na jednym dotychczasowym kanale analogowym pozwala na odbiór ponad siedmiu w wersji cyfrowej, co zwalnia dodatkowe częstotliwości dla tzw. dywidendy cyfrowej. Jest znacznie mniej podatny na wszelkie zakłócenia. Niższe są też koszty transmisji i produkcji programów. To dla nadawców. A dla odbiorców:
– umożliwia dostęp do większej liczby programów od większej liczby nadawców;
– odbierane programy są znakomitej jakości HD;
– bardziej przestrzenny jest dźwięk.

Co więcej – inne zalety sygnału cyfrowego to możliwość dodania wielu innych usług, jak na przykład:

– automatyczne wyszukiwanie programów,
– odbiór programu w kilku wersjach językowych do wyboru na jednym kanale telewizyjnym,
– informacje o nadawanych programach,
– możliwość wyboru trybu audio,
– napisy ekranowe,
– możliwość kodowania kanałów w celu ograniczenia kręgu uprawnionych do odbioru,
– telewizja interaktywna (tu kanał zwrotny rozszerza oferty o dodatkowe usługi, jak telewizja na żądanie, internet, telefon itp.),
– kontrola rodzicielska.

W zależności od wykorzystywanego medium transmisyjnego telewizja cyfrowa może być nadawana jako:
– **telewizja satelitarna DVB – S.** Tutaj na krajowym rynku mamy trzech operatorów: Canal+ Cyfrowy, Cyfrowy Polsat i Telewizja N (Neovision). Operatorzy oferują również usługi interaktywne, a odbiór sygnału odbywa się za pomocą dekoderów. Nie ma wśród nich TVP.
– **telewizja naziemna DVB-T, DVB-T2.** Tutaj mają zostać uruchomione dwa lub trzy multipleksy cyfrowe. Pierwszy ma zawierać programy ogólnokrajowe TVP 1, TVP 2, TVP Info, Polsat, TVN, TV Puls i TV 4. Niezbędny dla odbiorców będzie zakup nowego typu telewizora HD z dekoderem MPEG-4
– **telewizja kablowa DVB-C.** Poszerza ofertę o nowe programy, oferuje także tzw. *triple play,* tzn. oferuje potrójną usługę: telewizję, telefonię i internet.

Odbiór następuje za pomocą przystawki STB (*set-top-box*) dla starszych typów telewizorów.
– **telewizja mobilna DVB-H** jest systemem cyfrowego przekazu urządzeń przenośnych, głównie dla telefonii komórkowej

W związku z projektowanym wyłączeniem w 2014 r. analogowego sygnału telewizyjnego, czyli wygaśnięciem terminu koncesji, konieczne stanie się posiadanie dekodera cyfrowego lub – jak zaznaczono – zakup nowego odbiornika telewizyjnego.

Ale aby to wyłączenie nastąpiło, konieczne jest wprowadzenie w Polsce prawa regulującego funkcjonowanie telewizji cyfrowej.

Skoro jest w tym rozwiązaniu dużo zalet, przyjrzyjmy się temu szerzej z punktu widzenia odbiorcy sygnału, czyli nas wszystkich.

Po pierwsze – telewizor.

Tu, niestety, podstawowy problem tkwi w konieczności zakupu nowego telewizora, przystosowanego do odbioru telewizji cyfrowej, tj. HD TV (*High Definition Television* – telewizja wysokiej rozdzielczości), wyposażonego w odpowiedni tuner. Ma on na celu przekształcenie sygnału telewizyjnego do postaci możliwej do odbioru. I tu uwaga – brak takiego tunera w reklamach jest określony jako „gotowy do odbioru HDTV" (*Ready*). Ale taki odbiornik bez właściwego tunera jest tylko kosztem finansowym dla odbiorcy i nie zapewni odbioru właściwej jakości.

Po drugie – obraz.

Pojęcie HDTV zawiera definicję różnych rozdzielczości obrazu. Podstawowe to 720 p (rozdzielczość progresywna) oraz 1080 i (rozdzielczość z przeplotem).

Dla rozdzielczości progresywnej powstaje 60 pełnych ramek obrazu/1 sek.

Dla rozdzielczości z przeplotem powstaje 30 ramek z liniami parzystymi i 30 z liniami nieparzystymi dla tego samego obrazu. Zatem którą można polecić podczas zakupu?

Nie ma tu recepty. Część widzów woli stabilniejszy obraz w rozdzielczości 720 p, inni wolą wyższą rozdzielczość 1080 i.

Najlepiej porównać takie obrazy z obydwoma typami rozdzielczości w sklepie z artykułami RTV i zasięgnąć porady fachowca

Po trzecie – antena.

Przy odbieraniu analogowego sygnału telewizyjnego sygnał do takich starszych odbiorników może dostarczać antena zwykła, wymagająca regulacji w ustawieniu i montowana na zewnątrz mieszkania czy budynku.

Telewizja kablowa z kolei oraz telewizja satelitarna dostarcza sygnał w postaci cyfrowej o najwyższej jakości, który w konwerterze w mieszkaniu jest przekształcany do postaci analogowej do odbioru w starszych typach odbiorników telewizyjnych. Warto dodać, że maksymalna rozdzielczość na takim odbiorniku analogowym to 720 x 480 pikseli.

Natomiast anteny do odbioru HDTV występują podobnie w trzech typach.

Wybierając system telewizji kablowej bądź satelitarnej, czynnikiem zasadniczym jest koszt zakupu odbiornika i instalacji anteny nakierowanej na wiązkę sygnału z satelity (uwaga na naturalne przeszkody – wysokie budynki, drzewa, linie energetyczne).

Należy także pamiętać, że niektóre programy były dotychczas nagrywane w formacie 4:3 co może powodować „obcinanie" odbieranego programu, mimo że obraz HDTV jest nadawany w formacie HDTV 16:9.

Co nam w konsekwencji zapewnia projektowana przez TVP Naziemna Telewizja Cyfrowa (NTC)?

Według Urzędu Komunikacji Elektronicznej:
1) więcej programów. W miejsce dotychczasowych 4 ogólnopolskich programów TVP 1, TVP 2, POLSAT i TVP 3 bezpłatnie pojawi się 14 programów bez konieczności podpinania się do sieci kablowej czy montażu anteny satelitarnej,
2) poprawi się jakość odbioru programów, zwłaszcza w miastach, ze względu na większą odporność sygnału cyfrowego na zakłócenia niż sygnału analogowego,
3) możliwość dodatkowych informacji odbieranych przez nadajniki NTC,

Ale z kolei dalej – według UKE – co jest niezbędne do odbioru telewizji NTC? – Przede wszystkim zakup dekodera (*set-top-box*) do odszyfrowywania i zamiany na program wizyjny. W kwestii anten UKE zapewnia, że wszystkie dotychczas stosowane anteny będą prawidłowo odbierały sygnały telewizji cyfrowej z wyjątkiem anten siatkowych ze wzmacniaczami szerokopasmowymi. Tu bowiem mogą nakładać się inne częstotliwości radiowe (telefoniczne czy dostępowe do internetu).

Sugestie przy zakupie dekodera lub odbiornika – zdaniem UKE – są następujące:

Set-top-box lub telewizor z wbudowanym dekoderem NTC ma mieć możliwość odbierania programów w standardowej rozdzielczości SDTV oraz wysokiej rozdzielczości HDTV

i możliwość dekodowania obrazu zakodowanego według standardu MPEG-4 i dekodowania dźwięku zakodowanego według standardu MP 2 MUSICAN czy dźwięku wielokanałowego zakodowanego według standardu *Dolby Digital Plus*.

I znowu uwaga dla posiadaczy odbiorników z dekoderem według standardu MPEG – 2. Taki telewizor nie zapewni dobrego odbioru NTC w Polsce.

Skoro jest – przynajmniej w zamierzeniach – tak prosto, to dlaczego jest tak źle?

Jak już zaznaczono, w 2015 r. wygaśnie okres ochronny dla częstotliwości radiowych używanych przez naziemną telewizję analogową. I wtedy dla tych odbiorców, którzy nie mają telewizji kablowej ani satelitarnej pozostaje konieczność korzystania z telewizji cyfrowej DVB – T nadawanej przez multipleksy (pakiety programów).

Multiplekser nadaje w jednym paśmie radiowym cyfrowy strumień skompresowanych danych, które zawierają wiele kanałów telewizyjnych i innych dodatkowych informacji.

Z kolei – według ekspertów z Instytutu Globalizacji – rozwój technologii cyfrowych pozwalających na przesyłanie dużej liczby strumieni obrazu i dźwięku jest związany z liczbą satelitów okalających kulę ziemską. Obecnie jest ich już 873 (w tym komercyjnych, wojskowych, cywilnych i rządowych).

Wzrost liczby tych ostatnich powoduje lepsze pokrycie sygnałem całego globu.

Według raportu tego instytutu, główne argumenty dla pełnej cyfryzacji kraju, które należy wziąć pod uwagę przed podjęciem ostatecznej decyzji co do drogi nadawania sygnału – naziemnej lub z satelity to:
– rachunek ekonomiczny,
– pełne pokrycie kraju sygnałem cyfrowym oraz
– możliwości technologiczne związane z rozpatrywanymi sposobami nadawania.

Jednak największe możliwości i zalety mają technologie satelitarne. Najistotniejsza z nich to możliwość dostarczenia sygnału cyfrowego w każdy zakątek globu, zatem powstaje możliwość pokrycia sygnałem cyfrowym powierzchni całego kraju tym sygnałem w 100%. Zapewni to dostępność odbioru dla wszystkich obywateli, a nie – jak w przypadku cyfryzacji naziemnej – dla odbiorców miast i terenów podmiejskich. Ponadto, koszt dotarcia sygnału satelitarnego maleje, im bardziej rośnie liczba odbiorców, a więc najlepiej wszystkich a nie wybranych. Przewaga technologiczna, zasięgowa i kosztowa DVB – S powoduje, że w Europie prawie 100% programów nadawanych jest za pomocą satelitarnych sygnałów telewizyjnych i to w innowacyjnej technologii HD o wysokiej rozdzielczości. Inne czynniki przemawiające za tym rozwiązaniem to system innych usług cyfrowych, jak wideo na żądanie czy szerokopasmowy dostęp do internetu.

Ponieważ kilka milionów naszych obywateli mieszka poza zasięgiem naziemnych sieci szerokopasmowych i nie ma szans w najbliższej przyszłości stać się użytkownikami informatyzacji, to cyfryzacja satelitarna ten dostęp im zapewni.

Problemy opóźnienia i małego zaawansowania procesu cyfryzacji w Polsce.

W końcu 2009 r. najszybciej rosła u nas sprzedaż telewizorów HD zarówno plazmowych, jak i LCD. Odbiorniki z tradycyjnym kineskopem zostały wcześniej całkowicie wycofane ze sklepów. Czynnikiem hamującym wprowadzanie telewizji cyfrowej jest opóźnianie przy podejmowaniu kluczowych decyzji dla budowy cyfrowej platformy publicznej ze strony czynników rządowych.

Ta platforma w założeniach nie będzie w grupie satelitarnych platform płatnych, tj. Cyfrowego Polsatu, Cyfry+ i Platformy N.

Instytut Globalizacji uważa, że niski poziom cyfryzacji kraju wynika po prostu z braku ogólnej strategii cyfryzacji. Innymi czynnikami hamującymi rozwój tej dziedziny jest opieszałość decydentów, nadmiernie rozproszona struktura decyzyjna, brak kompetencji dla organów decyzyjnych czy zaniedbania technologiczne w samej TVP będącej dzisiaj głównie areną walk politycznych.

Instytut przypomina problemy do rozwiązania stojące przed Polską w aspekcie zaleceń UE dotyczących wyłączenia sygnału analogowego w 2012 r.:
– rozdysponowanie nowych częstotliwości powstałych po zwolnieniu częstotliwości dla sygnałów analogowych (zw. dywidenda cyfrowa),
– określenie formatu kompresji sygnału (np. format MPEG-4 w standardzie DVB-T lub DVB-T 2 pozwalający na obsługę większej liczby programów i o lepszych parametrach technologicznych),
– zapewnienie maksymalnego pokrycia powierzchni kraju sygnałem cyfrowym, co może rozwiązać problemy wielu dotychczasowych odbiorców niemających dostępu do sygnału cyfrowego.

Nie rozwiązane dotychczas powyższe problemy stawiają Polskę w gronie krajów, które będą wyłączały sygnały analogowe jako ostatnie, a więc w drugiej połowie 2015 r.

Może problemy pozostają nadal nierozwiązane, ale za to powołano kolejny Międzyresortowy Zespół ds. Telewizji i Radiofonii Cyfrowej.

Jak wyglądają działania tych różnych zespołów w świetle kilku artykułów z dziennika „Rzeczpospolita" z końca 2009 r. i początku 2010 r. przedstawiono poniżej.
– Artykuł z 7.12.2009 r. „Trwa cyfrowa dezinformacja". Porusza on nie rozwiązanie problemu, ale dopiero dywagacje kto (czytaj nadawcy) ma finansować koszt kampanii informacyjnej towarzyszącej wprowadzeniu cyfrowej telewizji naziemnej! (a jednak). Ten koszt to kwota około 30 mln zł. Takie obciążenia nadawców kosztami kampanii przewidują założenia do projektu ustawy o wdrożeniu Naziemnej Telewizji Cyfrowej, przyjęte przez Komitet Rady Ministrów ds. Informatyzacji i Łączności. I dalej z treści artykułu wynika, że w wyniku proceduralnych perturbacji Naziemna Telewizja Cyfrowa NTC działa, jak dotąd, tylko w formie testów w kilku miastach. Ustawy regulującej cały proces nadal brak. Według „Rzeczpospolitej" również nie ma w projekcie budżetu na 2010 r. pozycji 10 mln. zł na kampanię edukacyjno-informacyjną w sprawie cyfryzacji. Resort infrastruktury z kolei twierdzi, że w założeniach do ustawy o cyfry-

zacji jednak wystąpił o zarezerwowanie kwot po 10 mln zł rocznie w latach 2010–2013. I komu tu wierzyć?

– Artykuł z 17 grudnia 2009 r. „Zamieszanie z cyfryzacją telewizji opóźnia powstanie ustawy". Po tym, jak z przyczyn proceduralnych niemożliwe okazało się wspólne uruchomienie pierwszego zakresu częstotliwości (multipleksu), na którym miałyby nadawać komercyjnie TVP 1, TVP 2, TVP Info, Polsat, TVN, TV 4 i TV Puls – to ostatecznie TVP poinformowała, że chce zachować dla siebie trzy miejsca na pierwszym multipleksie nawet wtedy, gdy dostanie na wyłączność od dawna zarezerwowany dla niej cały multipleks numer trzy – mówi „Rzeczpospolitej'' Anna Streżyńska, prezes UKE.

  Czyli zamieszania ciąg dalszy.

– Artykuł z 13 stycznia 2010 r. „Jest projekt ustawy cyfryzacyjnej'' – według tego projektu resortu infrastruktury, reguluje on proces wprowadzania w Polsce cyfrowej telewizji naziemnej, która ma zastąpić obecną, analogową, do 31 lipca 2013 r. „Resortowi zależy, by przeszedł on ekspresowo ścieżkę legislacyjną''– tłumaczy Mikołaj Karpiński, rzecznik ministerstwa.

To przekłada się na podjętą już w imieniu nas wszystkich decyzję o wprowadzeniu wyłącznie Naziemnej Telewizji Cyfrowej.

W świetle wcześniejszych rozważań – dlaczego resort infrastruktury lansuje na siłę ograniczony model cyfryzacji, zawężony do obszarów miejskich w postaci Naziemnej Telewizji Cyfrowej? To już chyba pozostaje tajemnicą resortu. Pozostała część ludności kraju odpada z tego procesu. Widocznie resort z góry zakłada, że nie będzie ona zainteresowana ofertą cyfrową.

Ponadto, zakładany system DTT (*Digital Terrestrial Television* – transmisja cyfrowa z nadajników naziemnych przy użyciu standardu DVB-T lub DVB-T 2) nie pozwoli na uruchomienie wielu dodatkowych usług, charakterystycznych dla telewizji cyfrowej nowej generacji.

I znowu Instytut Globalizacji szacuje, oceniając negatywnie strategię cyfryzacji kraju sprowadzoną do telewizji naziemnej, że koszty tego typu cyfryzacji mogą być kilkakrotnie wyższe od wycofywanego obecnie nadawania analogowego, nawet 10-krotnie. To przekłada się na kwotę około 2 mld zł. Kto będzie w takim razie finansował ten projekt?

Czy, jak zwykle, te koszty poniesie podatnik (odbiorcy NTC)?

Europejska Unia Nadawców ocenia, że przy takim tempie wdrażania cyfryzacji, do 2012 r. obejmie ona zaledwie około 25% powierzchni kraju. Warto w tym przypadku skorzystać z doświadczeń Austrii i nie powielać popełnionych przez ten kraj błędów, gdzie na pewnym etapie wdrażania NTC i po poniesieniu znacznych kosztów i tak ten kraj przeszedł ostatecznie na rozwój cyfrowej telewizji satelitarnej. Co więcej, według tych samych ekspertów, oparcie na cyfryzacji satelitarnej pozwoli wykonać zalecenia Komisji Europejskiej i wyłączenie sygnału analogowego do 2012 r. Budowa telewizji naziemnej odsuwa ten termin na rok 2015 i – jak już zaznaczono – naraża nas wszystkich na znacznie wyższe koszty wprowadzenia tego systemu. Cóż, politycy swoje, a technologia DTH i logika swoje. A dlaczego by raz wreszcie nie wyprzedzić rozwoju innych krajów i znaleźć się w czołówce wdrażających już najnowszy system DVB-T2/MPEG-4 jako pominięcie pewnego szczebla zapóźnień?

I ostatecznie, który z operatorów cyfrowych zagra wreszcie o klienta wyższą i może tańszą jakością usług?

Najgorszym rozwiązaniem dla wszystkich odbiorców byłaby monopolizacja dystrybucji sygnału cyfrowego. Bylibyśmy wtedy zmuszeni do zakupu oferty niskiej jakości, ale po narzuconych, zawyżonych cenach, ponosząc dodatkowo koszty wdrażania systemu.

Przyszłość odbioru sygnałów telewizyjnych należy do wysokiej jakości (HD) telewizji cyfrowej. Ale również do wolnej konkurencji na rynku nadawców.

Dla odbiorcy najważniejszymi argumentami będzie wtedy wysoka jakość odbieranego sygnału, niska cena, szeroki dostęp do wielu platform, a także interaktywność.

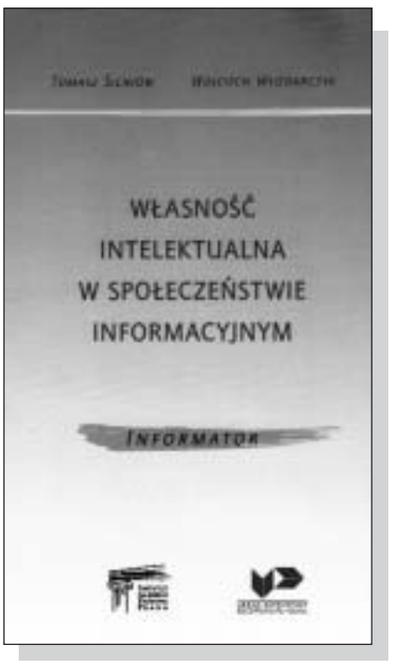
W obszarze gospodarki większą korzyścią wynikającą z wolnej konkurencji będzie wyższy wzrost PKB powstały m.in. z zapewnienia większej liczby miejsc pracy w kilku przedsiębiorstwach nadawczych i współpracujących z nimi producentami programów przy tworzeniu tych programów niż w przypadku jednego monopolisty.

Czekamy na szybkie decyzje rządu na temat jasnej i spójnej strategii cyfryzacji kraju, aby wszyscy obywatele mieli możność dostępu do telewizji cyfrowej wysokiej jakości. Warto jeszcze raz przypomnieć decydentom, że zostali wybrani jako przedstawiciele całego narodu, któremu mają służyć.

Czy na koniec można powiedzieć coś pozytywnego o działaniach w tym zakresie kolejnych zarządów TVP? Raczej niewiele. Poza tym, że opieszałość ich działań powoli eliminuję tę szacowną instytucję z pozycji lidera na rynku telewizyjnym. Brak własnej i konkurencyjnej w stosunku do trzech pozostałych komercyjnych operatorów oferty platformy cyfrowej już dawno utrącił TVP z pozycji monopolisty rynków mediów publicznych.

Zostaje jeszcze szansa pogoni za liderami, ale to wymaga daleko idących zmian we wszystkich dostępnych kierunkach. Przede wszystkim w kierunku odpolitycznienia.

Krzysztof Piskorski



O mediach, dziennikarzach, naukowcach i politykach

Refleksje na marginesie książki Pierre Bourdieu, *O telewizji. Panowanie dziennikarstwa* (Wydawnictwo Naukowe PWN S.A., Warszawa 2009).

Marek Palczewski

Pierre Bourdieu (1930–2000) był jednym z najsłynniejszych socjologów końca XX wieku. Wykładał w College de France. Był dyrektorem Centre de Sociologie Europeenne w Paryżu. W Polsce w tłumaczeniach ukazało się dotychczas kilka jego książek, w tym *Dystynkcja. Społeczna krytyka władzy sądzenia* (2005) i *Medytacje pascaliańskie* (2006). Książka *O telewziji. Panowanie dziennikarstwa* w wersji oryginalnej została wydana w roku 1996.

Zgodnie z intencjami autora, miała być „próbą przedstawienia programu wspólnego działania skupiającego artystów, pisarzy, uczonych i dziennikarzy, mających (*quasi*-) monopol na środki przekazu w celu upowszechnienia najbardziej uniwersalnych osiągnięć". Miała również odsłonić przymusy ciążące na dziennikarzach oraz te wywierane przez dziennikarzy na wszystkich producentów kulturowych, a w konsekwencji poprzez uświadomienie sobie ich istnienia – doprowadzić do uwolnienia od tych mechanizmów.

Tak zarysowany cel wskazywał pośrednio na podstawowe problemy i szkicował główne tezy wygłoszonych w College de France wykładów, składających się na treść książki. Dla dziennikarzy wynikało z nich kilka ważnych konsekwencji. Po pierwsze, mają oni – zdaniem autora – monopol na środki przekazu. Po drugie, podlegają pewnym przymusom, których sobie nie uświadamiają. Po trzecie, sami wywierają przymus na innych członków społeczeństwa w ramach tzw. przemocy symbolicznej. I, po czwarte, nie potrafią współdziałać z uczonymi, pisarzami czy artystami w celu krzewienia wspólnych, uniwersalnych wartości.

Bourdieu stara się scharakteryzować działalność dziennikarską i w tym celu wprowadza pojęcie pola dziennikarskiego, współistniejącego równolegle z innymi polami, na przykład z polem naukowym czy politycznym. Samo pojęcie pola nigdzie w tekście nie zostało jednoznacznie zdefiniowane. Z omówień autora wynika, iż jest to rodzaj dziennikarskiej aktywności, która ma swoje wewnętrzne reguły i podlega zewnętrznym wpływom i ograniczeniom. Krótko mówiąc, jest to działalność zgodna – z jednej strony – z pryncypiami zawodu, a z drugiej – z wymaganiami rynku (wymaganiami głównie ekonomicznymi i marketingowymi). Dziennikarstwo, a szerzej media, poddawane są presji komercyjnej, presji oglądalności i przez to – naciskom reklamodawców. Pole dziennikarskie współkonstytuowane przez te elementy wpływa na inne pola rzeczywistości (na przykład pole polityczne) w ten sposób, że jako dominujące wyznacza reguły gry i dopasowuje pozostałe pola do swojej wewnętrznej logiki, pozbawiając je ich własnej autonomii. Samo jednak również pozbawia się wolności, ulegając mechanizmom, których przedstawiciele mediów (w tym dziennikarze) sobie nie uświadamiają. Mimo to – właśnie dziennikarze są odpowiedzialni za taką kreację rzeczywistości, na którą składają się: ocenzurowana informacja, szybkie, niekompletne myślenie (tzw. *fast-thinking*) oraz cyniczna pogoń za dobrze sprzedającym się skandalem, tworzącym zysk na rynku towarów i usług.

Z charakterystyki postaw dziennikarskich wyłania się obraz dziennikarzy jako cynicznych ignorantów, nie w pełni wyedukowanych redaktorów, którzy przypisują sobie władzę kreacji cudzego losu. To oni, niczym Stwórca, decydują w programach telewizyjnych o tematach, sposobach prowadzenia rozmów, to oni wybierają rozmówców, rozstrzygają komu i na jak zasadach udzielić głosu. Od nich również zależy, w jaki sposób potraktują osoby zaproszone do programu. Jednych mogą wywyższyć, innych poniżyć; pierwszych dowartościować, innych pognębić. Selekcja zarówno tematów, jak i gości przebiega według pewnych schematów właściwych dla myślenia grupowego. Dziennikarze porzucają indywidualizm, gonią za tą samą zdobyczą; ważne jest tylko to, kto pierwszy ją dopadnie i opublikuje w formie wiadomości, najlepiej ekskluzywnej (*scoop*). Według Bourdieu, większość dziennikarzy cechuje antyintelektualizm; dlatego często nie rozumieją oni tego, co przekazują im intelektualiści czy naukowcy. Swoją ignorancję ukrywają pod postacią troski o zrozumienie przekazu przez odbiorcę, dlatego usiłują uprościć wypowiedź, której – bez straty sensu – nie można zredukować do wypowiedzi powszechnie zrozumiałej.

Były to poważne zarzuty i we Francji, tuż po opublikowaniu wykładów Bourdieu, spotkały się one z nieprzychylnym przyjęciem ze strony środowiska dziennikarskiego. Czy jednak Bourdieu nie ma chociaż częściowo racji? Uderzmy się w piersi i zróbmy rachunek sumienia. Czyż nie jest prawdą, że połowa wiadomości w głównych serwisach telewizyjnych i na pierwszych stronach gazet dotyczy tych samych spraw czy wydarzeń? Czy nie jest prawdą, że tabloidy demonstrują ideowy antyintelektualizm, aby schlebiać najniższym gustom? Czy nie jest tak, że mamy dyżurne autorytety (socjologów, politologów czy medioznawców), znawców, którzy wypowiedzą się szybko, krótko i na każdy temat? A czy nieprawda, że dobór gości w wielu programach publicystycznych jest podyktowany z góry

założoną przez prowadzącego tezą, a zarazem konkluzją? Manipulacje dostrzeżone przez Bourdieu nie mają jednak charakteru w pełni świadomych działań dziennikarskich. Można by powiedzieć „na szczęście", bo zdejmuje to z dziennikarzy odium manipulatorów i oszustów. Wszyscy podlegamy tym samym prawom przemocy symbolicznej, wszyscy ulegamy „mentalności merkantylnej" i „presji oglądalności". Dlatego cenimy *fast-foodowe newsy* i opinie ferowane przez *fast-thinkerów*. Jest jednak – wydaje się mówić Bourdieu – światełko w tym tunelu: gdy sobie uświadomimy te mechanizmy opresji, to będziemy mogli (i dodajmy: będziemy umieli) przeciwstawić się im. Osobiście nie podzielam tej wiary autora, gdyż z prostego faktu, że wiemy co jest słuszne, nie wynika imperatyw celowego działania, zmierzającego do realizacji tego, co zostało określone jako słuszne.

Dużą część swoich wykładów Bourdieu poświęcił telewizji. Pisze na przykład, że „zagrożenia politycznie nieodłącznie związane z codziennym funkcjonowaniem telewizji wynikają stąd, że obraz ma szczególną zdolność wytwarzania tego, co krytycy literaccy nazywają efektem rzeczywistości (*l'effet de reel*). Telewizja sprawia, że ludzie widzą coś i wierzą w to, co ona pokazuje (...) Nawet zwykłe sprawozdanie, zdawanie relacji przez reportera (angielskie *to record*) zawsze zakłada jakąś społeczną konstrukcję rzeczywistości, której społecznym skutkiem może być mobilizacja (lub demobilizacja)." Telewizja, która jest powszechnie uznawana za narzędzie rejestracji rzeczywistości, staje się instrumentem jej kreowania – „zaczyna decydować o społecznym i politycznym istnieniu" tak, że niejako „świat społeczny wytwarzany jest przez telewizję". Bourdieu przywołuje berkeleyowską maksymę: „istnieć – to znaczy być postrzeganym". Ta zasada tworzy – dodajmy zgodnie z intencjami Bourdieu, a wcześniej Daniela Boorstina (1961) – współczesnych celebrytów.

Bourdieu jest krytyczny wobec możliwości i dokonań telewizji: zauważa, iż nie jest ona najlepszym miejscem do wyrażania myśli, z powodu presji czasu i pośpiechu. Zatem dominuje w niej typ antyintelektualny, typ – jak go określa Bourdieu – *fast-thinkera*, szybko myślącego myśliciela, proponującego kulturowy *fast-food,* „mówiącego dużo i bez przygotowania". Sporo miejsca Bourdieu poświęca również samym programom telewizyjnym. Nad całością sceny dominują założone przez dziennikarzy wytyczne. „Wytyczne mogą przybierać postać mniej lub bardziej sztywnego scenariusza, w który zaproszeni goście muszą się wpisać (przygotowanie może w niektórych przypadkach, jak w niektórych grach, przyjąć formę prób, powtarzanie roli)." W tym przygotowanym wcześniej scenariuszu – pisze Bourdieu – „nie ma praktycznie miejsca dla improwizacji, swobodnej i spontanicznej wypowiedzi, byłoby to zbyt ryzykowne, a nawet groźne dla prowadzącego i dla jego programu". Oczywiście, taka charakterystyka zasadna jest w odniesieniu do pewnego rodzaju programów, szczególnie *talk show*, aczkolwiek i w tym przypadku trzeba powiedzieć, że nie wszystkie są od początku do końca reżyserowane. Co więcej, nie tylko sensacją karmi się telewizja; istnieje mnóstwo przykładów programów poważnych, debat studyjnych, podejmujących istotne dla społeczeństwa tematy w sposób przemyślany i obiektywny. Wystarczy obejrzeć wywiady i dyskusje w BBC, CNN czy ARD, by stwierdzić, że teza Bourdieu jest niesprawiedliwą generalizacją. Zatem nie zawsze o wszystkim, co ukazuje się w telewizji, decyduje wskazana przez autora „telemetryczna mentalność". Również nie całkiem prawdziwa, a na pewno przesadna, jest teza, że „dziennikarze mogą narzucić całemu społeczeństwu swoje sposoby widzenia świata, swoje tematy, swój punkt widzenia", albowiem to nie tylko dziennikarze ustanawiają tzw. *agenda-setting,* czyli wyznaczają to, o czym się mówi następnego dnia w pracy. Opinia publiczna formułowana jest bowiem przez wielorakie wpływy, między innymi przez źródła informacji (oficjalne i nieoficjalne, jawne i ukryte itd.), reguły *newsroomów*, rutynę zawodową, profesjonalne wartości, wydawców, odbiorców, kulturę, porządek społeczny itd. Pewnie dziennikarze chcieliby niejednokrotnie, aby ich punkt widzenia zatriumfował w odbiorze społecznym, ale przecież to nie tylko od nich zależy, ale także od sposobów kodowania i dekodowania informacji, które – jak wiadomo – możemy zaakceptować, negocjować (odyfikować) lub odrzucić. Zresztą sam Bourdieu polemizuje jak gdyby sam ze sobą, kiedy stwierdza, że: „(...) różne władze, w szczególności władze rządowe, działają w rzeczywistości nie tylko za pomocą przymusu ekonomicznego, ale przez wszystkie formy nacisku, do



Marek Palczewski

Dr nauk humanistycznych, kierownik Zakładu Dziennikarstwa Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi, wykładowca na Uniwersytecie Łódzkim, pomysłodawca i organizator czterech konferencji nt. dziennikarstwa śledczego w Łodzi (2006–2009) oraz Ogólnopolskiego Przeglądu Reportaży Śledczych Ukryta Kamera 2007, 2008 i 2009. Współpracownik TVP S.A. w Łodzi, autor programów publicystycznych, filmów dokumentalnych i reportaży, członek Zarządu Głównego SDP i wiceprezes łódzkiego oddziału SDP. Autor książek i artykułów z dziedziny medioznawstwa, dziennikarstwa, historii Polski i filozofii. Zajmuje się m.in. prawnymi i etycznymi aspektami dziennikarstwa śledczego, teorią *newsa, gatekeepingiem* i problemami tabloidyzacji mediów.

których uprawnia monopol na prawomocną informację – zwłaszcza tą pochodzącą z oficjalnych źródeł. Monopol ten dostarcza władzom – przede wszystkim rządowym i administracji (...) broni w walce, którą prowadzą z dziennikarzami. W walce tej władze starają się manipulować informacją lub osobami odpowiedzialnymi za jej rozpowszechnianie. Z kolei prasa stara się manipulować osobami dysponującymi informacją, by ją otrzymać i zapewnić sobie wyłączność. Nie zapominajmy przy tym o niezwykłej władzy symbolicznej, którą daje wysokim władzom państwowym zdolność ustalania – za pomocą własnych działań, decyzji i wystąpień w polu dziennikarskim (wywiady, konferencje prasowe itd.) – porządku dnia i hierarchii wydarzeń. Gazety muszą się tym ustaleniom podporządkować."

Innym ważnym problemem poruszonym w wykładach Bourdieu są wzajemne stosunki pomiędzy naukowcami a dziennikarzami oraz pomiędzy dziennikarzami a politykami. Jeśli chodzi o te pierwsze, to – zdaniem autora – pole dziennikarskie i pole naukowe nie pokrywają się ze sobą. Wypowiedzi naukowe są w mediach okrojone, banalizowane, uproszczone, przekładane na język popularny, odarte z głębi i intelektualnej oryginalności. W mediach – o czym już była mowa – dominują szybkie myślenie, *bon moty*, chwytliwe wypowiedzi, efektowne puenty. O wszystkim decyduje czas, którego w telewizji zawsze jest za mało. Intelektualista, myśliciel, nie ma więc szans na zaprezentowanie w pełni swojej koncepcji. Trudno nie zgodzić się z tą uwagą Bourdieu w odniesieniu do programów informacyjnych i telewizyjnych *talk show*, trzeba natomiast podkreślić, że nie jest ona prawdziwa, jeśli chodzi o artykuły prasowe w tygodnikach opiniotwórczych czy dyskusje prowadzone w telewizyjnych kanałach tematycznych (np. w TVP Kultura czy TVP Historia).

Stosunki między światem dziennikarskim a światem polityki Bourdieu postrzega w nieco przewrotny i kontrowersyjny sposób. Pisze na przykład, że „wciąż rosnąca dominacja pola dziennikarskiego (które samo poddane jest rosnącemu panowaniu logiki komercyjnej) nad polem politycznym – zawsze nękanym pokusom demagogii (...) przyczynia się do osłabienia autonomii pola politycznego (...)". Czyżby autor sugerował, że świat polityki podporządkowany jest światowi dziennikarskiemu? Wydaje się, że chodzi o coś innego: o przyjęcie przez polityków reguł gry narzuconych przez media. Pamiętamy, że to media już w latach 60. XX wieku zadecydowały o porażce wyborczej Nixona z Kennedym, a dziś kreują politycznych idoli w trakcie transmisji obrad komisji śledczych lub w wywiadach, w których politycy pełnią rolę celebrytów. Trudno jednak – moim zdaniem – mówić, że polityka straciła swoją autonomię na rzecz mediów, raczej wykorzystała ich wizerunkowo-twórcze możliwości.

To tylko garść refleksji na marginesie wydanej niedawno książki francuskiego socjologa. Więcej znajdziecie państwo w czasie samodzielnej lektury. Na zakończenie tej pobieżnej recenzji chciałbym podkreślić, że wykłady Bourdieu nie są łatwą lekturą dla czytelnika oczekującego jednoznacznej analizy i efektownych konkluzji. Raczej należy je traktować jak napotkane na pustyni źródło wody, z którego spragniony podróżnik powinien czerpać z umiarem, rozkoszując się każdą kroplą i rozmyślając nad jej życiodajną i pobudzającą mocą.

Marek Palczewski







Dyskusja o rzetelnej informacji finansowej w NBP

Ważne jest, aby informacje finansowe były prezentowane rzetelnie i odpowiedzialnie, bo ich sposób przedstawiania ma ogromny wpływ na rynek – uznali uczestnicy spotkania poświęconego stworzeniu „Koalicji na rzecz rzetelnej informacji finansowej", które odbyło się 10 marca w gmachu Narodowego Banku Polskiego w Warszawie.

Obecni byli na nim przedstawiciele profesjonalnych mediów zajmujących się ekonomią, instytucji finansowych (m.in. Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie) oraz stowarzyszeń branżowych (m.in. Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich). Celem spotkania było ustalenie zasad współpracy w zakresie stworzenia kodeksu dobrych praktyk przy prezentowaniu informacji ekonomicznych.

– *Wypracowanie najwyższych standardów pozwoli wpływać na rzetelność przekazywanych informacji ekonomicznych. Podniesienie tych standardów dotyczy nie tylko informacji przekazywanych przez media, ale również informacji źródłowych, czyli komunikatów instytucji finansowych* – powiedział prezes NBP, Sławomir Skrzypek, na konferencji prasowej zorganizowanej po debacie.

Uczestniczący w debacie Piotr Niemczycki, prezes Agory, wydawcy m.in. „Gazety Wyborczej", zwrócił uwagę, że opracowanie standardów prezentowania informacji finansowych czy opracowanie kodeksu dobrych praktyk powinno odbyć się w środowisku dziennikarskim, bez udziału instytucji finansowych. – *Jakakolwiek ingerencja instytucji zewnętrznej mogłaby być odebrana jako ingerencja w niezależność dziennikarską, choć rola NBP czy innej niezależnej instytucji finansowej jako konsultanta jest jak najbardziej słuszna* – wyjaśnił Piotr Niemczycki. – *W żaden sposób nie chcemy wpływać na niezależność mediów i reglamentację informacji* – zapewnił Marcin Gomoła, przewodniczący Rady Ładu Informacyjnego przy Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie.

Przedstawiciele mediów podkreślali, że w wielu redakcjach już funkcjonują kodeksy dobrych praktyk. – *Nie są one nigdzie publikowane, bo są stworzone do własnego użytku. Niemniej* – jak przyznali – *zdarza się, że postanowienia tych kodeksów pozostają martwymi przepisami.*



W efekcie dyskusji uzgodniono, że przedstawiciele mediów po debacie we własnym środowisku opracują i zaproponują wspólne standardy postępowania. – *Media nie uchylają się od obowiązku rzetelnego informowania społeczeństwa. Usłyszeliśmy oczekiwania instytucji finansowych od nas, dziennikarzy, ale i my mamy swoje oczekiwania wobec instytucji finansowych, bo też chcemy uzyskiwać rzetelną informację źródłową* – podkreślił **Grzegorz Cydejko**, prezes Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Sławomir Skrzypek zapowiedział także, że promowaniu dobrych praktyk mogłyby służyć konkursy i nagrody ufundowane przez NBP. – *Ważne jest, by taką nagrodę przyznawała niezależna kapituła środowiska dziennikarskiego* – powiedział prezes NBP.

Jak zapowiedział Grzegorz Cydejko z SDP, już w przyszłym tygodniu, na specjalnym spotkaniu w SDP dziennikarze z mediów obecnych na konferencji będą się zastanawiać we własnym gronie nad wewnętrznymi regulacjami w branży – tak, aby przekazywane informacje finansowe były jak najwyższej jakości. Jak dodał, te działania powinny raczej polegać na promowaniu dobrych praktyk i nagradzaniu rzetelnego dziennikarstwa, a nie na karaniu.

10 marca 2010 r.



Narodowy Bank Polski
Biuro Prasowe
tel. 22 653 20 12,
22 653 27 34
22 653 25 27
faks 22 620 00 54
e-mail: press@nbp. pl
Skype: biuro_prasowe_nbp

Kontrola nad mediami na Węgrzech

(partie, społeczeństwo, polityka społeczna oraz kontrola zawodowa)



Dr. László Majtényi

były dyrektor generalny ORTT (węgierska KRRiTV

Od wieków wierzy się, że ten, kto kontroluje media, może kontrolować społeczeństwo, jednakże doświadczenia Europy Środkowej zdają się zadawać kłam takiemu stwierdzeniu. Pomimo całkowitej kontroli nad mediami, reżimom komunistycznym nie udało się przetrwać. Prasa, będąca częścią systemu opresji, nie cieszyła się żadnym uznaniem społecznym. A jednak nie ma wątpliwości, że same media oraz możliwość wywierania na nie wpływu są elementami sprawowania władzy.

Dla polityki demokracji warunkiem koniecznym jest debata publiczna; bez wolnej prasy nie istnieje polityka demokracji. Gwarantem demokracji są media sprawujące kontrolę nad polityką. Tradycyjnie uznaje się, że to państwo stanowi największe zagrożenie dla wolności prasy, ale z doświadczenia wiemy, że gracze rynkowi mogą być równie niebezpieczni. W ostatnich latach na Węgrzech byliśmy świadkami sytuacji, kiedy siły polityczne i podmioty rynkowe, zazwyczaj rywalizujące, pogodziły swoje interesy tak, aby wspierać się wzajemnie poza obszarem legalności.

W trakcie przemian politycznych, jeszcze przed wyborami, elity zgodziły się co do jednej kwestii: po wyborach przepisy dotyczące mediów elektronicznych miały być przyjmowane większością 2/3 głosów. Istniała także zgoda co do tego, że kontrola nad mediami powinna być wolna od wszelkich wpływów politycznych i rządowych. Ostatecznie osiągnięto porozumienie i przyjęto odpowiednią ustawę (LVII z roku 1990), zgodnie z którą prezydent na wniosek premiera miał nominować kandydatów, spośród których parlament wybierałby prezesów jednostek mediów publicznych. Ponieważ pokojowe zmiany polityczne nie pociągnęły za sobą uchylenia komunistycznego prawodawstwa, rząd, raczej niesprawiedliwie, uznał, że media są mu wrogie i zastosował przepis z roku 1974 (rozporządzenie Rady Ministrów nr 1047/1974) o nadzorze rządu nad mediami, ale samego przepisu nie anulował, motywując to pojęciem „większego zagrożenia", oznaczającym, że brak jakiegokolwiek nadzoru byłby bardziej niebezpieczny niż nadzór rządu. Tymczasem rząd, na podstawie wspomnianego komunistycznego przepisu, dokonał czystki wśród osób na wysokich stanowiskach u nadawców publicznych. W kraju demokratycznym byłoby to uznane za nielegalne.

W roku 1996 – sześć lat po przemianach politycznych – parlament przyjął obecnie obowiązującą ustawę o mediach. Oczekiwano, że nastąpi demokratyczna zmiana przepisów, jednakże oczekiwania te nie zostały w pełni spełnione.

Zgodnie z obecnie obowiązującą ustawą, kontrola nad mediami nie jest realizowana według modelu konwergencji. Ustawa powołała Komisję Krajowego Radia i Telewizji, do której zadań należy nadzorowanie treści, ochrona „wolności słowa", zarządzanie częstotliwościami, ogłaszanie przetargów, karanie nadawców łamiących prawo, monitorowanie i pobieranie opłat licencyjnych oraz utrzymanie systemu abonamentu radiowo-telewizyjnego (później obowiązek finansowania został przejęty przez rząd). Komisja także wydaje duże kwoty w ramach przyznawanych dotacji pochodzących z Funduszu Nadawczego zarządzanego przez Radę komisji. Kandydaci na członków Rady są wysuwani przez grupy parlamentarzystów, a następnie wybierani przez parlament będący jedynym organem, przed którym odpowiadają. Przewodniczący Rady jest nominowany wspólnie przez premiera i prezydenta republiki. Członkowie Rady są niezależni oraz, zgodnie ze składaną przysięgą, bezstronni. Nie można im nic nakazywać, a oni sami nie mogą przyjmować od nikogo żadnych poleceń. Jednakże zdarza się, że nie mają świadomości swojej niezależności, a niektórzy nawet twierdzą, że Rada jest złożona z przedstawicieli partii.

Rada powołuje Komitet ds. Skarg, do którego zadań należy nadzorowanie czy podawane informacje są wyważone. Wybierani przez Radę członkowie komitetu są niezależni i nie można im wydawać żadnych poleceń. W każdym przypadku obraduje grupa trzech osób, z których jedna powinna mieć ukończone studia prawnicze. Każdy, czyje racje zostały pominięte w jakimś programie lub kto został zaatakowany, może zwrócić się do Komitetu ds. Skarg w terminie do dwóch dni po emisji danego programu. Od decyzji komitetu można się odwołać do Rady komisji.

Publiczni nadawcy radiowi są kontrolowani przez Radę Powierniczą.

Kandydaci do tej rady są nominowani przez partie polityczne, kościoły oraz, w dużej liczbie, przez wylosowanych przedstawicieli organizacji społecznych, a następnie wybierani przez parlament. W zasadzie mają oni prawo własności wobec mediów publicznych, ale pełnią także zasadniczą rolę przy wyznaczaniu prezesów jednostek publicznego radia i telewizji.

Obecnie taka kontrola społeczna jest w praktyce sprawowana przez partie polityczne, a regułą stała się obecność w składzie rady tak zwanych „udawanych przedstawicieli społecznych" (lewicowi alpiniści konkurują z prawicowymi nurkami oraz liberalnymi przewodnikami psich zaprzęgów).

Obecny system można skrytykować w kilku aspektach. Wpływ partii politycznych jest silniejszy i, niestety, bardziej bezpośredni niż można by sądzić jedynie na podstawie litery prawa. Zgodnie z konstytucją, wpływ taki nie powinien być ani bezpośredni, ani dominujący. Partie polityczne mogą wyznaczać na ważne stanowiska specjalistów, których poglądy są zbliżone do filozofii danej partii, ale nie mogą wpływać na podejmowanie przez nich decyzji prawnych.

Rozwiązanie, zgodnie z którym organ egzekwujący prawo i nakładający sankcje jest także odpowiedzialny za przyznawanie pieniędzy, zbieranie pieniędzy, a także definiowanie i egzekwowanie zobowiązań prowadzi do pomieszania funkcji i może być przyczyną korupcji.

W zarządzaniu mediami brakuje powiązań poziomych, system zarządzania jest czysto hierarchiczny. Innymi słowy, brakuje samoregulacji, a przy braku mechanizmów samoregulacji niemożliwa jest współregulacja.

Praktycznie brakuje także kontroli społecznej – „członkowie społeczni" w organach jednostek nadawców publicznych są powiązani z partiami politycznymi.

W kategoriach kontroli nad mediami odpowiada to śródziemnomorskiemu typowi uregulowań (Mancini), jednak do opisania sytuacji na Węgrzech lepsze wydają się kategorie Jakubowicza[1].

Pisze on o szkole idealnej (dostęp, uczestnictwo i kontrola społeczna), naśladowczej (powielanie wcześniejszych wzorców europejskich, preferowanie minimalnej ingerencji) oraz atawistycznej (umieszcza media audiowizualne pod nadzorem nowej elity politycznej). W mojej ocenie, ostatnie działania na Węgrzech wskazują na formę atawistyczną.

Chociaż w roku 1992 Węgierski Trybunał Konstytucyjny ograniczył wpływ na media elektroniczne:

„Wolność od państwa wymaga, aby ani parlament, ani rząd nie miały decydującego oddziaływania na organ, który może wpływać na treści programowe. Podobnie wpływ partii politycznych lub grup reprezentujących interesy, które pokrywają się z interesami partii politycznych nie może być decydujący."[2]

Na przełomie lat 2008 i 2009 rządząca Partia Socjalistyczna oraz opozycyjna partia Fidesz, po tajnych pracach przygotowawczych, ogłosiły projekt nowej ustawy o mediach. Krytykowałem ten projekt z następujących powodów:

– nie zostały przeprowadzone (chociaż są obowiązkowe) żadne demokratyczne rozmowy ani nie zapytano uczestników rynku o opinię,

– zgodnie z projektem, wpływ partii na kontrolę nad mediami wzrósłby do tego stopnia, że wszystkie organa administrujące mediami, włączając w to nadawców komercyjnych, znalazłyby się pod kontrolą dwóch partii politycznych (MSZP-FIDESZ),

– nie było żadnych gwarancji niezależności mediów lokalnych. Telewizje lokalne zazwyczaj powtarzają poglądy prezydentów miast,

– w ramach swoich uprawnień do nadzorowania konkurencji, nowy organ kontroli mediów uzyskałby prawo do przeszukiwania siedzib, co stwarzałoby sposobność do politycznego nadużywania prawa,

– w przypadku wielokrotnych i poważnych naruszeń prawa, organ kontroli mediów mógłby ograniczać nadawanie programów (seriali, regularnych programów), co, w mojej opinii, jest równoznaczne z cenzurą. Podobne przypadki dawałyby także prawo do odbierania koncesji, co także jest sprzeczne z konstytucją.

Nie chcę wymieniać dalej. Spotkawszy się z oporem środowisk społecznych i zawodowych, partie polityczne wycofały swój projekt. Jednakże perspektywy nie są obiecujące. W przeszłości Węgry były uznawane za wzór państwa demokratycznego. Niestety, to było w przeszłości. Według organu OECD, zajmującego się monitorowaniem prasy, na horyzoncie pojawia się nowa żelazna kurtyna pomiędzy Europą Zachodnią a naszym regionem. Mam nadzieję, że taka ocena okaże się mocno przesadzona.

Uważam, że zasadniczą kwestią jest samoregulacja, współregulacja oraz skuteczna reprezentacja społeczna.

Jednakże musimy zdać sobie sprawę z trudności związanych z wprowadzeniem takich mechanizmów w życie.

W naszym regionie nie ma żadnych tradycji samoregulacji w mediach elektronicznych. Społeczeństwo, łącznie z dziennikarzami, jest politycznie podzielone. Stanowi to przeszkodę dla jakiejkolwiek współpracy opartej na samoregulacji i współregulacji, w ramach której wspólnie działają partnerzy, a nie wrogowie.

Podmioty na rynku i w polityce często zawierają ze sobą tajne umowy, nieetyczne i nielegalne kompromisy. W październiku 2009 r., w czasie konkursu na analogowe częstotliwości radiowe, nieuczciwie wygrali ci kandydaci, którzy – według mnie – powinni zostać wykluczeni.

Prezydent republiki zwrócił uwagę na fakt, że „nad decyzją wisi cień politycznych porozumień".

Jako przewodniczący Komisji Krajowego Radia i Telewizji podałem się do dymisji.

Osoby, które dążą do zdominowania prasy, źle pojmują funkcje wolnej prasy, szczególnie w zakresie funkcji społecznej.

Sfera społeczna jest stosunkowo słabo rozwinięta i w dużym stopniu upolityczniona.

Z drugiej strony, kultura demokratyczna była obecna w historii Węgier. Od XIX wieku do dzisiaj pojawiło się kilka nieautorytarnych tradycji, do których moglibyśmy powrócić.

Warszawa, 23 stycznia 2010

[1] Jakubowicz: *Ideas in Our Heads. Introduction of PSB as Part of Media System Change in Central and Eastern Europe*, European Journal of Communication, Vol. 19, No. 1, 53–74. o.

[2] ABH 1992, 227, 231.

Wolne słowo a odpowiedzialność dziennikarzy



Jacek Szymanderski

Dziennikarzom i prasie, ale również innym mediom, przybyła nowa troska. Wysokie odszkodowania zasądzane za publikacje, które spełniają znamiona czynów określonych w rozmaitych paragrafach kodeksu karnego. Sprawy bywają wytaczane z powództwa prywatnego lub publicznego.

Wielkość odszkodowań może być tak duża, że ich zapłacenie doprowadzi do upadku gazetę czy stację radiową.

Dobre dziennikarstwo śledcze znakomicie zwiększa sprzedaż gazety i przynosi korzyści i zaszczyty dziennikarzowi. Jednak zazwyczaj jest tak, że gdy sukces w jakiejś sprawie przynosi duże korzyści i zaszczyty, to przegrana w tej sprawie pociąga za sobą dolegliwe kary i potępienie. Dziennikarz śledczy, który wykrył jakąś paskudną aferę w biznesie lub w polityce, dostaje premie, nagrody, rośnie jego prestiż w środowisku. Im większe przestępstwo wykryte, tym większa chwała, ale im cięższe pomówienie, tym większa powinna być infamia. Czy jest?

Wolność słowa i wolność prasy są dobrem bardzo cennym i bardzo wrażliwym. Dziennikarze dysponują wolnością słowa dla dobra społeczeństwa i demokracji.

Adam Mickiewicz, formułując sto sześćdziesiąt lat temu program polityczny dla legionu polskiego w czasie Wiosny Ludów, napisał w jednym z punktów: „Słowo wolne, wolnie objawione, za swe owoce sądzone.” Kto powinien osądzać wolne słowo za jego owoce?

Możemy bez większego błędu powiedzieć, że gdy robi to prawo państwowe, to zagrożona jest wolność słowa i wolność mediów czyli „objawiania” wolnego słowa. Dzieje się tak z prostego powodu. Prawo musi być powszechne i równe, a więc mocno wystandaryzowane i nieczułe na niuanse i subtelności. Sądy, chcąc minimalizować ryzyko, że naruszą delikatną wolność słowa i prasy, powinny szczegółowo rozpatrywać szkody społeczne spowodowane formalnie nieprawnym czynem dziennikarza i tak też robią. Pojawił się też zapis, że dziennikarz, który dopełnił staranności, może się bezkarnie pomylić.

Karanie pełni – jak wiemy – funkcję odstraszającą, w przypadku karania dziennikarzy także. To odstraszanie powinno powodować wzmocnienie autocenzury i wewnętrznej cenzury w redakcjach.

Jednak w przypadku wolności słowa i prasy zdanie się wyłącznie na prawo państwowe spowoduje, że prawo to będzie coraz bardziej surowe, by zmusić dziennikarzy do ścisłej autocenzury. Powód jest bardzo prosty.

Prawo jest nieczułe na subtelności. Ma to dwie strony: tę krzywdzącą, ale i tę, że można je ominąć, obejść. Dziennikarz śledczy, pojedynkując się z prawem, musi tak umieć napisać, żeby formalnie trudno się było przyczepić do różnych naginań prawdy, skutecznie ukrytych przed mało subtelnym prawem. Zatem, ponieważ nie ma pewności kary, to zagrożenie musi być duże, by było skuteczne. Rośnie też rola kazuistyki, a z nią wydatki na adwokatów i koszty procesu, co zwiększa dolegliwość kary.

Ale ta nieczułość prawa na rozmaite subtelności i tym samym możliwość wyminięcia go powoduje, że ochrona dóbr osobistych czy słusznie utrzymywanej tajemnicy państwowej, tajemnicy śledztwa czy innych tajemnic np. prywatnych przez prawo do prywatności – też jest niewystarczająca, jeżeli jest pozostawiona tylko prawu. Stosunki między prasą a społeczeństwem, podobnie jak stosunki między małżonkami czy rodzicami a dziećmi, tylko w niewielkim stopniu mogą być regulowane przez prawo państwowe.

Prawo państwowe nigdy nie stanie się tak doskonałym wcieleniem sprawiedliwości, byśmy już nie musieli kierować się sumieniem i przyzwoitością.

Słyszało się o dziennikarzach śledczych, którzy zostali nagrodzeni za wykrycie afer, nie słyszało się natomiast, by dziennikarze zostali potępieni przez środowisko, wyrzuceni z pracy, uznani za marnych profesjonalistów – jeżeli się pomylili.

Redaktor gazety, która niesłusznie kogoś obsmarowała, niszcząc mu tym karierę i życie prywatne, myśli wyłącznie w kategoriach rynkowych, a nie kategoriach sumienia, przyzwoitości itp. Hipotetycznie, jego rozumowanie może być następujące:.. „Odkrycie «afery» miało w czasie publikacji wiele cech prawdopodobnych, w rezultacie zwiększyła się sprzedaż i oczekiwanie następnych sensacji. Po np. dwóch latach okazuje się, że owa pierwsza afera nie była aferą, ale dziennikarz nie przegra procesu, bo można udowodnić, że dochował staranności. Zatem – myśli redaktor – trzeba przeczekać, jeżeli zaczniemy teraz wyjaśniać, gdzie i dlaczego się pomyliśmy, mimo że takie wyjaśnienie przywróciłoby pokrzywdzonemu godność i pozwoliło odbudować pozycję – stracimy wiarygodność. Jeżeli teraz zwolnię dziennikarza, który udowodnił, że umie bez lęku i udatnie, to znaczy w taki sposób, że trudno się przyczepić – opisywać prawdziwe lub nieprawdziwe afery – to tylko na tym stracę i wła-

ściciel gazety wymieni mnie na kogoś mniej skrępowanego sumieniem. Zatem pal diabli przyzwoitość.''

Czyli liczy się tylko prawo państwowe. Ani przyzwoitość, ani sumienie.

Wolność prasy jest dobrem publicznym, bo pozwala opinii publicznej wiedzieć o rzeczach, o których powinna wiedzieć dla swojego dobra. Ale przywykliśmy, że wolne media ujawniają również inne tajemnice naruszające prywatność, których ujawnienie nie służy żadnemu publicznemu dobru. Nie mamy nic przeciw temu, bowiem wszyscy wiemy, że tak zwani celebryci wystawiają swoje życie prywatne na pokaz, by zyskać jeszcze większą popularność. Ale nie wszyscy.

Natomiast sprzedawanie wiadomości z życia prywatnego rozmaitych polityków i innych sławnych ludzi staje się świetnym interesem. Mimo że nie broni to żadnego publicznego dobra. Przykład. Wybitny fizyk (liczył się swego czasu wśród kandydatów do Nagrody Nobla) współpracował nieszkodliwie z SB, nikt nie poniósł szkód. Dziennikarz ujawnia współpracę. Otóż, są dziesiątki tysięcy współpracowników SB dotychczas nieujawnionych, których działalność była bardziej szkodliwa. Co więcej, rzecz odbywa się w atmosferze obrony prawdy, dobra i moralności. Wszyscy wiedzą, że chodzi wyłącznie o pieniądze. Żaden redaktor, żadna gazeta nie skrytykowała pryncypialnie tego czynu (była tylko krytyka polityczna) jako szkodliwego cynizmu. Nie broni nas również interes społeczny (byłoby lepiej, gdyby ów fizyk został na uniwersytecie w Polsce, a nie wyjeżdżał z powodu infamii). Pozostaje tylko prawo państwowe.

Wielu dziennikarzy angażuje się po stronie tolerancji i wolności, w tym również wolności seksualnej, uważając, że to prywatna sprawa każdego, pod warunkiem, że nie krzywdzi partnera. Pewien znany polityk został oskarżony, że bierze narkotyki. Słusznie, wykrycie czegoś takiego to jest właśnie misja dziennikarza. Używanie narkotyków jest czynem ściganym przez prawo, a więc zwłaszcza polityk nie powinien. Ale wszyscy wiemy, że chodziło przede wszystkim o to, jak ów polityk zachowywał się w towarzystwie pań z półświatka. Media, które to opublikowały, są zdecydowanie za tolerancją w sprawach seksualnych i uznaniu, że preferencje seksualne nie wpływają na zachowania człowieka w pracy, jako obywatela itd., a mimo tych głośno deklarowanych wartości opublikowały zdjęcia. Więc przed naruszaniem tajemnicy prywatności nie chroni nas również ideologia, szlachetne przekonania. Pozostaje zatem prawo państwowe.

Ujawniając zdjęcia polityka w śmiesznym stroju, gazeta nie broniła żadnego dobra publicznego. Co więcej, zachęcała do szerzenia się zła, bo zapłaciła szantażystom. Ale, jak dotąd, żaden dziennikarz ani redaktor związany z tą sprawa nie stoi w kolejce do urzędu zatrudnienia.

Gdyby zamiast prawa państwowego, ,,wolnie objawione (słowo) za jego owoce'' było osadzane przez sumienie i poczucie przyzwoitości wsparte opinią środowiska, to prawo państwowe wkraczałoby tylko w jednoznacznych i drastycznych przypadkach. Autocenzura byłaby skutecznie wymuszana przez nacisk silnego środowiska. Wszyscy wiemy, że nacisk środowiska może bardzo ograniczać wolność słowa. Środowisko ma swoich liderów, dominujące ideologie. Przeciwstawienie się im grozi ostracyzmem i wykluczeniem.

Chcemy, by słowo było wolne, by można było głosić opinie i zyskiwać pozycję wbrew wszelkiego rodzaju poprawnościom politycznym, zawiściom kolegów, nieuczciwej konkurencji (liderzy opinii w środowisku mają nie tylko swoje poglądy, ale i interesy). By to osiągnąć, musimy zmniejszać znaczenie opinii środowiska, ale wtedy w to miejsce będzie wchodzić prawo państwowe i z rzadka – ściśle prywatne poczucie przyzwoitości i sumienie. Za brak sumienia – w warunkach słabiutkiej kontroli środowiskowej – nikt nie będzie karał wykluczeniem (bo skąd wykluczać, jeżeli środowisko jest słabe), ale też nikt nie będzie nagradzał. Zatem sumienie staje się mało ważne w praktycznym działaniu.

Pozostaje zatem prawo państwowe. Zagraża ono wolności słowa w stopniu mniejszym niż silne środowisko, mające swoich liderów opinii i możliwość wykluczenia. Ale w przeciwieństwie do kontroli przez środowisko, wobec prawa nie da się negocjować, wyprosić, poprawić się. Zaś kierowanie się własnym sumieniem i przyzwoitością będzie uznane za frajerstwo.

Słabnięcie znaczenia środowiska (salonu) sprzyja pluralizmowi opinii, ale sprzyja też brutalności i tabloidyzacji i, w konsekwencji, surowości kar używanych przez prawo państwowe. Coś za coś.





Głos w dyskusji na międzynarodowej konferencji „Future or Funeral" zorganizowanej przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa Open Society Foundation i Friedrich Ebert Stiftung

Media publiczne: przeszłość czy przyszłość?

Andrzej Bajorek

dziennikarz, *freelancer*

Gdyby ktoś z innej planety przysłuchiwał się dyskusji o mediach publicznych, jaka toczy się w Polsce, nieuchronnie musiałby postawić pytanie: czy w tych mediach są jacyś dziennikarze? Bo, niestety, dziennikarz – jego status, pozycja zawodowa, kwalifikacje, ochrona niezależności – nie jest żadnym punktem odniesienia w przeróżnych projektach dotyczących mediów publicznych. Do znudzenia wręcz dyskutujemy o strukturach; o różnych radach, komitetach i innych organach nadzorczych, które mają zarządzać, rozdzielać (fundusze), obsadzać (stanowiska kierownicze) i czuwać – nie bardzo wiadomo nad czym. Powstaje wrażenie, jakby istota sprawy polegała na tym, kto będzie siedział w jakim fotelu. Kto i jak będzie mógł wpływać na media publiczne i jak równoważyć te wpływy między poszczególnymi partiami politycznymi. Te sprawy są, oczywiście, ważne, a nawet bardzo ważne. Niestety, wszystkie znane do tej pory projekty rozwiązań mają jedną zasadniczą wadę. Traktują media publiczne w oderwaniu od pracujących tam dziennikarzy. Tak jakby dziennikarze, którzy decydują przecież o treści medialnego przekazu – w ogóle nie istnieli.

Tymczasem status dziennikarza mediów publicznych ma co najmniej takie samo znaczenie dla kondycji tychże mediów, jak skład rady nadzorczej publicznego radia czy telewizji. To właśnie status dziennikarza, czyli prawna ochrona jego zawodu, niezależności, obiektywizmu ocen, wraz z przestrzeganiem wymogu odpowiednich kwalifikacji, rozstrzyga o tym, czy media publiczne spełniać będą pokładane w nich nadzieje jeśli chodzi o bezstronność, pluralizm opinii i wysoką jakość publicznego przekazu.

Krótko mówiąc, wysoce wykwalifikowany, niezależny w wykonywaniu swojej pracy dziennikarz jest najlepszą gwarancją niezależności mediów publicznych. Dziennikarz, który trafia tam z tzw. rekomendacji różnych wysoko umieszczonych protektorów, dziennikarz zawodowo słaby takiej gwarancji nie daje i sto najlepszych ustaw tutaj nie pomoże.

Mylą się ci, którzy sądzą, że niezależność mediów publicznych można budować od góry – w gabinetach prezesów i dyrektorów. Ta niezależność zaczyna się bowiem – jeżeli w ogóle może się zacząć – na etapie przygotowania materiału dziennikarskiego i znajduje przedłużenie w jego kwalifikacji, wyemitowaniu i ocenie. Takie, czysto profesjonalne oceny (określę to po angielsku, żeby uniknąć ewentualnych nieporozumień w tłumaczeniu – chodzi o *professional assessment of journalistic material*) mogą być dokonywane tylko przez zespoły dziennikarskie w redakcjach. I to właśnie zespoły dziennikarskie powinny stać na straży obiektywizowanych, profesjonalnych procedur w tym zakresie. Aby tak było, konieczne jest jednak ustanowienie reguł i przestrzeganie demokracji wewnątrzredakcyjnej.

Zadziwiające, że w czasach, gdy tyle mówimy o demokracji w życiu publicznym, nie mówi się w ogóle w mediach publicznych o demokracji wewnątrzredakcyjnej.

A jest o czym mówić. Przecież wiemy, że oprócz ocen profesjonalnych w publicznym radiu i telewizji praktykowane są oceny polityczne i, co gorsza, te ostatnie nieraz biorą górę. Występują konflikty i rażące dysproporcje kompetencyjne między szefami, którzy decydują o tym, co idzie lub nie idzie na antenę i dziennikarzami – wykonawcami. Dotyczy to przede wszystkim telewizji, gdzie w przeciwieństwie do prasy drukowanej można w zarodku zgasić niewygodną dziennikarską inicjatywę decyzjami *stricte* administracyjnymi – nie przydzielając kamery bądź nie udostępniając studia.

W gazecie nikt praktycznie nie może dziennikarzowi przeszkodzić w zbieraniu materiału na taki temat, jaki zachce, najwyżej można uniemożliwić wydrukowanie tekstu, ale autor może go wtedy zanieść gdzie indziej. Studia nie zaniesie.

Niestety, daliśmy sobie, my, dziennikarze, wmówić, że dziennikarstwo jest z natury nondemokratyczne, bo tu się zawsze spieszy, są rygorystyczne limity czasowe, trzeba szybkich decyzji, a nie dyskusji. Krótko mówiąc, jest szef i szef ma rację. OK, niech będzie. Ale co np. przeszkadza, aby w demokratycznie ustalonej procedurze oceniać materiał *ex post*, po wyemitowaniu?

Reasumując, dla zapewnienia prawdziwej bezstronności mediów publicznych niezwykle istotne są, moim zdaniem, 3 kwestie:

1) uchwalenie ustawy o wykonywaniu zawodu dziennikarza, podobnej np. do ustawy o zawodzie radcy prawnego czy lekarza. Akt ten zdefiniowałby wreszcie wykonawców tego zawodu, bo nie jest dziennikarzem każdy, kto gdzieś coś opublikował czy powiedział do mikrofonu. Do rozważenia jest

wyodrębniony status dziennikarza mediów publicznych. Skoro panuje zgoda, iż media te są instytucją zaufania publicznego, czy dziennikarz tych mediów nie powinien być *de iure* osobą zaufania publicznego? Trzeba wyraźnie określić wymagania względem dziennikarzy, zapewniając zarazem odpowiedni parasol ochronny wykonującym ten zawód. Mówiąc wprost, chodzi o to, aby działającego w interesie publicznym dziennikarza nie można było bezceremonialnie wywalić z roboty, czy odsunąć na boczny tor, o ile, oczywiście, nie naruszył prawa lub etyki zawodowej;

2) uchwalenie ustawy (bądź artykułów) o ustroju wewnętrznym publicznego radia i telewizji. Odpowiednie zapisy powinny porządkować struktury i podległość w tych instytucjach oraz zagwarantować demokratyczne procedury merytorycznej kwalifikacji i oceny emitowanych materiałów. Bardzo ważna część takiej ustawy powinna dotyczyć zasad naboru oraz obsady kierownictwa dziennikarskich jednostek strukturalnych publicznego radia i telewizji. Chodzi o to, by maksymalnie zabezpieczyć media publiczne przed przypadkowymi osobami z protekcji – tak aby pracę w tych mediach na podstawie klarownych kryteriów naboru otrzymywali rzeczywiście najlepsi, wyróżniający się dziennikarze. Powiedzmy szczerze – tak jak korupcja niszczy państwo prawa, tak protekcja i niejasne zasady doboru i nominacji kadr niszczą niezależność i reputację mediów publicznych;

3) publiczne media z definicji wymagają skutecznego systemu publicznego nadzoru nad nimi. W systemie tym ważną, prawnie zagwarantowaną pozycję zapewnić należy organizacjom pozarządowym (NGO), różnego rodzaju *watch dogom* oraz, być może, nowym strukturom profesjonalno-eksperckim, niezależnym od władzy politycznej. Kierownictwo mediów publicznych powinno być odpowiednimi przepisami zobligowane do respektowania opinii tych ciał nadzorczych – szczególnie gdy chodzi o reakcje na uprawnione skargi i zażalenia ze strony osób fizycznych oraz organizacji społecznych. Bez odpowiednich regulacji prawnych w tym zakresie niezależność mediów publicznych prowadzić może do ich(i dziennikarzy) arogancji oraz ignorowania opinii publicznej.

23 stycznia 2010 r., Warszawa

List do redakcji

Wolność słowa czy wolność mediów

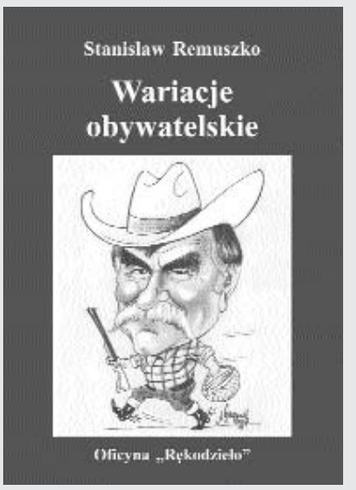
Uważam, że obserwujemy zasadniczą zmianę paradygmatu współczesnej demokracji. Że następuje realny i trwały kres monteskiuszowskiego trójpodziału władzy. Parlament, administracja oraz sądy coraz częściej i w coraz większym stopniu są zastępowane przez media. Jednak „ludzie mediów" nie pochodzą z demokratycznej elekcji, a za swą działalność nie ponoszą praktycznie żadnej odpowiedzialności. Medialną wolnoamerykankę mogłoby ukrócić nowe prawo prasowe, i jego projekt (wzorowany na Europie) od dawna istnieje, lecz nie ma go kto uchwalić, gdyż politycy, w trosce o swe wyborcze zbawienie, boją się mediów jak diabeł święconej wody.

Jako dziennikarz z ponad 35-letnim stażem dobrze wiem, że władza medialna jest często znacznie ważniejsza od pozostałych. Że poważny redaktor dużej gazety ma większą władzę od przeciętnego posła, a kilkadziesiąt prominentnych osób – szefów i właścicieli czołowych polskich mediów – ma nad opinią publiczną władzę większą niż prezydent, premier i prymas razem wzięci (by pozostać przy literze „p").

Dlaczego mi się to nie podoba? Ponieważ jako obywatel nie mam żadnej pewności że „ludzie mediów" są właściwymi ludźmi na właściwym miejscu.

Kim jest dziennikarz? To człowiek, który nie musi spełniać żadnych wymogów intelektualnych, moralnych ani obywatelskich, a zarazem może innego człowieka bezkarnie zabić słowem. Jeden tylko przykład: sprawa Romualda Szeremietiewa. Po ośmiu latach sądy prawomocnie oczyściły byłego wiceministra obrony od wszystkich stawianych mu zarzutów. Ale wyroki nie przywrócą mu straconego zdrowia ani złamanej kariery. Dziewięć lat temu w całej prasie czołówkowo podawano obszerne sensacyjne doniesienia o „aferze Szeremietiewa". Gdzie dziś gazety informują, że tamte medialne zarzuty funkcyjni dziennikarze wyssali z brudnego palca? Maleńkim drukiem na ostatnich stronach, jeśli w ogóle.

Całkiem nie wiadomo, dlaczego dziennikarze mieliby być mądrzejsi, bezstronniejsi i uczciwsi od innych obywateli. Logika wskazuje, że są raczej tacy sami, praktyka zaś – że może i gorsi. Tam, gdzie nie ma moralnego awantażu, trzeba liczyć na przymus. Dlatego ważna jest lustracja dziennikarzy, o którą bezskutecznie dobijam się od lat, najważniejsze



zamówienia: www.remuszko.pl
(dla członków SDP – zniżka 50%)

zaś jest uchwalenie nowego prawa prasowego. Pojawiają się jego nowe projekty, na przykład projekt przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, ale kiedy go zaprezentowano, natychmiast podniósł się straszliwy medialny wrzask o zagrożeniach dla wolności słowa. Redakcje i redaktorzy musieliby odpowiadać za swoje działania? Niedopuszczalne!

Czym jest wolne słowo w praktyce? To bardzo konkretne pojęcie, dające się zmierzyć i wystandaryzować. To przede wszystkim „pluralizm materialny", wyrażający się mnogością gazet, stacji radiowych i telewizyjnych o bardzo różnej orientacji, zasięgu i liczbie odbiorców; to realny dostęp przedstawicieli różnych opcji do mediów publicznych; to antykoncentracyjne prawo, uniemożliwiające skupianie zbyt wielu mediów prywatnych w jednym ręku; to wreszcie rzetelne dziennikarstwo, którego kardynalne spośród naczelnych zasad są bodaj trzy: informować o wszystkim (brak tematów tabu), oddzielać wiadomości od komentarza, udzielać głosu drugiej stronie.

Wolność słowa to wolność wyrażania naszych myśli, poglądów i opinii. To wartość wielka i podstawowa. Media, które tak krytykuję, chciałyby nieograniczonej i niekontrolowanej wolności nie dla słowa, lecz dla siebie, czyli dla mediów – a to dalece nie to samo. Wartością nadrzędną (ogólnoludzką, międzynarodową, konstytucyjną) jest wolność słowa, a wolność mediów staje przed szereg dopiero wtedy i tylko wtedy, gdy służy tej pierwszej wolności.

To NIE MY (dziennikarze) uchwalamy ustawy, ale na pewno MY potrafimy nazwać po imieniu różne niedobre rzeczy, procesy i zjawiska, i na pewno MY możemy wskazać propozycje rozwiązań, i na pewno MY musimy ciągnąć za rękaw polityków. Powtórzę zatem: w dziedzinie mediów, których działalność coraz silniej wpływa na nasze społeczne życie, nie ma pilniejszych i ważniejszych zadań reformatorskich niż nowe prawo prasowe i nowa ustawa o publicznym radiu i telewizji. To niemal dzisiejsza polska racja stanu. Bez tego ani rusz.

Stanisław Remuszko

Prawo do informacji i prawo do prywatności w Królestwie Szwecji

Zasada publicznego dostępu do informacji znajdującej się w posiadaniu władz szwedzkich oznacza, że opinia publiczna i media mają wgląd w działania państwa, zarówno na szczeblu centralnym, jak i municypalnym. Zasada ta, realizowana w zróżnicowany sposób, zakłada:
– publiczny dostęp do oficjalnych dokumentów,
– obowiązek władz dostarczania informacji,
– wolność wypowiedzi urzędników służby cywilnej i innych urzędników,
– prawo do komunikowania informacji mediom,
– otwartość debat i rozpraw sądowych.

Publiczny dostęp do dokumentów oficjalnych oznacza, że każdy obywatel Szwecji, jak również obywatel narodowości obcej, jest uprawniony do zapoznania się z dokumentami znajdującymi się w posiadaniu publicznych organów władzy (*public authorities*). Prawo to jest zazwyczaj ograniczone w dwu przypadkach:

Po pierwsze – opinia publiczna może cieszyć się prawem do dostępu tylko do tych dokumentów, które są uznane za dokumenty oficjalne. Nie wszystkie bowiem dokumenty w gestii organu władzy publicznej są uznawane za oficjalne. Np. ogólny zarys, projekt decyzji, nie jest dokumentem oficjalnym, o ile nie znajduje zastosowania w chwili, gdy sprawa, której dotyczy, jest ostatecznie rozstrzygana.

Po drugie – pewna liczba dokumentów to dokumenty tajne. Oznacza to, że opinia publiczna nie jest uprawniona do wglądu w nie, a władze mają zakaz upubliczniania ich.

Fundamentalna zasada publicznego dostępu do oficjalnych dokumentów zawarta jest w jednym ze szwedzkich praw konstytucyjnych, konkretnie we *Freedom of the Press Act*, czyli w ustawie o wolności prasy. Zasady obwiązujące w tym względzie opisane są w drugiej części niniejszego opracowania. Granice tajności dokumentów oficjalnych określa *Secrecy Act* (ustawa o tajemnicy). Postanowienia tej ustawy opisane są w części trzeciej.

Publiczny dostęp do informacji oznacza, że na życzenie osoby prywatnej, władze mają obowiązek udzielić informacji ustnej na podstawie dokumentów oficjalnych (o ile nie są one tajne) znajdujących się w posiadaniu danej władzy. Ten obowiązek jest dodatkowym obowiązkiem obok obowiązku dostarczenia samego dokumentu. Władze mają również obowiązek pomagać osobom prywatnym, udzielając im specjalnych instrukcji, o ile takie są niezbędne do uzyskania informacji z rejestrów EDP – Elektronicznego Przetwarzania Danych.

Władze mają też obowiązek dostarczania innym władzom, na ich prośbę, informacji znajdujących się w ich posiadaniu, o ile, oczywiście, informacje te nie są objęte tajemnicą. Warunkiem niezbędnym do zrealizowania obowiązku dostarczenia informacji jest gwarancja, że wykonanie tego obowiązku nie zagrozi normalnemu funkcjonowaniu organu władzy.

Z publicznym dostępem do informacji wiąże się **wolność wypowiedzi urzędników służby cywilnej i innych**. Wolność wypowiedzi urzędników jest w zgodzie z prawem konstytucyjnym *Instrument of Government* (ustawa o rządzie). Prawo to mówi, że wszyscy obywatele Szwecji i cudzoziemcy w Szwecji cieszą się pewnymi fundamentalnymi prawami i wolnościami. Jednym z najważniejszych praw i wolności jest wolność wyrażania się (wypowiedzi). Ustawa o rządzie definiuje wolność wypowiedzi jako wolność do komunikowania informacji, wyrażania idei, opinii i uczuć w formie ustnej, pisemnej, obrazowej i każdej innej.

Zgodnie z konstytucją Szwecji, wolność wypowiedzi może być ograniczona prawami stanowionymi przez szwedzki parlament – Riksdag. Jedna z takich form ograniczenia wolności wypowiedzi to ustawodawstwo dotyczące obowiązku tajemnicy służbowej urzędnika służby cywilnej, zatrudnionego w organach administracji państwowej albo municypalnej. Postanowienia w tej kwestii zebrane są w *Secrecy Act* (ustawa o tajemnicy).

Wolność komunikowania informacji to prawo każdego obywatela do przekazywania informacji (tajnej lub jawnej i na każdy temat), mediom w celu jej opublikowania, bez ryzyka kary, uszczerbku czy jakiejkolwiek sankcji. Nie implikuje to żadnego prawa do wglądu w działalność administracji. Niemniej, prawo to daje urzędnikom służby cywilnej, jak również innym urzędnikom, możliwość informowania mediów o sprawach znajdujących się w sferze działalności danego urzędnika.

Zasady dotyczące prawa do komunikowania informacji prasie zawarte są we *Freedom of the Press Act* (ustawa o wolności prasy), natomiast zasady komunikowania informacji innym mediom, takim jak radio, telewizja i wszelkie nagrania dźwiękowe, reguluje podstawowe prawo do wolności wypowiedzi (*Fundamental Law on Freedom of Expression*).

Wolność prasy jest rozumiana jako prawo każdego do swobodnego wyrażania siebie w druku, np. w książkach czy w gazetach. Jeżeli wydrukowany materiał zawiera jakieś treści kryminalne – wówczas tylko jedna osoba może być za to skazana. Najczęściej jest nią sam autor. Jednak w przypadku gazet osoba odpowiedzialna za publikację materiału prasowego może być pociągnięta do odpowiedzialności.

Wszyscy pozostali, którzy w jakikolwiek sposób współuczestniczyli w powstaniu tekstu prasowego zawierającego treści kryminalne są zasadniczo zwolnieni od odpowiedzialności. To odnosi się również do osoby, która dostarcza informacje, które są następnie publikowane w druku. Na tym właśnie polega prawo osoby dostarczającej informacje, do komunikowania informacji mediom. Te same zasady znajdują zastosowanie w stosunku do innych mediów, takich jak film, radio, telewizja, wideo i wszelkie nagrania dźwiękowe.

Nie jest dozwolone dostarczanie informacji do publikacji w sytuacji, kiedy osoba, która dostarcza informacje, tym samym popełnia poważne przestępstwo przeciwko bezpieczeństwu Królestwa, np. szpiegostwo. Nie jest też dozwolone umyślne dostarczenie do mediów oficjalnego dokumentu, który jest dokumentem tajnym.

W ustawie o rządzie powiedziane jest, że rozprawy sądowe mają być publiczne, tzn. że opinia publiczna i media mogą być obecne w czasie rozpraw sądowych. Riksdag może jednak zrobić wyjątek od tej głównej zasady, przyjmując prawo, na mocy którego rozprawy sądowe mogą odbywać się za zamkniętymi drzwiami (*in camera*). W takich przypadkach na sali sądowej mogą przebywać tylko zainteresowane strony i sąd.

Szczegółowe przepisy regulujące sytuacje, w których rozprawy odbywają się za zamkniętymi drzwiami określa kodeks postępowania sądowego oraz inne ustawy dotyczące procedur sądowych. Publiczność ma także dostęp do akt spraw sądowych – tych w toku i tych już rozstrzygniętych – i ma możliwość zapoznania się z dokumentami dostarczonymi przez strony w sprawie. To prawo o dostępie podlega jednak pewnym ograniczeniom, które są wymienione w ustawie o tajemnicy.

Posiedzenia rządu zasadniczo odbywają się za zamkniętymi drzwiami. To samo odnosi się do szesnastu komitetów wyznaczonych przez *Riksdag*. Jednak komitet może zadecydować, że jego posiedzenie będzie otwarte dla publiczności w całości lub w części, w granicach niezbędnych do zgromadzenia informacji.

Zasada dostępu do oficjalnych dokumentów odnosi się do dokumentów w posiadaniu władz publicznych. Ustawa o wolności prasy nie określa jednoznacznie co to jest „władza publiczna" Można powiedzieć, że władze publiczne to organa administracji państwowej i municypalnej.

Rząd, centralne organa władzy publicznej, sądy i zarządy miast są przykładami tego, co rozumie się pod pojęciem „władza publiczna". Natomiast korporacje, stowarzyszenia i fundacje nie są władzą publiczną nawet wtedy, gdy państwo czy miasto w całości są ich właścicielami lub całkowicie sprawują nad nimi kontrolę. Nie jest także władzą publiczną *Riksdag* ani zgromadzenia lokalnych władz, chociaż ustawa o wolności prasy stawia między tymi ciałami decyzyjnymi, a władzą publiczną znak równości.

Dokument jest to każda rzecz zapisana, obraz lub nagranie, które można przeczytać, odsłuchać lub zrozumieć w inny sposób, np. przy użyciu środków technicznych. Tak więc słowo dokument odnosi się nie tylko do papieru z napisanym na nim tekstem czy do obrazów, ale także do taśm magnetofonowych lub zapisów dokonanych za pomocą środków elektronicznego przetwarzania danych.

Można powiedzieć, że dokument to przedmiot, który zawiera pewnego rodzaju informację. Dokument jest dokumentem oficjalnym, gdy znajduje się w posiadaniu władzy publicznej.

Zgodnie ze specjalnymi przepisami uznawany jest za otrzymany (*received*) lub zredagowany, przygotowany (*drawn-up*) przez daną władzę publiczną.

Ustawa o wolności prasy reguluje zasady postępowania z dokumentami w sytuacjach, kiedy dokument znajduje się w posiadaniu zarówno tej władzy, która ma go fizycznie w posiadaniu, jak i tej, która ma do niego dostęp poprzez połączenie sieciowe.

Przyjmuje się, że dokument elektroniczny znajduje się w posiadaniu władzy, jeśli może ona uzyskać wydruk kompu-

terowy zapisu od władzy drugiej, przechowującej dokument w swoim komputerze. Tak więc, władza publiczna nie musi mieć tzw. bezpośredniego dostępu do elektronicznego dokumentu.

Jeśli natomiast jedynym zadaniem danej władzy publicznej jest techniczne przetwarzanie lub przechowywanie zapisów elektronicznych dla potrzeb innej władzy lub osoby, taki zapis nie jest uznawany za dokument oficjalny znajdujący się w posiadaniu władzy publicznej, której jedynym zajęciem jest sprawowanie technicznych funkcji w tej kwestii.

Rejestracja dokumentów oficjalnych. Dokumenty otrzymane przez władzę czy przez nią przygotowane muszą być wpisane do rejestru. Od tej zasady są cztery wyjątki. Następujące dokumenty nie muszą być rejestrowane:

1) dokumenty, które w sposób oczywisty mają bardzo małe znaczenie dla funkcjonowania danej władzy (wycinki prasowe, okólniki, materiały reklamowe),
2) dokumenty, które nie są tajne i które są przechowywane w taki sposób, że łatwo jest upewnić się, czy zostały otrzymane przez władzę czy przez nią przygotowane,
3) dokumenty, jakich dużo znajduje się w posiadaniu organów władzy, a które rząd wyłączył spod wymogu rejestracji na mocy specjalnych postanowień zwartych w ustawie o tajemnicy (*Secrecy Ordinance*),
4) zapisy elektroniczne dostępne danej władzy, które już przez inną władzę zostały zarejestrowane we wspólnym rejestrze zapisów elektronicznych.

Po to, by publiczność miała możliwość szybkiego dostępu do rejestrów prowadzonych przez władze publiczne, rejestry te nie powinny zawierać informacji objętych tajemnicą. Władze mogą jednak prowadzić rejestry, w których występują informacje tajne, jako uzupełnienie rejestrów publicznych za zgodą rządu.

Prośby o udostępnienie dokumentów oficjalnych. Osoba, która życzy sobie otrzymać oficjalny dokument powinna wystąpić do władzy publicznej, w której posiadaniu ten dokument się znajduje. Nie ma żadnych formalnych wymogów dotyczących takiego wystąpienia. Można to zrobić w formie pisemnej lub ustnej.

Osoba ma prawo zapoznania się z dokumentem na miejscu (pod warunkiem, że dokument nie jest tajny). Jeśli nie jest możliwe przeczytanie lub zrozumienie dokumentu bez użycia środków technicznych, władza ma obowiązek taki sprzęt zapewnić, np. magnetofon w przypadku nagrania dźwiękowego. Dokument może być także przepisany, skopiowany, sfotografowany lub nagrany.

Osoby pragnące uzyskać oficjalne dokumenty są także upoważnione do otrzymania za ustaloną opłatą kopii dokumentu. Wyjątkiem są zapisy elektroniczne. Władze nie muszą dostarczyć tych dokumentów w formie innej niż wydruk komputerowy.

Osoby pragnące otrzymać oficjalne dokumenty nie muszą ich specjalnie opisywać poprzez podanie daty czy numeru rejestru. Z drugiej jednak strony, władze nie mają obowiązku prowadzić szerokich badań w celu uzyskania dokumentu, o który prosi osoba występująca, gdy ta nie jest w stanie dostarczyć władzy pewnych potrzebnych szczegółów dotyczących dokumentu.

Prośba o otrzymanie oficjalnego dokumentu ma być rozpatrywana przez odnośną władzę z należnym pośpiechem. Urzędnik obecnie zajmujący się sprawą nie musi dokumentu dostarczyć natychmiast, aczkolwiek nieuzasadniona zwłoka jest niedozwolona.

Jedynym uzasadnieniem zwłoki w dostarczeniu dokumentu oficjalnego może być potrzeba sprawdzenia, czy informacja zawarta w dokumencie jest tajna czy nie, zgodnie z przepisami ustawy o tajemnicy. Czasami to władza inna niż ta, w której posiadaniu znajduje się dokument, musi rozsądzić kwestię tajności dokumentu. W takim przypadku prośba o dostarczenie dokumentu powinna być przekazana natychmiast kompetentnej władzy.

Władza może nie zażądać od osoby, która chce uzyskać dokument oficjalny, by osoba ta określiła swoją tożsamość lub poinformowała, do jakich celów chce dokument wykorzystać.

Jeśli jednak sprawa dotyczy dokumentu, który podlega przepisom ustawy o tajemnicy, władza czasem musi wiedzieć, kto pragnie uzyskać dokument i w jakim celu. W przeciwnym razie władza nie byłaby w stanie podjąć decyzji, czy udostępnić dokument czy nie. W takiej sytuacji osoba występująca albo musi powiedzieć kim jest i do czego dokument będzie użyty (np. badania) albo zrezygnować z możliwości uzyskania dokumentu.

Kto postanawia czy dokument oficjalny może być dostarczony? Takie postanowienie jest podejmowane w pierwszym rzędzie przez urzędnika odpowiedzialnego za opiekę nad dokumentem, np. archiwistę lub przez osobę zajmującą się tą sprawą. W przypadku wątpliwości, odpowiedzialny urzędnik powinien przedstawić sprawę władzy, o ile nie spowoduje to zwłoki w rozstrzygnięciu sprawy.

Jeśli urzędnik odmówi dostarczenia dokumentu lub dostarczy go pod pewnymi warunkami, sprawa – na żądanie osoby ubiegającej się o dokument – musi być przedstawiona władzy. Osoba musi być poinstruowana, że ma do tego prawo i że decyzja władzy musi poprzedzać odwołanie od tej decyzji.

Jeśli władza odrzuciła prośbę o uzyskanie dokumentu lub jeśli dostarczyła dokument z zastrzeżeniem, osoba występująca jest upoważniona do tego, by żądać, aby sprawa została rozpatrzona przez sąd. Nie można natomiast odwołać się od decyzji władzy o dostarczeniu dokumentu.

Apelacje wnosi się do **Apelacyjnego Sądu Administracyjnego**. Od decyzji takiego sądu można się odwołać do Najwyższego Sądu Administracyjnego. Jeśli zaś stroną, której prośba została odrzucona, jest władza państwowa, apelacja składana jest do rządu, a nie do Apelacyjnego Sądu Administracyjnego. Decyzja rządu nie podlega już zaskarżeniu.

Ustawa o wolności prasy wymienia te sfery, które mają być chronione poprzez utajnienie dokumentów oficjalnych:

1) bezpieczeństwo Królestwa i jego związków z innym państwem lub z organizacją międzynarodową,
2) centralna polityka finansowa, polityka monetarna, polityka dotycząca kupna i sprzedaży walut obcych w Królestwie,
3) nadzór, kontrola i inne nadzorcze czynności władzy publicznej,
4) zapobieganie przestępczości i sądowe ściganie przestępstw,
5) publiczny interes gospodarczy,
6) ochrona osobistej integralności jednostki lub stanu majątkowego podmiotów prywatnych,
7) ochrona gatunków zwierząt i roślin.

Gdy chodzi o interesy inne niż wyżej wymienione, oficjalne dokumenty nie muszą być utrzymywane w tajemnicy. O tym, które dokumenty mają być utajnione, decyduje wyraźnie specjalny akt prawny tzw. ustawa o tajemnicy (*Secrecy Act*).

Dopuszcza się włączenie postanowień dotyczących tajemnicy do innych zarządzeń i uchwał pod warunkiem, że ustawa o tajemnicy o nich wspomina. Innymi słowy, ustawa o tajemnicy określa wszystkie przypadki koniecznego utajnienia dokumentów oficjalnych. Rząd nie decyduje o tajemnicy. Jest to wyłączne prawo *Riksdagu* Jednak wiele postanowień ustawy o tajemnicy daje rządowi prawo do dokonywania uzupełniających regulacji.

Kto powinien przestrzegać tajemnicy? Tajemnicy powinny przestrzegać przede wszystkim władze publiczne. Podobnie jak ustawa o wolności prasy, tak ustawa o tajemnicy milczy na temat pojęcia „władza publiczna". Słowa te mają to samo znaczenie w prawach konstytucyjnych. Podobnie jak w ustawie o wolności prasy, państwowe i municypalne zgromadzenia decyzyjne, czyli przede wszystkim *Riksdag*, rady hrabstw i zgromadzenia municypalne uznawane są za „władze".

Natomiast wspólne przedsięwzięcia gospodarcze, stowarzyszenia działające dla zysku (*for profit*) i fundacje nie podlegają tym przepisom, nawet jeśli to państwo prowadzi operacje lub jeśli państwo nadało władzę administracyjną prywatnej firmie. Jednak w niektórych przypadkach prywatne podmioty prawne zostały zrównane z „władzami".

Na mocy poprawek do ustawy o tajemnicy firmy, stowarzyszenia typu *for-profit* i fundacje, w których zarządy miast lub rady hrabstw sprawują prawną władzę decyzyjną, są zrównane z władzami w rozumieniu prawa do dostępu do dokumentów oficjalnych znajdujących się w posiadaniu władz publicznych, jak również ustawy o tajemnicy.

Obowiązek przestrzegania tajemnicy zawodowej odnośnie do osób innych niż funkcjonariusze publiczni, takich np. jak adwokaci czy lekarze prowadzący prywatną praktykę, zawarty jest w innych niż ustawa o tajemnicy rozporządzeniach.

Co oznacza „tajemnica". Pojęcie „tajemnicy" jest zdefiniowane w ustawie. Słowo to oznacza zakaz ujawniania informacji w formie ustnej, w drodze upublicznienia oficjalnego dokumentu czy w jakikolwiek inny sposób. Tajemnica jednocześnie pociąga za sobą ograniczenia prawa publiczności do uzyskania dokumentu oficjalnego.

Tak więc, tajemnica wyraża dwa różne aspekty tej samej sprawy. Jeśli ludzie nie są uprawnieni do otrzymania dokumentu oficjalnego, to władza i funkcjonariusze publiczni konsekwentnie mają zakaz udostępniania lub ujawniania jego treści w inny sposób. Można powiedzieć, że treść tajnego dokumentu jest chroniona obowiązkiem przestrzegania tajemnicy. To informacja zawarta w dokumencie, nie sam dokument, jest tajna.

Notacja tajemnicy. Dokument oficjalny, zawierający informacje podlegające tajemnicy, może być oznaczony jako tajny. Należy przy tym powołać się na odpowiednie postanowienie ustawy o tajemnicy. Nie jest to jednak konieczne. Przy oznaczaniu nie należy używać słów innych niż: „tajny" (*secret*). Nie wolno też stosować wyrażeń typu: „w tajemnicy" (*in confidence*), „poufny" (*confidential*) czy „tylko do użytku oficjalnego" (*for official use only*).

Dokumenty oficjalne, które są dokumentami „wielkiej wagi dla bezpieczeństwa Królestwa" powinny być zaopatrzone w tzw. specjalne symbole tajności. Oznaczenie to ma moc wiążącą dla władzy, która jest uprawniona do rozstrzygania, czy możliwe jest ujawnienie dokumentu. Jeśli wpłynie prośba o wgląd w taki dokument, to należy prośbę tę przedłożyć kompetentnej władzy w celu właściwego rozpatrzenia.

Michał Mońko

Opracowanie na podstawie informacji Ministerstwa Sprawiedliwości Królestwa Szwecji.



Michał Mońko

Dziennikarz telewizyjny, radiowy i prasowy, członek SDP od 1972 roku. Studia na Uniwersytecie Warszawskim i w PWSF, TiT w Łodzi. Z wykształcenia historyk dyplomacji polsko-tureckiej, pedagog, teoretyk komunikacji i scenarzysta filmowy. Wykładowca akademicki form telewizyjnych i prasowych oraz marketingu politycznego i społecznego. Ekspert sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu, członek Rady ds. Mediów przy UKIE. Przed stanem wojennym publicysta w „Kulturze" na Wiejskiej, stały współpracownik „Literatury", „Kontrastów" i Redakcji Społecznej telewizji publicznej. W stanie wojennym zwolniony z pracy i, decyzją Sztabu Informacyjno-Propagandowego KC, pozbawiony prawa wykonywania pracy umysłowej. Pracował w wydawnictwach podziemnych, m.in. dla „Tygodnika Wojennego", „Głosu Wolnego", „Wezwania". Wielokrotnie aresztowany i prześladowany. Po 1989 roku szef Wiadomości w Telewizji Polskiej, reportażysta, w latach 90. ub.w. członek i rotacyjny przewodniczący Komisji Etycznej TVP, przewodniczący SDP w TVP. Zdobył kilkadziesiąt nagród dziennikarskich, w tym dwukrotnie nagrodę ministra kultury (1980 i 1986), nagrodę ministra zdrowia (2000), nagrodę prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji, nagrodę ZLP, nagrodę Zespołów Filmowych, trzy pierwsze nagrody w konkursach „Odry", cztery pierwsze nagrody w konkursach „Kontrastów", nagrodę „Kultury", nagrodę Biskupa Polowego na Festiwalu Niepokalanów itd. W latach 2001–2006 bezrobotny, zwolniony z telewizji. W ostatnich trzech latach kierownik Redakcji Informacji i szef newsroomu w Polskim Radiu, odpowiedzialny także za szkolenie dziennikarzy. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski przez Prezydenta RP, Lecha Kaczyńskiego.

Olśniewający kosmos w sieci

Wiesław Łuka

Internet to miejsce „wyjątkowo toksyczne", gdzie w atmosferze chaosu internauci „strzelają zza węgła" (anonimowo) do bohaterów swoich tekstów oraz do siebie nawzajem – ocenia autorów blogów i postów Piotr Zaremba, komentator w mediach tradycyjnych. Niektórzy wybitni publicyści, zazwyczaj spokojni, biją na alarm. Jacek Żakowski przed kilku miesiącami diagnozował: „polski internet jest chory na agresję i chamstwo" i „ta polska choroba osiągnęła skalę, której z niczym nie da się porównać". Tymczasem teoretyk komunikacji społecznej i medioznawca z Instytutu Dziennikarstwa warszawskiej Alma Mater, dr Włodzimierz Głodowski, przekonuje mnie teraz, że symptomy tej choroby w sieci – chamstwo i agresja – raczej słabną, zaś „merytoryczne wartości internetowego, coraz bardziej donośnego, głosu społeczeństwa obywatelskiego trudno przecenić". Ten głos bywa już nawet nazywany „piątą władzą".

Boleść opóźnienia

Ciekawe, że o toksyczności i polskiej chorobie w sieci mówią przeważnie publicyści. Natomiast reportażyści nie wytaczają polemicznych armat i nie uderzają w dzwony na trwogę. Jerzy Jachowicz, jeden z prekursorów dziennikarstwa śledczego, przyznaje, że przed kilkunastu laty „zapałał chęcią zaistnienia w internecie". Regularnie pisał dla „Gazety Wyborczej", ale możliwość pojawienia się własnych tekstów, w wersji mniej lub bardziej przetworzonych dla potrzeb wydania internetowego dziennika lub specjalnie dla niego napisanych, bardzo go podniecała. Szybkość pojawienia się na stronach www informacji czy relacji z gorącego wydarzenia jest dla reportażysty silnie motywująca. Jachowicz opowiada o swoim uczestnictwie w słynnej nocnej obławie (połowa lat 90. ub.w.) na szajkę bandytów w okolicach Sochaczewa: pościgi policyjnych radiowozów za uciekającymi złodziejami i zabójcami (wcześniej skradli samochody), schwytanie pod Żyrardowem dwóch z czterech oprychów (w tym jednego rannego), pierwsze nocne ich przesłuchania. Reportażyście pozwolono na nagranie magnetofonowe części gorących opowieści łobuzów. Zarejestrował też pierwsze, nocne relacje świadków. Myślał: jest noc z wtorku na środę, tekst napiszę w środę, a ukaże się on dopiero w czwartek. Natomiast radio i telewizja będą sycić słuchaczy i telewidzów sensacyjnymi doniesieniami o obławie przez środę. – *Boleść opóźnienia przeżywałem przez całą dobę?* – wyznaje. Na obrzeżach Kampinosu byłem pierwszym i jedynym z dziennikarzy, a informatorem o akcji byłem ostatnim. Gdybym wtedy pracował z laptopem i w ciągu godziny, dwóch przesłał relację do portalu „Gazety"?

Jachowicz ma świadomość wielu mankamentów i ograniczeń dziennikarstwa internetowego. W sieci też jest presja miejsca, zatem objętości tekstów. Jest wyścig z czasem, który sprzyja popełnianiu pomyłek przez autorów, a także przez redaktorów i administratorów stron. Relacje internetowe grzeszą powierzchownością opisu. Ale w sieci autor otrzymuje od czytelników natychmiastowy „odzew na swój komunikat". Niestety, jest też narażony na błyskawiczny, spontaniczny, anonimowy, często chamski komentarz. Jachowicz też tego doświadczył, gdy ktoś po kilkunastu latach „wyciągnął" mu tragedię rodzinną i bezkarnie oskarżył go w sieci o „podpalenie własnego mieszkania w Pruszkowie i spowodowanie śmierci żony". Przekonuje: – *Nie tylko dziennikarz, ale również artysta, sportowiec i każdy, kto realizuje społeczną misję, powinien umieć przyjmować z dystansem, a często z pobłażaniem wszelkiego typu reakcje. Ten post, oskarżający o spalenie żony, można było szybko skasować, ale po co? Przecież to by się równało fałszowaniu rzeczywistości* – puentuje reportażysta śledczy, który obecnie współpracuje z Portalem TVP – Info i zachwyca się „olśniewającym kosmosem internetu".

Zachęcanie internatów do myślenia

W „kosmicznej przestrzeni" znajduję rankiem pod datą 7.01.2010 tytuł artykułu „Kiedy PiS skończy tę błazenadę", anonsowany na stronie głównej Portalu ONET.pl. Klikam i jestem na stronie „Obserwatora szarego, codziennego życia" z adresem alme.blog.onet.pl. Niewielki komentarz na gorący temat, związany z uczestnictwem posłów Beaty Kempy i Zbigniewa Wassermanna w tzw. sejmowej Komisji Hazardowej. Bloger wydaje się być bezstronnym i wnikliwym obserwatorem naszego niespokojnego życia politycznego. Chyba ostatnie, ostrzejsze słowo w tytule wpisu rozemocjonowało tych „chorych na agresję i chamstwo" internautów, którzy denerwują nie tylko Żakowskiego i Zarembę. Kilka postów pod teksetm „alme": „A kiedy ty PO-wski szmaciarzu przestaniesz wydalać kał ustami" – „ciekawy"; „Alme naszykuj na wieczór jelito, będę cię używał" – „pedryl"; „Alme – ładny, w nagrodę możesz mi wieczorem zrobić loda" – „donak"; „Alme – Palmo, nie zaPOmnij się na śniadanko wysmarować swoim produktem odtylnym i owsiki dodać sobie do zupy" – znów „pedryl".

Nad serią postów biją po oczach – duża czerwona czcionka i treść przestrogi: KOMENTARZE ZAWIERAJĄCE OBRAŹLIWE EPITETY I WULGARYZMY BĘDĄ USUWANE. Przestroga przestrogą, jak setki tysięcy innych w Polsce, nie tylko w wirtualu, ale i w realu. Nie robi ona jednak wrażenia na dzielnych rodakach, tych rozmiłowanych w polityce i jednoznacznie określo-

nych partyjnie. Co najmniej przez dwa następne dni nikt nie skasował „chamskiej twórczości". Potem artykulik i jego otoczka zniknęły. Kto je usunął? Przeglądam inne komentarze blogera – pod nimi podobna kloaka postów, które od dawna wiszą na stronie. Tymczasem wydawca informuje, że „alme" bierze udział w konkursie na „Blog Roku 2009" w kategorii „Polityka".

Redaktor Marek Dziewięcki, dyrektor wydawniczy jednego z pierwszych i największego Portalu ONET.pl przyznaje, że anonimowość komentarzy na forach internetowych sprzyja rozpasaniu emocjonalnemu niektórych ich autorów i czasami zachęca do użycia języka spod budki z piwem. Dyrektor proponuje jednak porównać liczbę „bluzgów", które pojawiają się na stronach www – bo umknęły uwagi ich administratorów – z dużo większą liczbą ich adnotacji informujących, że ten czy inny post został usunięty jako właśnie obraźliwy lub łamiący prawo. – *Nasze ingerencje nie mają jednak nic wspólnego z tradycyjnie rozumianą cenzurą* – zaznacza Dziewięcki. Stwierdzam: – *Tych ingerencji jest zdecydowanie za mało i są dokonywane zbyt późno, a przez to zachęcają innych „chamów" do radosnej twórczości?* Dyrektor: – *Jednak zaledwie mały promil internautów wyżywa się w opluwaniu innych, co potwierdzają prowadzone badania.*

Widać, że wydawcy portali typu Onet, Wirtualna Polska czy Interia pilnują porządku na swoich stronach głównych, kierując się przede wszystkim kryterium etycznym. Zdecydowanie bardziej zaśmiecone są wulgaryzmami i obelgami strony tzw. dziennikarstwa obywatelskiego. Natomiast chyba nikt nie odpowiada za to, co się dzieje w tzw. portalach społecznościowych typu Nasza Klasa.

Marek Dziewięcki podkreśla: – *Medium internetowe jest pozbawione mentorstwa. Tym się różnimy od mediów tradycyjnych, w których dziennikarze mają mniej lub bardziej jawnie narzuconą przez wydawców linię programową, często polityczną lub komercyjną. My zachęcamy internautów do myślenia, ale nie podpowiadamy, co oni mają myśleć. Zaś autorzy blogów lub krótkich wpisów na forach myślą i reagują błyskawicznie. To jest zmiana rewolucyjna. Internet zapoczątkował dziennikarstwo dwukierunkowe w odróżnieniu od tradycyjnego dziennikarstwa liniowego. Prawie każda publikacja w sieci natychmiast spotyka się z reakcją.*

Trzeba dodać, że tradycyjne media elektroniczne właśnie dzięki internetowi i telefonii komórkowej także rozwijają już metodę dwukierunkowości komunikowania się; dziennikarze telewizyjni i radiowi zachęcają do natychmiastowych kontaktów telefonicznych i esemesowych oraz do udziału w sondach prowadzonych na bieżąco, w trakcie emisji programu „na żywo".

Nie można się schować za nickiem

W Portalu Interia, założonym przed jedenastu laty, serwis dziennikarstwa obywatelskiego pod nazwą Interia 360 działa od trzech lat. Redaktor Magda Growala-Habel, administrator serwisu przyznaje, że około 30% nadsyłanych postów jest „jadowitych". Oczywiście, one nie są dopuszczane na stronę, o czym użytkownicy są informowani. Zdarza się, że u niektórych anonimowych autorów usuniętych wpisów wzrasta poziom „jadu" i oni w kolejnych wejściach nawiązują coraz agresywniejszy dialog; przeważnie nazywają siebie „ofiarami cenzury", wykłócają się z serwisantami, domagają się uzasadnień „cenzorskich" decyzji wydawcy, choć doskonale znają kryteria eliminacji. – *To czasami prowokuje niektórych użytkowników do artykułowania jeszcze „większych świństw"* – twierdzi redaktor Growala-Habel. Ale jest i wzrastająca liczba pozytywnych reakcji na „świństwa" w prawie milionowej liczbie wejść (w skali miesiąca) ineternautów Interii. To ci, którzy spontanicznie zwracają uwagę serwisowi na te „jadowite" wpisy i sami domagają się ich usunięcia z sieci. Czyli podnosi się poziom obywatelskiego krytycyzmu, cennej autocenzury, kultury wyrażania poglądów i prowadzenia dyskusji. Jak szybko się podnosi? – na razie nikt tego nie zbadał. Szkoda. Fani Interii są zachęcani w sieci do kontaktów z wydawcą przez kliknięcie – opcji „zgłoś". – *Mamy teraz przeciętnie 30–40 takich zgłoszeń dziennie, choć jeszcze niedawno było ich zaledwie kilka* – zapewnia M. Growala-Habel. A optymizmem napawa fakt, że coraz więcej naszych użytkowników wie, że za nickiem czy pseudonimem nie można się schować. Nikt, kto łamie prawo w sieci, nie może się czuć całkiem bezpiecznie.

W Interii 360 już jest zarejestrowanych kilkunastu dziennikarzy obywatelskich – amatorów, którzy dopracowali się warsztatu profesjonalistów i wykazują pasję w swoich dziedzinach. Liczba tych rejestracji rośnie. Są pośród nich gimnazjaliści, ale także osiemdziesięciolatkowie. To jest kolejna wartość edukacyjna internetu. Autorzy najciekawszych publikacji dostają nagrody książkowe, płyty muzyczne i filmowe; czują się nobilitowani. Czesławowi Juchcickiemu (lat 82), pasjonatowi dziennikarstwa obywatelskiego Interia 360 sfinasowała nawet wydanie debiutanckiego tomu wspomnień syberyjskich.

Wychodzenie ze stanu wolnoamerykanki

„Agresja i chamstwo" w mediach nie narodziły się wraz z rozwojem internetu, to oczywiste. Nie brakuje chamstwa i łamania prawa w sieci, tak jak nie brakuje tego w realu; tak jak nie brakuje tego w mediach tradycyjnych. Jeden ze znanych komentatorów prasowych niedawno „odkrył", że „słowo w internecie może zabić". Dlaczego zapomniał dodać, że słowa w tradycyjnych mediach, zwłaszcza tabloidach i... w telewizji od dziesięcioleci „zabijają" z dużo większą siłą rażenia, bo są słyszalne i równocześnie „widzialne" w tej samej chwili przez setki tysięcy, miliony obywateli? Zaraźliwy przykład płynie z tzw. góry – m.in. z wieców politycznych, z... sal i korytarzy sejmowych i z dyskusji wybitnych dziennikarzy z politykami. Płynie również z... ambon. Oto kilka dni temu sławny dyrektor koncernu medialnego, o. Tadeusz Rydzyk, nazywa Jerzego Owsiaka w przeddzień 18. edycji WOŚP „wilkiem w owczej skórze" i imputuje mu kierowanie „sektą". A podczas niedawnej telewizyjnej (pewnie także radiowej) transmisji mszy jubileuszowej tzw. Rodziny Radia Maryja „prawdziwi Polacy" i przypadkowi słuchacze dowiadują się z ust „ojca", że „Polską rządzą bandyci". Przypomnijmy – parę lat temu dowiedzieliśmy się od „ojca", że żona prezydenta Rzeczypospolitej jest czarownicą.

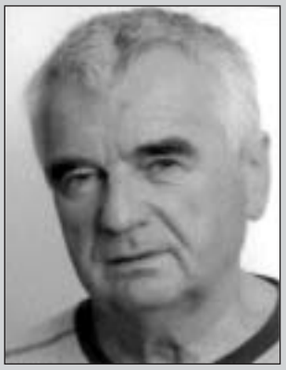
Padają pomysły walki z tymi „śmiercionośnymi pociskami" słów. Trzeba z nimi walczyć. Ale cenzurą w tradycyjnej jej formie? – nie; to już przerabiali-

śmy w minionej epoce. Poza tym – łatwo postulować nałożenie cenzury na zawodowych dziennikarzy. Ale jak ją nałożyć na polityków i innych celebrytów, którzy bez opamiętania prym wiodą w obrażaniu siebie nawzajem, czym zachęcają m.in. internatów do obrzucania ich właśnie, polityków i celebrytów, błotem. „Błoto" z partyjnych mównic i nawet niektórych ambon wraca tam, skąd wyszło.

Zajmijmy się jednak sobą – dziennikarzami, a także tzw. dziennikarzami obywatelskimi oraz anonimowymi autorami z forów internetowych. Oni coraz intensywniej kształtują opinię publiczną. Tej fali nikt nie zatrzyma. „Piąta władza" rośnie w siłę. Medioznawca, dr Włodzimierz Głodowski, ocenia, że niektórzy blogerzy, anonimowi i nieanonimowi mają w swoich felietonach i komentarzach więcej do powiedzenia niż my, zawodowcy. Ich opinie są prawdziwie niezależne, bardziej autentyczne, bo niewyrażane „pod kogoś" – pod tę czy inną partię, tę czy inną grupę biznesowo-lobbingową, ten czy inny układ medialno-komercyjny, a także pod reklamodawców.

Najgorszą metodą przeciwdziałania chamstwu i przestępstwom w sieci byłoby nałożenie obowiązku „wyjścia z ukrycia" internautów. Zatem nie „koniec z anonimowością", nie dekonspiracja internautów, ale nałożenie na właścicieli portali i innych forów internetowych obowiązku czuwania na czystością obyczajową i przestrzeganiem prawa. Organa ścigania i sądy powszechne coraz częściej prowadzą postępowania przeciw dziennikarzom zawodowym. A kiedy zaczną zajmować się dziennikarstwem obywatelskim? Kto ma zaktywizować wydawców internetowych do zaprowadzenia etycznego porządku w sieci? Nie wystarczy opatrywanie stron www komunikatem: „Publikowane komentarze są prywatnymi opiniami użytkowników. Onet nie ponosi odpowiedzialności za treść opinii". A kto ma ponosić? Piłatowska zasada „umycia rąk" jest skompromitowana od dwóch tysięcy lat. Także nie wystarczy zachęta, kierowana do przyzwoitych internautów: „Jeśli którykolwiek z postów na forum łamie zasady, zawiadom nas o tym". Dobry apel, ale to przede wszystkim sam wydawca powinien „siebie zawiadamiać" o łamaniu zasad. I nie dopuszczać do „łamania" poprzez zwiększenie czujności i konsekwentne eliminacje „jadowitych" z forów i stron. Któryś z dziennikarzy dyskutantów porównał tych „jadowitych" z „kibolami". Trafne porównanie. Widzimy, jak ciężka jest walka z bandytyzmem stadionowym. Ale słyszymy też częste głosy, że niektórym szefostwom niektórych klubów wcale nie zależy na wojowaniu z „kibolami". A wydawcom internetowym chyba bardzo zależy na oczyszczeniu stron z „toksyczności".

Niedawna, głośna sprawa blogerki „Kataryny", która zbyt daleko posunęła się w ocenie jednego z polityków (podobno ma się tym zająć sąd powszechny) może być ostrzeżeniem dla innych dziennikarzy obywatelskich; nie tylko zresztą dla nich. Doktor Antoni Dudek, doradca w Centrum Monitoringu Wolności Mediów naszego stowarzyszenia uważa, że jeśli sąd orzeknie, że „Kataryna" przekroczyła prawo, to na pewno straci ona... prawo do anonimowości. Nie będzie już mogła „strzelać zza węgła". Doktor uważa, że również środowisko dziennikarstwa zawodowego, zwłaszcza tabloidów, samo powinno znaleźć sposoby wyjścia ze „stanu wolnoamerykanki", w jakim się znalazło w przestrzeni wolnego rynku nie tylko gospodarczego, ale i innych wartości. Antoni Dudek marzy, by na przykład Rada Etyki Mediów znalazła wreszcie sposoby zwiększenia swego autorytetu i skuteczności, by jej protesty i apele nie były głosem „wołającego na puszczy". Natomiast komentator i felietonista dziennika „Polska", Wiktor Świetlik, szef Centrum Monitoringu Wolności Mediów, informuje, szczególnie tych kolegów po fachu, którzy czują się obrażani przez „jadowitych": – *Byłem przez jednych nazwany świnią PIS-owską, przez innych świnią platformerską na tej samej stronie i uznałem to za duży swój sukces dziennikarski. Dystans do siebie może być jednym ze środków leczniczych, choć wiadomo jednak, ze nikt jeszcze nie wymyślił stuprocentowo skutecznych leków na jakąkolwiek chorobę.*



Wiesław Łuka

Dziennikarz prasowy od 1970 roku. Pracował w kilku redakcjach, najdłużej w tygodniku „Prawo i Życie". Ostatnio współpracował z tygodnikiem „Głos Nauczycielski". Jest autorem 12 książek reporterskich; zbiorów reportaży i książek monotematycznych. Na podstawie jednej z nich – „Nie oświadczam się" – napisał scenariusz na konkurs filmu fabularnego, ogłoszony przez TVP; wygrał ten konkurs i film pt. „Zmowa" został zrealizowany. Ponad czterdzieści lat pracy dziennikarskiej zaowocowało kilkoma nagrodami klubowymi SDP oraz prawie dwudziestoma nagrodami redakcyjnymi w konkursach na reportaż. Współpracował z redakcjami kilku pism również jako recenzent filmowy. Na Magisterskim Studium Zaocznym Instytutu Dziennikarstwa na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW prowadził w latach 1995–2009 ćwiczenia z informacji prasowej z gatunków dziennikarskich oraz czterosemestralne seminarium warsztatowe z reportażu dla studentów IV i V roku. Od lutego będzie prowadził zajęcia z reportażu na studiach dziennych Instytutu Dziennikarstwa.

PS. W „Tangu" Sławomira Mrożka (świetna inscenizacja Jerzego Jarockiego) główny bohater, młodzieniec Arturek, wrażliwiec ogarnięty pasją naprawy rzeczywistości, widzi dookoła upadek wszelkich autorytetów i wartości. Chce to zmienić, ale rozpaczliwie woła: jak można wprowadzić porządek, gdy wszystko wolno. A służący Edzio, osiłek (przy okazji partner łóżkowy matki Artura) ma metodę na zaprowadzenie ładu: wziąć za mordę i już... KURTYNA.

Wiesław Łuka

W SDP o „Pamiętniku Cezara”



Na marcowe spotkanie Zespołu Seniorów Dziennikarzy SDP zaprosiliśmy kol. Andrzeja Wernica, autora – a właściwie współautora książki „Pamiętnik Cezara”, Ewę Kielak-Ciemniewską redaktor naczelną miesięcznika „Stolica”, dzięki której ta pozycja została wydana w oficynie „Biblioteka Stolicy”, i red. Krzysztofa Jaszczyńskiego.

Redaktor Andrzej Wernic przekazał mu notatki swego brata, Zbigniewa, napisane 64 lata temu. Zbigniew nieco starszy od Andrzeja, kpr. podchorąży 7. Pułku Piechoty AK „Madagaskar – Garłuch” robił je od 8 stycznia do 24 czerwca, gdy został aresztowany przez gestapo. Notatki te w ostatniej chwili przed rewizją zostały wyrzucone przez okno i mimo że spalony został potem dom, odnaleziono je w gruzach.

Wydawało się, że dzisiaj te drobne litery i bardzo zniszczone kartki są już nie do odczytania. A jednak Krzysztofowi Jaszczyńskiemu udało się rozszyfrować trzydzieści kartek pamiętnika. Na spotkaniu w SDP dr Jaszczyński opowiadał o tej benedyktyńskiej pracy, a także mówił o historycznych i literackich wartościach zapisów ledwie pełnoletniego mężczyzny, szybko dojrzewającego w okresie walki z Niemcami.

„Pamiętnik Cezara” to świadectwo postawy i patriotyzmu pokolenia II Rzeczypospolitej i Polskiego Państwa Podziemnego, dokumentacja konspiracji i walki polskich żołnierzy 7. Pułku Piechoty Armii Krajowej „Garłuch”.



Brat „Cezara” – Andrzej Wernic – wspominał w czasie spotkania swoje – chłopca czternastoletniego – doznania okupacyjne. Mówił o egzekucjach ulicznych widzianych z okna mieszkania, o dobrze zapamiętanej wędrówce kanałami z ulicy Podwale – gdzie mieszkał z matką – na Warecką i potem przejściu na Kopernika – do szpitala dziecięcego. Tam podczas Powstania Warszawskiego pracowała jego matka.

Aby udokumentować niezwykłą wartość historyczną pamiętnika swojego brata, Andrzej Wernic poprosił red. Annę Malinowską-Wegner o przeczytanie kilku wybranych fragmentów. Słowa Zbyszka, rozstrzelanego przez Niemców 21 lipca 1944 roku wywarły silne wrażenie. W dyskusji zastanawiano się, czy dzisiejszych młodych ludzi stać by było na tak wielką ofiarę dla Polski. II Rzeczypospolita wychowała wspaniałych patriotów. Czy my – po dwudziestu latach niepodległej Polski – potrafimy wychować podobne pokolenie?

A. M-W





Henryk Sławik i József Antall uhonorowani

Przyjaźń na śmierć i życie

Relacje Henryka Sławika, wiodącej postaci uchodźstwa polskiego na Węgrzech, z Józsefem Antallem seniorem, głównym opiekunem naszych rodaków z ramienia Rządu Królestwa Węgier, to jedna z najbardziej niezwykłych przyjaźni męskich z okresu drugiej wojny światowej. Ta przyjaźń Polaka z Węgrem to przyjaźń na śmierć i życie, dosłownie ! Nie sposób ukazać wielkości postawy i czynów Sławika bez jego współpracy i kontaktów prywatnych z ,,Ojczulkiem Polaków'', jak uchodźcy nazwali Antalla. Ale też legenda o tym charyzmatycznym Węgrze byłaby nieprawdziwa, gdyby w niej zabrakło miejsca dla ,,Posłańca Pana Boga'', jak Sławika nazwała Cipora Lewawi, jedna z kilku tysięcy uratowanych przezeń na Węgrzech polskich Żydów. Sprawiedliwie dodajmy, że byłoby to niemożliwe bez pomocy właśnie Antalla i jego bardzo zaufanych współpracowników.

Doceniając rolę i zasługi naszego Ślązaka i jego węgierskiego przyjaciela z lat 1939–1944, prezydent RP – prof. Lech Kaczyński, w obecności prezydenta RW – László Solyoma 25 lutego br. w Katowicach pośmiertnie odznaczył Henryka Sławika Orderem Orła Białego, a Józsefa Antalla sen. Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, najwyższym odznaczeniem, jakie może otrzymać cudzoziemiec. To budujący, symboliczny gest, wyraz naszej polskiej pamięci i wdzięczności Węgrom za ich postawę wobec Polaków napadniętych 1 września 1939 roku najpierw przez Hitlera, a 17 dni później także przez Stalina. To nasze „Dziękujemy" za otwarcie przez Madziarów swej granicy przed około 120–130 tysiącami naszych żołnierzy i cywilów, za stworzenie im warunków pobytu, za...

Pojawiają się pytania: dlaczego wraca nam pamięć dopiero teraz, kilkadziesiat lat po zakończeniu wojny? Dlaczego tyle jest jeszcze do zrobienia, by Sławik na stałe zagościł w świadomości Polaków, w tym jego ukochanych Ślązaków, choć to postać zasługująca na wprowadzenie jej do wiedzy i świadomości historycznej Europejczyków, a także światowej społeczności żydowskiej. Historia Sławika, jego „życie po życiu" prowokuje do wielu jeszcze innych, dodatkowych pytań.



Henryk Sławik z żoną Jadwigą i córką Krysią (1934, Sopot)

Henryk Sławik (16 lipca 1894, Szeroka, dziś część Jastrzębia Zdroju – 25 lub 26 sierpnia 1944, hitlerowski obóz koncentracyjny w Mauthausen), syn drobnego gospodarza wiejskiego, którego nie było stać na posłanie dziecka do szkoły średniej. Henrykowi pozostało samokształcenie. Aż trudno uwierzyć, że ten człowiek w 1928 roku został redaktorem naczelnym, wychodzącej w Katowicach „Gazety Robotniczej". Wkrótce potem wybrano go prezesem Syndykatu Dziennikarzy Polskich Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Sprawował tę funkcję przez wiele lat. Zawsze coś robił z myślą o i dla innych. Należał do organizatorów m.in. robotniczych uniwersytetów i klubów sportowych. Stając się jednym z liderów śląskiego PPS-u, do końca pozostał wierny jego niepodległościowym ideałom. Gdy poprosiłem o lapidarną charakterystykę Sławika, znawca wybitnych Ślązaków – prof. Mirosław Fazan, kilka lat temu powiedział:

„Należał (Sławik) do pokolenia przełomu XIX i XX wieku, o którym tak ładnie pisał prof. Kazimierz Wyka, że «odzyskana niepodległość nas ogromnie zobowiązywała». Również w życiu Sławika ta odzyskana niepodległość była jego osobistym zobowiązaniem – zobowiązaniem aż do ofiary własnego życia".

Ten bezgranicznie oddany Polsce Ślązak, sprawując w latach 1940–1944 funkcję prezesa Komitetu Obywatelskiego ds. Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech, zapisał jedną z najpiękniejszych kart Polaka poza okupowaną ojczyzną w czasie drugiej wojny światowej.

Przepustka do historii

O Henryku Sławiku po raz pierwszy usłyszałem w drugiej połowie lat 70. ub.w., gdy jako dziennikarz zacząłem się zajmować tematyką polsko-węgierską. Pisząc o uchodźstwie wojennym, przedstawiałem go jako sprawnego organizatora warunków życia rodaków, ich troskliwego opiekuna. Tak też pozostał w pamięci autorów uchodźczych wspomnień. Gdy w 1999 roku Ambasada RP w Budapeszcie, którą wtedy kierowałem, przygotowywała ogólnokrajowe obchody 60-lecia uchodźstwa polskiego na Węgrzech z udziałem prezydentów, marszałków

parlamentów i szefów dyplomacji obu naszych krajów, na patronów uroczystości i imprez okolicznościowych wybraliśmy Antalla i Sławika. Nadal jednak o tym wybitnym Ślązaku wiedziałem stosunkowo niewiele.

W połowie 2001 roku w Warszawie, już po powrocie z placówki dyplomatycznej, szczęśliwie spotkałem Henryka Zvi Zimmermanna, polskiego Żyda z Hajfy. To on przed dwoma uchodźcami wojennymi (Janem Stolarskim, żołnierzem Września, i Bogumiłem Dąbrowskim, uczniem słynnej polskiej szkoły nad Balatonem) i przede mną odkrył drugą, nieznaną twarz Sławika. Nie myślałem jednak, że odkrywanie o nim prawdy będzie tak pasjonującym, odpowiedzialnym, a zarazem jakże trudnym zadaniem. Jak się okazało, szlachetność biografii Bohatera nie jest kluczem, który otwiera wszystkie drzwi. Mówię to w dziewiątym roku starań i zabiegów, inicjatyw i realizacji Sławikowych projektów, po napisaniu o Sławiku dwóch książek, po „nakręceniu" z Markiem Maldisem filmu dokumentalnego i po 170 spotkaniach autorskich w Polsce, na Węgrzech, w Izraelu, Francji i Kanadzie, poświęconych Sławikowi.

Pełnomocnik rządu Sikorskiego i... kamuflaż

Za swą działalność i udział w przygotowaniach do obrony Śląska przed Niemcami trafił Sławik na listę osób wyznaczonych przez hitlerowców do aresztowania w pierwszej kolejności. Postanowił więc walczyć o wolną i niepodległą Rzeczypospolitą w szeregach tworzonej we Francji Armii Polskiej. Spotkanie w jednym z obozów pod Miskolcem z Józsefem Antallem seniorem, którego rząd Królestwa Węgier mianował pełnomocnikiem ds. opieki nad uchodźcami wojennymi, sprawiło, że Sławik do gen. Władysława Sikorskiego nie dotarł. Przy pomocy Antalla już na przełomie lat 1939/1940, kierując utworzonym przez siebie Komitetem Obywatelskim ds. Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech, zaczął współorganizować pobyt na Węgrzech dziesiątkom tysięcy współrodaków (zakwaterowanie, praca, szkoły dla dzieci i młodzieży, edukacja dorosłych, opieka medyczna, zajęcia kulturalne, życie religijne). Wielkim ułatwieniem w realizacji tych niebywale trudnych zadań było przyznanie mu na początku 1940 roku przez Rząd RP na Wychodźstwie swych pełnomocnictw. Od samego początku – bez instrukcji z Londynu, na podstawie niepisanej, tajnej umowy z Antallem i we współpracy z polskimi i węgierskimi duchownymi katolickimi, wystawiającymi fałszywe metryki chrztu – urząd Sławika wyrabiał Żydom nowe dokumenty na nazwiska o typowo polskim brzmieniu.



József Antall (rys. Jotes)

Kamuflażowym majstersztykiem Sławika i Antalla było założenie w Vácu nad Dunajem... Sierocińca Dzieci Polskich Oficerów, który w rzeczywistości był domem dla niemal stu żydowskich sierot. Różnymi drogami i sposobami dotarły one na Węgry wiosną 1943 r. wraz z ostatnią falą około 5 tysięcy żydowskich uciekinierów, głównie z południa Polski. Sierotom również wyrobiono nowe dokumenty, nauczono ich żegnać się znakiem krzyża i kilku podstawowych modlitw w języku polskim. W niedzielę zaś okrężnymi ulicami prowadzono je na mszę do katolickiego kościoła, by mieszkańcy Vácu nie mieli wątpliwości, gdzie te dzieciaki się modlą. By oddalić wszelkie podejrzenia, jedna z głównych opiekunek polskich uchodźców – hrabina Erzsébet Szapáry, sprowadziła do sierocińca nuncjusza apostolskiego – abp. Angelo Rottę. I choć 19 marca 1944 roku Węgry Miklósa Horthyego z sojusznika stały się krajem okupowanym przez Niemców, a władzę przejęli miejscowi faszyści, tak przygotowano ewakuację „Vácu", że ani jedno z tych sierot nie zginęło.

„Tak płaci Polska..."

Sławik i jego sprowadzona z Warszawy na Węgry dopiero w grudniu 1943 r. rodzina – żona Jadwiga i 13-letnia córka Krystyna – nie miały takiego szczęścia. W czerwcu 1944 r. w Balatonboglár, gdzie przez kilka miesięcy Krysia chodziła do słynnego polskiego gimnazjum i liceum, Niemcy aresztowali Jadwigę Sławik, która trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Ukrytą przez matkę małą Krysią zaopiekował się ksiądz Béla Varga, umieścił na pewien czas w internacie, a gdy trzeba go było ewakuować, córka Sławika przez kilka miesięcy „wędrowała" od gospodarza do gospodarza w rejonie Balatonu, aż po wojnie odnalazł ją Antall.

Henryk Sławik nie skorzystał z posiadanych trzech paszportów i choć mógł z rodziną schronić się w Szwajcarii, nie zrobił tego. Na wyjazd zaś tylko z córką nie zgodziła się żona Jadwiga, mówiąc „albo wszyscy, albo nikt''. Gdy podczas ostatniego przed wpadką (zdradzony przez Polaka, maturzystę-eksterna z Balatonboglár, niemieckiego konfidenta) nocnego spotkania z córką na pytanie małej Krysi: „Tatusiu, dlaczego nie wyjechaliśmy, choć nam to obiecywałeś", tata Henryk odpowiedział, że nie mógł zostawić



Henryk Sławik (rys. Jotes)

tych, których powierzono jego opiece...

Gdy gestapowcy doprowadzili do konfrontacji Sławika z również aresztowanym Antallem, znów dał dowód niebywałego męstwa i wspaniałej postawy moralnej. Bito go, polewano wodą, katowano, by wymusić na nim zeznania obciążające Antalla, że to on właśnie pomagał Sławikowi w organizacji przerzutów do Francji i na Bliski Wschód około 40 tysięcy polskich żołnierzy, że razem z Antallem ratowali Żydów z Polski! To dwa główne z wielu innych oskarżeń. Wszystkiemu zaprzeczył, biorąc te „winy" na siebie, czym uratował węgierskiego Przyjaciela. Gdy potem obu z siedziby gestapo wieziono do więzienia, wykorzystując nieuwagę strażników, Antall uścisnął dłoń ledwo żywego Sławika, mówiąc: „Przyjacielu, dziękuję, uratowałeś mi życie!", w odpowiedzi usłyszał: „Tak płaci Polska...".

Polska natomiast kiepsko odpłaciła się Sławikowi, zamordowanemu przez hitlerowców w końcu sierpnia 1944 roku w Mauthausen. Nim jednak nowe polskie władze skazały go na zapomnienie, dobre chęci wykazali radni Katowic. W 1946 roku podjęli oni decyzję o przemianowaniu ulicy Zabrskiej na ulicę Henryka Sławika. Po trzech dniach odpowiednie służby i władze rosnącej w siłę partii doszły do wniosku, że w powojennej rzeczywistości nie można honorować przedstawiciela Rządu RP na Wychodźstwie, a jednocześnie socjalistę nurtu niepodległościowego! Decyzję więc anulowano, a jej inicjatorów skarcono.

Sprawiedliwy po latach

Uratowani od wojennej zagłady zgłosili w 1977 roku w Yad Vashem kandydaturę Henryka Sławika do tytułu „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata". Wieloletni brak stosunków dyplomatycznych PRL z Izraelem nie ułatwił szybkiego przeprowadzenia wymaganych procedur.

Dopiero dodatkowe, podjęte wiele lat później, zabiegi przez byłego wiceprzewodniczącego Knesetu, Henryka Zvi Zimmermanna, sprawiły, że 6 listopada 1990 roku odbyła się w Jerozolimie uroczystość pośmiertnego uhonorowania Henryka Sławika tytułem i medalem „Sprawiedliwego".

Gdy na ręce córki, Krystyny Sławik-Kutermak i jej męża, Zbigniewa, składano podziękowania, głośno wówczas mówiono, że „Sprawiedliwy" Sławik przyczynił się do uratowania z Holocaustu ponad 5 tysięcy Żydów z Polski! Niestety, ta jakże budująca informacja nie trafiła na czołówki polskich gazet. Więcej, ten fakt w centralnych mediach nad Wisłą tego okresu w ogóle nie został odnotowany! A przecież była to okazja, by o czynach Sławika i Antalla napisały światowe media, ale ktoś musiałby o to zadbać. Czyżby to jakieś fatum, że również teraz, 20 lat później, nie tylko relacja, ale nawet informacja z Katowic o uhonorowaniu Sławika i Antalla najwyższymi polskimi odznaczeniami nie znalazła się w głównych dziennikach głównych stacji TV?

A co by było, gdyby w połowie 2001 roku do Warszawy nie przyjechał z Izraela z prywatną wizytą wspomniany wcześniej Henryk Zimmermann? Kilka tygodni po założeniu przez Sławika i Antalla słynnego sierocińca w Vacu, dzięki polskim kurierom dotarł on do Budapesztu i od września 1943 roku przez pół roku pomagał prezesowi KO ratować Żydów. To on nazwał Sławika „polskim Wallenbergiem", a ja za nim to określenie uczyniłem w 2003 roku głównym tytułem swej pierwszej książki o tym wielkim „Sprawiedliwym".

Opowieść starszego pana z Hajfy

Przyznaję, że z pewnym niedowierzaniem słuchałem opowieści wiekowego gościa z Hajfy o nim samym i jego współrodakach, ratowanych przez Sławika. Weryfikację Zimmermannowej wersji wydarzeń rozpocząłem na Śląsku w domu szczęśliwie jeszcze wtedy żyjącej córki Bohatera przy ulicy Różanej. Powojenny, ciężki los najbliższej rodziny człowieka, który w okresie międzywojennym tyle uczynił na rzecz ukochanego Śląska i jego polskości, nie mówiąc o dokonaniach węgierskich, zrobił na mnie wielkie wrażenie. To wtedy, spontanicznie, złożyłem Pani Krystynie Sławik-Kutermak zobowiązanie, że uczynię co w mojej mocy, by jej wspaniały Ojciec nie został zapomniany.

Z Katowic pojechałem do Budapesztu do córki Józsefa Antalla – Edith, obecnie Héjj Lászlóné, która ojca Krysi nazywała „wujkiem Henrykiem" (Henryk bácsi) i podczas jego wizyt w domu Antallów, na prośbę gościa, grywała mu czasem Chopina. Od Edith udałem się do Tamása Salamona-Rácza, który jako sekretarz generalny Węgiersko-Polskiego Komitetu Pomocy Uchodźcom blisko współpracował z Komitetem Obywatelskim i jego prezesem. To bardzo ważny świadek. Tamás Salamon-Rácz o Sławiku: „On był ucieleśnieniem uczciwości, właściwie pojmowanej przyjaźni i dobroduszności. Nigdy na myśl mu nie przyszło, czy danej osobie trzeba czy nie trzeba pomóc. A należy wiedzieć, że po dwakroć był zagrożony ten, kto



Grzegorz Łubczyk z Edith Antall-Héjj Lászlóné, córką ,,Ojczulka Polaków'' wybierają zdjęcia do swych książek o Sławiku i Antallu.



Zdjęcie ślubne Jadwigi (z domu: Purzyckiej) i Henryka Sławików (21 lipca 1928, Warszawa)

poza tym, że był Polakiem, był też Żydem. Jeżeli więc uchodźca był Polakiem, to trzeba było mu pomóc. Gdy zaś był Polakiem żydowskiego pochodzenia, to należało mu pomóc w dwójnasób. I Sławik to robił!".

Z Budapesztu wróciłem do Warszawy i udałem się do Barbary Czerwińskiej, która pracowała w Sekcji Polskiej w Biurze Józsefa Antalla. Podczas każdej takiej wizyty pojawiał się adres kolejnego uchodźcy, którego los w jakimś momencie zetknął z prezesem Komitetu Obywatelskiego, uważanego za „nieformalnego ambasadora Rzeczypospolitej". Wszyscy oni w różny sposób potwierdzali prawdziwość opowieści 90-letniego Zimmermanna o męstwie i szlachetności Sławika. W trakcie pracy nad filmowym dokumentem Henryk Zimmermann powiedział: „W swoim już dość długim życiu nie poznałem wielu równie szlachetnych i bardziej uczciwych ludzi od Sławika. Ja wiem i nie zapominam o tym, że wielu Polaków ratowało Żydów z narażeniem własnego życia. Wśród nich Sławik był jednak kimś wyjątkowym. On całym sercem oddał się tej pracy, choć wiedział, że zapłaci życiem".

Gdy drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia 2003 roku z pociągu, jadącego z Warszawy do Katowic, zadzwoniłem do pani Krysi z informacją, że wiozę „gorący" egzemplarz książki o jej Ojcu, nie chciała uwierzyć. Ale uwierzyła, gdy zobaczyła i wzięła do ręki. Milcząc, długo patrzyła na okładkę ze zdjęciem ze spaceru gdzieś na obrzeżach Katowic. Idący pewnym krokiem tata trzyma za rączkę swą małą Krysię... Po następnych paru minutach wyznała: „Tyle już było prób i wszystkie spełzły na niczym. Coś ciągle się załamywało. A teraz się zdarzyło! Urodziło się coś takiego, co zdjęło całą moją troskę, całe moje smutki. Sprawił pan, że ten człowiek nie został zdeptany. Jaka ja jestem szczęśliwa! Od Pana Boga – przez pana ręce – otrzymałam wielki prezent. Jest to pewne zamknięcie tych sześćdziesięciu lat, przez które cały czas czekałam, aż może ktoś ojca przypomni. To był przecież człowiek, który innym tyle dobrego zrobił (...)".

Pani Krysia powiedziała jeszcze, że teraz już może umierać. Tych słów nie potraktowałem poważnie, bowiem ile to razy słyszymy podobne od starszych osób. Dopiero później się dowiedziałem, że aktywna współpraca pani Krysi przy pisaniu przeze mnie książki, a w 2004 roku przy powstającym filmie dokumentalnym „Henryk Sławik. Polski Wallenberg" dodawała jej sił do walki z rakiem. Nie wzięła już udziału w żadnym spotkaniu promocyjnym książki. Chcąc pani Krysi zrobić niespodziankę, nie informowałem jej, że złożony przeze mnie w Kancelarii Prezydenta RP wniosek o odznaczenie dla ojca prezydent Aleksander Kwaśniewski rozpatrzył pozytywnie. Myślałem, że ta wiadomość ją zmobilizuje i przyjedzie do Warszawy. Niestety, w prapremierze dokumentu „Henryk Sławik. Polski Wallenberg", która miała miejsce w końcu sierpnia 2004 roku w Pałacu Prezydenckim też nie wzięła udziału. Przyznany zaś wówczas ojcu, pośmiertnie, Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski odebrała jej córka – Jadwiga Kutermak-Wieczorek. Potem z niecierpliwością czekała i zawsze z wielką uwagą wysłuchiwała moich relacji z kolejnych spotkań promujących i wydobywających z niebytu postać ojca. Krystyna Sławik-Kutermak zmarła w styczniu 2006 roku.

Gdybym dzisiaj chciał odtworzyć wojenną historię Sławika, nie zrobiłbym tego. Półtora roku przed Krysią Sławik zmarł Tamás Salamon-Rácz, pół roku po jej śmierci – Henryk Zimmermann, a rok temu – Barbara Czerwińska. Bez ich wiedzy i osobistych wspomnień chyba nie byłoby... „polskiego Wallenberga".

Spóźniona dobra nowina

Podczas spotkań autorskich, zarówno w kraju, jak i za granicą, ale zwłaszcza poza Polską, niemal zawsze pada pytanie, połączone jakby z wyrzutem: dlaczego dopiero teraz, po tylu latach od wojny, dowiadują się o takim Człowieku?! Wielu polskich i zagranicznych dziennikarzy, do których dotarła dobra nowina o Sławiku, pisząc o nim, nie potrafi zrozumieć, dlaczego Polska w sposób bardziej zauważalny nie chwali się takim „Sprawiedliwym'? Przytoczę kilka, dających wiele do myślenia, refleksji i opinii.

Teofil Lachowicz „Polski Wallenberg" („Przegląd Polski", dodatek kulturalny „Nowego Dziennika", Nowy Jork, 5 marca 2004): „Postać Henryka Sławika mocno godzi w skandaliczny stereotyp lansowany z uporem przez niektóre środowiska na Zachodzie, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych, ukazujący Polaków jako sojuszników hitlerowskich Niemiec w zbrodniczym dziele zagłady europejskich Żydów".

Michał Jaranowski „I my mieliśmy Wallenberga" („Wspólnota Polska", Pismo poświęcone Polonii i Polakom za granicą, styczeń–luty 2004): „Książka Łubczyka to również rzecz o długu, o zapomnianym długu wdzięczności wobec Węgrów. Część tego długu spłacił swym życiem Henryk Sławik. Ale ów dług wciąż czeka na spłatę, może poprzez opisanie w podręcznikach szkolnych, jak Węgrzy pojmowali przyjaźń do Polaków w czasach wojny. Ten rozdział historii został zapomniany, a «Polski Wallenberg» jakby w ogóle nie istniał. Jestem głęboko przekonany, że postać i czyny Henryka Sławika godne są, by dowiedzieli się o nich nie tylko czytelnicy książki Łubczyka i nie tylko Polacy".

Cezary Chlebowski „Zapomniany bohater" („Tygodnik Solidarność", 2 kwietnia 2004): „Tragiczne są te narody, które, mając nadmiar bohaterów, nie potrafią odsiać ziarna od plew (...)

Setki dotąd nieuczczonych prawdziwych bohaterów, takich jak Henryk Sławik, nadal czekają na przypomnienie".



Grzegorz Łubczyk

Autor był wieloletnim korespondentem polskiej prasy w Budapeszcie, ambasadorem RP na Węgrzech (1997–2001), napisał kilka książek o tematyce polsko-węgierskiej, jest współautorem i samodzielnym realizatorem filmów dokumentalnych. Członek-założyciel i wiceprezes Stowarzyszenia Henryk Sławik – Pamięć i Dzieło. Odznaczony Krzyżem Oficerskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Republiki Węgierskiej, Honorowy Obywatel węgierskiego Vámosmikola, Zasłużony dla miasta Jastrzębie Zdrój, Honorowy Członek Stowarzyszenia Kulturalnego Polaków na Węgrzech im. Józefa Bema, Honorowy Członek Stowarzyszenia „Portius" w Krośnie. Członek Międzynarodowego Zakonu Rycerskiego św. Jerzego w Polsce.

Tadeusz Olszański „Choćby ulicę nazwać..." („Polityka'', 24 kwietnia 2004): „Aż dziw, że bohaterstwo Henryka Sławika nie zostało w Polsce zauważone we właściwy sposób. Dochodzi do tego dopiero po 60 latach. Ma w tym znaczący udział książka Grzegorza Łubczyka „Polski Wallenberg" (...) Na Węgrzech zaś podobnie potraktowano Józsefa Antalla. Po dojściu komunistów do władzy w 1948 roku wszyscy związani z administracją admirała Horthyego zostali uznani za wrogów ustroju, aresztowani bądź wysiedleni z Budapesztu. Antalla uratowało to, że polski rząd odznaczył go orderem Polonia Restituta..."

G. D. „Polski Wallenberg. Rzecz o Henryku Sławiku" („Msza Święta", kwiecień 2004): „Jak widać, lista świętych obejmuje nie tylko spisywane przez wieki imiona. Jak wiele jest też świętości tej niezapisanej, cichej i pokornej, nieliczącej na żadną nagrodę. Życie H. Sławika jest tego przykładem".

Sabina Andraczyk „Nie (d) oceniona sława Sławika" („Nowiny Kurier", Tel Awiw, 2 lipca 2004): „Nie pozwólmy, aby Henryk Sławik pozostał w cieniu innych bohaterów. Nie dopuśćmy, by pamięć o nim odeszła w niepamięć. Przeciwnie, dokonajmy wszelkich starań, by jego imię na zawsze wpisało się nie tylko na listę Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, ale także głęboko w historię narodu żydowskiego".

István T. Kovács „Nazwijmy w Vácu ulicę imieniem Henryka Sławika" („Váci Napló", Vác, 6 maja 2005): „To zastanawiające, że w każdych złowieszczych czasach pojawiają się pełne poświęcenia osoby, które mimo ogromnego ryzyka pomagają towarzyszom niedoli. A przecież prawdopodobnie i oni się bali, licząc się ze swym tragicznym przeznaczeniem. Od tego uczucia jednak silniejsze w nich było poczucie obowiązku".

Witold Liliental „Polski Raoul Wallenberg" („Gazeta", Toronto, 21–23 września 2007): „Gdyby Polska miała lepsze PR, to o słynnym Raoulu Wallenbergu, który uratował wielu węgierskich Żydów, mówiono by: «szwedzki Sławik». Historia Europy ostatnich kilkudziesięciu lat zadecydowała inaczej. Człowiek, który w warunkach znacznie trudniejszych uratował ponad pięć tysięcy polskich Żydów, za co zapłacił najwyższą cenę, został pośmiertnie skazany przez komunistyczne władze Polski na cywilny niebyt i totalne zapomnienie (...) W czasach, kiedy Polska nie zawsze cieszy się najlepszą prasą, nieznaną do niedawna historię Henryka Sławika powinien poznać cały świat".

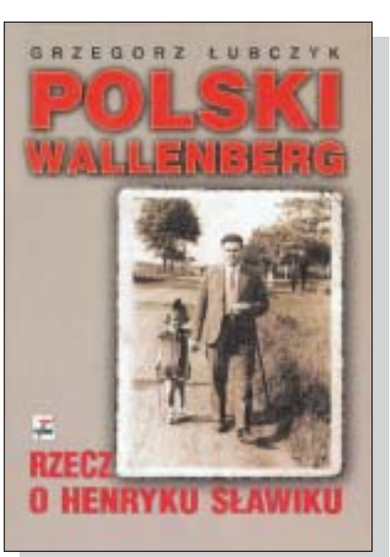
Zbigniew Ringer „Sławik ocalił tysiące" („Centrum", Nowy Jork, listopad 2007): „To jedna z polskich przywar, że nie potrafimy się odpowiednio promować. Mając w ręku diamenty, nie umiemy z nich zrobić użytku. Co zrobić z naszą pamięcią, jakby narodowym zapomnieniem o Henryku Sławiku. Chwalimy czyny obcych, o swoich wiemy tak mało (...) A przecież Sławik to jedna z najpiękniejszych polskich postaw w czasie drugiej wojny światowej". I jeszcze dwie opinie, wyrażone po pokazie filmowego dokumentu o Sławiku w 2005 roku w Tel Awiwie z udziałem m.in. uratowanych przez Sławika i Antalla.

Samuel Willenberg: „To jest święta postać! Powtórzę: święta postać! To, czego dokonał ten Człowiek, wprost oszałamia! A my o Nim nic do tej pory nie wiedzieliśmy. Tymczasem reklamuje się osoby, które przy Sławiku się nie umywają!".

Ks. prałat Grzegorz Pawłowski: „Jestem z narodu żydowskiego, a jednocześnie katolickim księdzem. Według mnie, taki Człowiek, katolik, za uratowanie 5 tysięcy Żydów powinien być wyniesiony na ołtarze. Po drugie, On miał odpowiednie dokumenty i w każdej chwili z żoną i córką mógł się schronić w Szwajcarii. Ale nie zrobił tego, gdyż uważał, że jest potrzebny uchodźcom powierzonych Jego opiece. Blisko też współpracował z duchowieństwem. Myślę, że Kościół się nim zainteresuje i kiedyś trafi na ołtarze".

* * *

Moje dwie publikacje książkowe („POLSKI WALLENBERG. Rzecz o Henryku Sławiku" i „HENRYK SŁAWIK. Wielki zapomniany Bohater Trzech Narodów") ukazały się również na Węgrzech, co cieszy nie tylko autora. Obecnie nasz Bohater czeka na dołączenie do dwojga „Sprawiedliwych" w osobach Ireny Sendlerowej i Jana Karskiego, którym MSZ poświęcił dwie odrębne anglojęzyczne broszury. Dodam, że kilkudziesięcio-



stronicowy tekst o Sławiku w języku angielskim już istnieje. Bardzo to pomoże w upowszechnianiu sławikowej wiedzy poza Polską.

Cieszyć się należy, że dwie szkoły (Gimnazjum nr 3 w Jastrzębiu Zdroju w 2004 roku i Gimnazjum nr 19 w Katowicach w 2009 roku) obrały Henryka Sławika na swego patrona. Ale dlaczego uczyniły to do tej pory tylko dwie placówki oświatowe i ani jedna z instytucji pozaoświatowych?

Dobrze, że jest film dokumentalny „Henryk Sławik. Polski Wallenberg" Marka Maldisa i mojego autorstwa (TVP 2004), który dzięki MSZ RP otrzymał kilka wersji językowych. Ale należałoby zapytać, dlaczego nie są one wykorzystywane poza Polską w większym stopniu? Spać mi też nie daje myśl o nakręceniu i to z rozmachem, filmu fabularnego o Sławiku. Życie tego Ślązaka to przecież pasjonujący scenariusz....

W Katowicach, co prawda, nie przywrócono ulicy Henryka Sławika, ale jedno z rond otrzymało jego imię, a w Jastrzębiu Zdroju-Szerokiej jednej z ulic patronuje... chłopak z Szerokiej.

Ale czy inne śląskie miasta nie widzą możliwości, by podobnie uczynić na swoim terenie? Sławik najpierw walczył o polskość Śląska, a potem aktywnie pracował i społecznie działał dla dobra całego regionu, więc...

Jako członkowie-założyciele powstałego 23 września 2008 roku Stowarzyszenia HENRYK SŁAWIK – Pamięć i Dzieło cieszymy się, że coraz więcej osób i instytucji już traktuje Sławika jako jedną z najważniejszych postaci Śląska i Polski w XX stuleciu. Sejmik Śląski też poszedł tą drogą. W końcu sierpnia 2009 roku w 65. rocznicę męczeńskiej śmierci Henryka Sławika w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Mauthausen poświęcił mu uroczystą sesję. Jej uczestnicy zadeklarowali naszemu stowarzyszeniu pomoc w przygotowaniu m.in. wystawy objazdowej, ukazującej życie i działalność tego wybitnego Ślązaka. Wśród najważniejszych planów naszego stowarzyszenia znajduje się budowa w Katowicach pomnika Henryka Sławika i Józefa Antalla.

We wrześniu 2009 roku w węgierskim Vácu na ścianie byłego sierocińca dzieci żydowskich odsłonięto – ufundowaną przez gospodarzy miasta – tablicę upamiętniającą genialny kamuflaż jego założycieli – Sławika i Antalla. Następnie w ramach tej uroczystości w sąsiadującej z tym budunkiem synagodze odbyła się promocja węgierskiego wydania mojej drugiej książki o tych niedocenionych Bohaterach Trzech Narodów – polskiego, węgierskiego i żydowskiego. W tym samym czasie w węgierskiej TV DUNA – dzięki staraniom Ambasady RP w RW – odbyła się premiera ww. dokumentu filmowego o naszym Ślązaku i jego węgierskim Przyjacielu.

Na koniec jeszcze jedna dobra wiadomość. Poczta Polska oficjalnym pismem z 28 stycznia 2010 roku, sygnowanym przez p.o. dyrektora Biura Poczty – Stefanię Magdzicką, zawiadomiła:

„Komisja ds. opiniowania tematów do rocznego planu emisji kartek pocztowych z nadrukowanym znakiem opłaty pocztowej rozpatrzyła Pana wniosek jako dodatkową propozycję do planu na 2010 rok. Komisja zaopiniowała wydanie kartki pocztowej (...) pod nazwą «Sprawiedliwi wśród Narodów Świata: Henryk Sławik i József Antall». Wydanie kartki przewidziane jest na październik 2010 roku".

Grzegorz Łubczyk

„SŁAWIKOWA" BIBLIOGRAFIA AUTORA

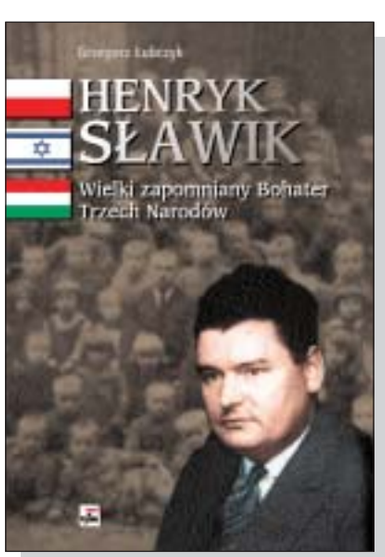
Łubczyk Grzegorz ***„Polski Wallenberg. Rzecz o Henryku Sławiku",*** Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2003;

Łubczyk Grzegorz ***„A lengyel Wallenberg. Henryk Sławik és idõsebb Antall József története",*** Széphalom Könyvmûhely, Budapest 2004;

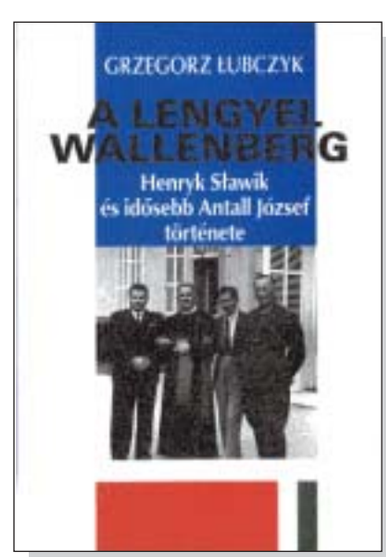
Łubczyk Grzegorz ***„HENRYK SŁAWIK. Wielki zapomniany Bohater Trzech Narodów",*** Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2008 (wszystkie cytaty w powyższej publikacji pochodzą z tej książki);

Łubczyk Grzegorz ***„Három nemzet elfeledett hõse: HENRYK SŁAWIK", Széphalom Könyvmûhely,*** Budapest 2009;

Maldis Marek i Grzegorz Łubczyk ***„Henryk Sławik".*** Polski Wallenberg", film dok. TVP 2004.







Tajemnica zatracenia

Cezary Prasek

Krzysztof Miklaszewski jest postacią barwną. Pamiętam jego relacje prasowe sprzed lat o zagranicznych podróżach artystycznych teatru Cricot 2. Występował on wówczas w podwójnej roli, będąc zarówno reporterem, jak i aktorem zespołu Kantora. Nie bez powodu więc wydawca jego najnowszej książki „Zatracenie się w Schulzu" określa go jako znanego w Polsce, wszechstronność składają się i inne jego wcielenia, jak chociażby animatora teatru studenckiego, odnowiciela krakowskiego Teatru Telewizji, a na świecie cenionego reżysera filmów dokumentalnych z teatrem związanych.

Osobom pobieżnie interesującym się teatrem może zatem wydać się niezrozumiałe, dlaczego „człowiek teatru" zatraca się w Schulzu, skoro ostatni jest prozaikiem, krytykiem literackim, grafikiem, a najczęściej bywa po prostu określany mianem nauczyciela rysunków z Drohobycza. A więc z teatrem ma w sumie niewiele wspólnego. Tak przynajmniej mogło się wydawać z początkiem lat 60. ubiegłego wieku, kiedy ta fascynacja Miklaszewskiego Schulzem się zaczyna. Otóż odpowiedź na to pytanie mamy przede wszystkim w przywoływanej książce. „Pięćdziesiąt lat życia (1892–1942) i tylko siedmioletnia działalność literacka. (1933–1939). Dwa zbiory opowiadań, pięć drobnych utworów prozatorskich, dwadzieścia pięć recenzji i krytyk umieszczonych na łamach czasopism oraz garść ocalałych listów – to cały dorobek pisarza. Wystarczający jednak, aby wejść na stałe do literatury światowej" – pisze Miklaszewski. Na prozę Schulza natrafił on jeszcze jako student polonistyki na UJ w roku 1963. Zadał mu ten temat „nieoceniony Stasiu Eile – koneser prozy polskiej, bratanek słynnego redaktora „Przekroju'', wybitny literaturoznawca, który w „odpowiednim czasie'' salwowował się ucieczką z Polski. I chociaż krytycy zakodowali sobie, że „zasadniczym żywiołem Schulzowskiej prozy jest opis, a opis można w teatrze przerobić tylko na obraz, a nie – czego według nich teatr wymaga – na dialog czy działanie", to – zdaniem Miklaszewskiego – nie ma nic bardziej złudnego. Już Jerzy Grotowski uczył, że teatr to nie jest proste przeniesienie tekstu na scenę, ale „montaż słów z zachowaniem się osób grających, formowanie ruchu impulsów i reakcji fizycznych, formowanie z materiału słów mowy żywej wraz z jej „akustyką".



Krzysztof Miklaszewski podczas promocji książki w Muzeum Literatury w Warszawie. Z prawej Wojciech Chmurzyński, dyrektor Muzeum Karykatury, który pierwszy zorganizował wystawę prac Bronona Schulza.

Z kolei Józef Szajna twierdził, że twórca teatralny zapożycza od autora dzieło, jak malarz wyszukuje model. Transformacja modelu należy do uprawnień artysty. Powołując się na takie chociażby autorytety, Miklaszewski może już bez najmniejszego wahania stwierdzić, że proza Schulza to dobrze zakodowany, świetny materiał teatralny.

Dwa żywioły zostają zatem pogodzone. Autor książki omawia po kolei adaptacje teatralne prozy Brunona Schulza, poczynając od teatrów studenckich, poprzez krakowski Stary Teatr, operowe wizje w postaci „Manekinów", kreacje teatralne Jana Peszka, „nicowanie" tej prozy przez Andrzeja Marią Marczewskiego, aż po prezentacje Schulza na scenach świata. Po to, aby w końcu dojść do sedna. Jest nim „Kantorowska lekcja Schulza, czyli «Umarła klasa» w teatrze Cricot 2".

Zadziwiająca jest dla mnie konstrukcja tej książki. Bo oto na początku mamy recenzje, analizy teatralne poszczególnych przedstawień, nawet fragmenty rozmów z twórcami teatralnymi, na czele zresztą – co zrozumiałe – z Tadeuszem Kantonem. Dodajmy do tego szczegółową analizę adaptacji filmowych: „Sanatorium Pod Klepsydrą" w reż. Wojciecha Jerzego Hasa oraz anonimowej „Ulicy Krokodyli" braci Quay. Ten pierwszy film (to na marginesie) został właśnie poddany nowoczesnej obróbce cyfrowej i powtórnie po latach wszedł na ekrany. Miklaszewski twierdzi, że opowiadania Schulza są po prostu scenariuszami filmowymi. Więcej, Schulzowskie miniatury to scenariusze gotowe do realizacji filmowej. Można tego dowieść, posługując się analizą języka filmowego tej prozy. Jeśli zatem nie przeczytamy uważnie całej książki, nie dowiemy się,



Krzysztof Miklaszewski: Zatracenie się w Schulzu. PIW. Warszawa 2009

w gruncie rzeczy, na czym owo zatracenie w Schulzu polega. Bo przecież chyba nie na erudycyjnych „zobiektywizowanych" rozprawach, skoro za „zatraceniem" powinny się kryć jakieś głębokie emocje, ton bardzo osobisty.

Te zaczynają się, gdy autor książki o Schulzu zaczyna drobiazgowo relacjonować życiowe losy swego bohatera, posługując się przy tym relacjami pozostałych jeszcze przy życiu członków rodziny pisarza, jego znajomych. Wyłania się z tego obraz niesamowity, czasem bardzo dosadny. Wiadomo przecież, że Schulza dla literatury odkryła Zofia Nałkowska. Miklaszewski opisuje szczegółowo, jak to nieśmiały



Krzysztof Miklaszewski– dziennikarz, pisarz i aktor.

Bruno Schulz zdobył się w Wielkim Tygodniu 1933 roku na heroiczny akt odwagi, przyjeżdżając w Niedzielę Wielkanocną ekskluzywnym pociągiem do Warszawy, terroryzując Grossonę i tak oczarowując Nałkowską, że na Boże Narodzenie „Sklepy cynamonowe", sfinansowane w całości przez brata Brunona – Izydora, leżały już jako elegancki prezent pod wieloma choinkami.

Oczywiście, najbardziej tragiczne są dzieje pisarza, gdy wybuchła wojna. Zamknięty w drohobyckim getcie, dzięki temu, że jego rysunkami zainteresował się hitlerowiec Felix Landau, referent do spraw żydowskich, Schulz stał się „potrzebnym Żydem".

Miał w związku z tym szansę ucieczki, wyjazdu, ale z nich nie skorzystał. Został zastrzelony przez SS-Scharführera Karla Günthera, który zabił Brunona „na złość" Landauowi. Jerzy Ficowski twierdził, że w grę wchodził tu motyw homoseksualnej zazdrości. Miklaszewski w rozmowie z Jakubem Schulzem, bratankiem pisarza, dochodzi do przekonania, że jest to mitologizacja. A skoro już mowa o tak intymnych aspektach życia, to może warto odnotować, że Bruno Schulz miał ciągoty fetyszystyczne i masochistyczne, co jest widocznie na jego rysunkach. Miklaszewski przytacza również opowieść o pannie lekkich obyczajów, u której Schulz pobierał „zabiegi" przy użyciu pejcza. „Ze wszystkich ludzi normalnych i nieraz pełnych podziwu dla jego sławy, bo przecież nie dla sztuki, która przerażała Drohobycz (ta kurewka – czytam – miała dlań najwięcej ludzkiego uczucia i ludzką litość dla zboczeńca)".

„Całe nasze pokolenie wychowało się właściwie w cieniu Schulza, po czym wielu z nas zapomniało o nim, a właściwie go nie przywoływało – mówi w książce Miklaszewskiego Tadeusz Kantor. (...) pokrewieństwa z Schulzem (a właściwie kontynuacja jego tradycji) stały się dla mnie jasne dopiero w latch siedemdziesiątych. Do pojęcia realności zdegradowanej – kategorii, której jednym z twórców w polskiej kulturze był Schulz – prowadziła mnie droga od informelu do manifestu embalages". Najciekawsze jest to, że Tadeusz Kantor wypowiada te słowa w związku z „Umarłą klasą".



Cezary Prasek

Doktor nauk humanistycznych w zakresie socjologii kultury, dziennikarz, autor licznych prac publicystycznych i naukowych. Pierwsze doświadczenia zawodowe zdobywał na początku lat 70. ubiegłego wieku, starając się łączyć dwa odmienne sposoby postrzegania rzeczywistości – dziennikarski opis z socjologicznym uogólnieniem.
Publikował na łamach „Kultury i Społeczeństwa", „Kina", „Filmu", „Literatury", „Tygodnika Kulturalnego", „Przeglądu Kulturalnego", "Sycyny", „Przyjaźni", „Kobiety i Życia", „Kobiety i Stylu", „Żyjmy dłużej" oraz kilkunastu innych czasopism. Szkice jego autorstwa ukazywały się również w książkach wydawanych pod patronatem Instytutu Sztuki PAN.
Ostatnio był zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „moja Rodzina".
W maju br. ukaże się jego książka o złotej młodzieży PRL-u.

Miklaszewski trafnie zauważa, że – mimo że „Umarła klasa" używa wyłącznie tekstów Witkacego – wydaje się, że Schulz jest dla Kantora „gościem" bardziej inspirującym. Chociaż Kantor nie używa żadnego Schulzowskiego słowa, jesteśmy przekonani, że to, co Schulz przeczuł i napisał, Kantor pokazuje i modyfikuje.

Siła wyobraźni Brunona Schulza jest zatem ogromna. I trudno się w tej sytuacji dziwić „zatraceniu" Krzysztofa Miklaszewskiego, aktora i pisarza.

Cezary Prasek



Mateusz Wyrwich

Politolog, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego.
Z dziennikarstwem związany od 1980 roku. W 1981 roku w redakcji „Tygodnika Solidarność", publicysta prasy podziemnej: „Tygodnika Wojennego" i „Samorządnej Rzeczypospolitej" (1982–1989). W latach 80. ub.w. współpracował również z prasą polonijną w USA. W Polsce niepodległej publikował w tygodnikach: „Spotkania", „Nowe Państwo" „Tygodnik Solidarność", „Przewodnik Katolicki", „Niedziela" oraz w dzienniku „Życie". Autor ponad tysiąca reportaży prasowych o tematyce społecznej i historycznej; scenariuszy i reportaży telewizyjnych, słuchowisk radiowych oraz książek: „Łagier Jaworzno" (1995) „Czarne i białe" (2000), „W celi śmierci" (2002), „Kapelani Solidarności 1980–1989", tom I (2005), tom II (2007) „Trzecia wojna światowa już była" (2007). Należy do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

Kolejny tom „Kapelani Solidarności 1980–1989"

„Kapelani Solidarności 1980-1989" – trzeci tom serii, która dokumentuje zaangażowanie kapłanów Kościoła katolickiego w ten wielki ruch narodowy i społeczny. Wspomagali oni słowem i czynem żywiołowy rozwój Solidarności, a po wprowadzeniu stanu wojennego podziemne struktury związkowe, spieszyli z pomocą tym, których dotknęły represje. Kształtowali etos służby i odpowiedzialności za dobro wspólne, umacniali nadzieję na zwycięstwo dobra, byli duchowymi przewodnikami na drodze ku Niepodległej.



W poprzednich tomach autor przedstawił sylwetki trzydziestu kapłanów, m.in. ks. Jerzego Popiełuszki, abp. Ignacego Tokarczuka, abp. Sławoja Leszka Głódzia, bp. Edwarda Frankowskiego, ks. Hilarego Jastaka, ks. Henryka Jankowskiego, ks. Jana Sikorskiego. Tom trzeci ukazuje sylwetki kolejnych szesnastu duchownych, m.in. kardynała Henryka Gulbinowicza, ks. Jana Borzyszkowskiego, ks. Romana Józefa Maja, ks. Stanisława Małkowskiego, ks. Stanisława Marczaka, ks. Adama Sudoła, o. Ryszarda Ślebodę OFMCap, ks. Juliana Żołnierkiewicza.

Zgromadzone w książce opowieści-reportaże o ich życiowej drodze, kapłańskiej posłudze, o tym wszystkim, co w różnych częściach ojczyzny czynili, by „Polska nie zginęła", stanowią fascynującą wędrówkę przez najnowszą polską historię. Odsłaniają niepodległościowe i chrześcijańskie tradycje z których wyrosła Solidarność. Uświadamiają, jak wielką rolę w ich przekazywaniu kolejnym generacjom odegrał Kościół katolicki, polskie rodziny, lokalne wspólnoty.











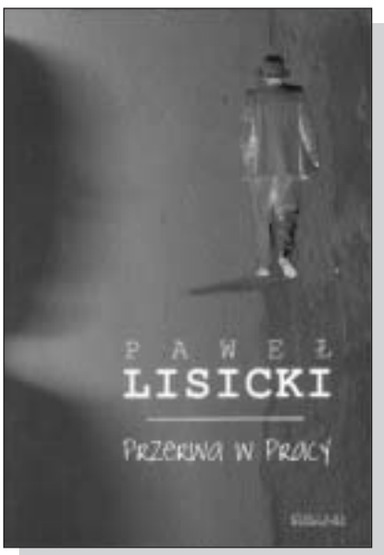
Dziennikarski syndrom

Jerzy Biernacki

Nie jest szczególnie dziwne, że dziennikarzowi zdarzy się napisać powieść. Jeśli jednak autorami powieści współczesnych, wydanych w ciągu niecałych ostatnich dwóch lat, są dwaj wybitni żurnaliści, uprawiający na co dzień publicystykę z najwyższej półki – warto zastanowić się, co jest na rzeczy. Mówiąc językiem Miłosza, powieść może okazać się formą pojemniejszą niż bieżąca publicystyka dla wyrażenia pewnych trosk i zaniepokojeń, ukazania jakichś zagrożeń, jakichś stadnych dróg wiodących na manowce, opisu zmieniających się postaw ludzkich, analizy przemian mentalnych, zwłaszcza w naszej epoce – epoce przełomu ustrojowego, gospodarczego i politycznego.

Wydaje się, że tego rodzaju potrzeby tkwiły u źródeł decyzji pisarskich, zarówno Bronisława Wildsteina z jego „Doliną nicości", wydaną w 2008 roku, jak i Pawła Lisickiego (pełniącego funkcję redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej") z jego „Przerwą w pracy", wydaną rok później. Na pozór powieści te są całkowicie różne, chociażby dlatego że rzecz Wildsteina to obraz środowisk medialnych, biznesowo-politycznych (świadomie używam tej zbitki) i agenturalnych (ściślej: dawnych esbeckich) w kraju, u Lisickiego zaś jesteśmy – razem z głównym bohaterem – na dziesięciodniowej międzynarodowej konferencji w Wiedniu, odbywającej się pod hasłem „XXI wiek – duchowe wyzwanie dla zjednoczonej ludzkości".

Z drugiej strony jednak – ciekawa rzecz – między bohaterami obu książek, dziennikarzami tak jak ich autorzy, widać też niezwykle charakterystyczne podobieństwa. Dotyczy to sposobu myślenia, światopoglądu, jakichś życiowych dążeń czy – jak to się teraz mówi – opcji lub nawet ideałów, jakie im przyświecają, a zwłaszcza skłonności do ich porzucenia w przypadku, gdy trzeba za ich obronę czy podtrzymywanie zapłacić wysoką cenę. To ostatnie nie dotyczy Wilczyckiego, bohatera „Doliny nicości", który na tym pustkowiu moralnym ośmielił się wystąpić w obronie prawdy i zapłacił za to utratą stanowiska oraz wszelkiego prestiżu w światku medialnym (i nie tylko medialnym), gdyż do



końca nie przyznaje się on do „błędu" polegającego na lustracji medialnej tzw. autorytetu moralnego, długoletniego agenta bezpieki. Nawiasem mówiąc, pewną wadą powieści Wildsteina jest całkowita jednostronność opisu sytuacji, w której po stronie broniącego prawdy dziennikarza nie ma nawet najmniejszej, niszowej struktury społecznej, ani jednego przyjaciela, który by go wsparł. Odwrócili się od niego wszyscy, a on jest jedynym sprawiedliwym.

Ale wracając do podobieństw. Otóż, także sytuacja osobista bohaterów obu powieści jest porównywalna: obaj są „mężczyznami po przejściach", z rozwalonymi (lub rozwalającymi się właśnie) małżeństwami w tle, rozbrajająco nieporadnymi również wobec swych dzieci i tracącymi w ich oczach resztki ojcowskiego autorytetu. Co więcej – ich dążenia czy marzenia, w świetle zaniżającej się gwałtownie samooceny, są dość płaskie, ograniczają się do takich samych niemal jak u bezideowych przedstawicieli tzw. salonu chęci brylowania z coraz to młodszymi i urodziwymi partnerkami, obejmowania lub piastowania „prestiżowych" stanowisk (przy czym ten prestiż to jedynie uznanie wrogich z definicji konkurentów) i powiększanie majątku. Wilczycki Wildsteina jest wprawdzie zakochany w pewnej Marii (która porzuca go w momencie jego upadku), ale z łatwością zastępuje mu ją młodziutka Gaja (dopóki jej będzie potrzebny). Instrumentalizacja stosunków międzyludzkich – w tym także męsko-damskich – w tym gronie jest maksymalna i opcje zgadzającego się na ekspiację Czułny, autora artykułu lustracyjnego, jak również jego przełożonego (Wilczyckiego), który firmował i sankcjonował rzecz jako naczelny gazety, są w tej mierze prawie tożsame i równie płaskie, trywialne. To samo dotyczy innych postaci powieści, należących bez wyjątku do tzw. salonu, którego ideały to tolerancja, ale nie dla mówiących prawdę (!), lecz np. dla środowisk o odmiennej orientacji seksualnej czy jakichś innych mniejszości, walka z nacjonalizmem i ksenofobią, ochrona ustalonych (ustanowionych) autorytetów moralnych czy praw kobiet do aborcji, antykoncepcji lub do równego statusu z mężczyznami, kłócąca się zresztą z codziennym instrumentalnym, urzeczowiającym stosunkiem mężczyzn do płci pięknej.

W powieści Lisickiego zwraca uwagę ta sama podatność bohatera na manipulację, w kraju przejawiło się to (u Wildsteina) jako zdolność do U-turn, czyli łatwej zmiany poglądów o 180 stopni, tu, za granicą, w postaci uległej zgody na udział w typowo antyhumanistycznym, antyludzkim projekcie, jak u jakiegoś Stephena Kinga czy Mastertona.

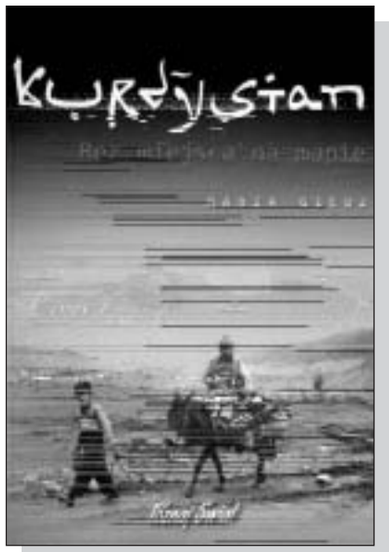
W sumie, można by się odwołać do pamiętnego pytania Jerzego Grotow-

skiego z końca lat 70. ub.w.: „Jak meduzie wszczepić kościec?”, czyli ocenić (jego pytanie dotyczyło narodu polskiego sprzed pierwszej pielgrzymki do ojczyzny Jana Pawła II), że środowisko polskiego życia publicznego (dziennikarze, politycy, przedsiębiorcy, agenci służb specjalnych PRL, a w niemałej mierze w tych trzech pierwszych kategoriach – byli tajni współpracownicy) jest generalnie kręgosłupa moralnego całkowicie pozbawione. Taka jest diagnoza, zwłaszcza autora „Doliny nicości” (jakże nośny tytuł!), ale sądzę, że i Paweł Lisicki by się z nią zgodził. Chociaż przecież obaj panowie powieściopisarze i jako publicyści, i jako autorzy książek, o których mowa, nie podlegają zarzutowi braku kośćca moralnego. Wprost przeciwnie.

Trzeba podkreślić, że Wilczycki mimo wszystko nie poddaje się tej diagnozie, ale jego los – postanawia zacząć od nowa na prowincji, konkretnie w Przemyślu (a więc najdalej jak można od Warszawy) – rysuje się nader mgliście; zaś bohater Lisickiego osiąga szczęście i święty spokój dopiero w domu bez klamek. Obie powieści są więc jakimś rodzajem alarmu wobec zdiagnozowanej w ten sposób chwiejności pionu polskiego dziennikarstwa dzisiaj. Alarmu, który warto wziąć pod uwagę.

Kurdystan – bez miejsca na mapie

wydawnictwo Bernardinum
Maria Giedz
Pelplin 2010



Autorka jest dziennikarką, doktorem politologii i nauczycielem akademickim. Jej pasją są podróże, przewędrowała przez kilka kontynentów, ale Kurdystan zafascynował ją najbardziej. Po raz pierwszy zetknęła się z Kurdami i problemem kurdyjskim podczas wojny w Iraku w 1991 r.

„Kurdystan – Bez miejsca na mapie” jest książką popularnonaukową połączoną z reportażem, prezentującą etniczne tereny, które od tysiącleci zamieszkują Kurdowie.

Ukazuje jeden z największych narodów na świecie bez własnego państwa. Jest to historia 45-milionowej społeczności, żyjącej pod zaborami w czterech krajach (Irak, Iran, Syria, Turcja), a także na emigracji, między innymi w Polsce. Opowiada o życiu codziennym, o radościach i tragediach, o wojnach, religiach, zwyczajach, kulturze, a także o niezwykle szybko rozwijającej się gospodarce w maleńkiej kurdyjskiej autonomii na terenie północnego Iraku. Książka dotyczy narodu, który dzielnie broni swojej tożsamości, który jest niezwykle gościnny, ale też twardy i honorowy.

Z okazji 80. rocznicy urodzin Drogiemu Jubilatowi
Redaktorowi
Krzysztofowi Kąkolewskiemu

życzymy zdrowia, ochoty do pracy,
na której wyniki czekamy,
a także szczęścia rodzinnego
i wszelkiej pomyślności.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich

Warszawa, 16 marca 2010 r.



SYMFONIA BERLIŃSKIEGO MURU

ballada dokumentalna



Jerzy Tuszewski

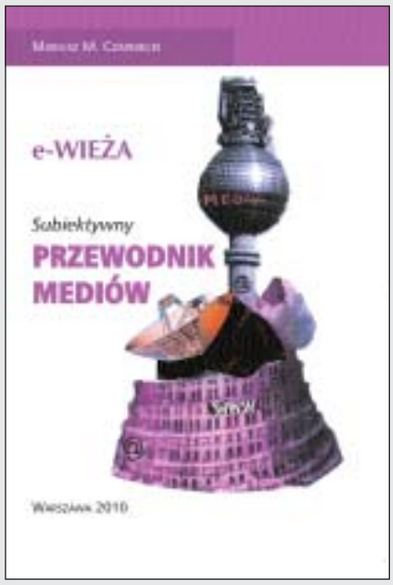
Przed dwudziestu kilku laty
Jeden z naszych –
Nosi znane imię Piasta.
Ten Elektryk
Polskiej Stoczni nad Bałtykiem
Skoczył sobie raz przez płot.
Aż tu nagle, niespodzianie
najpierw się zaczęło
p r z e s t r a j a n i e,
no, a potem
wręcz znienacka
trzasło,
zgasło
po sąsiedzku – Imperium Głupoty i Zła.
Trzeba było
jeszcze kilku lat,
by i n n y p ł o t –
dzielący
poglądy,
miasto nad Sprewą
i światy dwa...
Ten płot wymurowany
przed czterdziestu laty –
Berlińskim Murem zwany...
został s k r u s z o n y
pewnego dnia,
rozbity na drobne części,
cegła po cegle,
kawałek po kawałku
cementowego płotu –
ś c i a n y –
tej największej Ściennej Gazety Świata
na całym świecie znanej...
Każdego dnia
przez wieku ćwierć
słówkiem,
słowem,
hasłem,
wymysłem,
okrzykiem
radości
lub nienawiści,
gazety uzupełnianej,
dorysowanej,
wielojęzycznie dopisywanej...
domalowywanej...
graffiti
graffiti
graffiti...
I wreszcie się stało,
co się stać musiało.
Tak to właśnie
rozpoczęto radykalną „pierestrojkę”
Europy –
Praga,
Berlin
i Budapeszt
oraz inne miasta Europy – środka.
To była właśnie
„Jesień Ludów”
uwieńczona
r o z k r u s z e n i e m m u r u.
Wybrano jedno z haseł
z tejże Gazetowej Ściany
p o d z i e l o n e g o Berlina:
„Rozbić, rozkruszyć, ten płot, tę ścianę,
ażeby to miasto
na powrót s c a l i ć!”
I z tych uderzeń młotków –
dźwięków pozytywnego niszczenia
ś c i a n y –
Symfonia Berlińskiego Muru
nagle nam z a b r z m i a ł a!
„O radości! Iskro Bogów!”
Zaśpiewało tysiąc chórów.
Tak Beethoven kiedyś brzmiał.
Oto nowa Europa powstawała,
w nową wchodził świat epokę,
którą właśnie niespodzianie
L o s nam dał.
O, ty Sylwestrowa Nocy
1989 – 1990!
Blisko Brandenburskiej Bramy
i przejścia słynnego
„Check – point – Charlie” –
niedaleko Poczdamskiego Placu!
O, Symfonio Berlińskiego Muru!
Idąc wśród tych i n s t r u m e n t a l i s t ó w
młotka,
dołączyłem się do chóru
B e r l i ń c z y k ó w m ł o d y c h:
„Auf machen! Auf machen!”
O t w i e r a ć!!! O t w i e r a ć!!!
Wszyscyśmy krzyczeli.
Zaskrzypiały rygle,
wszyscy dech zaparli.
Oto do w o l n o ś c i
d r z w i się nam o t w a r ł y,
a obecni rozkrzyczani
na Poczdamski Plac się wdarli.
Z hukiem opadła Żelazna Kurtyna
cały świat wariuje,
stuka, kuje,
Kto żyw – każdy się cieszy.
Można by tu strawestować
hymn Niemieckiej Trzeciej Rzeszy:
„Wolność! Wolność ponad wszystko!
Ponad wszystko! Ponad świat!
Freiheit! Freiheit über alles!
Über alles in der Welt!”

1999

e-Wieża Subiektywny Przewodnik Mediów”

– Mydło powidło – Dusze w Sieci – Dżungla cyberprzestrzeni – Etyka w internecie (netykieta) – Młodzi a internet (gry RPG) – Wideo-bambino/dożywotni niedorozwój kulturowy – Immersja/Interaktywność/Wideohalucynacja – Awatar (Second Life) – Ściany ogniowe – Kontrolowanie człowieka – Anioł Cyfrowy – Dzieci Europy – Chaos euroazjatycki – „Zgniłe Zachody” – Medium Polska...

Na stu stronach książki pt. „e-Wieża – Subiektywny Przewodnik Mediów” (subiektywny, autorski, eseistyczny, nie rości sobie pretensji do encyklopedycznego wyczerpania zagadnień, wszelako oprowadza nas po jak najbardziej realnej, obiektywnej rzeczywistości medialnej!), znalazło się 85 szeroko omówionych haseł problemowych ułożonych w formie pięciu przewodnich *Idei/Tematów: Media drukowane, elektroniczne, cyfrowe – Internetowy system wartości – Numerami jesteśmy – Punkt zero w ludzkiej komunikacji – Medium Polska;* wzbogacają tę treść ilustracje/kolaże ukazujące najbardziej aktualne wcielenia współczesnej multimedialnej Wieży Babel; bibliograficzny wykaz ciekawych poznawczo źródeł, a także indeks prawie dwustu nazwisk, dopełniają całości.



Hasła, które polecamy zrozumiałej szczególnej uwadze kolegów: ***Nimb dziennikarstwa – Dziennikarstwo wysokie – Rozdroże dziennikarstwa – Media Przyjazne Człowiekowi – Mediotyzm (węzłowy problem bezkrytycznego odbiorcy mediów!) – Stręczycielstwo medialne – Rewelacyjny iTablet – Pi-j-aR – Informacyjne Społeczeństwo***

W krótkim wstępie M. M. Czarniecki, zwracając się do Czytelników, pisze:... *Oto Wieża naszego Losu, Wieża zamętu, chaosu i pomieszanych Języków, ale też Wieża szansy i nadziei człowieka-budującego Dobro, Piękno, Mądrość... Wieża... chodzi wszelako nie tylko o wycieczkę, zwiedzanie, lecz również o walkę. Walkę, dlatego że media stanowią broń, niewykluczone, najpotężniejszą, gdyż używaną na polu świadomości, broń najściślej, najdosłowniej psychologiczną, psychotroniczną. To również władza, nie trzecia, czy czwarta, lecz najpewniej pierwsza, a może przedpierwsza. Rację ma medioznawcza francuski Pierre Albert, gdy zauważa, że prasa to WĘZEŁ zasadniczego konfliktu wszelkich władz.*

Mariusz M. Czarniecki jest autorem książek, m.in. *Tejrezjasz*, *Dwie Europy*, *W niewoli mediów* (dwa wydania), *Mediotyzm. Publikacje*, m.in. *Dialog, Literatura, Dialog & Universalism*, Powściągliwość i Praca... Słuchowiska w Teatrze Polskiego Radia II Programu (Miodowód, Rewers). Członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Europejskiej Wspólnoty Dziennikarzy z siedzibą w Rzymie, *SEC-Societe Europeenne de Culture*. Z wykształcenia prawnik i romanista. Mieszka w Warszawie.

Wystawa w konstancińskim Domu Kultury

Ewa Panasiuk dedykowała swoje obrazy nowojorskie pamięci zmarłego przed rokiem Piotra Mroczyka – dziennikarza radiowego, odważnego szefa telewizyjnej „Solidarności” z lat 1980–81.

Pamiętamy Cię Piotrze!















Konkurs o Nagrodę im. Władysława Grabskiego

Narodowy Bank Polski, Polska Agencja Prasowa oraz Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich ogłosiły VIII edycję Konkursu o Nagrodę im. Władysława Grabskiego. Nagrody będą przyznawane za najlepsze publikacje o tematyce ekonomicznej, które ukazały się w 2009 r. w prasie ogólnopolskiej i lokalnej (zarówno te, które opublikowano w druku, jak i internecie) oraz audycje radiowe i programy telewizyjne. NBP pragnie w ten sposób uhonorować dziennikarzy, którzy przyczyniają się do lepszego zrozumienia gospodarki rynkowej.

Laureat Nagrody im. Władysława Grabskiego otrzyma nagrodę pieniężną w wysokości **40 000 złotych,** a wyróżnieni w konkursie otrzymają po **10 000 złotych.**

Dodatkowo, kapituła może przyznać nagrodę honorową Prezesa NBP dla redakcji, która w szczególny sposób przyczyniła się do upowszechnienia wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie.

Ponadto, do dziesięciu wyróżnionych dziennikarzy będzie mogło wziąć udział w szkoleniowych wyjazdach studyjnych do Europejskiego Banku Centralnego we Frankfurcie.

Zgłoszenia do nagrody mogą wysyłać dziennikarze lub redakcje do **14 maja 2010 roku** pod adresem:
Narodowy Bank Polski, Departament Edukacji i Wydawnictw, ul. Świętokrzyska 11/21, 00-919 Warszawa z dopiskiem Nagroda im. Władysława Grabskiego.

Szczegółowe informacje i regulamin konkursu: www nbp.pl/edukacja

Partnerzy: Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich oraz Polska Agencja Prasowa



Regulamin konkursu edycja 2010

§1

1. Narodowy Bank Polski, zwany dalej „NBP", przyznaje Nagrodę im. Władysława Grabskiego, zwaną dalej „Nagrodą", za najlepsze publikacje prasowe, dziennikarstwo internetowe, audycje radiowe i programy telewizyjne o tematyce ekonomicznej.
2. Celem przyznawania Nagrody jest wyróżnianie dziennikarzy przygotowujących publikacje (audycje, programy), które przyczyniają się do podnoszenia poziomu wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie.
3. Partnerami NBP w realizacji przedsięwzięcia są Polska Agencja Prasowa S.A. i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.
4. Laureata Nagrody wybiera Kapituła Nagrody.

§2

1. Podstawę do przyznania Nagrody stanowią w szczególności:
   1) przybliżanie społeczeństwu, w sposób przystępny i zrozumiały, zasad funkcjonowania gospodarki rynkowej;
   2) upowszechnianie informacji i wiedzy o roli, zadaniach i działalności NBP, banków oraz innych instytucji rynku finansowego;
   3) umiejętność zaprezentowania problemów sektora bankowego i finansowego.
2. Kapituła Nagrody przyznaje jedną Nagrodę Główną w wysokości 40 000 zł.

3. Dodatkowo, Kapituła Nagrody może przyznać:
   1) po jednym wyróżnieniu w wysokości 10 000 zł dla dziennikarzy w następujących kategoriach:
      a) prasa ogólnopolska i agencje prasowe,
      b) prasa regionalna i lokalna,
      c) rozgłośnie radiowe ogólnopolskie i regionalne,
      d) telewizje ogólnopolskie i regionalne;
      e) dziennikarstwo internetowe;
   2) maksymalnie do dziesięciu wyróżnień w postaci szkoleniowych wyjazdów studyjnych do Europejskiego Banku Centralnego we Frankfurcie;
   3) nagrodę honorową Prezesa NBP dla redakcji, która w szczególny sposób przyczyniła się do upowszechniania wiedzy ekonomicznej w społeczeństwie.
4. Nagroda i wyróżnienia przyznawane są dziennikarzom mającym obywatelstwo polskie, zatrudnionym w środkach masowego przekazu, które mają siedzibę na terenie Rzeczypospolitej Polskiej.
5. W konkursie nie mogą brać udziału dotychczasowi Laureaci Nagrody Głównej im. Władysława Grabskiego oraz dziennikarze redakcji – partnera konkursu, czyli PAP.

§3

1. Od kwot wypłacanych z tytułu przyznanej Nagrody i wyróżnień NBP potrąca zryczałtowany podatek dochodowy na podstawie art. 30 ust. 1 pkt 2 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.
2. Termin i miejsce wręczenia nagród i wyróżnień pieniężnych ustala i podaje do wiadomości na stronie internetowej NBP dyrektor Departamentu Edukacji i Wydawnictw NBP.

§4

1. Zgłoszenia do Nagrody przyjmuje Departament Edukacji i Wydawnictw NBP, ul. Świętokrzyska 11/21, 00-919 Warszawa, w terminie do dnia 14 maja 2010 r., z dopiskiem „Nagroda im. Władysława Grabskiego". O dacie przyjęcia zgłoszenia decyduje data stempla pocztowego.
2. Publikacje prasowe, audycje radiowe i programy telewizyjne oraz publikacje z zakresu dziennikarstwa internetowego mogą zgłaszać do Nagrody autorzy lub redakcje dzienników, czasopism, stacji radiowych i telewizyjnych lub portali internetowych.
3. W konkursie można przedstawić tylko jedno zgłoszenie danego autora do Nagrody. Przedstawienie większej liczby zgłoszeń tego samego autora skutkuje niedopuszczeniem do udziału w konkursie.

§5

1. Zgłoszenie do Nagrody powinno zawierać wybrane przez autora lub zatrudniającą autora redakcję maksymalnie trzy teksty prasowe (audycje radiowe, programy telewizyjne, publikacje z zakresu dziennikarstwa internetowego) o tematyce ekonomicznej, które zostały opublikowane lub wyemitowane w okresie od dnia 1 stycznia 2009 r. do dnia 31 grudnia 2009 r. w środkach masowego przekazu mających siedzibę na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, z zastrzeżeniem ust. 2.
2. Z konkursu wyłączone są publikacje, audycje lub programy przygotowane w związku z realizacją projektów edukacyjnych, które były dofinansowane ze środków NBP w ramach Programu Edukacji Ekonomicznej.
3. Do Nagrody mogą być zgłaszane wyłącznie publikacje (audycje, programy) w języku polskim.
4. Zgłoszenie do Nagrody powinno zawierać:
   1) jedną kopie, opatrzoną pieczęcią redakcji lub wydawcy:
      a) w przypadku tekstów prasowych – wydruku komputerowego w formacie A4,
      b) w przypadku audycji radiowych – nagrania plików w formacie MP3 na płycie CD-R lub CD-RW (inne formaty i płyty nie będą przyjmowane),
      c) w przypadku programu telewizyjnego – nagrania na płycie DVD-R;
      d) w przypadku dziennikarstwa internetowego – wydruk komputerowy publikacji w formacie A4;
   2) opatrzoną pieczęcią redakcji lub wydawcy kopertę z wypełnionym wydrukiem komputerowym formularza zgłoszenia, który jest zamieszczony na stronie internetowej www.nbp.pl/edukacja

§6

1. W skład Kapituły Nagrody wchodzą:
   1) trzy osoby wskazane przez NBP;
   2) osoba wskazana przez Polską Agencję Prasową S.A.;
   3) osoba wskazana przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich;
   4) czterech ekspertów zewnętrznych wyróżniających się wiedzą ekonomiczną lub doświadczeniem publicystycznym, zaproszonych przez Prezesa NBP;
2. Kapituła Nagrody działa zgodnie z Regulaminem prac Kapituły.

§7

Przyznając Nagrodę i wyróżnienia Kapituła Nagrody kieruje się następującymi kryteriami:
1) jakość merytoryczna publikacji (audycji, programu);
2) poziom warsztatu dziennikarskiego, w szczególności czytelna prezentacja problemu ekonomicznego, umożliwiająca zrozumienie tekstu (audycji, programu) przeciętnemu odbiorcy;
3) aktualność i znaczenie publikacji (audycji, programu) dla opinii publicznej;
4) interesujący, indywidualny charakter publikacji (audycji, programu).

§8

W uzasadnionych przypadkach Kapituła Nagrody może nie przyznać Nagrody, wyróżnień lub nagrody honorowej.

§9

Podanie do wiadomości nazwisk autorów publikacji (audycji, programów), którym Kapituła przyznała Nagrodę i wyróżnienia, lub nazwy redakcji, której przyznano nagrodę honorową Prezesa NBP, nastąpi na uroczystej Gali w Warszawie.

Porady praktyczne

Jak walczyć o spadkowe?



Hanna Budzisz

Prawo spadkowe

Warto zadbać o to, by zawczasu rozporządzić swoim majątkiem i napisać testament. Obecnie nawet młode osoby, które mają np. mieszkanie, działkę czy samochód, decydują się na sporządzenie ostatniej woli. Nie chcą bowiem, by ich spadkobiercy mieli jakieś kłopoty lub by dochodziło między nimi do animozji.

Jak sporządzić testament?

Możliwości jest kilka. Możemy na przykład sporządzić testament **u notariusza.** Jeżeli mamy zagmatwane stosunki rodzinne i spory majątek, takie wyjście jest najlepsze. Praktycznie bardzo trudno jest obalić taki testament. Niestety, taki zapis kosztuje, no i zajmuje czas, bo musimy znaleźć notariusza, wybrać się do niego itd. Jeżeli z jakichś powodów nie możemy pójść do kancelarii notarialnej, możemy zaprosić notariusza do domu, co pociąga za sobą dodatkowe koszty. O ile więc jesteśmy pewni, że nasi spadkobiercy nie zaczną się kłócić i podważać testament, możemy sami go napisać.

Napisany własnoręcznie. Formuła jest dość prosta. W testamencie musimy umieścić swoje imię i nazwisko, datę i miejsca urodzenia oraz adres. Powinniśmy też zaznaczyć, że jesteśmy w pełni władz umysłowych. Jest to ważne dlatego, że bardzo często – chcąc obalić testament lub jego poszczególne zapisy – spadkobiercy usiłują udowodnić, że osoba pisząca testament nie zdawała sobie sprawy z tego, co czyni, bo miała ograniczoną świadomość itd.

Następnie piszemy, komu przekazujemy nasz majątek, podając jego imię i nazwisko oraz miejsce zamieszkania. Jeżeli spadkobierców jest kilku, szczegółowo wyliczamy, co komu przeznaczamy, oczywiście nie zapominając o podaniu ich danych.

Nie zapomnijmy się podpisać. Konieczne jest także podanie daty i miejsca sporządzenia testamentu. Warto również poprosić dwóch świadków, którzy potwierdzą, że to my napisaliśmy testament. Nie jest to jednak obligatoryjne, więc jeśli nie będzie ich podpisów, to i tak testament będzie ważny.

Natomiast cały testament musi być napisany ręcznie! Nie można go napisać np. na maszynie czy w komputerze, a po wydrukowaniu tylko podpisać. Tak sporządzona ostatnia wola nie będzie ważna. Nie można go też podyktować współmałżonkowi lub komuś z rodziny. Wytłumaczeniem nie jest ani wiek, ani choroba.



Zaletą testamentu napisanego własnoręcznie jest to, że nie wymaga wyprawy do notariusza, nie płacimy za sporządzenie go, no i w każdej chwili możemy go zmienić. Zawsze więc pamiętajmy, by umieścić na nim datę, bo liczy się tylko ostatni zapis. Poprzedni testament najlepiej jest zniszczyć.

Z udziałem urzędników. Zdarzają się czasami sytuacje, że ktoś nie może już utrzymać pióra w ręku, wówczas pozostaje sprowadzenie do domu notariusza, który za odpowiednią sumę sporządzi testament albo wyrażenie swej woli ustnie. Musi być przy tym osoba urzędowa (według kodeksu cywilnego może nią być przewodniczący zarządu jednostki samorządu terytorialnego, sekretarz gminy lub powiatu albo kierownik urzędu stanu cywilnego) i dwaj świadkowie. Następnie spisuje się wyrażoną ustnie ostatnią wolę (ręcznie, na maszynie lub komputerowo). Nie można zapomnieć o dacie, bo jej brak spowoduje nieważność testamentu. Protokół odczytuje się następnie spadkodawcy, jeżeli nie ma zastrzeżeń, podpisuje się pod nim osoba wyrażająca ostatnią wolę, świadkowie i urzędnik. Jeżeli spadkodawca nie może się podpisać, trzeba to zaznaczyć w protokole i podać tego przyczynę. Zaletą takiego testamentu jest to, że trudno go podważyć, bo został sporządzony przez osobę urzędową, wadą – że na jej sprowadzenie możemy długo czekać. A bywają sytuacje dramatyczne, gdy wyrażenie woli jest sprawą bardzo pilną.

Ustny. Można wówczas poprosić trzech świadków i wyrazić swą wolę ustnie. W ciągu sześciu miesięcy od chwili śmierci spadkodawcy, świadko-

wie muszą potwierdzić przed sądem ustną wolę spadkodawcy. Zeznania świadków muszą być zgodne.

Czy zawsze trzeba sporządzać testament?

Otóż nie. Są bowiem dwa sposoby, by ktoś odziedziczył spadek: można wskazać go w testamencie lub może on uzyskać spadek na zasadzie tzw. dziedziczenia ustawowego. W polskim prawie są bowiem ściśle określone grupy spadkodawców, czyli najbliższych krewnych zmarłego. Jest też ściśle określona kolejność dziedziczenia, czyli wiadomo z góry, kto w pierwszej kolejności ma prawo do spadku. I w zależności od tego, do jakiej grupy spadkowej zostaniemy zaliczeni, będziemy płacili różne podatki od odziedziczonego majątku.

O ile nie ma zmian w zasadach sporządzania testamentu, to wprowadzono nowości w kolejności uprawnionych do dziedziczenia.

Grupy spadkowe

Obecnie spadkobiercy zostali podzieleni aż na siedem grup:

I grupa: W pierwszej kolejności ustawowo uprawnieni do dziedziczenia są dzieci i małżonek spadkodawcy. Jeśli małżonek zmarł wcześniej i nie dożył otwarcia spadku, to dziedziczą wyłącznie dzieci, a jeśli i one nie żyją – wnuki spadkodawcy. Dziedziczyć mogą dzieci pochodzące zarówno ze związku małżeńskiego, jak i nieślubne. Dziedziczyć może także dziecko, które w chwili otwarcia spadku było już poczęte, pod warunkiem, że urodziło się żywe. Dzieci i małżonek z mocy ustawy dziedziczą w częściach równych, jednakże wdowa (lub wdowiec) nie mogą otrzymać wówczas mniej niż 1/4 spadku.

II grupa: W drugiej kolejności do spadku po zmarłym powołani są rodzice. To nowość. Gdy zmarły nie miał dzieci, to spadek dziedziczy wdowiec (wdowa) i jego rodzice, a nie – jak było dotychczas – również rodzeństwem zmarłego.

III grupa: Jeśli zmarły był samotny (nie miał małżonka, dzieci czy wnuków), to spadek po nim dziedziczą rodzice po połowie. A poprzednio – gdy nie było najbliższej rodziny zmarłego, czyli małżonka i dzieci lub wnuków – dziedziczyło razem z rodzicami także rodzeństwo spadkodawcy. Rodzice bezdzietnie zmarłego mają więc obecnie większy udział w spadku kosztem jego rodzeństwa. Taką zmianę uzasadniono tym, że to rodzice przyczyniają się do powstania zasobów spadku, np. kształcąc dzieci.

IV grupa: Teraz rodzeństwo może dziedziczyć spadek tylko wtedy, gdy któreś z rodziców spadkodawcy lub obydwoje już nie żyją. Jeżeli więc któryś z rodziców spadkodawcy nie dożył otwarcia spadku, to jego część będzie przypadać w równych częściach pozostałemu przy życiu rodzeństwu zmarłego. A co będzie, jeżeli rodzeństwo też już nie żyje? Dziedziczą ich zstępni, czyli dzieci i wnuki. Bratankowie i siostrzeńcy zmarłego spadkodawcy dziedziczą więc po nim tylko wtedy, gdy spadku nie dożyli ich rodzice, czyli brat lub siostra zmarłego.

V grupa: Do niedawna obowiązywało prawo, że po śmierci dzieci i /lub wnuków spadkodawcy, nie mogli dziedziczyć dziadkowie. Gdy np. po tragicznej śmierci dzieci i wnuków w wypadku samochodowym, dom na własność przejmowała gmina, w której mieszkał zmarły spadkodawca lub Skarb Państwa, gdy spadkodawca miał ostatnie miejsce zamieszkania za granicą. Mieszkający w nim dziadkowie musieli się wyprowadzić, gdyż gmina nie miała nawet możliwości odrzucenia spadku! Wyjątkiem była sytuacja, gdy spadkodawca zostawił testament na rzecz dziadków.

Teraz prawo do dziedziczenia ustawowego objęło dziadków zmarłego. Mogą oni dziedziczyć wtedy, kiedy spadkodawca nie zostawił innych spadkobierców, np. małżonka, dzieci, rodziców, rodzeństwa i zstępnych rodzeństwa. Spadkobiercami mogą być dziadkowie ze strony matki i ojca. Na dziedziczenie nie ma wpływu fakt, czy dziadkowie byli małżeństwem. Jeśli któryś z dziadków nie dożył otwarcia spadku, jego część spadku, czyli tzw. udział spadkowy, przypada jego zstępnym, czyli ciotkom, stryjom i wujom zmarłego, a gdyby i oni nie żyli – pozostałym przy życiu dziadkom po równo.

VI grupa: Dotychczas było tak, że jeżeli spadkodawca był samotny (nie miał małżonka, dzieci, wnuków, rodziców, dziadków i rodzeństwa) i nie zostawił testamentu, to majątek po nim przejmowała gmina. Teraz rozszerzono krąg spadkobierców ustawowych o pasierbów zmarłego. Udziały wszystkich pasierbów są równe.

VII grupa: Dopiero wówczas, gdy krąg ustawowych spadkobierców się wyczerpie, to majątek przechodzi na własność gminy lub Skarbu Państwa.

Dokument o nabyciu spadku

Musimy zatroszczyć się o dokumenty, które potwierdzą nasze prawo do spadku, by móc w pełni korzystać z odziedziczonego majątku. Do niedawna taki dokument można było uzyskać tylko w sądzie, składając pisemny wniosek o stwierdzenie nabycia spadku wraz z załącznikami: aktem zgonu spadkodawcy i aktami stanu cywilnego spadkobierców. I można to zrobić do tej pory. Podczas rozprawy sąd bada, czy zmarły zostawił testament, kto jest spadkobiercą i w jakich częściach dziedziczy się spadek. Po ustaleniu sąd wydaje postanowienie o nabyciu spadku. Po uprawomocnieniu się wyroku, można już w pełni rozporządzać swym majątkiem, np. sprzedać otrzymaną nieruchomość. Czasami trzeba dość długo czekać na rozprawę i na wyrok sądu.

Teraz można także skorzystać z usług notariusza, który notarialnie poświadczy dziedziczenie, jeśli spadkodawca zmarł po 1 lipca 1984 r., sprawa jest bezsporna, czyli wszyscy spadkobiorcy są zgodni co do podziału majątku, no i wszyscy stawili się u notariusza. Notariusz w obecności wszystkich zainteresowanych sporządza protokół dziedziczenia. Jeżeli spadkodawca zostawił testament, notariusz dokonuje jego otwarcia, ogłasza, jakie zapisy w testamencie poczynił zmarły oraz sporządza z otwarcia i ogłoszenia odrębny protokół. Następnie notariusz sporządza akt poświadczenia dziedziczenia, który zostanie zarejestrowany w elektronicznym rejestrze, prowadzonym przez Krajową Radę Notarialną (KRN). Na jej stronie internetowej www.krn.org.pl znajduje się Rejestr Aktów Poświadczenia Dziedziczenia.

Podstawa prawna: ustawa z 2.04. 2009 r. o zmianie ustawy kodeks cywilny – DzU nr 79, poz. 662

Hanna Budzisz

Rozdaliśmy nagrody za rok 2009

– aż w 9 konkursach (listę nagrodzonych „Forum” opublikowało w poprzednim numerze). Dziś zdjęcia z uroczystości wręczenia – odbyła się 17 grudnia – i jeszcze raz portret Hanny Krall, której jednogłośnie Zarząd Główny SDP przyznał Laur Roku 2009.
No i, niestety, doroczny ważny, choć przykry obowiązek, który sami sobie narzuciliśmy: Hiena Roku. Przedstawiamy ostateczną uchwałę (z 24 lutego 2010 r.) w tej sprawie.



Lista nagrodzonych

17 grudnia 2009 r.

informacja prasowa

Główną Nagrodę Wolności Słowa za publikacje w obronie demokracji i praworządności, demaskujące nadużycia władzy, korupcję, naruszanie praw obywatelskich, praw człowieka, ufundowaną przez Zarząd Główny SDP, otrzymuje **Patrycja Gruszyńska-Ruman,** autorka audycji „WiNna nie WiNna”, Studio Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia Pr. I z 27 października 2008 r.

dyplom – za znakomity reportaż opowiadający o doświadczeniach życia w dwóch totalitaryzmach, za stworzenie ponadczasowego studium ludzkiej krzywdy, nienawiści i... przebaczenia.

honorowe wyróżnienie otrzymują **Zbigniew Domaszewicz i Piotr Miączyński,** współautorzy artykułu „Samotność demaskatora”, „Gazeta Wyborcza” Duży Format z 29 września 2008 r.

dyplom – za pokazanie na wyrazistych przykładach, czym jest obywatelska powinność naprawy państwa wbrew zmowie milczenia – wobec szerzącego się wokół zła.

Nagrodę Watergate za publikacje z zakresu dziennikarstwa śledczego, ufundowaną przez Zarząd Główny SDP, otrzymują **Grzegorz Kuczek i Igor Miecik,** współautorzy audycji „Nieprawidłowości w sądownictwie wojskowym”, TVN – Uwaga z 29, 30 października 2009 r.

dyplom – za ujawnienie tajemnic środowiska, które wytworzyło własne reguły i o cenie za przerwanie zmowy milczenia.

honorowe wyróżnienie otrzymuje **Bianka Mikołajewska,** autorka tekstu „Biznesmeni z komendy”, „Polityka” z 2 sierpnia 2008 r.

dyplom – za pokazanie podwójnej moralności w policyjnym wydaniu, interesów robionych pod płaszczykiem służby ludziom.

Nagrodę im. Kazimierza Dziewanowskiego za publikacje o problemach i wydarzeniach międzynarodowych, ufundowaną przez wydawnictwo „Presspublica”, otrzymuje Jacek Hugo-Bader, autor reportażu „Symfonia wybuchowa c-moll”, „Gazeta Wyborcza” Duży Format z 21 maja 2009 r.

dyplom – za znakomity tekst o katastrofie w kopalni. Za utrzymanie własnego stylu podnoszącego rangę reportażu jako gatunku o walorach literackich.

honorowe wyróżnienie otrzymuje **Alicja Grembowicz,** autorka audycji „Cela Konrada”, Studio Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia Pr. I.

dyplom – za wybitną audycję edukacyjną w postaci radiowego reportażu literackiego, ukazującego Adama Mickiewicza, jego życie i twórczość jako dziedzictwo i dobro nie tylko Polaków.

Nagrodę im. Macieja Łukasiewicza za publikacje na temat współczesnej cywilizacji i kultury, ufundowaną przez wydawnictwo „Presspublica” otrzymuje **Beata Hyży-Czołpińska,** autorka audycji telewizyjnej „Ostatnia książka Ryszarda Kapuścińskiego”, TV Polonia z 5 kwietnia 2009 r.

dyplom – za pokazanie niezwykłości sztuki dziennikarskiej i przypomnienie, jak ważne jest dziedzictwo kulturowe, rodzinne, ojczyźniane.

honorowe wyróżnienie otrzymuje Anna Dudzińska, autorka audycji „Śląski power”, Polskie Radio Katowice, czerwiec 2009 r.

dyplom – za niebanalną opowieść o wybitnym artyście, jednocześnie wyrazistym człowieku polskiej sceny politycznej, o tym, jak można połączyć tak różne działalności, o źródle siły, jakim jest związanie z ziemią rodzinną.

Nagrodę im. Eugeniusza Kwiatkowskiego za publikacje o przedsięwzięciach gospodarczych służących realizacji wizji nowoczesnej Polski, ufundowaną przez Bank Zachodni WBK, otrzymuje **Zbigniew Bartuś,** autor tekstu „Beton krzepnie powoli”, „Dziennik Polski” z 17 października 2008 r.

dyplom – za znakomity warsztat dziennikarski, pomysłowe i niebanalne ujęcie tematu, rzetelną znajomość opisywanego problemu, za długookresową jego obserwację.

Nagrodę im. Stefana Żeromskiego za publikacje o tematyce społecznej, ufundowaną przez Astra CEE Sp. z o.o.

cd. na str. 124

Radiowcy i filmowcy
– telewizyjnemu twórcy



Nagroda „Melchiora” dla Krystyny Mokrosińskiej

Krystyna Mokrosińska zrobiła film, który już dawno powinien powstać. Film o człowieku, który zrobił tak wiele – dla tak wielu, a tak mało żądał dla siebie i też tak bardzo niewiele dostał.

Jeśli Telewizja Polska nie puści filmu dokumentalnego „Podsłuchane życie” o Janie Józefie Lipskim o 5.00 nad ranem (jak to czasem robi – np. film o księdzu Józefie Tischnerze) – to mam nadzieję, wielu pozna jak dużo dobrego i ważnego może zrobić nawet jeden człowiek. Byle był mądry, odważny i chciał z siebie dawać innym.

Krystyna Mokrosińska zamknęła to życie w 50 minutach przebogatych w treść dokumentalną ruchomych kadrów. Od migawki pokazującej wychodzącego z kanału powstańca warszawskiego, jednego z tych, którym udało się – tak jak kilkunastoletniemu Janowi Józefowi – przebrnąć przez śmiertelną czeluść kanału i ocaleć. Lipski wyszedł na Dworkowej i przeżył, choć faszyści dokonali tam rzezi. Film Mokrosińskiej biegnie szybko, tak jak niesłychanie pędzące było życie jego bohatera: świadka – uczestnika najważniejszych wydarzeń ostatnich pięćdziesięciu lat. Bity, więziony, poniżany i szczuty – mówi nam jednak, że miał życie wspaniałe. Bo godne, męskie, kierujące się dobrem człowieka i dobrem odpłacanym za głupotę i zło.

Cieszy, że ten wspaniały film wyróżniono tak ważną nagrodą jak „Melchior”. Tym razem – w marcu w Lublinie – radiowcy i filmowcy dali ją telewizyjnemu twórcy. Gratulujemy serdecznie – Krystyno!

(st)

Nagrodzeni 2009

2.



1.



3.



9.



4.



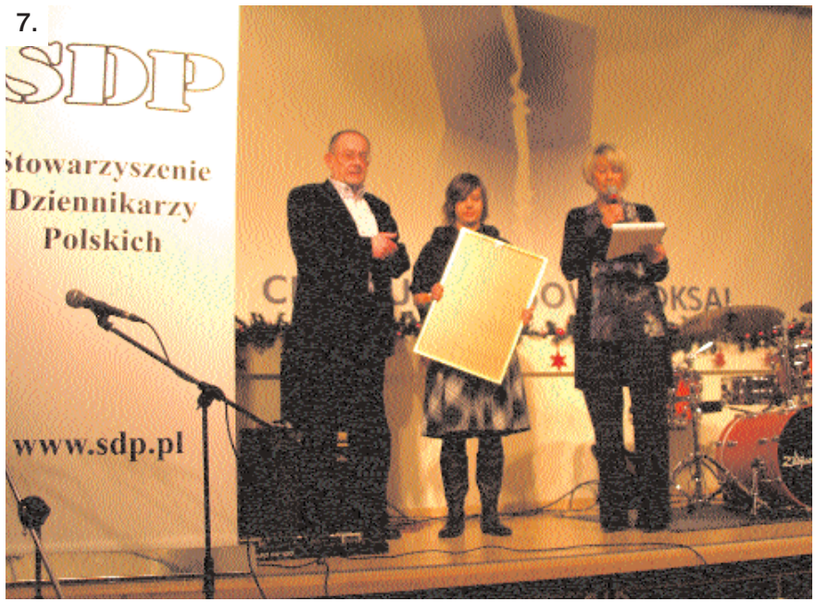
5.



6.

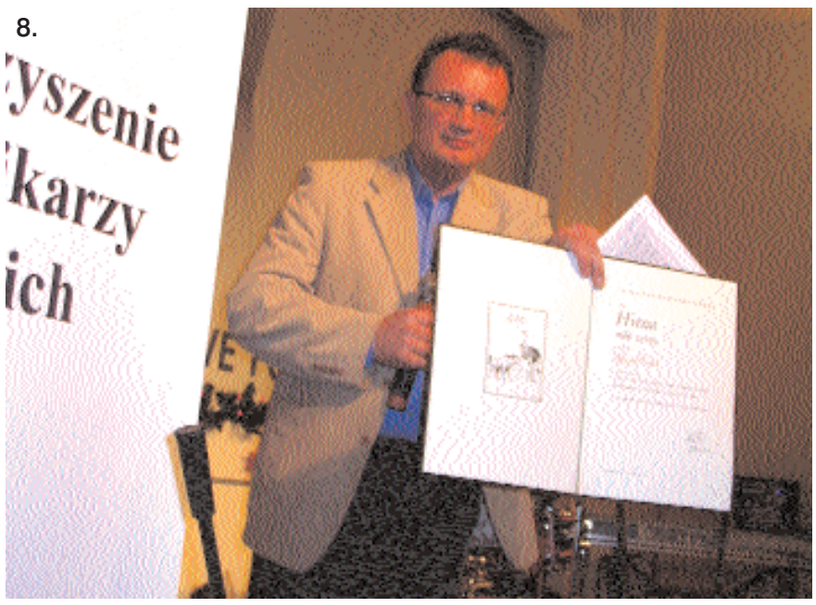


7.



1. *Hanna Krall – Laur SDP 2009.*
2. *... z prezesem SDP Krystyną Mokrosińską*
3. *... i Taduszem Woźniakiem, szefem oddziału gdańskiego SDP.*
4. *Główną nagrodę otrzymuje Patrycja Gruszczyńska-Ruman.*
5. *Wśród sponsorów – Bank Ochrony Środowiska.*
6. *Z rąk wnuczki patrona, Marianny Zielińskiej, red. Konrad Stangiewicz otrzymuje nagrodę za publikacje poświęcone wiedzy o Polsce i świecie.*
7. *Marzena Burczycka-Woźniak, wiceprezes SDP Jerzy Kłosiński i prowadząca imprezę Anna Szulc.*
8. *Andrzej Tomczak prezentuje niechętnie odbierany dyplom – za HIENĘ ROKU.*
9. *A wszystkim zagrali – Sławomir Chojecki i BLUESZCZ BAND.*

8.



cd. ze str. 121

otrzymuje **Marzena Burczycka-Woźniak**, autorka audycji „Przesyłka", będącej adaptacją książki „Prawda i prawo", Teatr Polskiego Radia Pr. I.

dyplom – za oryginalną dziennikarską opowieść o dążeniu do ujawnienia prawdy, przeniesioną w konwencję teatru faktu.

honorowe wyróżnienie otrzymuje **Magda Skawińska**, autorka audycji radiowej „Libacja", Studio Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia, z 15 czerwca 2009 r.

dyplom – za świetną warsztatowo radiową opowieść o absurdzie politycznym PRL-u, który miał przełożenie na dalsze losy – nie tylko zawodowe – grupy dziennikarek.

honorowe wyróżnienie otrzymują **Maciej Drzewicki** i **Grzegorz Kubicki**, współautorzy reportażu „Mama. Panią to masz na ulicy", „Gazeta Wyborcza" z 23 maja 2009 r.

dyplom – za pokazanie Henryki Krzywonos-Stryczarskiej, jednej z bohaterek Sierpnia, jako osoby nadzwyczajnej, nie dlatego, że nią była, ale dlatego, że cały czas nią jest.

Nagrodę im. Jerzego Zieleńskiego za publikacje poświęcone popularyzacji wiedzy o Polsce i świecie, ufundowaną przez Rodzinę Patrona otrzymują **Małgorzata Nabel** i **Konrad Stanglewicz,** współautorzy cyklu audycji „Eugenika. Opowieść o ludzkich marzeniach, o doskonałości i błądzeniu", Radio Zachód z 13, 27 i 24 marca 2009 r.

dyplom – za bardzo ciekawą i odważną inicjatywę pogłębienia refleksji o meandrach naszej cywilizacji, za pokazanie, jak blisko od doskonałości do tragedii.

honorowe wyróżnienie otrzymuje Joanna Nowaczyk, autorka tekstów „Mocek – bohater nieznany", „Pomnik" i „Ukryty sztandar", „Fakty Mosińsko-Puszczykowskie" z 27 sierpnia 2008 r., 9 marca 2009 r.

dyplom – za przypomnienie historii, która tworzy legendę Mosińsko-Puszczykowskiej Małej Ojczyzny, składającej się na wielką polską historię.

Nagroda im. Bolesława Wierzbiańskiego Fundacji „Konkurs Pro Publico Bono" za podejmowanie ważkich tematów społeczności lokalnych dla redakcji niezależnych gazet i czasopism (tzn. niezwiązanych z koncernami medialnymi i samorządami), wydawanych w miejscowościach do 100 tys. mieszkańców. Nagroda przyznana przez jury Konkursu SDP w porozumieniu z kapitułą Nagrody Pro Publico Bono, ufundowana ze środków Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności. Nagroda została ogłoszona podczas Obywatelskiego Święta Niepodległości Pro Publico Bono 11 listopada w Krakowie, a otrzymała ją redakcja **Tygodnika „Głos Wągrowiecki".**

dyplom – za świetną informację prasową, kształtowanie patriotyzmu lokalnego, warsztat dziennikarski i redaktorski, za szanowanie swojego czytelnika.

Nagrodę im. prof. Stefana Myczkowskiego Klubu Publicystów Ochrony Środowiska „Ekos" za publikacje o problemach ochrony środowiska, ufundowaną przez Bank Ochrony Środowiska S.A., otrzymuje **Piotr Gadzinowski** autor audycji „Pieniądze nie śmierdzą", TVN – Uwaga z 26–27 marca 2009 r.

dyplom – za znakomitą realizację dziennikarskiej misji – wykrywania i piętnowania zła.

honorowe wyróżnienie otrzymuje Magdalena Grzebałkowska, autorka tekstu „Gwałt na Kazimierzu D.", „Gazeta Wyborcza" z 9 marca 2009 r.

dyplom – za reporterską wnikliwość, interwencję dziennikarską w sprawie pozornie lokalnej, której rozwiązanie zależy od świadomości i postawy obywatelskiej.

Uchwała Zarządu Głównego SDP

W związku z przyznaniem przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich „ Hieny Roku" Wojciechowi Cieśli za wywiad: „Taki przekręt robią ludzie, którzy chowają pieniądze" – opublikowany 1 czerwca 2009 r. w „Dzienniku Polska Europa Świat" – grupa dziennikarzy zwróciła się do nas o zmianę tej decyzji z uwagi na szczególne okoliczności powstania „wywiadu". Z podobnym wnioskiem zwrócił się w imieniu redakcji jej redaktor naczelny, Michał Kobosko:

„Jestem przekonany, że kapituła SDP nie dysponowała – ponieważ nie mogła dysponować – pełną wiedzą na temat kulisów powstania wywiadu z domniemanym p. Jackiem Chwedorukiem...". Chcąc poznać owe kulisy – wywiadu, którego nie było – przedstawiciele Zarządu Głównego SDP spotkali się z Michałem Majewskim, Pawłem Reszką i Wojciechem Cieślą z redakcji „Dziennika". Prezes SDP, Krystyna Mokrosińska, wymieniła w tej sprawie listy i spotkała się z Michałem Kobosko. Otrzymaliśmy dowody w postaci bilingów rozmów prowadzonych przed i po publikacji wywiadu. Ustaliliśmy, że właściciel telefonu, z którym rozmawiał red. Cieśla, nie mógł w żadnym wypadku udzielić wywiadu, który został opublikowany i, co więcej, red. Cieśla – według informacji jego kolegów – nie przepisywał tej rozmowy.

Z zebranych przez Zarząd Główny SDP informacji wynika, że odpowiedzialność za niewątpliwie skandaliczny fakt prasowy rozkłada się na wiele osób w redakcji „Dziennika" i że odpowiedzialności za to nie może ponosić tylko i wyłącznie red. Wojciech Cieśla.

Uznajemy, w związku z ustaleniem faktów potwierdzających błędy i zaniedbania redakcyjne wielu osób zaangażowanych w powstanie i opublikowanie „wywiadu", że „Hiena Roku" powinna rozłożyć się na wszystkich jego sprawców. W tej sytuacji Zarząd Główny SDP wycofuje tę indywidualną antynagrodę Wojciechowi Cieśli, a „Hienę Roku 2009" przyznaje członkom redakcji „Dziennika Polska Europa Świat" odpowiedzialnym za ukazanie się tej publikacji.

Jednocześnie wyrażamy oburzenie, że redakcja, znając okoliczności powstania „wywiadu", nie wyjaśniła ich opinii publicznej i uwikłała część środowiska dziennikarskiego w wystąpienie przeciwko SDP.

Krystyna Mokrosińska
Prezes SDP

Nuncjusze apostolscy

Włodzimierz Bończa-Rutkowski

W sierpniu ubiegłego roku minęło 20 lat od momentu, kiedy po raz pierwszy od 1939 roku, został mianowany przez papieża Jana Pawła II nuncjusz apostolski w wolnej Polsce – arcybiskup Józef Kowalczyk. Według historycznych źródeł jest on 71. z kolei nuncjuszem apostolskim w Polsce. Niektórzy historycy – zdaniem ks. prof. Henryka Wojtyski, uznali, że 13 stycznia 1555 rok, jest datą powołania nuncjatury w Polsce. Ówczesny papież Juliusz III mianował na to stanowisko biskupa Werony, Alojzego Lippomano. Data ta jest uznawana w oficjalnym komentarzu do aktu wznowienia kontaktów dyplomatycznych między Stolicą Apostolską i Polską Rzeczypospolitą Ludową w 1989 roku.

Zdaniem prof. Wojtyski, jest to wynik nieporozumienia. Historycy, a zwłaszcza badacze papiescy przekonują, że pierwszym nuncjuszem w Polsce był Zachariasz Ferri. Pełnił swe posłannictwo w Polsce w latach 1519–1521 i był prekursorem nowożytnej dyplomacji papieskiej. Nie wdając się w historyczne spory, Alojzy Lippomano, po ponownej nominacji przez papieża Pawła IV, przyjechał do Polski w 1556 roku. Przebywał jako pierwszy stały nuncjusz w naszym kraju do 15 stycznia 1557 roku.

W latach 1596–1609 król Zygmunt III Waza przenosił stolicę Polski z Krakowa do Warszawy. Tymczasem nuncjusze papiescy w czasie swych okresowych pobytów w Polsce nie mieli stałej siedziby. Dlatego rezydowali w różnych,







dość przypadkowych miejscowościach. Na przykład w Skierniewicach. Jak podają źródła, oficjalnie uznany za pierwszego nuncjusza Polski – Alojzy Lippomano, rezydował przy ulicy Długiej w Warszawie, w zakupionym przez Stolicę Apostolską klasztorze, od nieistniejącego już zakonu Teatynów.

Przybywający do Polski nuncjusze apostolscy, głównie Włosi, borykali się z róznymi trudnościami, zwłaszcza egzystencjalnymi. Przerażała ich długa i uciążliwa podróż, najpierw do Krakowa, a potem do Warszawy. Mieli kłopoty z przystosowaniem się do naszych warunków życia. Narzekali na surowy klimat, zwłaszcza w zimie. Nie smakowało im polskie jedzenie, z wyjątkiem piwa, które polecali swym następcom.

Ostatnim, 66. z kolei nuncjuszem apostolskim w przedrozbiorowej Polsce był arcybiskup Lorenzo Litta. Pełnił swą funkcję 3 lata, do 1796 roku. Polska rozdarta rozbiorami, odzyskała wolnośc dopiero po 123 latach i zakończeniu pierwszej wojny światowej w 1918 roku. W tym samym czasie przybył do Polski nuncjusz apostolski Achilles Ratti (późniejszy papież Pius XI). Najpierw zamieszkał w siedzibie Arcybiskupów Warszawskich przy ul. Miodowej, a później w budynku plebanii kościoła św. Aleksandra przy ul. Książęcej.

W 1924 roku został wreszcie rozwiązany problem stałej siedziby nuncjatury w stolicy. Episkopat kupił obszerną wil-

lę w Alei Szucha 12 i przekazał w darze Stolicy Apostolskiej. Z zapisów księgi hipotecznej wynika, że zapłacono za nią 70 tysięcy dolarów.Według nieoficjalnych źródeł, tę sporą sumę pieniędzy przekazał po cichu Episkopatowi Polski – Achilles Ratti – Papież Pius XI, który żywił szczególną sympatię do naszego narodu. W ten sposób w początkach grudnia 1924 roku, ówczesny nuncjusz Lorenzo Lauri, przeniósł się do stałej siedziby.



Ostatnim nuncjuszem apostolskim w Warszawie przed wybuchem drugiej wojny światowej był Filippo Cortesi, który urzędował na Szucha w latach 1936–1939. Piąty września 1939 roku był ostatnim dniem jego pobytu w Polsce. Już następnego dnia budynek nuncjatury został zbombardowany przez Niemców. Podczas okupacji niezniszczonymi fragmentami nuncjatury opiekował się salezjanin ks. Tadeusz Głąb. Zabezpieczył on m.in. część bardzo cennego archiwum i dokumenty nuncjatury. Niestety, w 1944 roku został rozstrzelany przez Niemców.

Po wojnie kardynał August Hlond polecił odbudować nuncjaturę. Niestety, władze komunistyczne nie chciały nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską. Dlatego od 14 lutego 1949 roku zamieszkał w niej tymczasowo kard. Stefan Wyszyński. Opuścił ją w początkach stycznia 1953 roku. W budynku nuncjatury pozostał Wydział d/s zakonnych przy sekretariacie Prymasa Polski. Przez następne lata aż do 1989 roku miały tu swą siedzibę rożne instytucje kościelne. Natomiast budynkiem cały czas administrował sekretariat Prymasa Polski.

Nie ustrzeżono się niestety przed licznymi podsłuchami. Na polecenie komunistycznych władz zakładali je pracownicy telefonii, oczywiście bez wiedzy właściciela obiektu. Podkładane „pluskwy” instalowano w aparatach telefonicznych, a także w ścianach nuncjatury. Już w wolnej Polsce znajdowano je tam przez długi czas.

Po 50 latach, 23 listopada 1989 roku, przybył do wolnej Polski nowy nuncjusz apostolski, arcybiskup Józef Kowalczyk, mianowany przez Ojca św. Jana Pawła II. Arcybiskup do dziś pełni swą misję, także dziekana korpusu dyplomatycznego w naszym kraju.

Włodzimierz Bończa-Rutkowski

Opłatek u nuncjusza

Po raz pierwszy w historii Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, dziennikarze w nim zrzeszeni zostali zaproszeni na opłatek Bożonarodzeniowy do arcybiskupa Józefa Kowalczyka, nuncjusza apostolskiego w Polsce.



Spotkanie miało miejsce w siedzibie nuncjatury, przy al. Szucha w Warszawie. Przybyła na nie grupa ok. 100 ludzi pióra, na czele z szefową SDP, Krystyną Mokrosińską, która podziękowała za zaproszenie.

Arcybiskup Józef Kowalczyk bardzo serdecznie przywitał zebranych. W swym obszernym przemówieniu przypomniał m.in. dzieje utworzenia stałej siedziby nuncjatury w Warszawie.

Łamanie opłatkiem, połączone ze zwiedzaniem nuncjatury oraz kuluarowymi rozmowami, było ostatnim akcentem tego pierwszego i ufam nie ostatniego spotkania nuncjusza ze środowiskiem dziennikarskim.







Włodzimierz Bończa-Rutkowski

Laudacja prawników dla Małgorzaty Ziętkiewicz



Szanowna Pani Redaktor,

Przyznajemy Pani nagrodę Złotej Wagi za dziennikarską rzetelność i błyskotliwe upowszechnianie wiedzy o prawie.

W swojej karierze dziennikarskiej zajmowała się Pani sprawami, które na co dzień nurtują także środowisko adwokackie.

Bliskie Pani idee obrony praworządności przyświecają także Adwokaturze. Obronę praw i wolności, a także pomoc potrzebującym, ślubują młodzi adwokaci rozpoczynający karierę.

Pani Redaktor nawet bez adwokackiego ślubowania zaangażowała się w obronę zasad, które rządzący zapisują w ustawach, ale nie zawsze ich przestrzegają.

Już od samego początku swojej pracy w łódzkim ośrodku Telewizji Polskiej podejmowała Pani trudne problemy społeczne.

Szybko skupiła Pani swą uwagę na problematyce praworządności i stosowania prawa. Znane audycje o podsłuchach w hotelach czy o policyjnym pościgu za przestępcą były wydarzeniami, które poruszyły miasto Łódź. Potem, jako czołowa reporterka Wiadomości, podejmowała Pani tematykę śledczą i relacjonowała własne procesy sądowe. To właśnie przy tej okazji zaprezentowała Pani rzadką wśród dziennikarzy umiejętność zrozumiałego przedstawiania trudnych problemów prawnych. A przecież telewidz jest pod tym względem znacznie bardziej wymagający niż czytelnik specjalistycznych gazet o prawie czy biznesie.

Szczególne uznanie należy się Pani za troskę o utrwalanie w pamięci społecznej najnowszej historii Polski. To także tradycyjna rola Adwokatury i dlatego doceniamy wielką rolę edukacyjną, jaką dla społeczeństwa spełniła seria Pani pionierskich programów o przyczynach i o tle stanu wojennego, a także o problemie odpowiedzialności jego twórców.

Jest Pani znakomitą reporterką, pełną temperamentu, zachowującą zdolność do rzetelnej oceny sytuacji, a przy tym mistrzowsko posługującą się kamerą i obrazem. Ma Pani umiejętność budowania nastroju i refleksji z użyciem skromnych środków. Ale obok tych czysto zawodowych umiejętności ma Pani jeszcze jedną cechę, tak własną dla dziennikarza. To wrażliwość na ludzkie sprawy.

Polski guru dziennikarskiego fachu Ryszard Kapuściński zawsze powtarzał, że dobry dziennikarz powinien po prostu lubić ludzi.

Oglądając Pani reportaże o ludzkiej krzywdzie, zwłaszcza tej przychodzącej nagle, widać wyraźnie tę wrażliwość, która pomaga stworzyć poruszający reportaż telewizyjny. Tym bardziej miło nam, że w sytuacjach, gdy i my włączamy się w pomoc potrzebującym, dostrzega Pani, że idziemy ramię w ramię, służąc tej samej idei.

Drobna z pozoru wzmianka o śląskich adwokatach, udzielających bezpłatnej pomocy prawnej ofiarom katastrofy w kopalni „Wujek", była dla nas nie tylko dowodem uznania za tę inicjatywę, ale też ważna dla samych zainteresowanych ofiar tej tragedii.

Życzymy Pani dalszych sukcesów w pracy zawodowej.

Niech Pani dalej przybliża wszystkim ideały państwa prawa, własne problemy historyczne, a także zwykłe ludzkie sprawy. Jest Pani znakomitym adwokatem tych spraw – choć bez togi, ale z mikrofonem i kamerą.

Drugą nagrodę otrzymał red. Wojciech Tumidalski z Polskiej Agencji Prasowej, za kilkunastoletnią rzetelną pracę dziennikarza agencyjnego, podejmowanie trudnych zadań (np. korespondencja z Iraku), oraz relacje z ważnych procesów sądowych.



Małgorzata Ziętkiewicz wyróżniona „Złotą Wagą"

Małgorzata Ziętkiewicz otrzymała 19 stycznia 2010 roku nagrodę Naczelnej Rady Adwokackiej. Dziennikarka „Wydarzeń" Polsatu została wyróżniona „Złotą Wagą" za obiektywizm i rzetelność dziennikarską oraz za fachowość materiałów dotyczących tematyki prawnej.

Rok 2009 w Zespole Seniorów Dziennikarzy SDP

Krystyna Żemralska

W roku minionym Zarząd Zespołu zorganizował dziesięć comiesięcznych spotkań, zawsze w pierwszy wtorek miesiąca o 11.00, z wyjątkiem lipca i sierpnia, kiedy - jak zwykle - była przerwa wakacyjna. Poza tymi spotkaniami, których kompletna dokumentacja: zawiadomienie, lista obecnych i protokół wypełnia segregator, seniorzy naszego stowarzyszenia uczestniczyli licznie w życiu Oddziału Warszawskiego.

Rok rozpoczęliśmy 5 stycznia spotkaniem poświęconym red. Jackowi Kunickiemu, a następnie, przy udziale zaproszonych gości – przedstawicieli Zarządów: Głównego i Oddziału Warszawskiego – poczęstunek w sali A; poza wystąpieniami naszych gości, czas umilały recytacje poezji i gra na akordeonie Krzysztofa Janiczka, syna jednej z naszych seniorek.

Liczna grupa seniorów skorzystała 25 stycznia z zaproszenia Duszpasterza Środowisk Twórczych, uczestnicząc w nabożeństwie w dzień naszego patrona św. Franciszka Salezego. Również w styczniu, na nasz wniosek, prezes OW SDP wystosował pismo do dyrekcji ZTM w sprawie korekty trasy autobusu 155, mianowicie skierowania jej w ulicę Elekcyjną, gdzie w Domu Budowlanych znalazła się jedna z naszych seniorek. Dyrektor ZTM odpowiedział zainteresowanej wymijająco; sprawa wymaga dalszych interwencji, bezpośrednio w ZTM. Także w styczniu prezes Zespołu kol. Helena Kozicka napisała list do redakcji „Poradnika Domowego" z podziękowaniem za upominki, dzięki którym ponad 30 osób obdarowano książkami, paralekami i kosmetykami. Paczki wielu obdarowanym dostarczyliśmy do domu z uwagi na ich wiek i stan zdrowia.

Spotkanie 3 lutego poświęcone było pamięci Leona Barszczewskiego, o którym mówił jego biograf Igor Strojecki. Przedstawił on sylwetkę swego przodka – etnografa amatora, odkrywcy Samarkandy, uzupełniając wykład materiałami ilustrującymi dorobek Barszczewskiego oraz wielkiej aktorki Elżbiety Barszczewskiej, przez całe życie związanej z Teatrem Polskim. W podzięce za interesujący wykład prezes Zespołu Seniorów wystosowała do naszego gościa list, podkreślając, że „ilość przekazanej nam wiedzy była oszałamiająca".

W ponury, bezśnieżny lutowy dzień, we trzy pożegnałyśmy na Cmentarzu Północnym starszą siostrę Zosi Barchanowskiej, Jasię.

Spotkanie marcowe poświęcone było wyborowi nowego zarządu Zespołu. Prezes Helena Kozicka opracowała sążniste sprawozdanie (4 strony maszynopisu) obejmujące lata 2005–2008, które można było otrzymać po dodatkowym powieleniu. Do sprawozdania dołączyła listę 49 zmarłych między październikiem 2005 a 1 marca 2009 koleżanek i kolegów. Wśród nich znalazła się Alicja Bobrowska, która jako sekretarz Zarządu opisywała sumiennie jego prace w kolejnych protokołach.

Zarząd Zespołu Seniorów Dziennikarzy SDP ukształtował się, jak następuje:

Helena Kozicka – przewodnicząca,

Krystyna Żemralska – wiceprzewodnicząca,

Anna Malinowska-Wegner – sekretarz,

Maria Karłowicz – członek,

Irena Poznańska – członek.

Spotkanie kwietniowe pożyteczne było, tak dla ducha, jak i dla ciała. W pierwszej jego części kol. Barbara Minejko zademonstrowała wiele ćwiczeń gigong (czi-kung), których systematyczne wykonywanie zapewnia płynną mobilność osobom starszym. Dużo koleżanek i kolegów wzięło ulotki ilustrujące zestaw ćwiczeń, obiecując ich wykonywanie w domu, przy muzyce.

W drugiej części spotkania naszym gościem był Stanisław Remuszko. Mówił o swej walce w imię prawdy, o braku społeczeństwa obywatelskiego w kraju, jak też o „najbardziej zamilczanej książce III RP" jego autorstwa pt. „Gazeta Wyborcza – Początki i Okolice". Jego zdaniem, media mają ogromny wpływ nie tylko na społeczeństwo, ale też na władze.

W maju, jak zwykle, w pierwszy wtorek miesiąca, naszym gościem był Tomasz Kuba Kozłowski z Domu Spotkań z Historią, który wygłosił prelekcję pt. „Kresowy tygiel kultur i narodów, czyli...Unia już była". Profesjonalnie przygotowany wykład multimedialny pozwolił na pogłębienie wiedzy o Kresach Rzeczypospolitej utraconych po II wojnie światowej.

10 maja kilkanaście osób uczestniczyło w wernisażu malarstwa W. Poprawy w klubie „Cudzysłów", a 11 maja – w konferencji „Prawo w sieci – korzyści czy zagrożenia dla wolności słowa" w sali A, której moderatorem był Adam Bodnar, znany z Fundacji Helsińskiej.

W końcu maja zarząd Zespołu Seniorów przygotował wniosek firmowany przez prezesa Oddziału Warszawskiego do przewodniczącej Rady m.st. Warszawy o nadanie wyróżnienia „Zasłużony dla Warszawy" czterem naszym koleżankom. Do wniosku dołączono – jako uzasadnienie – sylwetki (życie, praca, twórczość). Jak się dowiadujemy, Rada zamierza wyróżnić tylko jedną z nas, poza dziennikarstwem, uprawiającą malarstwo i poezję.

Czerwiec zapoczątkowała burzliwa debata w sali A „Co wolno Katarynie", której przysłuchiwało się kilkoro seniorów. Obszerny skrót dyskusji opublikowało „Forum Dziennikarzy".

Comiesięczne wtorkowe spotkanie Zespołu Seniorów poświęcone było natomiast dwu tematom. Red. Hanna Budzisz przedstawiła alternatywę Domu Seniora – tzw. gniazda rodzinne, wywołując żywe komentarze i dyskusję zainteresowanych spokojną przystanią na starość. W drugiej części dołączył do nas kol. Grzegorz Cydejko, prezes Oddziału Warszawskiego, który podjął się odpowiedzi na pytanie „kim jest dziennikarz

w dzisiejszych czasach" oraz omówił wiele bieżących zagadnień.

Tego samego dnia grupa seniorów, zaproszona przez kol. Andrzeja Tokarczyka, obecna była na prezentacji jego książki „Adwentyzm. Rzecz o końcu świata" (Verbinum, 2009) w Bibliotece Kierbedziów. Temat: adwentyzm a katolicyzm – religia, filozofia, etyka – źródła, rozważania, wnioski. Wszystkie trzy spotkania owego 2 czerwca, poświęcone tak różnym problemom były cenne i inspirujące.

Jeszcze w czerwcu – 17.06. , dzięki dotacji Very Szerszeń, mieliśmy bilety dla 10 osób na spektakl „Umowa, czyli łajdak ukarany" w Teatrze Narodowym. Podziwialiśmy klasyczną realizację w duchu Comedie Francaise i doskonałe aktorstwo M. Kożuchowskiej, J. Łapińskiego i J. Radziwiłowicza , który też dokonał przekładu tej gorzkiej komedii. Niektórzy podziwiali odmienione eleganckie wnętrza teatru, będąc w nich po raz pierwszy po generalnym remoncie.

Z mieszanymi uczuciami przyjęliśmy – również w czerwcu – wiadomość o przekazaniu naszego księgozbioru do biblioteki dzielnicowej na Mokotowie. Aktowi przekazania nadano uroczysty charakter, uczestniczyli w nim prezesi honorowi obydwu stowarzyszeń: SDP i SDRP. Wydarzenie odnotowała prasa.

W lipcu i sierpniu nie było wtorkowych spotkań; działał klub brydżowy, organizując poniedziałkowe potyczki w cieniu drzew naszego ogrodu. Zarząd Zespołu zajął się przygotowywaniem spotkania z ambasadorem Zakonu Kawalerów Maltańskich, które wymyślił nieżyjący już Henryk Boruciński. Był już wówczas bardzo chory, tak że realizacją pomysłu nie mógł się sam zająć, ale udało się jego pomysł zrealizować. Wymagało to sporo czasu, począwszy od spotkania prezes Zespołu Heleny Kozickiej w siedzibie poselstwa, przez konsultacje w MSZ dotyczące protokołu dyplomatycznego, po wystosowanie zaproszenia przez prezesa Oddziału Warszawskiego SDP potwierdzającego wstępne ustalenia.

W sierpniu zmarł Stanisław Chełstowski, jeden z redaktorów niezapomnianego „Po prostu". Odeszła również 81-letnia kol. Danuta Łomaczewska, wieloletni członek naszego stowarzyszenia.

Wrześniowe spotkanie poświęciliśmy Izie Nowosielskiej, która czas emerytury wypełnia malarstwem i poezją. Dla swych pasji znajduje oparcie w Domu Kultury Zacisze, który opiekuje się ruchem amatorskim dzielnicy. Iza obdarowała nas zbiorem aforyzmów opracowanym przez jej syna, który w słowie „Od autora" oddaje należny honor tym utworom.

W końcu września zmarł kol. Jerzy Giżycki, rocznik 1918.

Spotkanie z ambasadorem Zakonu Kawalerów Maltańskich, jego ekscelencją Vincenzo Manno odbyło się 9 października w sali A. Relację ze spotkania i tekst wystąpienia ekscelencji zamieściło „Forum Dziennikarzy",(nr 95/96 –2009 r.) dodam tylko, że dzięki uprzejmości małżonki pana ambasadora otrzymaliśmy zaproszenia na wernisaż dzieł Leszka i Hanny Nowosielskich w Muzeum Wojska Polskiego.

Od 23 października swe prace w klubie „Cudzysłów" wystawiali maryniści, umilając malarstwem szarość jesiennych dni. Relacja z listopadowego spotkania z Karolem Płudowskim, synem dziennikarza tygodnika „Po prostu" znalazła się w „Forum Dziennikarzy" (nr 95/96 – 2009 r.).

Mamy za sobą kolejny rok istnienia Zespołu Seniorów, w nim dziesięć spotkań, które starałam się po krótce opisać. Cieszą się dużym zainteresowaniem, o czym świadczy frekwencja: zwykle 30–40 osób. Dla wielu jest to licząca się więź ze stowarzyszeniem, o czym przekonujemy się, odwiedzając tych, którzy na Foksal przychodzić już nie mogą. Protokoły zawierające informacje o spotkaniach kompletuje sekretariat Zespołu wspierany przez panią Annę Gago. Honory pani domu w klubie „Cudzysłów" pełni pani Renata Piotrowska. Niech mi też wolno będzie podziękować za życzliwe zainteresowanie Zespołem Seniorów Dziennikarzy SDP ze strony zarządu Oddziału Warszawskiego naszego stowarzyszenia.

Z redaktorem Maciejem Wierzyńskim

Grudniowe spotkanie w zespole seniorów

Gościem ostatniego spotkania w 2009 roku był redaktor Maciej Wierzyński, który podzielił się z zebranymi wrażeniami z pobytu w USA. Bratanek Skamandryty Kazimierza Wierzyńskiego przeżył w Stanach 21 lat, teraz komentuje „na żywo" w TVN 24 co ważniejsze wydarzenia polityki światowej. Obserwował dziennikarstwo w USA i uważa, że tamtejsze gazety NAJLEPSZE W ŚWIECIE. Doświadczenia 20 lat pracy w PRL, w warunkach dyktatu partii i cenzury pomogły zgromadzić obserwacje uzasadniającą tę wysoką ocenę.

Zdaniem Wierzyńskiego społeczeństwo amerykańskie nie jest tak głupie, jak sądzi wiele osób w Polsce. Czyta prasę, której wysoki poziom zapewnia profesjonalne przygotowanie dziennikarzy, dysponujących nowoczesną techniką. Istotne też są demokratyczne nawyki społeczeństwa i znaczne zasoby finansowane oraz powszechność języka angielskiego, umożliwiająca kierowanie części nakładów wiodących tytułów poza Stany. To z kolei zwiększa liczbę czytelników, a więc przychody gazet.

Przygotowanie zawodowe uzyskują studenci licznych szkół dziennikarstwa (w tym kilku elitarnych), które uczą zarówno podstaw rzemiosła, jak też FUNKCJONOWANIA MEDIÓW W SPOŁECZEŃSTWIE. Mimo że dziennikarstwo jest w USA – podobnie



Wielokrotnie w czasie wystąpień gość nasz odnosił się bardzo krytycznie do sytuacji dziennikarstwa w Polsce. Mówił o takich zjawiskach jak postępująca tabloidyzacja, tolerowanie plagiatu (gdy autor publikuje tekst z fragmentami innego autorstwa, cytowanymi dosłownie, bez żenady), kontrola choćby tylko mediów publicznych przez partie, nacisk komercji, unikanie sprostowań. „Wolność mediów w Polsce – to karykatura, nie ma u nas azylu, do którego mogłyby się schronić dobre dziennikarstwo" – zauważył gorzko.

W czasie ożywionej dyskusji red. Wierzyński odpowiedział na wiele pytań. Dowiedzieliśmy się, że telewizja CBS i radio publiczne utrzymują się dzięki trzem źródłom – dotacji Kongresu i sponsorów oraz składkom widzów/słuchaczy. Poinformował nas, że główny program informacyjny CBS trwa godzinę, że praw dziennikarzy bronią związki zawodowe – nie stowarzyszenia, że gazety ustępują pola Internetowi i że – wg Prezydenta Jeffersona: „człowiek, który nie czyta nic, ma lepiej poukładane w głowie, niż ten który czerpie wiedzę z gazet" . Innych anegdot nie usłyszeliśmy, bowiem czas spotkania – jak zwykle – był ograniczony. Prezes Koła Seniorów Helena Kozicka podziękowała naszemu gościowi, a zebrani wsparli jej słowa brawami.

Dodam jeszcze, że klub „Cudzysłów" wypełniony był do ostatniego miejsca, a szczegółowe streszczenie wypowiedzi red. Wierzyńskiego znajduje się w protokole ze spotkania.

Krystyna B. Żemralska

jak u nas – zawodem otwartym, większość pracujących w tym zawodzie to absolwenci dziennikarskich szkół.

Pisma w Stanach przeżywają ostatnio kryzys: spada czytelnictwo, ulega obniżeniu poziom (tabloidyzacja), wzrasta uzależnienie od wyniku finansowego. Od ok. 10 lat trwa debata, jak temu zaradzić. Powstają teksty, których autorzy mają świadomość, czym jest nasz zawód. Dwie poważne gazety włączyły się do debaty specjalnymi wydaniami: COLUMBIA JOUNALISM REVIEW – „The Reconstruction of American Journalism" (październik 2009, 34 strony A-4) i THE WASHINGTON POST – *„Journalism – slow, sad death"* (nieco mniej obszerny, listopad 2009).



Wydawnictwa te, podobnie jak wiele książek przyniesionych na spotkanie naszego gościa, krążyły wśród słuchaczy, wertujących je z niedowierzaniem. Obejrzeliśmy ich kilkanaście – m.in. BREAKING THE NEWS (J. Follows, 1994), czyli jak media niszczą demokrację, THE JOURNALIST'S MORAL CAMPAS (Knowlton i Parsons, 1995), THE NEWS ABOUT THE NEWS (Downie, jr, 2002).

Nasz gość opisał sposoby, dzięki którym gazety w USA zachowują wysoki poziom. Oto NEW YORK TIMES utworzył stanowisko pracy, zwane: „public editor". Publikuje on co dwa tygodnie szczegółową krytyczną recenzję jego gazety. Kontrakt z public editorem zawierany jest na dwa lata, bez możliwości przedłużenia, aby nie „podlizywał się" redakcji. Inaczej wysoki poziom swej gazecie zapewnił właściciel małego, jak na Stany (300 tys. nakładu) tytułu na Florydzie. Powołał mianowicie instytut swego imienia, wyznaczając szefa tegoż na dwa lata przez odejściem na emeryturę w wieku 65 lat. Ten z kolei, z takim samym wyprzedzeniem musiał wyznaczyć następcę. Teraz POINTER INSTITU ma już trzeciego szefa, system działa doskonale: gazeta zachowuje wysoki poziom, pełni funkcję społecznego kontrolera mediów, funduje stypendia.

Prasę amerykańską cechuje dezaprobata dla plagiatu; jego popełnienie skutkuje zwolnieniem z pracy autora i redaktora odpowiedzialnego oraz wysoką karą finansową. Wszystkie duże tytuły mają rubrykę CORRECTIONS, a publikowanie sprostowań nie jest uważane za dyshonor, odwrotnie – buduje autorytet tytułu i zaufanie czytelnika.

Ratowanie pamięci

Cezary Prasek

Temat ostatniego, lutowego spotkania w Klubie Publicystyki Kulturalnej „Sytuacja Polaków w diasporze", głównie na przykładzie Polonii amerykańskiej, rodzi różnorodne refleksje. Mnie w pierwszym rzędzie przywodzi na myśl dorobek naukowy nieżyjącego już od wielu lat znamienitego polskiego socjologa, prof. dra Józefa Chałasińskiego, który uczestnictwu Polaków w kulturze amerykańskiej poświęcił niejedną ze swoich prac. Jeszcze przecież przed wojną ukazały się jego szkice zatytułowane „Parafia i szkoła parafialna wśród emigracji polskiej w Ameryce" (Warszawa 1935) czy „Wśród robotników polskich w Ameryce. Kolonia robotnicza polska w Południowym Chicago" („Wiedza i Życie" 1934, nr 8–9).

Chałasiński należał niewątpliwie do pionierów penetrujących to zagadnienie, kontynuując zresztą wcześniejsze badania również naszego rodaka Floriana Znanieckiego, który wraz z W.I. Thomasem dokumentował zjawisko polskiej emigracji („Polish Peasant in Europe and America". Boston 1920). Teraz dowiaduję się, że emigracja polska, Polonia, obok socjologicznej, budziła także znaczącą refleksję naukową zawodowych historyków, czego dowodem wydana w roku 2008 monumentalna praca Teresy Kaczorowskiej „Herodot Polonii amerykańskiej. Mieczysław Haiman (1888 –1949)". Jest to de facto praca doktorska autorki obroniona w Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztora w Pułtusku.

Jednakże dorobek naukowy i pisarski **Teresy Kaczorowskiej** obejmuje bardzo szeroki wachlarz tematyczny. Jest ona bowiem autorką aż siedmiu książek związanych z pamięcią historyczną i przeszłością narodową, z których (jak można się dowiedzieć z biogramu zamieszczonego na okładce wspomnianej wcześniej książki o Mieczysławie Haimanie) dwie dotyczą zbrodni katyńskiej; jedna ukazała się w USA w języku angielskim jako „Children of the Katyn Massacre" (McFarland 2006). Zainteresowania pisarskie autorki skupiają się także na Polonii brazylijskiej, konkretnie na kombatantach z czasów II wojny światowej pochodzących z Kresów, którzy osiedlili się w Ameryce Łacińskiej, ponieważ po zakończeniu działań wojennych nie mieli dokąd wracać. Ich ojcowizna znalazła się bowiem w granicach ówczesnego Związku Radzieckiego. Napisała także ksiażkę o Marii Skłodowskiej-Curie, najznamienitszej przecież naszej emigrantce. Teresa Kaczorowska jest również redaktorką interesujących „Ciechanowskich Zeszytów Literackich", autorką dwóch zbiorów wierszy.

Powracając jednak do meritum, czyli do jej najnowszej książki, jest to pierwsza biografia Mieczysława Haimana – wywodzącego się ze Lwowa podróżnika, poety i dziennikarza, pierwszego historyka Polonii amerykańskiej. Pośród innych różnorodnych i cennych zajęć, jakim się poświęcał w ciągu swego życia Mieczysław Haiman (kolekcjonera, archiwisty, bibliotekarza i kustosza) mnie najiistotniejsza wydała się ta rola historyka, w której zasłynął jako pionier badań nad wczesnymi dziejami wychodźstwa polskiego w Ameryce Północnej (XVII–XIX w.). Jako pierwszy opisał – ogłaszając wyniki swoich badań w języku polskim i angielskim – udział rodaków w wojnach amerykańskich (niepodległościowej, secesyjnej, z Meksykiem, z Anglią) oraz losy osadników polskich w różnych stanach USA – Wirginii, Kentucky, Teksasie, Nowym Jorku, Kalifornii, Pensylwanii, Illinois.

Myślę, że warto było przybliżyć szerszemu gronu czytelniczemu tę postać i jej dorobek po to chociażby, żeby ukazać, jak różnorodny był wkład Polaków w kształtowanie tożsamości i kultury amerykańskiej. Cenione od lat prace socjologiczne Znanieckiego czy Chałasińskiego znajdują – jak mi się wydaje – w dorobku historycznym Mieczysława Haimana znaczące uzupełnienie. Któż jednak dzisiaj tytułuje swą książkę „Herodot Polonii amerykańskiej"? Tylko ten zapewne, kto jest przekonany, że trafi ona do rąk czytelników obeznanych z historią i wybrednych, dla których postać żyjącego w V w. p.n.e. greckiego historyka, zwanego ojcem historii, jednocześnie podróżnika i autora dzieła na temat wojen perskich do klęski Persów pod Platejami 479 r. p.n.e. („Dzieje") nie jest pustym dźwiękiem. Ten, kto tytułuje Mieczysława Haimana, mało wcześniej znanego emigranta polskiego Herodotem, nadaje mu jednocześnie znaczące miano. Poważę się nawet dointerpretować intencje Teresy Kaczorowskiej. Otóż w jej rozumieniu Haiman jest o j c e m h i s t o r i i Polonii amerykanskiej. Dla niej zapewne jest on takim mistrzem, jak dla Haimana Herodot, chociaż – chyba tego nie przeoczyłem – nigdzie nie da się doszukać w tej rozprawie najmniejszej chociażby wzmianki o duchowym ich powinowactwie. Gigantyczna praca autorki, jaką wykonała, pisząc tę książkę, przywodzi niewątpliwie skojarzenie z tytaniczną pracą jej bohatera.

Nie sposób tutaj w głównych chociażby zarysach streścić tej obszernej (360 stronic druku) książki. Ale nie od rzeczy, dla scharakteryzowania całości, będzie na przykład wspomnieć o takim wydawałoby się drobiazgu, jak ten, że także twórca słynnego alfabetu Samuel Morse zalicza się do znaczącego grona przyjaciół sprawy polskiej w okresie powstania listopadowego, czego widomy znak odnajdujemy w kilku zachowanych jego listach. Teresa Kaczorowska z benedyktyńską wprost cierpliwością tropi najdrobniejsze nawet wydarzenia związane z działalnością Mieczysława Haimana. Oto na przykład znajduje się w książce opis udziału jej bohatera w uroczystościach 200. rocznicy urodzin G. Wa-

shingtona, która przypadła na rok 1932. Niby zdarzenie marginesowe, a jednak dla ówczesnej sprawy relacji polsko-amerykańskich znaczące. W ogóle w tym miejscu nasuwa się refleksja, jak bardzo z upływem lat zmienia się sposób wyrażania uczuć patriotycznych. Oto sławny już w Stanach i w Polsce Mieczysław Haiman odwiedza ojczyznę w roku 1934. 21 lipca wyjeżdża z Warszawy do Gorzuchowa koło Grudziądza, o czym potem tak pisze: „Czułem gwałtowną potrzebę schronienia się gdzieś w zacisze dla złapania oddechu i przetrawienia masy wrażeń – no i wybrałem drogę do naszego kochanego Generała Hallera, któremu jeszcze w Ameryce przyrzekłem jak najserdeczniej, że Go w jego siedzibie odwiedzę [...] Z okien pociągu widać piękne pola, ruchliwe właśnie ludem wiejskim, zajętym żniwami[...] dopiero tu wśród pól, lasów i łąk przypomniała mi się nasza ukochana ojczyzna. Wszystko w Polsce zmieniło się w ciągu długich lat mojej niebytności. Krajobraz polski pozostał jednak taki sam [...] To właśnie nasza wymarzona i wyśniona Polska [...]”

Dzisiaj taki rodzaj ekspresji może się wydawać przesadny. Ale przecież w ten sposób wyrażali swój patriotyzm ówcześni Polacy, świadomi ceny, jaką trzeba było zapłacić za odzyskanie wolności.

Będąc w ojczyźnie, Haiman miał wyjątkową szansę upowszechnić stan swych badań o polskiej przeszłości w Ameryce. Pilnie studiując monografię Teresy Kaczorowskiej mu poświęconą, nie mogłem się oprzeć także i trochę irytującej refleksji o jego zbyt daleko idącym rozdrabnianiu się, podejmowaniu się zadań niekiedy zbyt błahych."Jeszcze przed wyjazdem na Zjazd w Warszawie – czytam na przykład – Haiman napisał „Słowo wstępne” do księgi pamiątkowej wydanej w 1933 r. z okazji 60-lecia Parafii św. Stanisława, B. i M. w Buffalo, przygotowanej przez Bronisława S. Kamieńskiego". Czy rzeczywiście nie szkoda było na to tracić cennego czasu? Ale nie tylko jako historyk okazał się on gigantem. Wymieńmy niektóre tylko, pozostałe jego dokonania. Zbierał więc opinie Amerykanów po naszych rozbiorach, po to, aby pokazać ich współczucie. Był organizatorem muzeum Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego, dużej, „o sławie prawdziwie światowej” instytucji kulturalnej w Ameryce. Był także jego pierwszym kustoszem, uporządkował księgozbiór ZPRK, przebudował jego gmach. Bezpośrednio po wojnie włączył się w obronę niezależności dwóch bibliotek polskich Stacji PAU – w Paryżu i w Rzymie...

Jakie zatem są najważniejsze zasługi Haimana? Odwołam się jeszcze raz do opinii Teresy Kaczorowskiej. Jej zdaniem: „Badacze są zgodni, że do lat sześćdziesiątych XX w. wśród publikacji o Polonii w Stanach Zjednoczonych przeważały prace powstające poza kręgiem instytucji akademickich. Miały więc one głównie charakrter opisowy, często brakowało im dojrzałej bazy metodologicznej, układu porównawczego (np. co swoiste tylko dla Polonii, a co także dla innych grup etnicznych), zdarzało się, że zamiast rzetelnej wiedzy upowszechniały stereotypy. Twierdzą jednak, że bez wielu tych prac, zwłaszcza Mieczysława Haimana, dzisiejsze badania byłyby już niemożliwe. Haiman, mimo iż nie był zbyt krytyczny w charakterystyce poszczególnych faktów polonijnych i w analitycznej ocenie całości, to w swoich badaniach posługiwał się metodą najbardziej naukową i jego prace stały się poważnym źródłem dla naukowych badaczy. Np. Karol Wachtl, przytaczając w swej książce badania Haimana, zauważa, że ich rezultaty są bardziej gruntowne niż uznawanego wcześniej za pierwszego historyka ks. Wacława Kruszki, ujęte naukowo i wydane w j. angielskim”.

Teresa Kaczorowska przywraca zatem o nim pamięć, bo Polonia amerykańska początkowo pamiętająca, to jednak szybko swojego bohatera porzuciła. Warto więc może przypomnieć nie tylko Polakom, także Amerykanom, że Haiman chciał też przecież udokumentować fakt, jak ginący naród polski odniósł się do sprawy niepodległości rodzącego się na drugiej półkuli państwa i jak przyjął rewolucyjne hasła równości i wolności.

Teresa Kaczorowska: Herodot Polonii amerykańskiej. Mieczysław Haiman (1888–1949). Muzeum Wychodźstwa Polskiego im. Ignacego Jana Paderewskiego. Łazienki Królewskie. Warszawa 2008







Ład czy chaos...



Polska Polityka Architektoniczna jest ostatnio w centrum zainteresowania opinii publicznej. Nadszedł jej czas z racji ruszenia wreszcie tematyki, która od ubiegłego roku nie mogła wejść na forum publiczne.

Alicja Wielgoławska

Rok ubiegły był ważny ze względu na Kongres Architektury Polskiej, na którym to Kongresie uczestnicy przyjęli i poparli projekt dokumentu pt. „Polityka jakości krajobrazu, przestrzeni publicznej i architektury", opracowany przez Polską Radę Architektury SARP-u, pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Założenia tego projektu zostały przedstawione w Sejmie RP i podczas Konferencji Polskiego Komitetu ds. Unesco pt. „Kultura a zrównoważony Rozwój, Środowisko, Ład Przestrzenny, Dziedzictwo".

W październiku ubiegłego roku odbył się w Toruniu Kongres Twórców Kultury, na którym omawiano zagadnienia dotyczące różnych dziedzin kultury, muzyki, teatru, fonografii, filmu, archiwistyki, oraz ochrony dóbr architektonicznych i kultury środowiska.

Z inicjatywy Klubu Publicystyki Kulturalnej SDP zorganizowano w naszym Domu Dziennikarza na Foksal spotkanie klubowe z architektami, członkami SARP-u i innych Stowarzyszeń Polskiej Polityki Architektonicznej jako „pokłosie" kongresu w Toruniu.

Na spotkanie przybyli wybitni twórcy i autorzy opracowań i projektów dotyczących jakości krajobrazu, przestrzeni publicznej planowania urbanistycznego, gdzie po raz kolejny przedstawiono i omówiono projekt dokumentu mającego na celu uregulowanie pojęcia ładu przestrzennego.

Cóż to jest w nomenklaturze architektonicznej ten Ład Przestrzenny?

W dokumencie czytamy, że zgodnie z zaleceniami Komisji Europejskiej kraje członkowskie wdrażają ideę ładu przestrzennego poprzez formułowanie „polityki architektonicznej". Stanowisko Unii Europejskiej w dziedzinie zasad kształtowania środowiska przestrzennego zostało przedstawione w kilku obowiązujących dokumentach, jak choćby Europejska Konwencja Krajobrazowa czy Strategia Zrównoważonego Rozwoju Środowiska. Zaś w konkluzji Rady Unii stwierdza się: „Jakość przestrzeni publicznych, krajobrazu i architektury ma istotny wpływ na warunki życia i wymaga integralnego podejścia do aspektów ekonomicznych, społecznych, ekologicznych i kulturowych w rozwoju tegoż krajobrazu".

A więc Ład Przestrzenny to stan organizacji przestrzeni spełniający wymogi jakości życia społecznego, kultury, ekonomii i zrównoważonego środowiska.

W Polsce, niestety, na tle sytuacji europejskiej mamy chaos poprzez niespójne kształtowanie centrów miejskich, bezładną ekspansję stref podmiejskich, bezmyślne niszczenie wartości krajobrazu kulturowego i naturalnego, degradację wizualną przestrzeni publicznych poprzez agresywną reklamę. Wiele jeszcze grzechów można tu wyliczyć.

Na naszym prasowym spotkaniu dyskutanci poruszali wiele bolesnych problemów, z których najbardziej dokuczliwe to brak zrozumienia wśród wielu polityków i społeczeństwa, na istotny wpływ, jaki ma jakość otoczenia na warunki życia. Także brak spójności i konsekwencji oraz często niedostatecznego profesjonalizmu w działaniu polskiego systemu zarządzania przestrzenią. Wiele jeszcze innych powodów przedstawiali nasi goście, charakteryzując przyczyny polskiego chaosu przestrzennego. Stwierdzono niezbicie, że proces anarchizacji polskiej przestrzeni wymaga przeciwdziałania.

Polska Polityka Architektoniczna /PPA/ określa więc postulaty dotyczące krajobrazu, przestrzeni publicznej i architektury. Oto niektóre z nich: system planowania przestrzennego i profesjonalne nim zarządzanie; ochronę dziedzictwa narodowego i kulturowego; ochronę i kształtowanie krajobrazu, zintegrowane projekty urbanistyczno-architektoniczne w odniesieniu do partnerstwa publiczno-prywatnego.

Wszystkie postulaty i ich szczegółowe omówienie można znaleźć w broszurze wydanej przez zespół autorski PPA.

Wydano również staraniem Polskiej Rady Architektury ZG SARP i ZG TUP, ważny dokument pt. „Krajobraz Polski i polityka".

Oprócz wymienienia licznych anomalii i wręcz nieprawidłowości w kształtowaniu naszego krajobrazu kulturowego, najbardziej znamienne słowa charakteryzujące polską indolencję: „Zmiany jakie zaszły w przestrzeni w ciągu ostatnich 16 lat są ogromne. Widać efekty wolnorynkowych mechanizmów gospodarczych... nowe budynki, elewacje, nowe nawierzchnie, supermarkety, apartamentowce, wille, osiedla, salony samochodowe... Niestety pojawienie się współczesnej architektury idzie w parze z wyraźnym regresem w sferze organizacji przestrzeni. Polska urbanistyka została zepchnięta z pozycji sternika. Łódź dryfuje. Krótkowzroczny pragmatyzm klasy politycznej zarówno na poziomie lokalnym, jak i centralnym, sprawia, że tylko w niewielkim stopniu można dostrzec w miastach i gminach racjonalne gospodarowanie przestrzenią. Uważne spojrzenie na otaczający nas krajobraz pozwala nam zauważyć jego degenerację" /Krzysztof Chwalibóg – „Krajobraz i Polityka"/.

Nasuwa się pytanie, po tak dramatycznym przedstawieniu sytuacji polskiej architektury. Czy są jakieś blaski? Czy

tylko cienie? Otóż są, ale tak jak nieliczne jaskółki nie czynią jeszcze wiosny, tak i pozytywne, sporadyczne poczynania ludzi, którym leży na sercu piękno naszego kraju, nie pokonają indolencji i braku wyobraźni. Ale cieszmy się, że są takie pozytywne próby wyjścia z impasu.

Najbardziej warszawskie pismo „Stolica" pisze obszernie o tych twórczych próbach przywracania świetności naszym ulicom, budynkom, parkom, zabytkom... O ratowaniu niszczejących obiektów, dawnych pałacyków, fabryk, placów targowych.

Następuje powolna co prawda rewitalizacja starej Pragi. Odnawia się elewacje przedwojennych domów na Ząbkowskiej, Szwedzkiej, Wileńskiej, 11 Listopada. Ulica Francuska na Saskiej Kępie jako najbliższa sąsiedztwem ze Stadionem Narodowym, stać się ma głównym deptakiem i aleją parkową, prawie tak piękną jak park Skaryszewski. Na Pradze powstają liczne kafejki i kluby. Są już plany Muzeum Pragi, działają imprezy kulturalne jak Noc Cudów na Ząbkowskiej czy Jarmark Floriański. W perspektywie jest rewitalizacja prastarego Bazaru Różyckiego. Istnieje Towarzystwo Przyjaciół Pragi i Ośrodek Promocji Kultury przy ul. Podskarbińskiej. Na terenie Wytwórni Wódek „Koneser" /rzadka wartość historyczna/ trwają prace rozbiórkowe brzydkich powojennych domostw, zostawiając i przywracając dawny kształt zabytkowym budynkom. W „Koneserze" już niebawem powstanie kompleks kultury Pragi /Teatr Wytwórnia, Magazyn Praga, Galeria Klimy Bocheńskiej, Galeria Fotograficzna Luksfera... Znajdą się też na terenie tej dawnej fabryki stylowe mieszkania i obiekty handlowe oraz pasy zieleni i skwery kwiatowe. Zaś park Skaryszewski, główne centrum zieleni Pragi zyska na swej dotychczasowej świetności. Odnowione posągi, rzeźby, wzbogacone krzewami i kwiatami skwery i jeziorka, będą godnym sąsiadem Stadionu Narodowego.

Warszawa lewobrzeżna też ma plany upiększeń. W pierwszym rzucie zyska „aleja Marszałkowska" jako reprezentacyjna ulica stolicy. Na remonty (już zatwierdzone) czekają budynki na pl. Bankowym, pl. Teatralnym, pl. Trzech Krzyży, przy ul. Senatorskiej. Okolice Dworca Centralnego i sam dworzec (wiadomo, EURO 2012) nabiorą europejskiego blasku.

Tak więc nieco optymistycznym akcentem udało się, mam nadzieję, odreagować te pesymistyczne prognozy i przewidywania naszych twórców-architektów. Najważniejsze, że dostrzegają zaniedbania i walczą z nimi. Chwała im za to! By zaś mieć trochę radości, warto poczytać „Gawędy warszawskie" zasłużonego, wieloletniego dyrektora Królewskich Łazienek prof. Marka Kwiatkowskiego. To piękna i mądra literatura o umiłowaniu swego miasta i jego zabytków.

Alicja Wielgoławska

W gdańskim oddziale SDP

W styczniu odbyło się spotkanie opłatkowe w tawernie „Mestwin" Zrzeszenia Kaszubsko Pomorskiego przy ulicy Straganiarskiej w Gdańsku. Obecni byli m.in. arcybiskup Tadeusz Gocłowski, dyplomata Tadeusz Fiszbach, prezes Oddziału Morskiego SDRP w Gdańsku red. Jerzy Model i członek Zarządu red. Grażyna Murawska oraz prezes Oddziału Gdańskiego SDP Tadeusz Woźniak i sekretarz generalny SDP Stefan Truszczyński.

Fetowano jubileusz 90 lat życia i 65 lat pracy dziennikarskiej red. Tadeusza Jabłońskiego. Nasz wielce szanowny i zasłużony kolega, nestor dziennikarzy marynistów otrzymał dyplom honorowy podpisany przez prezesa SDP Krystynę Mokrosińską oraz album „Ze Świata" poświęcony Ryszardowi Kapuścińskiemu. Odczytano liczne listy gratulacyjne i maile od kolegów i przyjaciół-dziennikarzy, żeglarzy z kraju i ze świata.

Były kolędy, kaszubskie potrawy i wzajemne składanie życzeń. Wspominano „dawne" czasy dzielnego Gdańska w okresie Solidarnościowego zrywu.

Chwilę zadumy poświęcono zmarłym członkom Oddziału Gdańskiego – Ninie Rasch i Grzegorzowi Rybińskiemu.













Korespondencja z Londynu

Jesteśmy więc o krok dalej...

25 grudnia, w najważniejszy dla świata chrześcijańskiego dzień roku, islamski fundamentalista Umar Faruk Abdulmutallab próbował zdetonować na pokładzie samolotu linii Northwest bombę z pentrytu i zabić 289 pasażerów, lecących z Amsterdamu do Detroit. Do zamachu przyznała się Al-Kaida. 23-letni zamachowiec jest synem nigeryjskiego bankiera i byłego ministra Alhaji Umara Mutallaba, studiował inżynierię w Londynie, potem w Dubaju, a następnie związał się z ekstremistami. Prezydent Barack Obama przerwał urlop i w swoim przemówieniu w bazie wojskowej na Hawajach, zapowiedział, że Amerykanie schwytają odpowiedzialnych za próbę zamachu. ,,Nie spoczniemy – mówił – dopóki nie ukarzemy tych ludzi...Będziemy kontynuować naszą walkę z brutalnymi ekstremistami, dopóki nie zwyciężymy''. A amerykańska minister ds. bezpieczeństwa narodowego Janet Napoletano przyznała ze skruchą, że ,,system zawiódł''. Zrzuciwszy całą winę za wydarzenie na system, wszyscy z ulgą odetchnęli. Aż do kolejnej manifestacji nienawiści Al-Kaidy, która może skończyć się mniej szczęśliwie niż tym razem.



Elżbieta Królikowska-Avis

A o czym mówiło się wtedy w brytyjskich, w zachodnich mediach? Kompletne milczenie na temat tego co się stało, zagrożeń islamskim terroryzmem i jak temu przeciwdziałać – debaty koncentrowały się głównie na obronie praw człowieka. Akmala Shaikha, związanego z międzynarodową siatką handlarzy narkotykami, który przewiózł do Chin 4 kg heroiny i został przez władze tego kraju skazany na śmierć. Oburzenie na chiński rząd, chroniący swoich obywateli przed plagą narkomanii nie miało końca, jakimś niepojętym sposobem życie jednego ,,łącznika'' dla większości mediów okazało się ważniejsze niż 289 pasażerów samolotu do Detroit! Przez cały ten czas żaden z polityków ni komentatorów politycznych nawet się nie zająknął o tym, co naprawdę dzieje się w Europie Zachodniej, w Stanach Zjednoczonych i na Bliskim Wschodzie. Ani zdania o historii muzułmańskich podbojów Europy czy dotychczasowej aktywności terrorystycznej wyznawców ,,miłującego pokój islamu''. A więc kilka słów na tematy, o których liberalne media zapomniały poinformować swoich odbiorców.

Punkt 1/ Rys historyczny. Oto Hiszpania, podbita w VIII wieku przez Arabów, którzy zatrzymali się dopiero na północy kraju, w Asturii. I którą trzymali pod butem przez całe siedem stuleci, aż do końca XV wieku, kiedy to królowie katoliccy, Ferdynand i Izabella ostatecznie przepędzili ich /rekonkwista/ z Półwyspu Pirenejskiego. Oto Bułgaria, którą islamscy Turcy zawojowali w wieku XIV i okupowali przez pięćset lat, do 1908 roku, kiedy powstało niepodległe królestwo Bułgarii. A gdyby nie geniusz wojskowy i husaria polskiego króla Jana III Sobieskiego, kiedy wojska tureckie kolejny raz wyruszyły na północ i w 1683 roku dotarły aż pod Wiedeń, już od XVII w. zamiast w kościołach, modlilibyśmy się w meczetach, a zamiast systemu prawnego opartego o wzorce rzymskie – mielibyśmy sądy szariatu.

Punkt 2/ Kronika islamskiego terroryzmu ostatnich 30 lat. Oto jedynie wybrane, najbardziej krwawe ataki terrorystyczne grup islamskich w różnych, często symbolicznych punktach naszego globu. Rok 1972 – porwanie izraelskich sportowców w Monachium przez Czarny Wrzesień i późniejsza masakra; 1983 – rzeź w Bejrucie w amerykańskiej i francuskiej bazie wojskowej przez Hezbollah, 299 ofiar śmiertelnych; 1988 – zamachy bombowe na ambasady amerykańskie w Nairobi i Dar-es-Salam, w sumie 224 zabitych; 1998 – wybuch ładunku w samolocie PAN AM nad szkockim miasteczkiem Lockerby, zginęło 270 ludzi; 1998, Mombasa, eksplozja pod hotelem Paradise, 16 ofiar śmiertelnych, około 100 rannych; 1999, Moskwa – bomba niszczy blok mieszkalny, 110 zabitych, 400 rannych; 2000 – atak na amerykański niszczyciel „Cole" w Zatoce Adeńskiej, wiele ofiar śmiertelnych; 2000 – wybuch bomby na promie na katolickich w dużej mierze Filipinach, 45 zabitych, kilkadziesiąt osób rannych; 2000 – Egipt , w egzekucji w pobliżu Luksoru zastrzelono 58 zachodnich turystów; 2001 – najbardziej krwawy i spektakularny atak terrorystów na dwie wieże World Trade Center oraz Pentagon – pochłonął w sumie ponad 3500 ofiar; Bali w Indonezji – 190 zabitych,

setki rannych; 2004, madrycki dworzec Atocha – 170 osób zmarło i około 1200 rannych; 2005 rok, Londyn – 57 zabitych, setki rannych; Ankara, brytyjski konsulat – 25 ofiar śmiertelnych, około 300 rannych; niedawno w hotelu Taj Mahal w Bombaju – 170 zabitych, a ostatnio 5 ofiar w bazie wojsk brytyjskich w Afganistanie i 13 w bazie Ford Hood. Wspominam jedynie o większych akcjach Al-Kaidy, Partii Boga, Dzihadu, Hezbollahu i Organizacji Sprawiedliwości Rewolucyjnej, których autorzy zostali zidentyfikowani. A dziesiątki mniejszych – w Algerii, Sudanie, Somalii, Egipcie, Pakistanie, Afganistanie, Iraku, byłych republikach muzułmańskich ZSRR, w Indiach, Tajlandii, Malezji, Indonezji – które były wymierzone w nie – islamską, katolicką lub hinduistyczną ludność miejscową? Jeśli spojrzymy na tę krwawą kronikę ostatnich 30 lat nie okiem liberała, który – jak bohater wiersza Tuwima „wszystko widzi osobno" – a człowieka z umiejętnością kojarzenia, staje się jasne, że proces podboju Europy przez muzułmanów trwa. Przybrał jedynie inne formy – nie jest to już regularna wojna, lecz z jednej strony spektakularne akty terroryzmu, manifestacje możliwości i siły, z drugiej – cicha infiltracja, kolonizacja zachodnich społeczeństw...

Ten proces przebiega według pewnej logiki. Najpierw desant ludności muzułmańskiej – Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Skandynawia, kraje Beneluksu – osadzanie się w systemach opieki socjalnej (zasiłki), zdrowotnej (bezpłatna opieka lekarska), systemie szkolnictwa, także uniwersyteckiego (granty), zdobywanie sojuszników w „korytarzach władzy" państwowej oraz mediach. Równolegle – budowanie meczetów i centrów kultury islamskiej, gdzie koncentruje się całe życie wspólnoty, łącznie z sądami szariackimi. Zdarza się, że organizowanie, w tych samych meczetach i centrach kultury islamskiej, grup militanckich, które rozsyłane są po świecie, aby przy pomocy Kałasznikowów, bomb i min osobistych czynić pokój oraz ogniem i mieczem pomagać niewiernym odnajdować prawdziwego boga, oczywiście Allacha. Dziś – po masakrze w największej amerykańskiej bazie wojskowej w Ford Hood, gdzie psychiatra Nidal Malik Hasan zastrzelił 13 kolegów, a kilkudziesięciu ranił, oraz kolejnej, w bazie w Afganistanie, gdzie talibski zamachowiec wysadził się w powietrze, zabijając 8 agentów CIA – wiadomo, że islamscy bojownicy mają za sobą kolejny udany etap, infiltrację armii amerykańskiej oraz wojsk sprzymierzonych.

3) A oto fakty, które liberałowie próbują zamiatać pod dywan, a które obserwuje się w wielu krajach Europy na codzień. Kiedy przed 20 laty przybyłam do Wielkiej Brytanii, muzułmanów – że posłużę się słowami piosenki – „nie było ani widać, ani słychać, ani czuć". Grupa kilkuset tysięcy w miastach Midlandów, gdzie pojawili się po 1947 roku, rozdziale Indii i Pakistanu, uciekając przed głodem i zasilili szeregi pracowników w fabrykach przemysłu tekstylnego. Ale po objęciu władzy przez Labour Party w 1997 roku wypadki uległy przyspieszeniu. Coraz bardziej liberalna polityka emigracyjna, sprawiła że muzułmanów zaczęło przybywać. Jedną z przyczyn powiększających się szeregów są force marriages (nie mylić z „aranżowanymi", które zakładają jednak zgodę obu stron). Brytyjscy muzułmanie zwykle szukają żon w krajach swego pochodzenia, żony te automatycznie otrzymują obywatelstwo brytyjskie, a za nimi ciągną szeroko rozgałęzione rodziny żon. Innym faktorem zwiększania się populacji islamskiej w Europie jest wysoka dzietność – piątka dzieci, to



zdrowa norma. Tak więc z powodu pro-emigracyjnej polityki państwa często zdarza się, że te liczne muzułmańskie rodziny żyją na garnuszku państwa. A więc housing benefit, social benefit, children benefit, bezpłatna opieka zdrowotna, uniwersyteckie granty. Nie ma obowiązku znajomości angielskiego, wszystkie znaczniejsze urzędy dysponują tłumaczami, we wspólnotach obowiązuje prawo szariatu, a jeśli dziewczyna wyłamuje się spod kontroli rodziny, słychać o „zbrodniach honoru", zwykle dokonywanych przez ojca lub braci. Muzułmanie czują się na Wyspach jak u siebie w Pakistanie, tylko lepiej i wygodniej. A brytyjskie zmonopolizowane przez liberałów media dbają o to, aby nie stała im się, niech Allach broni, żadna krzywda.

Spójrzmy na londyński East End. W ciągu zaledwie kilkunastu lat biały, cockneyowski East End zmienił się w Mały Bangladesz. Na ulicach mężczyzni w galabijach i kobiety w chustach lub burkach, w sklepach i na bazarach – wschodnie przyprawy, fajki wodne i dywany, kawiarnie, pełne mężczyzn, popijających kawę, słychać wyłącznie języki krajów urodzenia. Oto Oxford Street, jedno ze światowych centrów handlowych, dziś zmieniające się, sklep po sklepie, w arabski suk pełen tandety. Już nie tylko w Midlandach i w Londynie, ale w miastach średniej wielkości jak Brighton widać kwartały arabskie – sklepy, knajpki, banki, punkty telefoniczne z tanimi rozmowami do Pakistanu, Syrii czy Iranu. Kościoły protestanckie pustoszeją albo zamieniane są na apartamentowce, za to jak grzyby po deszczu powstają nowe meczety, szkoły koraniczne, centra kultury islamskiej. I tylko od czasu do czasu media wspominają o ukrytym życiu społeczności islamskich, o którym w istocie niewiele wiemy. 2002 rok, skandal z „taśmami prawdy". Dziennikarz BBC nagrał ukrytą kamerą imama Abu Hamzę, nawołującego w meczecie do świętej wojny z cywilizacją Zachodu oraz sceny szkolenia młodzieży do walki z niewiernymi. Kiedy imam został zaproszony do programu radiowego „Today" , wyparł się wszystkiego i oskarżył BBC o manipulację oraz sianie nienawiści religijnej i rasowej. W programach telewizyjnych Korporacji, w Kanale 4, ale

także, choć w mniejszym stopniu, komercyjnej ITV, w dyskusjach politycznych i komentarzach, prezenterzy bardzo dbają, aby tacy goście jak prezes Civil Service Islamic Society, Azad Ali, egipski lub malezyjski dziennikarz czy islamski przywódca duchowy, zawsze mieli ostatnie zdanie. A czołowi anchormen – Jeremy Paxman, David Dimbleby, Jon Snow, John Humphreys i wielu innych heroldów politycznej poprawności – pilnują interesów mniejszości etnicznych, w tym islamskich, jak oka w głowie.

Dziś imam Abu Hamza odbywa karę 6 lat więzienia, kilku innych, jak Ibrahim Moussawi i Louis Farrakhan zostało wydalonych z kraju, ale w meczetach Wielkiej Brytanii wciąż dziesiątki innych islamskich kaznodziejów nawołuje do „świętej wojny jihad"! Niedawno synowie Hamzy, Hamza Kamel i Mohamed Mostafa, stanęli przed sądem za udział w gangu złodziei samochodów, sposób w jaki zarabiali na luksusowy styl życia. Ciekawe czy dojdzie do skazania: w takich przypadkach obrońcy regularnie powołują się na „uprzedzenia rasowe", policji, ławy przysięgłych, sądu, bardzo skuteczna linia obrony. Policja Metropolitalna, w obawie przed posądzeniem o rasizm, jak ognia unika upubliczniania statystyk czynów kryminalnych popełnionych przez ludność kolorową, rzadko wspomina się także o istnej eksplozji islamskich gangów, głównie tureckich w Midlandach. Niedawno odbyła się sprawa doktor Humayry Abedin, która przebywając w Bangladeszu z wizytą u swoich rodziców, została przez nich porwana i więziona przez 4 miesiące, bo nie chciała poślubić wybranego przez nich człowieka. Co jakiś czas przez media przetacza się wiadomość o „zbrodniach honoru", także trudnych do wykrycia, bo rozgrywają się w izolowanych środowiskach muzułmańskich. Właśnie śledzimy jeden z takich procesów. Oskarżeni to Ali Goren i jego kuzyn, którzy zamordowali córkę Gorena, Tulay, ponieważ opuściła rodzinę i zamieszkała ze swoim chłopakiem. Zeznania jej matki, a żony oskarżonego, Hanim Goren, nawet we fragmentach, są wstrząsające. A całkiem niedawno w ślicznym Crowborough w hrabstwie East Sussex, gdzie przez ponad 20 lat mieszkał pisarz sir Conan Doyle, wykryto szkołę terrorystów. Brygada antyterrorystyczna aresztowała wykładowcę w chwili, gdy demonstrował pomoce naukowe, Kałasznikowa, produkowane domowym sposobem bomby oraz sposób ich wykorzystania. Zajęcia odbywały się w opustoszałym klasztorze katolickim, który w 1993 roku został sprzedany prywatnej szkole islamskiej. Trzebaż faktu bardziej symbolicznego, aby zrozumieć, co naprawdę dzieje się w Wielkiej Brytanii, w całej Europie Zachodniej?

Owszem, 9 grudnia 1999 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło Konwencję o zwalczaniu finansowania terroryzmu – o zamrażaniu kont, karach więzienia za finansowanie terroryzmu i za udzielanie schronienia winnym aktów terrorystycznych. Ale czy ktoś z Państwa słyszał, aby ta Konwencja została kiedyś wprowadzona w życie? Rada Bezpieczeństwa regularnie podejmuje rezolucje, potępiające zamachy. I co? I nic. Więcej, jakby w odpowiedzi na to zainteresowanie w 2003 roku Al-Kaida dokonała zamachu bombowego na Canal Hotel w Bagdadzie, dokładnie wtedy, kiedy przebywali tam najwyżsi dostojnicy Organizacji Narodów, z charyzmatycznym szefem Komisji ds. Obrony Praw Człowieka przy NZ, Sergio Vieira de Mello. De Mello, lewicowiec, prawa ręka Kofi Annana, „James Bond plus Bobby Kennedy", przez 33 lata swojej kariery walczył o prawa człowieka w Sudanie i Bangladeszu, na Cyprze i w Jugosławii, aż został posłany do Iraku z delikatną misją naprawienia złych stosunków między ONZ a Ameryką i Wielką Brytanią po rozpoczęciu wojny. Zginał razem z 19 innymi kolegami z ONZ, przywalony stertą gruzów hotelu, gdzie ulokowano delegację. Tyle o stosunku militanckich organizacji islamskich do najwyższych rangą instytucji, jakich dorobił się cywilizowany świat. Po masakrze w bazie wojskowej Ford Hood niezależny senator Joseph Lieberman nawoływał w mediach do „powołania w Kongresie komisji, aby ustalić czy masakra w Teksasie była aktem terroru"? A jak można zakwalifikować czyn Nidala Malika Hassana, który z okrzykiem „Allach jest wielki!" zastrzelił 13 i ranił 29 osób, jeśli nie jako akt islamskiego terroru? Jako akt łagodnej religijnej perswazji? Senator Lieberman chciałby także wiedzieć, dlaczego – jeśli Malik Hasan wcześniej manifestował ekstremistyczne poglądy, armia nie okazała postawy „zero tolerancji" i „nie zwolniła go ze służby?". Właśnie, już sobie wyobrażam tę nagonkę lewicowych mediów na dowództwo amerykańskiej armii i epitety, z których rasista, faszysta, ksenofob należałyby do najłagodniejszych. Nie bez przyczyny tak zasłużone placówki, jak New Scotland Yard w Londynie często woli przemilczeć statystyki kryminalne, dotyczące mniejszości etnicznych, aby się nie narazić na publiczną kampanię nienawiści!

Jest to sytuacja, która wskazuje nie na zdrowie, lecz ciężką chorobę zachodnich społeczeństw. W 2005 roku ukazała się książka Oriany Fallaci „Siła rozumu", za którą włoski sędzia z Bergamo postawił jej zarzut vilipendio czyli „znieważania jakiejkolwiek religii uznawanej przez państwo", oczywiście chodziło o islam. Doniesienie złożył Adel Smith, jak się okazało muzułmanin, znany z nękania pisarki, także autor pamfletu „Islam karze Orianę Fallaci". W swoich szkicach zawarła ona dwie tezy główne: że islamizacja Europy staje się faktem oraz że mieszkańcy Europy, zamiast bronić swojego dorobku cywilizacyjnego, historii, tradycji, religii, porządku prawnego, nieodpowiedzialnie i bezmyślnie skapitulowali przed islamem. Że zjawisko, które obserwujemy, to clash cywilizacyjny, w którym jedna ze stron reprezentuje siłę, bezwzględność i nieprzejednanie, a druga aplikuje metody, które uważa, i nie bez powodu, za wielkie osiągnięcia europejskich demokracji, pokojowy dialog, prawa człowieka. W porządku – dodaje Fallaci – jako generalne zasady, tak, jednak stosowane mechanicznie, mogą się przyczynić do zagłady całego dorobku białego człowieka. „Siła rozumu" została uznana za kontrowersyjną oraz konfrontacyjną. Niestety, mieszkańcy Starej Europy oraz reszty świata coraz częściej się przekonują – ostatnim argumentem może być zamach, przygotowywany przez Al-Kaidę, w wyniku którego w dzień Bożego Narodzenia miało zginąć prawie 300 Europejczyków i Amerykanów – że to niestety Oriana Fallaci, a nie jej krytycy, ma rację.

Elżbieta Królikowska-Avis
Londyn, 2 stycznia 2010.

Polska prasa w Szkocji

Maciej Przybycień

Błędną jest obiegowa opinia, iż polska prasa w Wielkiej Brytanii istnieje tylko w Londynie. Faktem jest, iż jest tam najwięcej tytułów, mają najsilniejszą pozycję, najdłuższą tradycję i największą liczbę czytelników. Faktem jest również, że funkcjonują tylko w jednym, choć ogromnym, mieście i mimo wielu prób, nawet największym z nich nie udało się wyjść na stałe poza londyńskie podwórko. W Londynie jednak rynek polskiej prasy jest ustabilizowany. Niewiele się zmienia, bo niewiele może się zmienić. Pozostała część Zjednoczonego Królestwa to prasowa burza – tytułów powstających i upadających. Prezentujących najróżniejszy poziom. Północna Anglia, Szkocja i Irlandia Północna doczekała się własnych tytułów, co ciekawe, ich zasięg był i jest nieporównanie większy niż wydawnictw londyńskich. W polskich sklepach w Glasgow czy Edynburgu można było znaleźć tytuły wydawane zarówno w Szkocji, jak i w płn. Anglii czy Irlandii. Jak już wspomniałem, rynek prasowy nie jest ustabilizowany, wciąż powstają nowe magazyny, zastępujące te, które właśnie zniknęły ze sklepowych półek. Co je ze sobą łączy? Chyba tylko fakt, że są po polsku oraz to, że są darmowe – całkowity dochód czerpany jest z zamieszczanych w nich reklam.

Historia... ta starsza i ta najnowsza

Najstarszy polski periodyk powstał w Szkocji ponad 50 lat temu i mimo krótkiej, jak na okres jego wydawania, przerwy, ukazuje się do dzisiaj. Edynburski Biuletyn Informacyjny wydawany jest przez Radę Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu. Tworzony dzięki wsparciu polskiego Konsulatu, rozsyłany jest co dwa miesiące do kilkudziesięciu subskrybentów. Biuletyn jest bezpłatny i nie zawiera żadnych reklam. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że wciąż wydawany jest dzięki niespożytej energii oraz zaangażowaniu Marii Musur-Grieve, która od 2000 roku pełni funkcję redaktora naczelnego.

Prawdziwy rozkwit prasy czy w ogóle mediów polskojęzycznych nastąpił w Szkocji w 2006 roku. Minęły dwa lata od wstąpieniu Polski do Unii i co bardziej przedsiębiorczy Polacy mieli wystarczająco dużo czasu, by zorientować się w tutejszych realiach, zaznajomić z prawem i „odbić" z fabryk, zmywaków i budów. Powstawały polskie sklepy, firmy budowlane, transportowe, puby – czyli potencjalni reklamodawcy – przyszedł również czas na prasę. Pierwsza trójka zagościła na szkockim rynku niemal równocześnie. Wszyskie w stolicy Szkocji – Edynburgu.



Maria Musur-Grieve

Jesień 2006 – „Szkocka", „Zmywak" i „Głos Polski"

Jako pierwsza powstała „Szkocka" i już od drugiego wydania zyskała sobie miano – określając eufemistycznie – bulwarówki. Wszystko za sprawą okładki, na której bezpretesjonalnie wykorzystano tragedię brutalnie zamordowanej kilka tygodni wcześniej polskiej studentki Angeliki Kluk. Sprawą żyła cała Szkocja, a polska społeczność była nią zelektryzowana. Przez kilka dni na lokalnym i niezwykle popularnym portalu szkocja.net trwały, zainicjowane przez jej siostrę, poszukiwania Polki. W akcji uczestniczyło kilkadziesiąt osób, stronę odwiedzało kilkaset.

To gwarantowało „Szkockiej" sukces od samego początku. Szczęśliwie, brak kolejnych tragedii w ciągu następnych kilku miesięcy oraz powstająca równocześnie konkurencja sprawiły, że ów sukces bardzo szybko zamienił się w klęskę. Po czwartym (bodajże) wydaniu „Szkocka" wprowadziła opłatę za egzemplarz (niecałego funta) i zniknęła z rynku.

„Zmywak" stworzony był przez grupkę osób, która w nowych warunkach odnalazła się najszybciej. Tworzony był jako hobby, po pracy. Co ciekawe, mimo iż był to polskojęzyczny magazyn, redakcja była mieszana. Redaktor naczelny był Szkotem... Nietypowy format (A5) oraz zabawna, zdaniem twórców, nazwa (dla wielu rodaków, kojarząca się niestety z szarą rzeczywistością) nie wróżyły wydawnictwu sukcesu. Jednak „Zmywak" od pierwszego numeru zdobył sobie serca czytelników i sporą rzeszę fanów. Formuła „Emigracja nie całkiem poważnie" okazała się strzałem w dziesiątkę. Jednak pasja nie zawsze wystarczy, gdy brakuje czasu. Po kilku miesiącach „Zmywak" przestał się ukazywać. „Awansowałam w firmie, miałam coraz mniej czasu, a prowadzenie magazynu było naprawdę czasochłonne" – powiedziała mi kilka miesięcy później jedna ze współtwórczyń pisma.

Jako ostatni powstał „Głos Polski". O „Głosie" trudno mi pisać, gdyż uczestniczyłem w jego powstawaniu niemal od pierwszego wydania. Przeszedłem wszystie stopnie w redkacji i zakończy-



łem pracę jako redaktor naczelny magazynu. „Głos Polski" posiadał główną i podstawową wadę magazynu emigracyjnego – był przedsięwzięciem niskobudżetowym, ze wszystkimi tego przypadłościami. Miał też niewątpliwą zaletę, różniącą go np. od „Zmywaka", był świetnie zarządzany i miał dobry marketing. Z czasem wypłynął poza Szkocję i doczekał się oddzielnego wydania na Anglię. Osiągnął nakład 40 tys. egzemplarzy. Choć nigdy nie powstała planowana edycja Londyn, można było go znaleźć w polskich sklepach od Inverness po Bristol. „Głos" stawiał przede wszystkim na reportaż; obok profesjonalnych dziennikarzy na łamach magazynu publikowały osoby, które dopiero próbowały swoich sił w tym trudnym, choć pięknym gatunku. Mimo że wynagrodzenie za nadesłane materiały było wręcz symboliczne, chętnych do publikowania było aż nadto. Redakcja ze swej strony gwarantowała profesjonalną obróbkę i edycję tekstu. Głos Polski zniknął z rynku w marcu 2008 roku (ostatnie numery magazynu w formacie pdf. znaleźć można na stronie internetowej www.pressandphoto.com).

Obecnie

Dziś na rynku szkockim dostępnych jest kilka czasopism. Najważniejsze to wydawane w Glasgow „Emigrant" i „Scotland.pl." Pierwszy, aspirujący do magazynu reporterskiego, stworzony został przez prowadzących pierwszą w Szkocji polskojęzyczną audycję radiową (w społecznościowej rozgłośni radia Govan), drugi jest chyba jedynym w Wielkiej Brytanii magazynem „kobiecym". Przez jakiś czas dostępny był wydawany w Belfaście miesięcznik „Link Polska". Świetna szata graficzna (tworzona przy współpracy z polską agencja fotograficzną Vis-a-vis) oraz profesjonalne teksty (o które dbała publikująca w Guardianie Aleksandra Łojek-Magdziarz) nie wystarczyły, by pismo utrzymało się na rynku. W sierpniu 2009 roku „Link Polska" został sprzedany i zamienił się w lokalną ulotkę reklamową, a tym samym zniknął ze szkockiego rynku. Przez jakiś czas dostępny był również wydawany w północnej Anglii magazyn „Polish Zone". Magazyn miks, ładnie złamany, choć bardzo nierówny – niektóre numery przypominały kilkudziesięciostronicową ulotkę reklamową.

W śladowych ilościach możemy tu również znaleźć prasę londyńską. Przykładem może być „The Polish Observer". Nie ma go co prawda w polskich sklepach w Edynburgu (można go dostać jedynie w polskim Konsulacie), lecz na jego stronach znajdziemy również informacje ze Szkocji. Wydawany na szarym, gazetowym papierze jest chyba jedynym tygodnikiem dostępnym w północnej części Wielkiej Brytanii. „The Polish Observer" to przede wszystkim porady oraz reportaże interwencyjne.

Osobliwości

Obok magazynów pretendujących do miana poważnej prasy, czy w ogóle prasy, na półkach polskich sklepów w Szkocji znaleźć możemy wydawni-

Maciej Artur Przybycień



Dziennikarz – redaktor, felietonista. Absolwent filologii polskiej na Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Studiował dziennikarstwo w krakowskim Studium Dziennikarskim działającym przy Akademii Pedagogicznej. Członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (Oddział dolnośląski) oraz International Federation of Journalists.
Współtworzył pierwszy polski portal polskojęzyczny na terenie Szkocji (www.ednyburg.net, przekształcony później w portal; www.szkocja.net, obecnie - www.emito.net). Publikował w londyńskim „Dzienniku Polskim" oraz „Polish Expressie".
Jako dziennikarz śledczy brał udział w produkowanym przez BBC England programie z cyklu Inside Out, dotyczącym wykorzystywania Polaków przez agencję pracy w Hull w płn. Anglii.
W latach 2006–2008 związał się z największym wówczas w Szkocji (i jednym z największych w Wielkiej Brytanii) magazynem polonijnym – miesięcznikiem „Głos Polski". Pełnił w nim funkcję reportera, felietonisty oraz redaktora (przez znaczny okres był zastępcą redaktora naczelnego, w końcu również redaktorem naczelnym).
W latach 2008–2009 był felietonistą magazynu „Link Polska" ukazującego się w Belfaście w Irlandii Północnej. Publikował w najnowszym szkockim piśmie polonijnym, magazynie „Emigrant" wydawanym w Glasgow.
Jego teksty znaleźć można na największych polskich portalach internetowych (onet, wp, wyborcza). Jest współtwórcą i redaktorem serwisu Press and Photo Collective (www.pressandphoto.co).

ctwa, których forma i treść wydają się żartem. Niektóre tak absurdalne, że klasycy z grupy Monthy Pytona mogliby się poczuć zazdrośni.

„Gazeta na tak" jest prawdopodobnie najkrótszą gazetą świata. To kwartlanik ukazujący się po polsku w Wielkiej Brytanii (nie jest dokładnie sprecyzowane, gdzie znajduje się redakcja), który posiada jedynie okładki. Czytelnikowi obiecuje się jednak bardzo wiele. Na całych trzech stronach – czwarta zajęta jest w całości przez reklamę fimy wydającą „Gazetę na tak" – mamy znaleźć; wiadomości, wywiad, felieton, przekazy, sondę, konkurs, kuchnię i urodę. Jak nietrudno się domyślić, firma – wydawca specjalizuje się w przekazach pieniężnych.

„Soft Secrets", znalazłem w sklepie z tytoniem w „polskiej" dzielnicy Edynburga. Nie spodziewałem się w tym miejscu polskiej prasy, jednak mój wzrok przykuł wielki napis BEZPŁATNY zaraz obok polskiej fagi. Jak się okazało, „Soft Secrests" to polskojęzyczna odmiana holenderskiego pisma dla hodowców marihuany (w Wielkiej Brytanii hodowla tej rośliny jest równie nielegalna jak w Polsce) Okładka nie pozostawia wątpliwości; odmiany automatyczne, chemiczna ochrona roślin, „idioto odporne hydro, zapytaj Eda i wiele więcej... Rzeczywiście jest wiele więcej, np. rolnictwo szafkowe część 2 (w krajach, w których nielegalna jest hodowla marihuany, popularna jest hodowla tejże w szafach, z wykorzystaniem specjalnych lamp i wentylatorów). Jak dowiadujemy się ze stopki redakcyjnej: „redakcja/wydawca nie ponosi żadnej odpowiedzialności za publikowane w nim treści, w tym reklamy bądź ogłoszenia". Niemożliwe? Oczywiście, że możliwe. Biorąc pod uwagę, że redaktorem naczelnym jest Zdenek Vyskoczil (nikt chyba nie wątpi, że to pseudonim), a współpracownicy to Ziuta-Moniczka, Szaman czy Ruda Pieguska, bezkarność wydaje się być gwarantowana.

Kilka słów na koniec

Wydaje się, że najwspanialsze czasy prasa polskojęzyczna w Szkocji ma już za sobą. Co więcej, można odnieść wrażenie, że był to okres tak krótki, jak pokaz sztucznych ogni. Nie bardzo widać też następców „Zmywaka" czy „Głosu". Istniejące magazyny funkcjonują jako działalność dodatkowa biznesmenów, czerpiących korzyści z innych źródeł i tworzone są często „dla prestiżu". W znacznej części są kryptoreklamą głównych działalności ich właścicieli. Zawartość merytoryczna zwykle schodzi na plan dalszy, redakcje są niedofinansowane, a dochód niemal w całości pochłaniany jest przez druk i dystrybucję. Powoduje to, że końcowy produkt prezentuje się często niemal amatorsko. Wydaje się, że każde ambitniejsze przedsięwzięcie skazane jest na niepowodzenie. Gdy do tego dodamy krążące informacje o rzekomych masowych powrotach naszych rodaków do kraju, sytuacja nie przedstawia się optymistycznie. I zapewne będzie tak wyglądała, dopóki na rynek nie zdecyduje się wejść jakiś duży wydawca – oni jednak wydają się być Szkocją kompletnie niezainteresowani. Pozostanie nam docierająca tu z dość dużym opóźnieniem polska prasa oraz wydawnictwa brytyjskie. Chyba, że się mylę... Mam nadzieję, że się mylę.

Maciej Przybycień

Dziennikarze w archiwum IPN

Tajny ochotnik

Andrzej W. Kaczorowski

Był harcerzem, należał do najmłodszych żołnierzy Powstania Warszawskiego (pseudonim „Diabeł", walczył w Zgrupowaniu AK „Chrobry II"). Do współpracy z Rakowiecką zgłosił się sam; zarejestrowano go jako TW „Roman". SB do końca nie potrafiła rozpoznać motywów jego postępowania. Czyżby dziennikarz „Słowa Powszechnego" zakpił sobie z funkcjonariuszy MSW?

Andrzej Czarski (1930–1994) z niejednego redakcyjnego pieca chleb jadał. Zaczynał jeszcze na studiach dziennikarskich w 1950 roku w „Sztandarze Młodych", potem dłużej zajmował się popularyzacją nauki w „Młodym Techniku" (1951–1955) i „Przyjaźni". Plonem tych zainteresowań były „Reportaże z mikrokosmosu" (Iskry – 1955). Przełomowy dla jego kariery okazał się rok 1956, gdy na wieść o wydarzeniach w Poznaniu natychmiast tam wyruszył w spontanicznie utworzonej ekipie reporterskiej (m.in. z Krzysztofem Kąkolewskim). Jako jedyny podpisał kilkunastostronicową relację z wyjazdu; fragmenty tego tekstu ukazały się dopiero 40 lat później, już po śmierci autora. Odsunięty od współpracy w „Nowej Kulturze" i „Sztandarze Młodych", Czarski mógł drukować w innych pismach partyjnego koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch" wyłącznie pod pseudonimami. Wprawdzie po październiku 1956 r. restrykcje te zostały cofnięte, jednak na stałą pracę nie mógł nigdzie liczyć. Tylko na krótko zaczepił się w „Tygodniku Demokratycznym" (piśmie SD), skąd w 1958 r. zwolniono go za artykuł pt. „Jazda polska przeciwko niemieckim czołgom w 1939 r."

W 1969 r. wydał w MON-ie książkę wspomnieniową „Zielone lata w mundurze"; jej drugie poszerzone wydanie opublikował w 1985 r. (nakład 30 tys. egz.). W 1969 r. otrzymał wreszcie etat dziennikarski w „Serwisie Informacyjnym dla Radiowęzłów", gdzie

pracował jako zastępca sekretarza redakcji do czasu podjęcia współpracy z prasą Stowarzyszenia „PAX" – „WTK" i „Słowem Powszechnym". Cykl jego artykułów o „Najmłodszych żołnierzach walczącej Warszawy" stał się podstawą książki pod tym tytułem (Instytut Wydawniczy PAX 1971, nakład 20 tys. egz.). W 1972 r. został zatrudniony w „Słowie Powszechnym" i tutaj zaliczył najdłuższy okres pracy w dziennikarstwie; jako publicysta działu społeczno-ekonomicznego pisał głównie o usługach, rzemiośle i rolnictwie. Odszedł na wcześniejszą emeryturę w stanie wojennym w 1983 r. Ostatnią jego książką był reportaż historyczny „...o polskie słupy graniczne nad Odrą" (KAW, Szczecin 1988).

„U pana Marka na Czerniakowie"

Sensacyjny epizod dobrowolnej współpracy Andrzeja Czarskiego z SB dotyczy lat 1972–1977. W archiwum IPN zachował się tylko mikrofilm zawierający ponad 60 klatek (w tym kwestionariusz TW, notatki oficerów prowadzących, arkusz wypłat i świadczeń, charakterystyka t.w. ps. „Roman" i charakterystyka jego współpracy). Jak wynika z akt, jesienią 1972 r. dziennikarz zwrócił się osobiście z prośbą o nawiązanie kontaktu z odpowiednim pionem SB do jednego z wyższych oficerów MSW: płka Jakubowskiego lub płka R. Wójcickiego, wówczas z-cy komendanta ASW. Któryś z nich przekazał tę informację wraz z podanym przez redaktora hasłem do płka Władysława Kossakowskiego, naczelnika Wydziału II Departamentu IV MSW, tj. jednostki, która zajmowała się „zabezpieczeniem operacyjnym" m.in. Stowarzyszenia PAX (sprawa obiektowa kryptonim „Alfa") i jego instytucji, w tym prasy.

Zgłaszając się do zainteresowanego, mjr Ryszard Ostrowski z Wydziału II „czwórki" podał ustalone przez niego hasło: „Dzwonię do Pana w związku ze spotkaniem u Pana Marka na Czerniakowie". W listopadzie 1972 r. przeprowadził z Czarskim aż trzy „rozmowy werbunkowe" w kawiarni, chociaż dziennikarz już na wstępie wyraził chęć i gotowość współpracowania z SB. Zgłosił się, ponieważ zauważył w redakcji „istnienie grupy mniejszościowej, która zasługuje na zainteresowanie się nią SB". Zaskoczony tą deklaracją funkcjonariusz stwierdził, że „samo kierownictwo PAX czuwa nad tym, aby ludzie o wrogich poglądach i stanowiskach nie tylko nie ujawniali publicznie swej postawy, lecz także w ogóle nie znajdowali się w PAX-ie". Czarski wyjaśnił, że „uwagi i spostrzeżenia odnośnie określonych osób w redakcji wypływają z pobudek patriotycznych i obywatelskiej postawy", on zaś nie spodziewa się w zamian uzyskania jakichś określonych korzyści, nie chce jedynie, aby ta „grupa mniejszościowa" opanowała redakcję i wykończyła Jerzego Ślaskiego, z-cę redaktora naczelnego „Słowa Powszechnego" (a wcześniej naczelnego „WTK"), któremu Czarski zawdzięczał pracę na Mokotowskiej. W „grupie mniejszościowej" wymienił drugiego zastępcę naczelnego Andrzeja Rejchera, sekretarza redakcji Mirosława Marconia i kierownika swojego działu Zbigniewa Jurkowskiego. Mjr Ostrowski podszedł do tych rewelacji z rezerwą, ale umówił się na następne spotkanie. Próbował uzyskać więcej informacji o Czarskim, jednak TW „Augustyn", mimo że pracował w tym samym dziale redakcji, znał go bardzo słabo. „Jest bardzo zainteresowany osiąganiem dużych zarobków", lecz „spodziewał się, iż w PAX-ie lepiej płacą"; „jest za mądry, aby uzewnętrzniać swe poglądy" – stwierdził.

Podczas drugiego spotkania Czarski od razu zorientował się, że jego oferta została przez SB przyjęta i szczegółowo opisał sytuację w kierownictwie redakcji. Wykańczanie Ślaskiego przez konkurenta z „mniejszości" miało polegać m.in. na wykorzystywaniu jego skłonności do nadużywania alkoholu: „Upija się więc Ślaskiego, najczęściej w «Smakoszu» i wyprowadza na ulicę, a że jest to blisko PAX-u, to dużo ludzi widzi Ślaskiego pijanego". (Warto dodać, że SB założyła na Ślaskiego kwestionariusz ewidencyjny o kryptonimie „Trzeźwy".) Powtarzano też opinię, że nie cieszy się on pełnym zaufaniem u władz i miał sprawę dyscyplinarną w sądzie dziennikarskim. Mjr Ostrowski doszedł do wniosku, że Czarski to „człowiek ciekawy i mogący być dla nas przydatny", ale pewne jego oceny wymagają w przyszłości w rozmowach „dużej ostrożności i szczegółowego wyjaśnienia".

„Jednostka wartościowa"

Ostatecznie 6 lutego 1973 r. funkcjonariusz uznał, że kandydat wyraża chęć współpracowania z SB. Celem pozyskania miało być uzyskiwanie informacji o stosunkach i osobach w redakcji „Słowa Powszechnego" dla „poszerzenia operacyjnego rozeznania"; jako przydatne dla SB określono także redakcyjne kontakty Czarskiego z terenowymi działaczami PAX-u. Naczelnik Wydziału II Departamentu IV polecił oficerowi prowadzącemu tak pokierować kandydatem, „aby wyraźnie wykazał swój związek z ideologią PAX-u, gdyż inaczej kariery w PAX nie zrobi". Mjr Ostrowski w kwestionariuszu TW zapisał, że pozyskanie nastąpiło „na zasadzie ustnie deklarowanej chęci do współpracy, bez podpisywania zobowiązania", a wobec niechęci sporządzenia takiego dokumentu ze strony TW – nie nalegał. Do kontaktu podał Czarskiemu swój telefon domowy; nie przewidywano żadnych korzyści materialnych za współpracę.

Ze względu na dłuższą chorobę oficera SB nastąpiła jednak przerwa w spotkaniach. 1 grudnia 1973 r. esbek wręczył TW „Roman" upominek – jak meldował w raporcie – „tytułem wynagrodzenia za współpracę" (butelka koniaku wartości 394 zł, dołączono dowód sprzedaży); jak zapisał w arkuszu wypłat i świadczeń – „z okazji imienin". Fakt ten zapewne zachęcił Czarskiego do prośby o pożyczenie 2000 zł, gdyż wynajął mieszkanie, za które musiał zapłacić za rok z góry 18 tys. zł. W styczniu 1974 r. major wypłacił pieniądze, „traktując to jako element wiązania z naszą służbą"; wypłatę akceptował naczelnik Wydziału II płk Eugeniusz Jankiewicz. Pokwitowanie odbioru gotówki miało być pobrane później.

W tym samym czasie powstał plan wykorzystania TW „Roman" „po zagadnieniu" „Alfa", przede wszystkim do przekazywania informacji dotyczących redakcji pism paxowskich („Słowa Powszechnego", „WTK", „Kierunków" i „Zorzy") oraz związków kombatantów z PAX-em. Charakteryzując Czarskiego, mjr Ostrowski

napisał, że „jego socjalistyczne zaangażowanie wynika z przemyśleń, a nie koniunkturalnej deklaratywności". „Zna bardzo dobrze zasady konspiracji i sposoby zdobywania informacji, a także pracy wywiadu", „jest jednostką wartościową i w perspektywie dalszej, prawidłowej współpracy przy jego pomocy można realizować planowane zadania".

W kwietniu 1974 r. „Romana" od mjra Ostrowskiego „przejął na kontakt" kpt. Ryszard Kubisz (przedstawił się jako Ryszard Sosnowski), zaś w maju 1975 r. nowym oficerem prowadzącym został ppor. Henryk Szczerbiński, który odbył potem z Czarskim jeszcze tylko jedno spotkanie.

„Polityczny hochsztapler"

Jak wynika z teczki, świetnym punktem zbierania informacji dla SB był barek na rogu Mokotowskiej i Koszykowej, popularnie zwany „Szparą" lub „lokalem zastępczym redakcji, gdzie brać dziennikarska ze „Słowa Powszechnego" systematycznie zdrowo popijała, wyzywając się czasem od agentów UB. We wspólnym pijaństwie uczestniczył m.in. TW „Jadwiga", który podsunął pomysł nawiązania przez Czarskiego koleżeńskich stosunków z zięciem Bolesława Piaseckiego, co przy kielichu nie było rzeczą trudną. Młody (rocznik 1948) esbek zanotował potem, że według Czarskiego Piasecki „w różnych sprawach kontaktuje się bezpośrednio z ambasadą radziecką", a współpracę z władzami traktuje jako kamuflaż dla realizacji swoich celów politycznych „podporządkowanych panowaniu Polski nad narodami ZSRR". Dlatego musi ukrywać się pod ochronnym płaszczykiem akceptacji socjalizmu i rzekomej działalności na rzecz jego dalszego rozwoju, czemu służy m.in. prasa paxowska, która spełnia rolę „ścierki do wycierania brudów".

Ppor. Szczerbiński próbował polemizować, ale TW „Roman" wyjawił mu większe rewelacje. „W Polsce polityka państwa sterowana jest przez loże masońskie, do których należą niektórzy czołowi działacze państwowi" – powiedział. „Podobna sytuacja ma miejsce również w Związku Radzieckim. Sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew jest Żydem. Narody Związku Radzieckiego są narodami o mentalności niewolników (...)" Indagowany przez esbeka o kombatantów, oświadczył, że „WTK" jest jedynym tygodnikiem, który obiektywnie stara się przekazać historię ruchu oporu, a jedyną pozytywną osobą wśród dziennikarzy „Słowa Powszechnego" jest redaktor Ślaski (od dawna „w zainteresowaniu" SB „za działalność w jednej z band reakcyjnego podziemia i zbrojne występowanie przeciwko władzy ludowej").

Po tych enuncjacjach inspektor Wydziału II Departamentu IV MSW nie miał wątpliwości: „T.w. «Roman» sprawia wrażenie politycznego hochsztaplera" – informował kierownictwo. Zwrócił uwagę na „emocjonalne podejście do zagadnień związanych z ruchem oporu" i „gloryfikację prolondyńskiego podziemia" przez Czarskiego. „Jego ocena poszczególnych zjawisk politycznych, w tym niektórych aspektów działalności PAX-u, ujmowana jest poprzez pryzmat irracjonalnego zwulgaryzowanego stosunku do mniejszości narodowych i antyradziecką" – napisał. „Z wyżej wymienionych przyczyn jest mało przydatny do realizacji naszych zadań". Charakteryzując dotychczasową współpracę, zauważył, że TW „Roman" informował SB bardzo ogólnie, a oceny zatrudnionych w redakcjach wyrażały jedynie osobiste sympatie autora, pomijając poglądy polityczne dziennikarzy.

Formalne rozwiązanie współpracy nastąpiło dopiero w lutym 1977 r., a miesiąc później akta sprawy trafiły do archiwum MSW.

Przygoda z SB?

Czy Andrzej Czarski zakpił sobie z Rakowieckiej? Nie wiadomo, kim był tajemniczy „pan Marek", który umożliwił mu kontakt z komórką SB rozpracowującą PAX. Niewątpliwie podczas pierwszej rozmowy z funkcjonariuszem resortu podał zmyśloną w szczegółach legendę na temat swojej biografii. „Nie udało się wówczas zebrać danych agenturalnych, które pozwoliłyby na sporządzenie pełnej charakterystyki kandydata" – przyznawał mjr Ostrowski. „Na podstawie kilku rozmów decyzją Tow. płk. Wł. Kossakowskiego postanowiono w/w wykorzystać operacyjnie po zagadnieniu „Alfa" i zarejestrować w charakterze tajnego współpracownika. Równolegle miało iść jego pełne opracowanie i zebranie niezbędnych danych osobowych. Nie byłem w stanie tego zrealizować"...

Być może, prezentowanie przez „Romana" fobii antysemickiej było grą obliczoną na uzyskanie względów resortu, którego rola w marcu 1968 r. była powszechnie znana. Nie da się wykluczyć, że z pomocą SB chciał wpłynąć na układy personalne w „Słowie Powszechnym"; nie wiadomo też, czy była to jego samodzielna inicjatywa, czy może raczej działał za wiedzą Ślaskiego. W każdym razie nikomu o tym nie mówił – żaden z żyjących kolegów tego nie potwierdza. Niewątpliwie Andrzej Czarski był typem tzw. warszawskiego cwaniaka i akcje na wariackich papierach leżały w jego charakterze. Czy koniak i parę złotych były tego warte? Czy przechytrzył SB? „Urodziłem się wyłącznie po to, aby mieć w życiu przygody" – napisał w pierwszym zdaniu swojej książki „Zielone lata w mundurze". I może to wyjaśnia wszystko.

Andrzej W. Kaczorowski

Autor – były długoletni dziennikarz „Słowa Powszechnego" – jest członkiem zespołu naukowo-badawczego IPN „Aparat bezpieczeństwa wobec środowisk dziennikarskich w latach 1945–1989".



Wspomnienia

Ostatni rozdział naszego FORUM DZIENNIKARZY to wspomnienia o tych,
którzy jeszcze niedawno byli wśród nas, ale i o dziennikarzach, którzy odeszli wcześniej.
W tym zawodzie żyje się intensywnie. Niestety, ulotny papier i nietrwała taśma
nie zachowują na ogół długo prac nawet tych najlepszych.
O niektórych, na szczęście, pamiętamy jeszcze przez pewien czas.
O innych zapominamy szybko. I dlatego ten rozdział.
Żeby choć trochę przedłużyć czas ich obecności wśród nas.
Pamiętajmy.

Z wielkim żalem zawiadamiamy, że 19 marca 2010 roku odeszła



red. RENATA SOSNOWSKA

urodzona 21 października 1913 roku w Kielcach nasza kochana Koleżanka-Seniorka, dziennikarka i malarka (XX-lecia Międzywojennego), pracownik znaczących redakcji i wydawnictw m.in. „Arkad", niezmordowany działacz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, żołnierz AK, uczestnik Ruchu Oporu, Powstania Warszawskiego i Pomocy Koleżeńskiej w okresie „Solidarności".
Dobry, prawy i życzliwy człowiek wart naśladowania.
Uhonorowana wieloma odznaczeniami, jak „Weteran Walki o Niepodległość", „Warszawski Krzyż Powstańczy", „Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski".
Będzie nam Jej bardzo brakowało!
Żegnaj Renatko!
Kochającym Synom i Rodzinie składamy serdeczne wyrazy współczucia

Oddział Warszawski SDP i Zespół Seniorów-Dziennikarzy OW SDP



Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

BLANKI MIECIŃSKIEJ

wybitnej dziennikarki telewizyjnej
głęboko zaangażowanej
w problematykę oświatową i kulturalną,
przez wiele lat działającej w naszym Stowarzyszeniu,
także w trudnych latach stanu wojennego.

Była dzielną, otwartą na świat i ludzi osobą.
Będzie Jej brakowało.

Koleżanki i Koledzy
ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Wspomnienie o Blance MIECIŃSKIEJ

Napisanie wspomnienia o Blance Miecińskiej dwa tygodnie po Jej śmierci jest dla mnie bardzo trudne. Jeszcze nic się nie poukładało, właściwie nie zdążyłam wcale się z tym rozstaniem pogodzić. Zaproponuję jednak parę wspomnień związanych z Blanką i Romanem Petryckim.

Najpierw poznałam Romana, bo pierwsza moja duża praca po przyjeździe do Warszawy w 1969 r. (zajmowałam się wtedy montażem filmowym), to był cykl siedmiu jego filmów o wyprawie w góry Karakorum. Mniej w nich było o samym zdobywaniu ośmiotysięcznika – więcej o wyprawie: podróży przez Afganistan, Pakistan, wspinaczce na wczesnych jej etapach. Trwało to chyba 8 miesięcy. Zdążyliśmy się zaprzyjaźnić.

Poznałam Blankę, bardzo wówczas popularną w telewizji redaktorkę redakcji oświatowej, współpracującej z redakcją programów dziecięcych. Redakcja Edukacyjna była wówczas telewizyjnym mocarstwem.

Potem często pracowałam z Blanką. Zmontowałyśmy kilka cykli lekcji francuskiego, których była redaktorką. Nie była to bardzo ambitna w moim rozumieniu praca, ale bliski kontakt z Blanką, prowadzącymi te lekcje Basią Janicką – wybitną tłumaczką, i Robertem Janowskim wynagradzały mi nieco nudną pracę. Blanka była piękną blondynką, bardzo elegancką. Nie miała ambicji nadążania za modą, stworzyła własny styl, który realizowała w sobie tylko znany sposób. Jedną z Jej tajemnic było pozyskanie sobie krawca Królewskiego, który realizował z oddaniem Jej pomysły. Jego płaszcze i kostiumy żadnej innej klientki tak nie zdobiły jak Blanki.

Blanka była żywym zaprzeczeniem dowcipów o blondynkach: inteligentna i błyskotliwa, świetnie wykształcona, umiarkowanie złośliwa. Szalenie mi imponowała przyjaźń z Nią, tym bardziej że była nieco starsza.

Zaprzyjaźniliśmy się rodzinnie. Wspólne wieczory, wyjazdy poza Warszawę. W latach siedemdziesiątych budowaliśmy równocześnie domy na wsi. Roman zwiózł spod Krynicy zabytkowy dom z bali i w Zuzanowie, 50 kilometrów od Warszawy, mieli smak góralszczyzny tak Mu bliskiej. Myśmy zadowolili się chałupką kurpiowską także w odległości 50 kilometrów.

Byliśmy wtedy bardzo zaabsorbowani pracą – nawet Marcin, dziennikarz prasowy, na parę lat związał się z telewizją oświatową i współpracował z Blanką.

W roku 1980 mniej było rozrywek i wyjazdów, wszyscy zaangażowaliśmy się w działalność solidarnościową, nawet Blanka, nigdy dotąd niezajmująca się polityką. Telewizja zmieniała się w naszych rękach, żyliśmy jak gdyby w stanie nieważkości. Nagle wszystko się zawaliło – nie było naszej Telewizji, wszyscy jednego dnia straciliśmy pracę. Nie wiadomo było co robić, z czego żyć. Nie bardzo wierzyliśmy w „życie pozatelewizyjne". Na szczęście, została solidarność, ta z dużej i małej litery.

Po kilku miesiącach jako jedyny z nas zaczął znowu pracować w zawodzie Marcin, bo jego „Życie Gospodarcze" wznowiło pracę. Roman postanowił wykorzystać swoje talenty artystyczne i robić drewniane lampy. W tę pracę wciągnął także bezrobotnego syna Blanki – Mikołaja.

Myśmy zarejestrowały firmę rzemieślniczą i zaczęłyśmy z pomocą mojej córki Agnieszki, studentki medycyny, szyć torby i kosmetyczki. Szycie jakoś nam wychodziło, ale już ze sprzedażą zupełnie sobie nie radziłyśmy. Żyć się z tego nie dawało. Na szczęście, nawet najdłuższych osiem lat kiedyś się kończy. Tylko dla Romana były za długie. Zmarł nagle w lesie, zbierając maliny z Blanką. Trudno sobie wymyślić szczęśliwszą śmierć, tylko czemu tak wcześnie?

Blanka z nami wszystkimi zaangażowała się w Studio Solidarność. Znowu niosło nas uniesienie. Zrealizowały się marzenia. Mogliśmy wrócić do Telewizji, zdawało nam się, że nowej, publicznej, odmienionej. Blanka nie chciała już wrócić z nami. Poszła do Radia. Wydawało się, że się tam zadomowi, ale już po dwóch latach odeszła na emeryturę. To była bardzo niska emerytura. Nie bardzo było z czego żyć.

Wtedy zaczęły się na Nią walić kolejno nagłe śmierci bliskich osób: Ojciec, Syn, Matka. Została zupełnie sama, poza jedyną wnuczką Martą, która w nowej rodzinie matki żyła w pewnym oddaleniu od Blanki.

Pozostało Jej coraz mniej liczne grono oddanych przyjaciół. Do końca mówiła: tak się cieszę, że w razie czego mam na kogo liczyć.

W momencie ostatecznym nikogo przy Niej nie było, ale i tak każdy z nas umiera w samotności. Pociechą jest to, że nie zdążyła obłożnie chorować, cierpieć. Jak wszyscy Jej bliscy odeszła nagle. Dla nas za wcześnie.

Nina Makowiecka



Znany powszechnie, bardzo lubiany w środowisku, drogi nasz Kolega, wielce zasłużony dla Stowarzyszenia, dziennikarz z ogromnym dorobkiem pracowitego życia – autor i animator mediów na Dolnym Śląsku i w Warszawie

IGNACY RUTKIEWICZ

zmarł 22 marca 2010 r.

we Wrocławiu, w rodzinnym domu, po ciężkiej chorobie, z którą dzielnie walczył od dłuższego czasu.

Był reporterem, publicystą i szefem wielu redakcji. Ukończył Wydział Filologiczny na Uniwersytecie Poznańskim.

Podczas studiów był reporterem w oddziale dziennika „Słowo Powszechne" w Poznaniu, później redaktorem „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego".

W latach 1956–1957 współpracował z wrocławską rozgłośnią Polskiego Radia i dziennikiem „Słowo Polskie".



W roku 1958 był współzałożycielem miesięcznika „Więź", a w latach 1957–1970 korespondentem na Dolny Śląsk – kolejno Zachodniej Agencji Prasowej i PA Interpress.

W latach 1970–1977 pracował w redakcji dolnośląskiego „Przeglądu Gospodarczego". Jednocześnie od roku 1961 pełnił funkcję kierownika działu publicystyki i reportażu miesięcznika „Odra".

W latach 1982–1990 (z wyboru zespołu) został redaktorem naczelnym „Odry".

W latach 1990–1994 mianowany został prezesem-redaktorem naczelnym Polskiej Agencji Prasowej.

Od roku 1996 współpracował z Telewizją Polską, m.in. jako redaktor serwisu internetowego i sekretarz organizacyjny komisji etyki.

W latach 1994–1995 Ignacy Rutkiewicz był prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

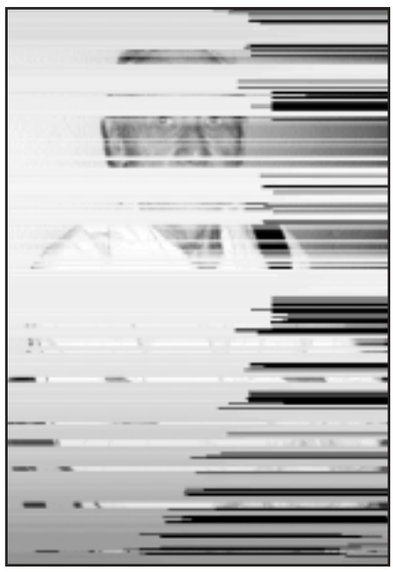
Od roku 1999 był członkiem Orbicom, afiliowanej przy UNESCO sieci komunikacji medialnej. Autor wielu artykułów w prasie wrocławskiej i ogólnopolskiej o początkach i rozwoju elektroniki i informatyki w Polsce.

Ma na swym koncie kilkanaście książek m.in. „Elektronika nad Odrą", „Archipelag nauki" oraz „Jak być przyzwoitym w mediach. Rady dla dziennikarzy (i nie tylko)".

Bardzo zasmuceni i wdzięczni za Twoją wieloletnią pracę na rzecz ludzi naszego zawodu, za mądrość i dobroć, którą przenosiłeś na ludzi spotykających się z Tobą – żegnamy Cię drogi Ignacy.

Pozostaniesz w naszej pamięci.

Koleżanki i Koledzy
ze Stowarzyszenia
Dziennikarzy Polskich



Ignacy

Był po prostu – człowiekiem mądrym. Ani radykalnym, ani gniewnym, ani – tym bardziej – napastliwym. Ale w telewizji publicznej, mimo upływu lat, kojarzy się jego nazwisko – z wymaganiem przyzwoitości, z zasadami, które sformułował: „Jak być przyzwoitym w mediach. Rady dla dziennikarzy (i nie tylko)". Każdemu by życzyć takiego dziedzictwa.

Były prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z lat 1994–1995 dał się zapamiętać w SDP jako człowiek umiarkowany, taki, co to łagodził konflikty, unikał zbędnych napięć, wolał nawet odejść od stołu, wycofać się, niż kłócić się ząb za ząb; ustępował tylko przed argumentami, które go przekonały. Nawet przy różnicach zdań – lubiany i szanowany, uzupełniał te różnice zdań swoim wyrozumiałym uśmiechem. Nie dawał się jednak przekonać, że Odra nie ma przyszłości jako wielki szlak komunikacyjno-transportowy. Do dziś zachowaliśmy w tej kwestii obaj to samo zdanie (też nie ustąpię, Ignasiu).

Obejmował różne kierownicze stanowiska, choć wcale się do nich nie palił, skromny i pogodny; nie mógł odmówić, kiedy go desygnował na stanowisko prezesa PAPu człowiek, któremu w roku 1990 wypadało pomóc – Tadeusz Mazowiecki. Ignaś wolałby był prowadzić dalej „Odrę", niż kierować Polską Agencją Prasową. Tłumaczył nieco starszemu przyjacielowi z Wrocławia – „przecież ja nigdy nie byłem dziennikarzem agencyjnym"; ale prezes PAPu nie miał pisać informacji agencyjnych, miał „tylko" pokierować spokojnie i rzetelnie zespołem kompetentnych kolegów po fachu. Nie pouczał, nie

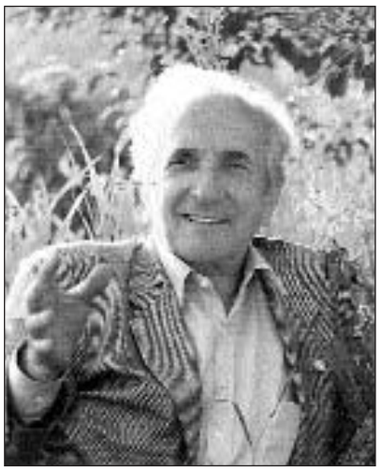
rugał, nie dominował; powiedział mi – „po mojemu najlepszy szef agencji to taki, którego nie widać; pomagam, a staram się nie przeszkadzać; to oni pracują”.

Nie ze stanowiskami w Warszawie wiązał pamięć swej największej przygody życiowej (był długi czas w stolicy jeszcze i prezesem zarządu Fundacji o niesłychanie długiej nazwie – Centrum Prasowe dla Krajów Europy Środkowo-Wschodniej). Jego nieledwie namiętnością – jak i twórcy „Odry”, Zbyszka Kubikowskiego – była właśnie „Odra”. Wrocław stworzył po Październiku, w roku 1958, tygodnik pod takim tytułem, zbyt niezależny jak na tolerancję Biura Prasy KC, które dopiero co uporało się wyrokiem Gomułki na „Po prostu”. W trzy lata później „Odra”, ostro cenzurowana, musiała przekształcić się w miesięcznik – rzekomo z powodu zbyt niskiej sprzedaży. Ale to „Ruchowi”, monopoliście kolportażu, nakazano ograniczenie dystrybucji... Redaktorzy i autorzy „Odry” nie poddali się. Nie było miejsca na pismo rewolucyjne, ale po 13 grudnia 1981 „Odra” sama sobie wybrała naczelnym Ignacego Rutkiewicza, wbrew Biuru Prasy KC i jakoś to Biuro Prasy się z tym pogodziło... Wielu publicystów, którzy nie mogli przebić się przez cenzurę warszawską, już wcześniej przemawiało z łamów „Odry”; teraz „Odra” była jedynym pismem poza „Tygodnikiem Powszechnym” i „Znakiem”, którego nie objął bojkot dziennikarzy. Była „Odra” i jest – pismem ogólnopolskim, nie tylko wrocławskim. Była i jest ważnym dla kultury polskiej partnerem dyskursu inteligencji polskiej. Ignacy żywił zawsze dumę z tej roli pisma – nawet nie mając z nim już bezpośredniego kontaktu. I dzisiejsza „Odra” na pewno Go nie zapomni.

Koledzy warszawscy, Ignasiu, nie zapomną Cię również. Także ci, którzy swego czasu tak źle znosili Twój wewnętrzny spokój i Twoją wiarę w wyższość komputerów „Odra”. Razem doczekaliśmy rzeczy niezwykłej i nieprawdopodobnej – wolnej Polski. Łatwiej z tą satysfakcją odchodzić z tego świata – jak mi powiedziałeś ze dwa lata temu, kiedy nie spodziewaliśmy pośpiechu w tym względzie. Tak, na pewno łatwiej.

Stefan Bratkowski



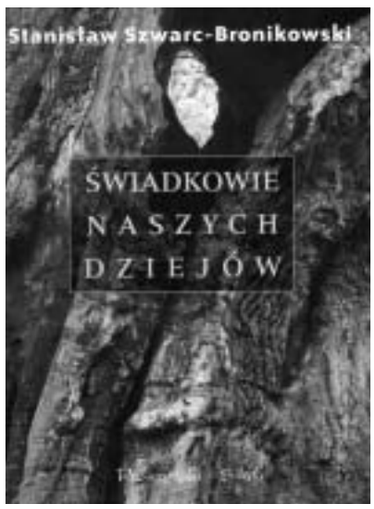


Stanisław SZWARC-BRONIKOWSKI

Urodził się w 1917 r. w Górkach na Sandomierszczyźnie. Studiował prawo (Uniwersytet Warszawski) i dziennikarstwo (Wyższa Szkoła Dziennikarska) do 1939. Podczas okupacji uczestnik ruchu oporu – w ZWZ i AK; w latach 1945–46 działacz WiN, dwukrotnie więziony (1946–47 i 1955–56). Dziennikarz tygodnika „Dookoła świata” (1956––60), potem telewizji (1960–95).

Autor wielu publikacji popularyzujących wiedzę i ponad 100 filmów o tematyce przyrodniczej, ekologicznej, etnograficznej, archeologicznej, paleontologicznej, geologicznej i religioznawczej, w tym emitowanych w telewizjach USA, Kanady i krajów europejskich. Laureat licznych nagród, m.in. pierwszych na festiwalach w La Chapelle-Vercour (1988) i Barcelonie (1989), Grand Prix (1992) i specjalnej (1994) „Ekofilmu”, a także zdobywca Złotego Ekranu (1973) oraz nagrody Przewodniczącego Komitetu ds. RiTV (1970, 1974, 1977, 1990). Autor m.in. książek „Poszukiwanie zagubionych światów” (1995; nagroda im. A. Fiedlera 1996), „testament wieków” (1997; nagroda Klio).

„Świadkowie naszych dziejów” to opowieść o odwiecznym towarzyszu gatunku ludzkiego na Ziemi – przyjaznym i nieodmiennie użytecznym – drzewie w jego licznych wcieleniach i wymiarach. Najmniej znajdzie tu Czytelnik wiadomości encyklopedycznych, podręcznikowych, Autor bowiem skupił swą uwagę – z pożytkiem dla książki niewątpliwym – na sposobach istnienie drzewa w ludzkiej świadomości i historii.



7 stycznia 2010 roku zmarł
Stanisław Szwarc-Bronikowski.
Pogrzeb odbył się na Cmentarzu Wojskowym
w Warszawie nieopodal kwater powstańczych
Batalionu „Zośka”.

Życie z pasją

„...Wszelkie moje podróże – do Azji, Afryki, Australii, obu Ameryk od Patagonii po Północ Polarną – dawały mi niezwykłe i zaskakujące emocje. Moje życie biegło na wysokich obrotach i przy zróżnicowanej lokomocji: samoloty, statki, pociągi, jeepy, muły, konie, słonie, wielbłądy oraz psie zaprzęgi... Kontakt człowieka z naturą „stwarza wiele ciekawych sytuacji i przygód. Takie silniejsze stresy są potrzebne mężczyźnie w sile wieku, aby nie zgnuśniał...”

Tym wyznaniem Stanisława Szwarc-Bronikowskiego, pisarza, podróżnika i filmowca – rozpoczęłam niegdyś mój pierwszy z Nim wywiad prasowy, gdy jako młoda dziennikarka, pracująca w redakcji „Świat Młodych”, byłam zafascynowana Jego podróżniczymi książkami.

Chciałam poznać także Jego samego. Okazał się być człowiekiem niezwykle kontaktowym, życzliwym, otwartym. Nie było w Nim nic z pozy czy pychy.

Po latach ten młodzieńczy entuzjazm przerodził się w przyjaźń. Coraz więcej o Nim wiedziałam. Nasze sporadyczne kontakty i spotkania z racji różnych uroczystości



Jedno z ostatnich zdjęć Stanisława Szwarc-Bronikowskiego (z autorką) na spotkaniu w Domu Dziennikarza

i jubileuszy, pozwalały ciągle na nowo poznawać człowieka, którego życie było jedną, wielką pasją.

Stanisław Szwarc-Bronikowski /ur. w Górkach Sandomierskich w roku 1917/ podczas II wojny światowej był uczestnikiem Ruchu Oporu w ZWZ i AK. Redagował konspiracyjne pisma na Kielecczyźnie w latach 1939–45 /pseudonim Roman/ Dowodził też oddziałem Dywersyjno-Osłonowym w latach 1941–43 oraz na przełomie 1944–45. W czasie Akcji Burza był oficerem oświatowym 2 Pułku Piechoty Legionowej AK, referentem Biura Informacji i Propagandy /BIP/, drugiej dywizji AK, następnie w sztabie BiPU okręgu „Jodła” (grudzień 1944) działał pod przybranym nazwiskiem w organizacji „Wolność i Niepodległość”. Był też współzałożycielem „Wiadomości Mazurskich”, pierwszego dziennika na Warmii i Mazurach, w roku 1946.

W tym samym roku został aresztowany i uwięziony przez MBP. W więzieniu przesiedział do 1947 roku – by po roku wolności znów znaleźć się w celi (w 1949 r. jako „groźny przestępca”).

Ten polski patriota zdołał wyrwać się z rąk oprawców, uciekł w dramatycznych okolicznościach i ukrywając się pod różnymi nazwiskami pracował dorywczo jako malarz, ilustrator, fotograf, cieśla. Wytropiono go jednak i znów aresztowano. Wyszedł na wolność dopiero w 1956 roku. Wtedy też wrócił do swego prawdziwego nazwiska.

Został reporterem w tygodniku „Dookoła Świata”. Miał do 1939 roku zaliczone studia na Wydz. Prawa UW i Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. Mógł więc z powodzeniem pracować w dziale reportażu i popularyzacji nauki. W „Dookoła Świata” publikował swoje słynne krajoznawcze reportaże i relacje z podróżniczych przygód, poparte dokumentalnymi zdjęciami, aż do roku 1960.

W tym czasie jego sukcesy pisarskie i filmowe stały się faktem znanym na całym świecie.

Posypały się nagrody, dyplomy, odznaczenia państwowe i wojenne, jak „Krzyż Walecznych”, Order Powstańczy z Londynu i Krzyż AK czy Krzyż „Burza". Z zawodowych osiągnięć, przede wszystkim te filmowo-telewizyjne nagrody, jak Przew. Komitetu ds. RiTV w latach 1970, 1974, 1977, 1990. „Złoty Ekran”, nagrody filmowe za filmy przyrodniczo-ekologiczne z Francji, Hiszpanii, w TVP, w Konkursie LOP, Grand Prix na Festiwalu „Ekofilm 92” oraz nagroda specjalna „Ekofilmu” – za popularyzację różnych dziedzin wiedzy.

Jego twórczość telewizyjna – to przede wszystkim ponad 100 filmów popularno-naukowych (w konwencji osobistych wspomnień i przygód) o tematyce przyrodniczej, ekologicznej, etnograficznej, archeologicznej, paleontologicznej, geologicznej i religioznawczej.

To pamiętne do dzisiaj tytuły: „Mongolskie ballady”, „Wyspy Karaibskiego Morza”, „Z Alaski do Colorado”, „W cztery strony Świata”, „Przez Antypody”, „Pióropusze i Ostrogi”, „Tropami mitów”, „U źródeł naszych cywilizacji". Jest autorem wspaniałego albumu „Testament Wieków” – czyli pradzieje naszych ziem i początek państwa polskiego w świetle najnowszych badań”. Dostał za niego nagrodę „KLIO” w roku 1997.

Ważne w twórczości Mistrza są również inne albumy opisowo-fotograficzne, jak „Poszukiwanie zagubionych światów” z 1995 r. Za tę pozycję Bronikowski otrzymał w 1996 r. doroczną nagrodę im. Arkadego Fiedlera „Bursztynowy Motyl”. Także książka-album pt. „Świadkowie naszych dziejów” – wydana w 2000 r.

Jest to opowieść o odwiecznym towarzyszu gatunku ludzkiego na ziemi, przyjaznym i nieodmiennie użytecznym – o drzewie w jego licznych wcieleniach i wymiarach. Zawiera przepiękne opisy i fotosy dębów, cisów, jodeł, buków, lip...

Dowiadujemy się rewelacji o pochodzeniu. Już wiemy, że wśród naszych polskich dębów „Bartek” świętokrzyski plasuje się dopiero na czwartym miejscu ze swą starością. Najstarsze w kraju to dwa cisy z Harbutowic, rosnące w zagro-

dzie wiejskiego gospodarstwa pod Krakowem. A także patriarcha najwyższej wiekowej rangi, cis pospolity w Henrykowie Lubańskim na Śląsku. Wiek tego drzewa ocenili dendrolodzy na 1260 lat.

I to wszystko, i wiele innych cudów przyrody wyszperał, udokumentował, opisał i sfotografował Stanisław Szwarc-Bronikowski – pisarz pasjonat.

A teraz moje osobiste wspomnienia.

Byliśmy zaprzyjaźnieni. Z Joanną, Jego uroczą żoną i z Nim, cudownym człowiekiem i wspaniałym gawędziarzem.

Gdy odwiedzałam ich gościnny dom na warszawskim Osiedlu Groty, byłam zachwycona atmosferą tego wnętrza. Dom sprawiał wrażenie muzeum, a jednocześnie był bardzo swojski i przytulny. Zdumiewał ogromem pamiątek, totemów, talizmanów, amuletów, egzotycznych zbiorów z najodleglejszych zakątków świata. Zachwycał unikalnymi okazami archeologicznymi, tropikalną kolekcją motyli i oryginalnymi okazami oceanicznych ryb. W gablotach piętrzyły się ozdobne kamienie, akcesoria władzy wodzów plemiennych i wiele innych skarbów, pamiątek z wieloletnich wypraw gospodarza domu.

Gdy piliśmy kawę w saloniku, pogryzając ciasteczka, słuchałam fantastycznych opowieści z całego świata. Ciągle ich chciałam słuchać, bo uczyły, bawiły, otwierały nowe horyzonty. Pięknie opowiadał autor o nieuchronnym upływie czasu i przemijaniu. Mówił o potędze i upadku światów, ale też i o nieśmiertelności rzeczy, przyrody, drzew, ludzi. Dom Bronikowskich to była enklawa spokoju, życzliwości, ciepła, humoru – w czym zasługa Joanny, wspaniałej i opiekuńczej żony Stanisława.

Jeździliśmy czasem do Konstancina, gdzie mieszkał z rodziną nasz wspólny przyjaciel Edward Goławski. Dziennikarz, emeryt, częsty uczestnik naszych spotkań w Klubie Seniora SDP. Edward z humorem żartował do mnie. „Gdzieś mi się zagubiło to początkowe «Wiel» w nazwisku. Inaczej, to byśmy mieli wspólny rodowód". Edward był dowcipny, wesoły, przyjazny ludziom, a Jego żona Kazimiera gościnna i serdeczna. Jeździliśmy do nich na świeży miód, truskawki prosto z grządki i wspaniałe wypieki.

Ostatni weekend przed śmiercią – ich obu – Edwarda i Stanisława, również spędziliśmy w Konstancinie u Goławskich. Nikt z nas nie przypuszczał, że to będzie po raz ostatni. Zabrakło ich obu! Edward odszedł pierwszy – w 2009. Stanisław niedługo po Nim – w 2010 r.

Zapamiętałam szczególnie słowa Stanisława Szwarc-Bronikowskiego zawarte w jednej z Jego książek. Brzmią dziś jak testament.

„Zawsze uciekałem od przerażającego, zabetonowanego, zatrutego świata, który na co dzień nas otacza, cywilizacji, która w pogoni za konsumpcją i pieniędzmi, brutalnie niszczy wykształcone przez wieki spokojne piętno bytowania. Utrwalałem kamerą to, co być może już jutro zostanie przez przybyszów z zewnątrz zdeptane, wyśmiane, zapomniane. Dla mnie podróże w tropikalne kraje były wielką przygodą intelektualną, własną próbą zrozumienia wszechświata w jego nieograniczonej złożoności. Obcowanie z naturą, z otaczającym mnie żywiołem, pierwotnymi plemionami, zwierzętami, roślinnością, drzewami było ucieczką od absurdów i szablonu współczesnego życia, od różnych zwodniczych utopii, bzdurnych dogmatów oraz matactwa polityki."

Pochowano Go wśród drzew! Niech Mu wszystkie szumią o Jego pasji życia. A wierzby nad Jego grobem niech ciągle płaczą...

Alicja Wielgoławska



Pro memoria

Nina RASCH (1955–2009)

Pamięci Niny Rasch, gdańskiej reporterki „Solidarności", hamburskiej redaktorki, nagrodzonej medalem „25-lecie Sierpnia '80"

W piątek, 18 grudnia 2009 roku, w południe, na cmentarzu Kablow w podberlińskim Königs Wusterhausen odbył się pogrzeb red. Niny Rasch gdańskiej dziennikarki, do jesieni 1984 roku wspierającej piórem i czynem gdańską Solidarność w kraju, później za granicą. Nina Rasch od 25 lat związana była obok Gdańska z Hamburgiem. W latach 1994–2005 roku – jako redaktor hamburskiego domu wydawniczego Bauer.

Była reprezentantką pokolenia polskiego „Sierpnia '80" – gdańskich reporterów, którzy nie mieli wątpliwości po czyjej stronie należy stanąć w czasie Pierwszej Wielkiej Solidarności (1980–1981) i jakich wartości w mediach wschodnio-środkowoeuropejskich bronić (1980–1990).

Cześć Jej pamięci!
W imieniu przyjaciół – dziennikarzy polskich i niemieckich
Tadeusz Knade

Nina RASCH

Nina Rasch zdobywała szlify dziennikarskie w Gdańsku we współpracy z Wojtkiem Charkinem w studenckim piśmie „Politechnik" (1978–1980). Jako reprezentantka „Politechnika" i stażystka „Głosu Wybrzeża" włączyła się w gdański strajk w sierpniu 1980 roku; była najmłodszą sygnatariuszką historycznego już oświadczania dziennikarzy polskich z 25 sierpnia 1980 roku – zwracającego uwagę na nieprawdziwy, cenzurowany obraz wydarzeń w Stoczni Gdańskiej w polskich mediach i uniemożliwianie wykonywania zawodu na skutek blokady cenzuralnej i telefoniczno-teleksowej.

Nina Rasch wraz z Wojtkiem Charkinem przekazała ten memoriał dziennikarski jako adresatowi – Międzyzakładowemu Komitetowi Strajkowemu – działającemu w strajkującej Stoczni. Zaprezentowane na forum sali bhp stoczni gdańskiej oświadczenie stoczniowcy przyjęli brawami.

Fakt przekazania oświadczenia stoczniowcom oznaczało uznanie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego – jeszcze zanim zdecydowały się na to ówczesne władze. Rozgłośnia polska radia Wolna Europa prezentując memoriał polskich dziennikarzy, uznała go za sygnał bliskiego podjęcia strajków w redakcjach (1980).

Nina Rasch jest autorką tekstów o pierwszych szesnastu miesiącach kształtowania się polskiego ruchu Solidarność publikowanych na łamach gdańskiego „Głosu Wybrzeża".

Jako stażystka obok Izabelli Trojanowskiej, Izabelli Greczanik, Henryka Galusa, Renaty Mroczkowskiej, Jurka Saroty należała do ekipy prezentującej sprawy Solidarności (1980–1981).

Jej nazwisko znajduje się w stopce redakcji „Głosu Wolnego", gazety poza cenzurą I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" (1981); współpracowała z tygodnikiem gdańskiego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Mariusza Wilka, pismem będącym kontynuacją Biuletynu Informacyjnego MKS z walczącej stoczni gdańskiej w sierpniu 1980 roku.

Nina Rasch obok Mariusza Wilka jest współautorką wywiadu o październiku '56 z Lechosławem Goździkiem – opublikowanego przez Lecha Bądkowskiego w pierwszym numerze (duży format) ogólnopolskiego tygodnika społeczno-politycznego Samorządność (30 listopad 1981).

Współpracę z ambitnym pismem związanym z Solidarnością, Nina Rasch zakończyła wraz z 13 grudnia 1981 roku. Zdążyły wyjść tylko trzy numery! Zespół redakcyjny „Samorządności", wraz z redaktorem naczelnym Lechem Bądkowskim, Ewą Górską, Henryką Dobosz-Kinaszewską, Marylą Mrozińską, znalazł się na bruku....

Wtedy to też Nina Rasch całym sercem oddana Pierwszej Solidarności od najtrudniejszych, pierwszych tygodni stanu wojennego wspierała podziemne struktury zdelegalizowanego związku, ukrywając redaktorów, najważniejszego w Trójmieście pisma o randze krajowej podziemnej Solidarności: Mariusza Wilka (dziś Rosja) i Bernardettę Stankiewicz (dziś USA) (1982). Zasiadała w stanie wojennym przy historycznym już „stole", w kuchni wrzeszczańskiego mieszkania Macieja i Krystyny Łopińskich. Była kurierką gdańskiego podziemia. Jeździła po Polsce.

W latach 1982–1984 z pomocą red. Izabeli Trojanowskiej i Lecha Bądkowskiego weszła w skład zespołu redakcyjnego pisma „Pomerania" wydawanego przez Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego „zawieszanego" i „odwieszanego", podobnie jak „Tygodnik Powszechny" przez władze stanu wojennego.

Od października 1984 roku Nina Rasch działała w Hamburgu; związana była obok Krzysztofa Szuwalskiego, Aleksandry Skibińskiej i Janusza Rudnickiego z hamburskim domem wydawniczym Bauer (1994–2005). W nadłabskiej metropolii gdańska autorka wierna pozostała ideom Solidarności; w piśmie „Wspólnota Wiary" hamburskiej Polskiej Misji Katolickiej publikowała teksty sławiące wolnościowe dzieło Jana Pawła II w kontekście Solidarności; jest współtwórczynią rocznicowej hamburskiej wystawy „Pierwsze strony «Słowa Powszechnego» Sierpień 1980 – Grudzień 1981" z racji 25 lecia Solidarności. Własnym kosztem wydanym katalogiem ekspozycji (we współpracy z Jarosławem Gębczyńskim z Bydgoszczy) przybliżała sylwetki polskich publicystów i pisarzy legitymujących się wkładem w walkę o prawdę w mediach do 1990 roku.

Obok Lecha Bądkowkiego, rzecznika strajkujących w sierpniu 1980 stoczniowców, popularyzowała dorobek Jerzego Slaskiego, znakomitego eseisty historycznego, żołnierza AK i WiN-u, redaktora naczelnego „Słowa Powszechnego" z czasów uwiarygadniania się tego dziennika w oczach czytelników i Kościoła (1980–1981); również Andrzeja Wernica, szefa działu krajowego tej gazety, warszawskiego dokumentalisty losów ludzi czasu wojennego i pierwszych lat powojennych, współwydawcy i redaktora właśnie wystawionego w księgarniach „Pamiętnika Cezara" – świadectwa wkładu jego brata Zbigniewa Wernica w dzieło Polski Walczącej!

Nina Rasch popularyzowała w Hamburgu dorobek wolnościowy ludzi pierwszej Solidarności: od Andrzeja i Joanny Gwiazdów, Anny Walentynowicz, Lecha Kaczyńskiego, Jana Samsonowicza po Alinę Pieńkowską, Bogdana Lisa, Lecha Wałęsę. Prezentowała postawę organizacyjną i publicystyczną ludzi stanu wojennego w kraju i na emigracji – od Mariusza Wilka, Błażeja Wyszkowskiego, Iwony Pluty po Bogdana Borusewicza, Zbyszka Gacha i Macieja Łopińskiego.

Realizowała projekt dokumentacji losów reporterów-emigrantów, którzy przekazywali słuchaczom w kraju drogą radiową niecenzurowaną informację – dorobek dziennikarzy radiowych związanych do 1990 roku z monachijską rozgłośnią radia Wolna Europa i z Europejskim Programem kolońskiej rozgłośni Deutschlandfunk. Podjęła pracę nad książką.

W organizacyjno-wydawniczych projektach służy jej pomocą prof. dr Maria Kalczyńska, znakomita opol-

ska znawczyni ludzi polskich mediów i kultury w Niemczech.

Postawa Niny Rasch kształtowała się w gdańskiej szkole dziennikarskiej Izabelli Trojanowskiej, Lecha Bądkowskiego i Tadeusza Jabłońskiego – Pawła Dzianisza. Reprezentowała wartości Zrzesznia Kaszubsko-Pomorskiego. Teksty Niny Rasch publikował prof. dr Józef Borzyszkowski w wydawnictwie Instytutu Kaszubskiego.

Ninę Rasch należy zaliczyć do pokolenia pojmującego dziennikarstwo jako służbę publiczną; była członkinią Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – SDP Gdańsk; Stowarzyszenia Dziennikarzy Niemieckich – DJV Hamburg; w wolnej RP uczestniczyła w warszawskim Zjeździe Delegatów SDP (2008 r.). Przedtem w gdańskim „wolnościowym" Forum dziennikarskim z racji 25-lecia „Sierpnia '80" (2005). Sama organizowała hamburską konferencję z racji pamiętnej rocznicy (2005).

Mieszkając od 1984 roku poza Polską, nadal żyła sprawami kraju. Z radością witała w 2005 roku zdecydowane zwycięstwo w wyborach w Kraju partii wywodzących się z ruchu społecznego Solidarność, z Sierpnia '80, z nadzieją, że ideały sformułowane w 21 postulatach w Stoczni Gdańskiej staną się podstawą do budowy państwa polskiego w pełni demokratycznego i sprawiedliwego.

Nina Rasch potrafiła przekazać miłość do języka i kultury polskiej swym dzieciom: Juli – studentce berlińskiego Uniwersytetu Humboldta, Natalii – Uniwersytetu Viadrina, Pawłowi – absolwentowi Uniwersytetu Hamburskiego.

Słowa pożegnania napisał Tadeusz Knade, kolega Niny Rasch z dziennikarskiej gdańskiej, pierwszej Solidarności; przyjaciel z emigracyjnej działalności w Hamburgu od 1984 roku, współautor artykułów, ekspozycji i rocznicowych inicjatyw; wieloletni współpracownik „Słowa Powszechnego" (do 13 grudnia 1981); programu polskiego Deutschlandfunk (do 1990 r), poźniej Deutsche Welle.

Nad otwartą podberlińską mogiłą Ninę Rasch żegnali: Tadeusz Knade wraz z przybyłym z Gdańska Wojtkiem Charkinem, przyjacielem Niny Rasch z czasów „Politechnika", pierwszej Solidarności i działalności w gdańskim podziemiu.

Tadeusz Knade

Jarosław PIOTROWSKI (1955–2010)

Ta informacja do dziś mnie szokuje. Pojawiła się w skrzynce mailowej o 14.00, 2 stycznia i była jedną z pierwszych w nowym roku: „W sobotę rano, po krótkiej i ciężkiej chorobie, zmarł były redaktor naczelny «Głosu Wielkopolskiego» Jarosław Piotrowski". Myślałem: to jakiś absurd. Niemożliwe, by kolega z liceum, a później z pierwszego rocznika dziennikarstwa Instytutu Nauk Politycznych UAM już ten świat pożegnał. Niemożliwe, by to właśnie Jarek. Pytałem siebie: co ja o nim wiem? od kiedy go znam? jakie mam prawo do pisania o Nim? Gdzieś w głowie pojawiła się refleksja, że zwłaszcza ta ostatnia kwestia byłaby ważna dla długoletniego sekretarza redakcji „Głosu Wielkopolskiego". On już taki był. Ale czy na pewno? Nie wiem. Ilekroć się spotykaliśmy (a po studiach, to już niezbyt często) Jarek zaskakiwał mnie spokojem, dystansem do każdej sytuacji – w tym i do siebie – oraz umiejętnością logicznego łączenia spraw wydawałoby się w żaden sposób z sobą niezwiązanych. Cóż jeszcze? W liceum nie byliśmy w jednej klasie. Z lat studiów, pozostało wspomnienie jedynego przypadku wspólnej gry w brydża i wtedy to zaskoczenie spokojem i dystansem zarówno przy porażkach, jak i sukcesach. Po studiach przez 5 lat pisał w „Panoramie Leszczyńskiej". Zajmował się m.in. rolnictwem. Później przez 9 lat był sekretarzem redakcji „Głosu Wielkopolskiego". Rzadko, bo rzadko, ale widziałem, Go przy wypełnianiu obowiązków, także w drukarni. Nie ma co ukrywać, był jakby stworzony do tej pracy. Zaskoczeniem był fakt, że w 2005 r. przyjął funkcję redaktora naczelnego. W finale tego przedostatniego w Jego karierze okresu, pojawiała się stopce „Głosu Wielkopolskiego" niecodzienna informacja: „Redaktor Naczelny: Jarosław Piotrowski (nieobecny z powodu choroby)". Na koniec wrócił do Leszna i do redakcji, w której zaczynał. Był znowu sekretarzem. Jakiego Jarka nie poznałem? Nie wiedziałem, że uczestniczył w pracach kapituły Nagrody Marszałka Województwa Wielkopolskiego im. Ryszarda Kapuścińskiego, że był „współprzewodniczącym" Klubu Przyjaciół Filharmonii Poznańskiej i przyjacielem zarówno Teatru Polskiego w Poznaniu, jak i KKS Lech. Nie miałem też pojęcia, że współredagował „Paragraf Poznański" biuletyn Okręgowej Rady Radców Prawnych. Dowiedziałem się o tym z nekrologów. Trudno mi jednak określić, co z tego pozostało. Najbliżsi Jemu przyjaciele bezsens tej normalnej śmierci ujęli w słowach:

„Wpadnij Pan nocą, wieczorem, z rana na najkrótszy z krótkich, milczący szept, bo my umieramy trochę bez Pana jak te konwalie, jak bzy albo pet... (J. Nowicki)".

Wydaje się, że ich posłucha i przyjdzie. Tak – jak miał w zwyczaju – jakby od niechcenia o czymś powie, na coś zwróci uwagę, wypije wódkę. Koleżanka ze studiów w mailu napisała: „gdy przeglądałam notatki z ostatniego spotkania z Jarkiem, to trafiłam na zapisane nazwisko Jaromir Nohavica – «Kiedy kitę odwalę». Jarek wtedy z uśmiechem zachwalał i polecał mi wysłuchanie rewelacyjnego tekstu czeskiego barda, śpiewającego po polsku. Wysłuchałam dopiero teraz i tak mi się pokojarzyło".

Piotr Górski
kolega ze studiów

Tomasz ZAJĄC (1965–2010)

„Przed północą z soboty na niedzielę wybuchł pożar w mieszkaniu przy ul. Kolorowej na gdańskim osiedlu Moje Marzenie. – Zgłoszenie odebraliśmy o 23.36 – mówi st. kpt. Tadeusz Konkol, rzecznik pomorskiej straży pożarnej. – Płonęła kawalerka na pierwszym piętrze. W trwającej dwie godziny akcji brały udział dwa zastępy strażaków. Niestety, w kawalerce znajdował się 50-letni mężczyzna i pomimo podjętej przez ratowników reanimacji nie udało się go uratować. Przyczyną tragedii najprawdopodobniej było zaprószenie ognia”.



Tak pisała dwa dni później „Polska Dziennik Bałtycki”, nie zdając sobie sprawy, że ów „50-letni mężczyzna” z osiedla Moje Marzenie to jej niegdysiejszy wzięty reporter, 44-letni Tomasz Zając. Przyszedł na świat w Gdańsku w 1965 r. Tutaj „knuł” w latach szkolnych i studenckich, chociaż kończył prawo. Tutaj debiutował w politechnicznej Kronice Studenckiej jako fotoreporter, a w „Tygodniku Gdańskim” jako pełny reporter, często w tandemie z Piotrem Semką. Właśnie z nim znalazł się w marcu 1990 w Wilnie, gdy Litwa ogłosiła deklarację niepodległości, a Związek Sowiecki wyprowadził nad Wilię czołgi, czy w sierpniu 1991 w Moskwie podczas tzw. puczu Janajewa, gdy ten usiłował ocalać walący się ustrój komunistyczny. Ma więc zupełną rację Dariusz Szreter, gdy we wspomnieniu pośmiertnym o Tomku Zającu w „Dzienniku Bałtyckim” pisze, że „Nie był to typ spoglądający na świat zza redakcyjnego biurka. Lubił być wszędzie, wszystko zobaczyć, wszystkiego dotknąć. Wydawało się, że nie ma dla niego przeszkód nie do pokonania”.

Inny zaś przyjaciel do jego ostatnich dni, Piotr Rymsza, powiada że Tomek był totalną indywidualnością i dziennikarskim geniuszem. Wiedzieli o tym doskonale naczelni z „Dziennika Bałtyckiego” czy „Newsweeka”, zaś talent reportera z kamerą docenili w BBC, której Tomek był korespondentem w Polsce, i w redakcji TVN.

– Tomka polecił mi któryś ze znajomych gdańskich dziennikarzy. To była późna wiosna 1997 roku. Miał trudne zadanie zorganizowania współpracy z Video Studio Gdańsk i otwarcia oddziału TVN w Gdańsku. Trzeba przyznać, że dał radę. Tomek był trochę zwariowany i trochę nieobliczalny. Ale to był porządny chłopak – wspomina Grzegorz Miecugow z TVN.

Zapalony tropiciel tajemnic i konfliktów militarnych lubił widzieć nie tylko z bliska, z lupą. Do jego największych pasji „cywilnych” należało bowiem szybownictwo. Jemu poświęcił jeden z ostatnich felietonów w „Twojej Gazecie”, w której – zakreśliwszy wielki łuk – wylądował. Koleżanka z aeroklubu powiada o nim jednak „zagubiony, poszukujący, onieśmielony i na tyle charakterystyczny, że mocno zapadł w moją pamięć”.

Młodzieńczemu marzeniu, które realizował, ale w którym się nie zrealizował w pełni, był więc do ostatnich swoich dni życia, tragicznie i niespodziewanie przeciętych, wierny. Można byłoby więc przed urną z jego prochami położyć motto z „Lorda Jima” Conrada: „Iść z marzeniem i znowu iść za marzeniem i tak – ewig – usque ad finem”...

Tomek szedł, nie osiągając pełnej satysfakcji. Ani wtedy, gdy w młodzieńczych czasach konspirował przeciw komunie. Ani wtedy, gdy z ukontentowaniem rejestrował symptomy jej upadku. Ani gdy jako korespondent „Dziennika Bałtyckiego” w 1995 r. relacjonował wyprawę Marka Kamińskiego i Wojciecha Moskala na Biegun Północny. Ani w korespondencjach spod równika. Ani gdy w „Historiach z tej ziemi” tropił tajemnice historyczne, ani gdy z pasją zabierał się za tematy społeczne. Ani jako fotoreporter, ani reporter prasowy, ani reporter telewizyjny. Ani gdy stąpał twardo po ziemi, ani gdy szybował w przestworzach. Zawsze jednak, za wszystkie swoje marzenia i pasje, płacił sobą. I nie szczędził grosza.

W niedzielę 17 stycznia 2010 zginął tragicznie w swoim mieszkaniu. Wszystkie jego plany pozostaną niedokończone. Jakiś wieczór literacki poświęcony pamięci o Tomku, zorganizowany przez grupę przyjaciół. Parę fotografii z czasów gdy sam fotografował albo był żywym obiektem fotografii, potem już tylko z cmentarza w... Pruszczu Gdańskim. Z pobliża lotniska, które ukochał i któremu poświęcił jeden ze swoich ostatnich tekstów. Stanowczo za mało. Wielki talent pisarski. Wielki talent wynajdywania spraw ważnych i nawiązywania niezbędnych kontaktów. Wielki talent forsowania przeszkód. A jednak... może zbyt hojnie szafowany? Cóż dziś można powiedzieć, gdy dysponujemy tylko szczątkami. Pozostaje gorzkie słowo poety:

I zawsze człowiek coś opuszcza
I co zostaje po nas? Pustka.

(Zbigniew Szymański)

Kolejny bolesny cios w korpus gdańskiego dziennikarstwa. Przypomnę tylko tych, po których pozostały największe wyrwy w morzu: Krzysztof Kalukin, Adam Kinaszewski, Nina Rasch, Grzegorz Rybiński, Marian Terlecki... Dziś do tej listy dopisujemy Tomasza Zająca.

Tadeusz Skutnik



fot. archiwum Video Studio Gdańsk

Marian Terlecki z prymasem Polski Józefem Glempem – zdjęcie z roku 1989

Marian TERLECKI

Przy pierwszym poznaniu pomyślałem, że za sprawy reformowania radia i telewizji w PRL-u zabiera się nieśmiały uczeń gdańskiego liceum. Stał przede mną szczupły chłopiec o urodzie cherubina, mówiący cicho z charakterystycznym grasejowaniem, ale wyjawiający przy tym dość kategoryczne sądy o konieczności tworzenia w obrębie oficjalnych struktur komórki redakcyjnej, którą chroniłby parasol nowego związku. Była jesień roku 1980, już po gotowości strajkowej związanej z przedłużającą się procedurą rejestracji statutu Solidarności, już po nadzwyczajnym zjeździe SDP. Wcześniej zostałem wybrany na wrocławskim zjeździe przewodniczącym Krajowej Komisji Koordynacyjnej radiowo-telwizyjnej Solidarności. Marian zaprosił mnie do Gdańska, żebym jego kolegom opowiedział, co warto robić, by telewizja stała się rzeczywiście instytucją wiarygodną i służącą społeczeństwu złaknionemu prawdy o polskiej rzeczywistości i jej historii, i jaki jest plan działania Komisji, na której czele stanąłem. Tak się poznaliśmy.

Nie było między nami różnic w zasadniczych poglądach, jednak różnica doświadczeń była wyraźna. Ja pracowałem od dawna w telewizji rządzonej politycznie przez PZPR i cenzurę, on miał za sobą pierwsze próby niezależnego działania w grupach Ruchu Młodej Polski i prezentował od początku myślenie bezkompleksowe i odważne, ja dopiero docierałem w sobie odwagę protestu i niektóre jego pomysły jawiły mi się jako zbyt daleko idące, zbyt radykalne. Polityka faktów dokonanych wydawała mi się za bardzo ryzykowna. On jawił mi się jako sympatyczny anarchista, ja reprezentowałem – powiedzmy – względną zachowawczość.

Prezesem Radiokomitetu był w tych czasach Zdzisław Balicki, którego znałem osobiście z Wrocławia, kiedy był jeszcze powiatowym działaczem PZPR. On to zjawił się pod koniec października w telewizji i radiu wrocławskim z zadaniem uspokojenia nastrojów, do zamknięcia ośrodka włącznie, po tym, kiedy ogłosiliśmy całej Polsce, że powstała Krajowa Komisja Koordynacyjna RTV NSSZ „Solidarność" i gdy wysłaliśmy wszędzie, gdzie tylko można było, listę postulatów do załatwienia w Radiokomitecie. W listopadzie tego roku nastąpiły odgórnie sterowane rozdziały premii finansowych, gdzie nie uwzględniono głosu oddziałów terenowych Solidarności. Kiedy zebrałem większość przewodniczących komisji zakładowych w Warszawie, by gromadnie udać się do prezesa Balickiego na zasadniczą rozmowę, usłyszeliśmy w sekretariacie, że prezesa nie ma i nie będzie. Wiedzieliśmy, że to łgarstwo i wymówka, bo ktoś nas poinformował o tym, że szef siedzi zamknięty w swoim gabinecie. Balicki po prostu nas się wystraszył.

Wtedy po krótkiej naradzie postanowiliśmy na prezesa cierpliwie poczekać albo w sekretariacie, albo na korytarzu XVI (?) piętra. Sekretarka zrobiła duże oczy i oświadczyła, że nie ma takiego zwyczaju. Wtedy Marian Terlecki z niewinnym uśmiechem na buzi spokojnie powiedział, że wprowadzamy nowe, pokojowe zwyczaje. Otworzono nam wtedy salę konferencyjną i udostępniono ją w charakterze poczekalni.

Mimo naszej czujności – widać z tego, że niezbyt skoordynowanej – Balicki zdołał jakoś z gabinetu czmychnąć, co dowodnie nam ukazano otwierając drzwi do pustego gabinetu. Nadzieja pracowników sekretariatu na opuszczenie przez nas piętra okazała się płonna; powiedzieliśmy, że będziemy czekać na prezesa tak długo, jak długo trzeba będzie, do skutku. Wezwano straż, którą spokojnie odprawiliśmy stwierdzeniem, że nie ma takiego prawa, iżby pracownicy Radiokomitetu nie mogli przebywać w obrębie swojej instytucji oczekując na rozmowę z najwyższą instancją.

W tym czasie na rozmowach w Warszawie przebywała delegacja Komisji Krajowej i Marian Terlecki pod wieczór przyprowadził do nas Andrzeja Gwiazdę. To nas bardzo wzmocniło, a wizyta na ulicy Woronicza głównego negocjatora strajkowych rozmów z sierpnia stała się sensacją. W ten sposób wszyscy dowiedzieli się o naszej akcji.

Nastała noc, a my cierpliwie czekaliśmy. Nad ranem zjawił się mocno wystraszony wiceprezes Radiokomitetu – Jan Grzelak oświadczając, że towarzysze z Komitetu Centralnego PZPR, skąd właśnie przybywa, bardzo są sytuacją w gmachu na Woronicza zaniepokojeni. Zgodnie z prawdą odpowiedzieliśmy, że nasza okupacja skończy się, jeśli otrzymamy od niego na piśmie obietnicę spotkania z prezesem Balickim i szansę skorygowania decyzji o premiach. Zmęczony, zestresowany, czerwony na twarzy dał nam taką obietnicę i o godzinie szóstej nad ranem wyszliśmy z budynku.

Marian w tym czasie realizował razem z Tomaszem Lengrenem film dokumentalny o gdańskich krzyżach. Potem, jako że krajowe władze związkowe mieściły się na Wybrzeżu, wiercił Lechowi Wałęsie dziurę w brzuchu, by uruchomić telewizję niezależną od oficjalnej, bowiem wszelkie rozmowy w kwestii dostępu Solidarności do anteny telewizyjnej i uzyskania statusu redakcji niezależnej (brałem w tych rozmowach związkowo-rządowych udział jako ekspert strony Solidarnościowej) nie dawały rezultatu.

Organizował biuro prasowe, a raczej obsługę medialną pierwszego zjazdu Solidarności. Dwukrotnie doprowadziliśmy razem z nim (on jako organizator i realizator, ja jako prowadzący i współrealizator) do emisji na antenie ogólnopolskiej w przeddzień zjazdu dwóch niecenzurowanych programów: relacji z konferencji prasowej Lecha Wałęsy i doradców o przygotowywanym zjeździe oraz długiej rozmowy, którą miałem zaszczyt prowadzić, na temat pierwszego roku istnienia Solidarności; wzięli w niej udział – Lech Wałęsa, Władysław Frasyniuk, Zbigniew Bujak i Leszek Waliszewski, a więc przywódcy najsilniejszych ugrupowań związkowych w kraju.

Na zjeździe w hali „Oliwia" zjawiła się obwieszczona radośnie kamera telewizyjna wyłącznie na usługach biura prasowego Solidarności. Ekipy oficjalnej telewizji miały zakaz wstępu na salę z uwagi na wyraźne manipulacje Dziennika Telewizyjnego. Byłem gorącym zwolennikiem tego bojkotu, ale dzisiaj dochodzę do wniosku, że przez to mamy też mniej dokumentacji filmowej z tych niezapomnianych dni. Może należało jednak wpuścić rządowe przekaziory? Wtedy jednak inne rządziły kalkulacje, inną się miało na kłamstwa propagandy wrażliwość. „Szalejący Manipulo", chwilowy organ zjazdowy Jacka Fedorowicza, rozchwytywane natychmiast powielaczowe pisemko, już w tytule ukazywał trafnie nastroje, w jakich delegaci uchwalali kolejne dokumenty. Zresztą na łamach oficjalnej gazety zjazdowej „Głos wolny..." można znaleźć zapis tych wydarzeń.

Tydzień przed 13 grudnia 1981 roku w siedzibie SDP na Foksal zorganizowaliśmy – jako Solidarność przy wsparciu odrodzonego po sierpniu '80 SDP – konferencję na temat uspołecznienia Radiokomitetu. Już wtedy był Marian Terlecki moim zastępcą w Krajowej Komisji Koordynacyjnej, obok Piotra Mroczyka z PR w Warszawie i Rafała Szymońskiego z katowickiej telewizji. Przygotowywaliśmy razem z komisją zakładową Huty Warszawa formę strajku zastępczego, na wypadek, gdyby telewizja została zmilitaryzowana albo w inny sposób spacyfikowana. Nie myśleliśmy o stanie wojennym, ale pewne symptomy „mundurowania" i obsadzania tajniakami niektórych stanowisk były w tym czasie, zwłaszcza w Warszawie, wyraźnie dostrzegalne. Marian miał pozycję najmocniejszą w działaniu, bo sytuował się bezpośrednio przy Komisji Krajowej Solidarności w Gdańsku, miał niemal na codzien dostęp do Lecha Wałęsy, znał czołowych działaczy. To się wtedy bardzo liczyło. Niestety, ani wniosków z tej konferencji, ani materiałów nie zdążyliśmy opublikować, nie zdążyliśmy udostępnić – jak planowaliśmy – uczestnikom Kongresu Kultury, bo Jaruzelski ogłosił razem z partią i wojskowymi kumplami stan wojenny.

W chwili wybuchu stanu wojennego Marian zniknął w podziemiu razem z kamerą. Z czasów tego ukrywania się pozostał bardzo interesujący dziennik, który miałem okazję „puszczać na antenę" w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium. Nie miałem w czasie swojego internowania, ani podczas trzech miesięcy na wolności przed wyjazdem na emigrację we wrześniu 1982 roku – żadnego z Marianem kontaktu. I nagle na kilka dni przed wyjazdem do Niemiec otrzymałem przedziwnie tajemną drogą małą karteczkę zwiniętą w rulonik – gryps z podziemia od Mariana.

„Wrocław, 29.07. Piotrze, mam nadzieję, że jesteś już na tzw. wolnej stopie, ale nie mam namiaru na ciebie. Zostawiam więc skrótowe wieści z Gdańska i proszę o kontakt. Z TV zwolniono 17 osób. Dziennikarzy: Adam Kinaszewski, Lech Kujawski, Marian Terlecki, Agata Podlewska, Andrzej Mielczarek, Janusz Trus, Elżbieta Jabłońska, Hanna Kordalska, Alicja Hołdun, Maciej Bubella i... Wojciech Jankowski (11 osób). Z techniki: Krzysztof Iglikowski, Wiktor Niemiro, Włodzimierz Resiak, Zdzisław Tomaszewicz i Krzysztof Leszczyński (5 osób) oraz Jerzy Afanasjew – wcześniejsza emerytura. Z radia – 6 osób, ale pamiętam tylko 3 nazwiska – Ewa Nowak, Elżbieta Pietkiewicz i Adam Żytkowiak. Internowanych było dwóch: Adam Kinaszewski i Adam Żytkowiak – obaj niedawno wyszli. W TV jest kontakt przede wszystkim z techniką; nastroje nienajgorsze, dociera prasa. Myślę, że bardzo przydałaby się jakaś zbiorcza informacja o sytuacji w Radiokomitecie w skali kraju, a jeszcze lepiej – stały biuletyn. Na pewno by to ludzi zintegrowało. Wieści do mnie możesz przekazać przez Tadeusza. Gdybyś był w Gdańsku, najlepszy kontakt przez p. Alicję Hołdun – ul. Grottgera 18 c, Sopot – można tam zawsze zostawić dla mnie wiadomość. W grę wchodzą też moi rodzice (Matejki 23/2), ale dom jest sporadycznie pod obserwacją. Serdeczne pozdrowienia. Liczymy na Ciebie jak na Wałęsę. Marian Terlecki".

Mam ten gryps do dzisiaj, bo wziąłem go na emigracyjny wyjazd w słabo znany mi świat jak wyrzut sumienia. Byłem przekonany, że do kraju nie wrócę nigdy i nie wierzyłem w szybką przemianę polityczną wojennego komunizmu. Okazałem się małowierny może dlatego, że okrutnie się rozczarowałem postawą większości znajomych, którzy pozostali na telewizyjnym ekranie i obok niego w instytucji wysługującej się dyktaturze.

Kiedy w schyłkowej fazie PRL-u nastała odwilż, a Marian po 16 miesiącach więzienia wyszedł na wolność – wrócił do organizowania niezależnej telewizji. Kamera, którą ocalił dzięki współpracy z arcybiskupem Gocłowskim, rejestrowała nadal ważne wydarzenia w kraju, była bezcennym narzędziem dokumentacji. Chcąc pozyskiwać środki na rozbudowę swoich planów jeździł za granicę, do Francji, i wtedy czasami zatrzymywał się u mnie w Monachium.

Kiedy został prezesem Radiokomitetu i postawił tę instytucję w stan likwidacji – znowu mnie ściągnął do siebie (jak przed laty do biura prasowego I Zjazdu Solidarności), licząc, że zechcę współtworzyć nowy dziennik telewizyjny. Chwilowo na czele tej redakcji osadził Lecha Dymarskiego i próbował oczyścić tę strukturę

z rozmaitych personalnych i programowych zaszłości. Nie skorzystałem z zaproszenia ujrzawszy ile PRL-u włóczy się jeszcze po korytarzach telewizyjnego budynku przy placu Powstańców Warszawy. Zresztą, na razie nie zamierzałem się wyprowadzać z Monachium, bo wizja zakończenia misji RWE jeszcze się nie rysowała na horyzoncie.

Nie do końca ta reforma Marianowi Terleckiemu się udała, bo prezesem był krótko. Jego zwolnienie z tej funkcji przez premiera Bieleckiego po dziwnie, bo prowokacyjnie wyglądającej wpadce drogowo-alkoholowej, spowodowało konieczność znalezienia się w nowej sytuacji. Po rozstaniu się z Maciejem Grzywaczewskim, z którym współtworzył „Studio-video" w Gdańsku, Marian razem z Piotrem Mroczykiem (niestety, także już nieżyjącym moim przyjacielem, ówcześnie dyrektorem polskiej redakcji RWE w Warszawie) postanowili uruchomić „Antenę 1", w pełni prywatną telewizję. Znowu się nie udało, bo nie dostali od Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji koniecznych częstotliwości, zwyciężył w wyścigu po te „telewizyjne konfitury" Solorzowy „Polsat".

Wtedy Marian przeistoczył się w producenta telewizyjnego będąc po drodze jeszcze prezesem Telewizji „Puls". Jako producent odniósł niewątpliwy sukces. Zarówno pełnometrażowy film o kardynale Wyszyńskim, jak i serial „Złotopolscy" – to jego współdzieło. Pewnie miałby sukcesów znacznie więcej, gdyby nie traktował swego zdrowia zbyt ulgowo. Nie był okazem tężyzny fizycznej, a żył w górnych strefach zagrożeń.

Podziwiałem zawsze jego spokój i konsekwencję w dążeniu i realizowaniu planów, mimo chwilowych porażek czy zastojów, klarowność metod postępowania i niewinny półuśmiech, jaki zawsze błąkał po jego twarzy okolonej jasnymi kędziorami. I nie zapomnę tego mężczyzny o wyglądzie chłopaka z liceum, który mówił, że komunę trzeba obalać bezwzględnie, nie zawsze z hukiem i w każdej chwili. No proszę, wyszło na jego. Żal, że tak za wcześnie odszedł.

Żegnaj, drogi Marianie!

Piotr Załuski





Spis treści

Od redaktora 3
Klub Fotografii Prasowej SDP przedstawia 4
Historia klubu 4
Konkurs: Prasowe Zdjęcie Roku
– zwycięzca – Tomasz Gzell 7
– wyróżnieni 8
– fotorelacja z gali konkursu 20
Sekcja Branżowa Fotografików ZZTK zaprasza 21
Jacek Barcz 22
Donat Brykczyński 24
Anatol Chomicz 26
Borys Czonkow 28
Marek Wojciech Druszcz 30
Jacek Herok 32
Jerzy Kośnik 34
Witold Krassowski 36
Karina Łopieńska 38
Bogdan Łopieński 40
Stanisław Momot 42
Jan Morek 44
Chris Niedenthal 46
Adam Nurkiewicz 48
Piotr Sawicki 50
Borys Skrzyński 52
Marek Szymański 54
Longin Wawrynkiewicz 56
Przemek Wierzchowski 58
Krzysztof Wojciewski 60
Stefan Zubczewski 62
O Word Press Photo 2010 – Jerzy Kośnik – Wojciech Druszcz 64
Dramat z telewizją publiczną
– list „Solidarności" do prezesa TVP SA 65
– deklaracja TVP SA 65
Stanowisko Rady Konsultacyjnej CMWP SDP 66
Walka w terenie
– oświadczenie zarządu SDP O/Łódź 67
Stanowisko konferencji mediów regionalnych 67
W obronie regionów – Jadwiga Chmielowska 68
List dyrektor TVP Warszawa Aleksandry Zawłockiej do radnych Warszawy 69
List Rady Programowej TVP Katowice do prezesa TVP SA Romualda Orła 70
Szczyt marnotrawstwa: ul. „Sobótki" – ośrodek TVP w Gdańsku 72
Publicyści o telewizji
Komentarz do wstępnych założeń do nowej ustawy medialnej – Piotr Bielawski 73
Zawracanie głowy – Waldemar Kosiński 76
Telewizyjnych wspomnień czar – Wiesław Stradomski 78
Telewizja cyfrowa – Krzysztof Piskorski 81
O mediach, dziennikarzach, naukowcach i politykach – Marek Palczewski 86

Informacje i propozycje

– o rzetelnej informacji finansowej w NBP 89
Kontrola nad mediami na Węgrzech – László Majtényi 90
Wolne słowo a odpowiedzialność dziennikarzy – Jacek Szymanderski 92
Media publiczne: przeszłość czy przyszłość? – Andrzej Bajorek 94
Wolność słowa czy wolność mediów – Stanisław Remuszko 95
Prawo do informacji i prawo do prywatności w Królestwie Szwecji – Michał Mońko 99
Olśniewający kosmos w sieci – Wiesław Łuka 100
O „Pamiętniku Cezara" – spotkanie w klubie SDP „Cudzysłów" 103
Przyjaźń na śmierć i życie – o Henryku Sławiku pisze Grzegorz Łubczyk 104
Tajemnica zatracenia – Cezary Prasek o książce Krzysztofa Miklaszewskiego „Zatraceni w Schulzu" 110
„Kapelani Solidarności 1980–1989" – trylogia Mateusza Wyrwicha 112
O książce Pawła Lisickiego „Przerwa w pracy" – Jerzy Biernacki 113
O Kurdystanie – Maria Giedz 114
Składamy życzenia Krzysztofowi Kąkolewskiemu 114
Symfonia berlińskiego muru – ballada dokumentalna Jerzego Tuszewskiego 115
e-Wieża – subiektywny przewodnik mediów – Mariana Czarnieckiego 116
Pamięci Piotra Mroczyka – obrazy Ewy Panasiuk 116
Konkurs Władysława Grabskiego – regulamin 117
Porady praktyczne Hanny Budzisz 119
Nasze nagrody za 2009 rok 121
„Melchior" dla Krystyny Mokrosińskiej 122
Hanna Krall i laureaci nagród 2009 122
Uchwała ZG SDP w sprawie Hieny Roku 124
Nuncjusze apostolscy – Włodzimierz Bończa-Rutkowski 125
Opłatek u nuncjusza 126
Małgorzata Ziętkiewicz wyróżniona „Złotą Wagą" 127
Rok 2009 w Zespole Seniorów – Krystyna Żemralska 128
Spotkanie z Maciejem Wierzyńskim 129
Sytuacja Polaków w diasporze – rozmowy w Klubie Publicystyki Kulturalnej – Cezary Prasek 131
Ład czy chaos... – o architekturze Alicja Wielgoławska 133
Spotkanie w gdańskim oddziale SDP 134
Korespondencja z Londynu – Elżbieta Królikowska-Avis 135
Polska prasa w Szkocji – Maciej Przybycień 138
Tajny ochotnik – Andrzej W. Kaczorowski 140

Wspominamy zmarłych kolegów:

– Renata Sosnowska 143
– Blanka Miecińska 143
– Ignacy Rutkiewicz 145
– Stanisław Szwarc-Bronikowski 146
– Nina Rasch 148
– Jarosław Piotrowski 150
– Tomasz Zając 151
– Marian Terlecki 152

Zdjęcie na okładkę wykonał: Maciej Chojnowski

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH

DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.







Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich
ul. Foksal 3/5, 00-366 Warszawa

Dom Pracy Twórczej
24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 081 881 01 62
fax 081 881 01 65
www.domdziennikarza.com
e-mail: info@domdziennikarza.com



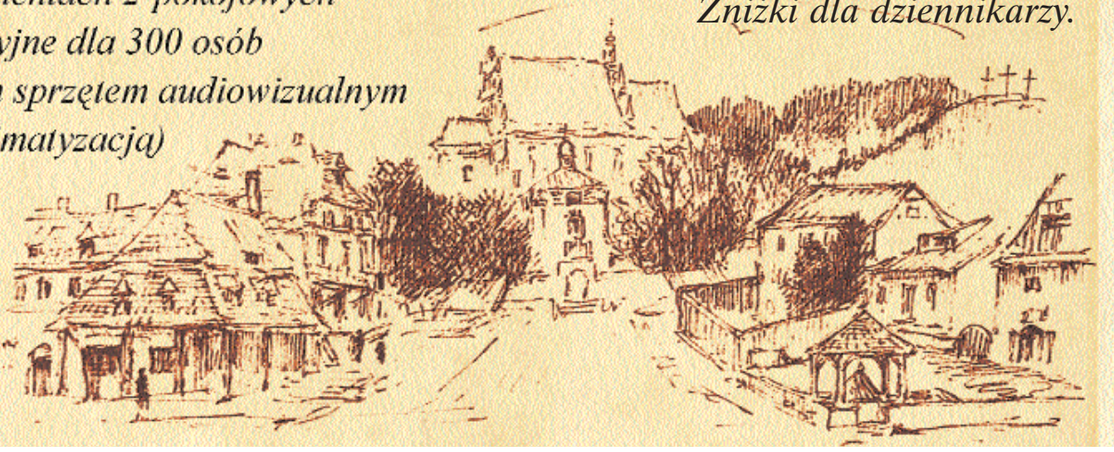
Zapraszamy:

- *Uczestników kongresów, konferencji, seminariów, szkoleń oraz gości indywidualnych.*

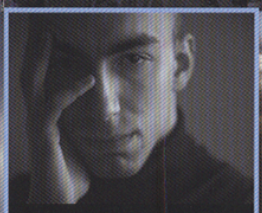
Oferujemy:

- *130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych*
- *Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)*
- *Restauracja*
- *Kawiarnia*
- *Grill*
- *Parking*

Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.
Zniżki dla dziennikarzy.



HAITI



Tomasz Woźny

jest członkiem Dolnośląskiego Oddziału SDP. Ukończył Dziennikarstwo i komunikację społeczną na Uniwersytecie Wrocławskim. Jako fotoreporter freelancer zajmuje się fotografią dokumentalną.